



## ZDZIESIĄTKOWANE POKOLENIE

Polskie Towarzystwo Filozoficzne

REDAKCJA  
BARBARA MARKIEWICZ  
JACEK JULIUSZ JADAŃSKI

# PRÓG ISTNIENIA

PRÓG ISTNIENIA · ZDZIESIĄTKOWANE POKOLENIE

## Żołnierze Warszawskiego Okręgu A.K.!

I. Po wypełnieniu naszego żołnierskiego zadania do końca, pokonani nie przez nieprzyjaciela, lecz przez niedostatek i głód — musimy przerwać walkę. Złożenie broni jest dla bitnego żołnierza najcięższą chwilą w życiu.

Pamiętajmy zawsze, że karność obowiązuje do końca. I ta właśnie karność będzie dla potomnych świadectwem, że Powstanie 1944 roku miało najdzielniejszego żołnierza, jakiego wieki wydały w szeregach Wojska Polskiego.

Pamiętajmy o tym, że związani z nami, zdecydowani ginąć na posterunku do ostatniego, są w mniejszości i tacy ludzie, których strata odbiłaby się ujemnie na odcinku nauki, sztuki i całokształcie naszej kultury narodowej, a ci ludzie musieliby ginąć wraz z nami.

Bądźcie posłuszni rozkazom i niech nie będzie ani jednego, przeciwnego odruchu. Tak być musi — a w wykonanie rozkazów włożcie najtwardszą i najlepszą wolę, by to bardzo trudne, końcowe zadanie rozwiązać, równie dobrze, jak wszystkie dotychczasowe. Szeregów nie wolno opuszczać!

Dziękuję Wam Żołnierze, za wspaniałe męstwo, wykazane w tych 64 dniach bezprzykładnej walki, ofiary i chwały.

Il Rozkazy szczegółowe, dotyczące przerwania walki, przekazuję Waszym przełożonym.

**Komendant Warsz. Okręgu A.K.**

*MONTER gen. brgg.*

Warszawa. 3.X.44 r.

ISBN 83-901304-6-7

# PRÓG ISTNIENIA

ZDZIESIĄTKOWANE  
POKOLENIE

REDAKCJA NAUKOWA  
JACEK J. JADACKI i BARBARA MARKIEWICZ

*In memoriam philosophorum Polonorum  
qui in Insurrectione Varsaviensi  
interfecti sunt*

POLSKIE TOWARZYSTWO FILOZOFICZNE  
WARSZAWA 1995

**PRÓG ISTNIENIA. ZDZIESIĄTKOWANE POKOLENIE**

Wybór tekstów pod redakcją naukową  
Jacka J. Jadackiego i Barbary Markiewicz

Kontynuacją niniejszego tomu stanowią tom:  
PRÓG ISTNIENIA. DZIEŁO NIEDOKOŃCZONE

Redaktor: Jacek J. Jadacki

Projekt okładki: Agnieszka Tratkiewicz-Nawrocka  
Na okładce wykorzystano zdjęcie ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Fotografie i autografy pochodzą ze zbiorów Jacka J. Jadackiego

Opracowanie komputerowe: AGENCJA **kanon**  
Warszawa, Spokojna 5, tel./fax 38 40 89

**KSIĄŻKA FINANSOWANA Z DOTACJI  
KOMITETU BADAŃ NAUKOWYCH**

Copyright by Polskie Towarzystwo Filozoficzne, Warszawa 1995

ISBN 83-901304-6-7

## SPIS TREŚCI

Piotr Tomasz Geach, <i>Przedmowa</i>	5
Władysław Stróżewski, <i>Wstęp</i>	7
<i>Wprowadzenie</i>	9
<b>W OBLICZU WOJNY</b>	
• Józef M. Bocheński, <i>Nawet bez szans zwycięstwa</i>	15
<b>CZAS WOJNY</b>	
• Jan Gralewski, <i>Wojenne zniechanie</i>	21
• Bolesław Miciński, <i>Nienawiść, śmierć i wojna</i>	41
<b>WOJNA I POWSTANIE PO LATACH</b>	
• Józef M. Bocheński, <i>W wojennej potrzebie</i>	57
• Bronisław Dembowski, <i>Myśli o wojnie i pokoju</i>	63
• Andrzej Grzegorzczak, <i>Filozofia tamtych czasów – filozofia bezinteresowności</i>	69
• Henryk Hiż, <i>Inter arma musae non silebant</i>	77
• Alicja Iwańska, <i>Powstanie</i>	81
• Tadeusz Kotarbiński, <i>Wspomnienie z lat drugiej wojny światowej</i>	87
• Stefan Morawski, <i>2.08. - 6.09.1944. Wybrane i dziurawe reminiscencje</i>	95
• Andrzej Nowicki, <i>W filozoficznym podziemiu. Lata 1939-1944</i>	103
• Jerzy Pelc, <i>Żołnierze Powstania</i>	107
• Michał Pohoski, <i>Do Powstania...</i>	111
• Tadeusz Pszczolowski, <i>Wojna w myślach, mowach i czynkach Wilnianina</i>	123
• Bolesław Sobociński, <i>Lata wojny... Listy do Józefa M. Bocheńskiego</i>	129
• Jan Szrednicki, <i>Strzępy wspomnień z Powstania i okupacji</i>	135
• Jan Strzelecki, <i>Pamięć Powstania</i>	141
• Jan Szewczyk, <i>Dobry dzień zgrupowania Żyrafy</i>	147
<b>ŚRODOWISKO W OCZACH WŁASNYCH</b>	
• Władysław Tatarkiewicz, <i>Wspomnienie z lat 1939-1944</i>	153
• Mieczysław Milbrandt, <i>Kazimierz Twardowski</i>	155
• Bolesław Miciński, <i>List do Michała Wasilewskiego</i>	159
<b>PRÓBA OCENY</b>	
• Jacek J. Jadacki, <i>Myśliciele o sercach walecznych</i>	177
• Kordula Świętorzecka-Lachowicz, <i>Twórczość logiczna ks. Jana Salamuchy</i>	189
<b>DODATEK</b>	
• Jacek J. Jadacki, <i>Bio- i bibliografia</i>	213
• Jacek J. Jadacki, <i>Filozofia polska w latach 1939-1944</i>	213

## PRZEDMOWA

### *Walczyliśmy za Prawdę i Polskę!*

Taki napis widniał na murach Warszawy podczas okupacji niemieckiej. Właśnie w takim duchu pracowano na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim. Ludzie przepojeni byli miłością do Ojczyzny i nadzieją na Jej lepszą przyszłość. Ale wielu nie doczekało Polski odrodzonej. Zginęli w Powstaniu w roku 1944; padli ofiarą barbarzyństwa – a ci, co mogli im przyjść z pomocą, nie uczynili tego.

Lecz nie na darmo zginęli. *Blagosławieni umarli, aby odpoczęli od prac swoich; albowiem uczynki ich za nimi idą.* Książka *Próg Istnienia* zawiera część dzieła, które pozostało po tych, co polegali na polu chwały. Bohaterstwo tamtego pokolenia będzie natchnieniem pokoleń następnych!

W czasie najazdu perskiego mieszkańcy Aten opuścili miasto: woleli <sup>1</sup>zapaść – wedle słowa wyroczni – »drewnianym murom«<sup>2</sup> swoich okrętów, i uciekli za morze. Wróg wszystko ograbił, spalił, zniszczył. Przed świątynią bogini Ateny rosła stara oliwka; Persowie wycięli ją doszczętnie. Ale wróciwszy do zburzonych domów, Ateńczycy zauważyli, że z wiekowych korzeni owej świętej oliwki zaczęły bujnie wyrastać nowe pędy.

Czy nie wolno tu powtórzyć za Solonem:

”Miasto nasze – z boskiego zrządzenia – nigdy nie zaginie: albowiem mamy potężną Opiekunkę, która nad nami czuwa”<sup>3</sup>

Piotr Tomasz Geach

Cambridge, dnia 21 maja, r. 1995.

<sup>1</sup> ἤμετεροι δὲ πολὺς κατα μὲν Δίος οὐραὶ οὐκ εἶται  
αἰσῆν καὶ μικροῖσιν θεῶν φρενας ἀθανάτων  
τοῦτ' ἔστι μετὰ θυμὸς ἐπιτοκοῦς ὀβριμοσιότη  
Παλλὰς Ἀθηναίᾳ χερσὶν ὑπερὸν ἔχει.

## WSTĘP

Kiedy Władysław Tatarkiewicz, zastanawiał się w jednym ze swych esejów nad fenomenami wielkości i bliskości, doszedł m.in. do wniosku, że zjawiska te nie zawsze idą z sobą w parze: ci, których czcimy z powodu ich wielkości, nie muszą być nam bliscy, a na-  
prawdę nam bliscy nie muszą odznaczać się wielkością. Jak to się więc dzieje, że ludzie  
nieznani nam osobiście, o których wielkości przekonujemy się z ich dzieł, a niekiedy tylko  
z dzieł tych zapowiedzi, stają się równocześnie nam bliscy? A przecież tak właśnie ich  
doświadczymy, czytając teksty ich i teksty o nich zgromadzone w obu tomach *Progu istnie-  
nia*. I jesteśmy pewni tego doświadczenia poprzez tę pewność, którą potwierdza nie tylko  
podziw, ale i ściskające krtań wzruszenie...

Podziw dotyczy wielkości. Niekiedy jesteśmy jej pewni z pobieżnej nawet lektury  
fragmentów dzieł czy strzępów myśli tu prezentowanych. Kiedy indziej domyślamy się, że  
tajemnica jej kryje się w zapowiedziach, zadatkach, którym nie było dane osiągnąć  
dopełnienia. *Piętnem globu tego niedostatek, Dopełnienie go boli...* – te słowa raz jeszcze  
zajaśniały swoją gorzką prawdą. Stoimy w obliczu ofiary. I czujemy, że w jakiś tajemniczy  
sposób w niej uczestniczymy: nie jako składający ją, lecz jako wciągnięci w jej krąg.  
Uczestniczymy – choć nie jesteśmy tego godni. Równocześnie uświadamiamy sobie, że ta  
ofiara ma sens tylko o tyle, o ile my sami jej nie zmarnujemy. Dzieło filozofów, którzy  
oddali swe życie w Warszawskim Powstaniu, zostało przekazane nam jako dar. I właśnie  
ten dar, przypięczętowany największą ofiarą, jaką może ponieść człowiek, sprawia, że wielcy,  
którzy go nam przekazali, stają się równocześnie bliskimi.

Refleksji tej towarzyszy jednak ból. Czy bliskość musi spełniać się poprzez ofiarę?  
Czyż nie wolelibyśmy czytać do końca napisanych książek, słuchać wykładów, dyskutować  
na seminariach lub przy lampce wina – i tak ugruntowywać bliskość między nami? A mówiąc  
prościej: czy nie byłoby nam łatwiej żyć i pracować, gdyby byli wśród nas, gdyby nie zabrakło  
tego pokoleniowego pomostu, którego wagi nie sposób przecenić? Tak niewielu z nich  
przeżyło!

W naszej historii stało się prawie regułą, że filozofowie muszą być równocześnie żoł-  
nierzami: od Insurekcji Kościuszkowskiej poczynając, poprzez obydwa wielkie Powstania  
i Wiosnę Ludów, Pierwszą Wojnę Światową i Wojnę 1920 roku, kończąc – i oby kończąc  
naprawdę – na Drugiej Wojnie i jej epizodzie dla nas najtragiczniejszym – Powstaniu War-  
szawskim. Powiedziałem: "muszą być", trzeba więc dodać, że ów mus wynikał zawsze z ich  
własnego wyboru, motywowanego miłością wolności i miłością Ojczyzny.

Czy wolno nam powiedzieć, że i ta miłość czyni nas sobie bliskimi? Czy dorastamy do  
tych ideałów, które dla Tamtych były sensem życia? Nie bez lęku stawiam te pytania. Bo  
i my, młodszy od nich o co najmniej kilkanaście, a częściej znacznie więcej lat, przeszliśmy  
przez próby, które nie wymagały wprowadzić ofiary życia, ale na pewno były próbami  
charakteru. Czy przeszliśmy przez nie zwycięsko? Czy więc możemy spojrzeć w oczy Tamtym  
i powiedzieć, że jesteśmy z nimi?

5-

Nie musimy dziś walczyć o wolność zewnętrzną i wolność wewnętrzną – warunek pełnej swobody myśli, a zatem i warunek normalnego uprawiania filozofii. Ta wolność jest już nam dana. Wobec doświadczeń naszych poprzedników winniśmy do głębi i ciągle na nowo zdawać sobie sprawę z jej wartości. Przede wszystkim zaś umieć z tej wolności korzystać. Podstawowy imperatyw: bezwzględnej służby prawdzie<sup>1</sup> pozostaje przecież niezmienny. Jeśli w nieludsko trudnych warunkach potrafili być mu posłuszni nasi poprzednicy, jeśli za warunek jego realizacji – wolność, byli gotowi złożyć w ofierze swoje życie, o ileż bardziej winniśmy brać go na serio my, stojący wobec prawie nieograniczonych możliwości zdobywania i krzewienia wiedzy.

Tak więc książka, którą dziś oddajemy do rąk czytelnika, jest zarazem holdem i zobowiązaniem. Ocala od zapomnienia i nakazuje przenieść w dzień dzisiejszy i dni przyszłe wartości, którym służyli autorzy zawartych w niej tekstów. Przede wszystkim zaś nakłada obowiązek ich pomnażania. Tylko wtedy, gdy obowiązek ten spełnimy, ofiara tych Wielkich i Bliskich, tu przypomnianych, nie będzie ofiarą daremną.

*Władysław Stróżewski*

## WPROWADZENIE

Bohaterami *Progu Istnienia* są filozofowie z otoczenia Władysława Tatarkiewicza, którym nie dane było przeżyć ostatniej wojny, a których autor *Historii filozofii* wymienia w pięknym "Wspomnieniu z lat 1939-44". Dwóch z nich – Michał Wasilewski i Jerzy Słweci – nie wróciło z Kampanii Wrześniowej. Trzech – Bolesław Miciński, Jan Mosdorf i Jan Gralewski – nie doczekało 1944 roku: pierwszy zmarł na wygnaniu, drugiego zamordowano w obozie koncentracyjnym, trzeci zginął w katastrofie lotniczej jako kurler AK. Pozostali – Mieczysław Milbrandt, Jan Łempicki, ks. Jan Salamucha, Danuta Krzeszewska i Alicja Szekowa – polegli w Powstaniu Warszawskim.

Ich prace – zebrane w części "Czas wojny" tomu *Zdziesiątkowane pokolenie* i w tomie *Dzieło nie dokończony* – są trzonem książki. Na tradycję, do której się przyznawali, i na klimat, w jakim tworzyli, rzuca pewne światło część "Środowisko w oczach własnych". Opis ich dokonań naukowych stanowi treść części "Próba oceny".

Części "W obliczu wojny" oraz "Wojna i Powstanie po latach" zawierają przemyślenia i wspomnienia z lat wojny tych, co ją przeżyli – napisane tuż przed jej wybuchem lub już po jej zakończeniu (niektóre z tych ostatnich tekstów zostały napisane specjalnie do *Progu istnienia*).

### ŹRÓDŁA TEKSTÓW

- **Józef M. Bocheński**
  - "Nawet bez szans zwycięstwa", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 16 s. 1-2
  - "W wojennej potrzebie" [tytuł pochodzi od redakcji; fragmenty książki], *Wspomnienia*, Kraków 1993 *Philed*, s. 135-149
- **Bronisław Dembowski**
  - "Myśli o wojnie i pokoju" [fragment], *Przegląd Katolicki* r. 77/1989 nr 35(271) s. 2
- **Jan Gralewski** [teksty pisane podczas wojny]
  - "Demokracja i totalizm" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
  - "Geografia artystyczna" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
  - "Manierizm współczesności" – pierwodruk
  - "Partie polityczne" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
  - "Plastyka i poezja" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
  - "Perspektywy" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
  - "Wojenne zękanie" [tytuł pochodzi od redakcji] – pierwodruk
- **Henryk Hiż**
  - "*Inter arma musae non silebit*" [tytuł autora], [w:] Tadeusz Manteuffel (red.), *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1961 *Iskry*, s. 25-36
- **Alicja Iwańska**
  - "Powstanie" [fragmenty], [w:] *Polityczki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985*, Warszawa 1993 Gebethner i Ska, s. 254-266

• **Jan Łempicki**

"Dylematy współczesnej historiografii" [tytuł pochodzi od redakcji; fragmenty książki], *Historiozofia Hipolita Taine'a*, Kraków 1938 Kasa im. Mianowskiego, s. 146-165

"Potrzeba zrywu" [tytuł pochodzi od redakcji; fragmenty książki], *Sprawa kultury* – pierwodruk

• **Tadeusz Kotarbiński**

"Wspomnienie z lat drugiej wojny światowej" [fragmenty]; [w:] Tadeusz Manteuffel (red.), *Z dzisiaj podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1961 *Iskry*, s. 15-24

• **Bolesław Miciński**

"Czy świat istnieje?", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 3 s. 5

"Historia filozofii i historia filozofów" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Zwierzenia przeciętnego czytelnika gazet" (fragmenty)], *Twórczość* r. 24/1969 nr 11 s. 57-69

"Krytyka psychoanalizy" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "List do Jarosława Iwaszkiewicza (z 1938 roku)" (fragment)], [w:] *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1970 *Znak*, s. 423-425

"List do Michała Wasilewskiego", [w:] *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1970 *Znak*, s. 448-449

"Logika i filozofia" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Krakowski Zjazd Filozoficzny. Notatka informacyjna" (fragment)], *Studio* r. 1/1936 nr 8 s. 285-291

"Myśli o wojnie", *Orzeł Biały – Polska Walcząca na Ziemi Włoskiej* (Rzym) r. 6/1946 nr 17 s. 9

"Notatki o «natchnieniu»", *Pion* r. 7/1939 nr 4 s. 3

"O «deformacji» rzeczywistości w sztuce", *Polityka* r. 10/1939 nr 1 s. 7

"O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji", *Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie* (Londyn) r. 1/1940 nr 10 s. 3

"Styl filozoficzny" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuły oryginalne: "List do Kazimierza Golonki (z 1937 roku)" i "Z notatnika" (fragmenty)], [w:] *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1970 *Znak*, s. 194-195, 440-441

"Śmierć" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Uwagi"], *Nowa Polska* (Londyn) r. 6/1946 z 9-10 s. 513-519

• **Mieczysław Miłbrandt**

"Co to jest czas?", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 24 s. 5

"Czas, przestrzeń i cztery wymiary", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 27 s. 6

"Człowiek – istota nieznana", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 2/1938 nr 2 s. 6

"Istnienie świata" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Filozofia metodycznego wątplenia"], *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 21 s. 2

"Kazimierz Twardowski", *Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 7-8 s. 5

"Mody intelektualne", *Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 29-30 s. 3-4

"Niebezpieczeństwo teorii naukowych", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 5 s. 7-8

"Niepewność wiedzy" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Sceptycyzm"], *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 2/1938 nr 6 s. 5 i 7

"Obrona myśli", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 3 s. 3

"Odwaga szczęścia" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Pierścień Polikratesa"], *Nauka i Sztuka* t. 11-12/1945 nr 2/3 s. 11-15

"O powagę życia", *Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 9-10 s. 3-4

"O zaufanie do człowieka", *Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 15-16 s. 4-6

"Potrójne życie", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 33 s. 4; wyd. zm.: *Nauka i Sztuka* t. 11-12/1945 nr 2-3 s. 8-11

"Poznanie dzieła literackiego" [tytuł pochodzi od redakcji; recenzja książki R. Ingardena *O poznawaniu dzieła literackiego*], *Przegląd Filozoficzny* r. 41/1938 z. 3. s. 314-325

"Religia i kultura", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 17 s. 4-5

"Sceptycyzm a konieczność światopoglądu (Na marginesie *Sektów sceptycznych* [Bertranda] Russella)", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 11 s. 6.

"Śmierć wszechświata", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 34 s. 3

"Wiedza o człowieku (na marginesie książki [Alexisa] Carrela *Człowiek – istota nieznaną*)", *Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 33-34 s. 8-9

"Wolność jednostki" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Faszyzm a wolność"], *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 29-30 s. 7

"Zdziwienie" [tytuł pochodzi od redakcji; tytuł oryginalny: "Arystoteles i Kaznodzieja Salomonowy"], *Nauka i Sztuka* t. 11-12/1945 nr 2-3 s. 5-8

"Ziemia i wszechświat", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 29 s. 6

• **Jan Mosdorf**

"Świat, twórczość i naród" [tytuł pochodzi od redakcji; fragmenty książki], *Wczoraj i dziś*. Cz. 1, Warszawa 1938 *Prosto z mostu*, s. 21-36, 52-60, 189-192

• **Jan Salamucha**

"O logikę i filozofię. Listy do Józefa M. Bocheńskiego" – pierwodruk

• **Jerzy Siwecki**

*Istota egoizmu i jego przejawy*, Lublin 1934, Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej

"ΤΡΑΞΙΣ Ι ΠΟΙΗΣΙΣ w *Etyce Nikomachejskiej*" [przekład pracy "ΤΡΑΞΙΣ et ΠΟΙΗΣΙΣ dans l'*Étique Nicomachéenne*"], *Charisteria Gustavo Przychocki a discipulis oblata*, Varsoviae 1934, Gebethner i Wolff, s. 175-189

"Rozumowanie praktyczne i prawda praktyczna u Arystotelesa", *Przegląd Filozoficzny* r. 38/1935 z. 3 s. 196-207

• **Bolesław Sobociński**

"Lata wojny... Listy do Józefa M. Bocheńskiego" – pierwodruk

• **Jan Strzelecki**

"Pamięć Powstania" [tytuł pochodzi od redakcji; tekst obejmujący: (a) fragmenty książki], *Próby świadectwa*, Warszawa 1971 *Czytelnik*, s. 9-12, 25, 27, 33-34, 37-38, 83-84 [oraz (b) tekst napisany w 1984 roku z okazji wystawy malarstwa przygotowanej w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej na czterdziestolecie Powstania Warszawskiego]

• **Jan Szewczyk**

"Dobry dzień zgrupowania *Zyrafy*" [opowiadanie napisane w 1964 roku] – pierwodruk

• **Władysław Tatarkiewicz**

"Wspomnienie z lat 1939-44", [w:] *"Droga do filozofii" i inne rozprawy filozoficzne*, Warszawa 1971 PWN, s. 174-182

• **Michał Wasilewski**

"Dowody istnienia Boga u Malebranche'a", [w:] Tadeusz Czekowski (red.), *Charakteria. Rozprawy filozoficzne złożone w darze Władysławowi Tatarzkiewiczowi*, Warszawa 1960 PWN, s. 293-304

"Kartezjusz i Malebranche", *Przegląd Filozoficzny* r. 40/1937 z. 2, s. 172-185

Pozostałe teksty zostały napisane specjalnie do tego tomu.

\*\*\*

Pragniemy serdecznie podziękować wszystkim, którzy przyszl nam z pomocą w przygotowaniu tej książki.

Szczególną wdzięczność wyrażamy:

Śp. O. Profesorowi Józefowi M. Bocheńskiemu za to, że wyraził zgodę na opublikowanie listów, które otrzymał od ks. Jana Salamuchy i Bolesława Sobocińskiego;

Pani Profesor Alicji Iwańskiej za to, że przekazała nam odbitki nie wydanych dotąd tekstów męża, Jana Gralewskiego, wiele z nich osobiście przepisując dla nas z trudno czytelnych rękopisów;

Pani Annie Micińskiej za to, że udzieliła pozwolenia na przedruk prac ojca, Bolesława Micińskiego;

Panu Profesorowi Andrzejowi Nowickiemu za to, że udostępnił nam wiele danych ze swoich bogatych zapisków z czasów okupacji;

Pani Jadwidze Strzeleckiej za to, że wyraziła zgodę na przedruk tekstu męża, Jana Strzeleckiego, *Pamięć Powstania* i fragmentów jego *Prób świadectwa*;

Pani Annie z Łempickich Sulikowskiej-Bogusławskiej za to, że przekazała nam do wykorzystania odbitkę maszynopisu nieopublikowanej książki brata, Jana Łempickiego, *Sprawa kultury*.

Za bezcenne informacje dotyczące bohaterów tej książki składamy także podziękowania: Barbarze Białostockiej-Przybyłowskiej, Jadwidze Cierniak, ks. bp. Bronisławowi Dembowskiemu, Stanisławowi Frybesowi, Janowi Garewiczowi, Jerzemu Gledroyciowi, ks. Tadeuszowi Górskiemu MIC, Andrzejowi Grzegorzcykowi, Henrykowi Hiżowi, Alicji Iwańskiej, Ludwikowi Kasińskiemu, Andrzejowi Kempfemu, Tadeuszowi Kępińskiemu, Januszowi Krajewskiemu, Czesławowi Lejewskiemu, Henrykowi Markiewiczowi, Teresie Matkowskiej, Annie Micińskiej, Czesławowi Miłoszowi, Zdzisławowi Najderowi, Jerzemu Pelcowi, ks. Janowi Popielowi SJ, Tadeuszowi Pszczółowskiemu, Jadwidze Strzeleckiej, Annie Sulikowskiej-Bogusławskiej, Krzysztofowi Tatarzkiewiczowi, Alfredowi Tyszkiewiczowi, Irenie Wojnar, Krystynie Zwolińskiej i Jadwidze Żylińskiej.

*Redakcja*

## **W OBLICZU WOJNY**

## NAWET BEZ SZANS ZWYCIĘSTWA

*Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 16, s. 1-2

Tragiczne wypadki, których byliśmy niedawno świadkami, postawiły przed niejednym mężem stanu zagadnienie wojny – nawet bez szans zwycięstwa – o byt niepodległy narodu. Zagadnienie to nasunęło się także wielu spośród nas, aczkolwiek nie o nas chodziło. Odpowiedź, jaką każdy etycznie zdrowy Polak dał na nie, była zawsze jednakowa: naród napadnięty przez wroga nawet tak przeważającego, że nie ma – według ludzkich rachub – nadziei na skuteczne przeciwstawienie się, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek bronić się do upadłego. Fakt tej jedności jest ciekawym przejawem owej bystrości duchowego wzroku, który zawdzięczamy w tej dziedzinie naszej wielkiej tradycji. Zabrakło jej niestety innym. Nie trzeba ich winić: sędzią sumienia jest tylko Bóg. Człowiek nie może nigdy wiedzieć, w jakich podmiotowych okolicznościach znajdowali się ludzie, inaczej niż my wychowani, synowie narodu, któremu nie było danym posiąść rycerskiej tradycji Polski. Ale w obliczu ich zahamania się, odstąpienia od tego, co my Polacy uważamy za normę przedmiotową, warto zastanowić się nad prawdziwością naszego przekonania i poddać zagadnienie wojny bez szans zwycięstwa analizie w świetle ogólnych zasad etyki oraz materiału historycznego.

Zakładam, rzecz jasna, że wojna, w której są szanse zwycięstwa, może być dopuszczalna, o ile jest słuszna; gdy mianowicie chodzi w niej o zapewnienie swojej ojczyźnie słusznych praw, a zwłaszcza o obronę niepodległego bytu. Trzeba bowiem chyba zacząć od opary pewnego odłamu prasy francuskiej, by tego nie widzieć z całą oczywistością. Zresztą dowód tej prawdy jest także możliwy i sam naszkicowałem go niedawno.<sup>1</sup>

Jak jednak przedstawia się sprawa, gdy szans na zwycięstwo nie ma, to jest gdy istnieje, po ludzku mówiąc, pewność przegranej? Dla ilustracji służyć może wypadek Czechosłowacji nie w chwili Monachium, ale właśnie w marcu 1939 r[oku]: państewko coś czteremilionowe, zagrożone przez sąsiada liczącego milionów blisko osiemdziesiąt, a przy tym otaczającego je niemal ze wszystkich stron i znacznie lepiej uzbrojonego. Czy takie państewko ma jeszcze prawo się bronić?

Oto najpierw racje przemawiające przeciw dopuszczalności wojny w takim położeniu. Wojna jest – wszyscy to przyznają – bardzo wielkim złem fizycznym, a pociąga za sobą ubocznie także liczne zła moralne. Otóż jedna z ogólnych zasad etyki głosi, że nie wolno powodować zła fizycznego tam, gdzie nie ma odpowiedniego ekwiwalentu w wartościach, które dzięki temu dadzą się obronić. Gdy więc kosztem ogromnych ofiar i życia wielu ludzi ratuje się byt i kulturę narodową, te ofiary mogą być nie tylko dopuszczalne, ale i nakazane przez etykę. Tutaj jednak z góry wiadomo, że rozpaczliwa walka jest beznadziejna, że więc w zamian za poniesione ofiary, za zło, nie uzyska się żadnego ekwiwalentu. Wojna bez szans zwycięstwa może się więc wydawać etycznie niedopuszczalna.

<sup>1</sup> [Zrobiłem to] w rozprawie *„De virtute militari”* [1939], z której fragment drukowany był w *Prosto z mostu*.

Dochodzi jeszcze inna racja. Nieprzyjaciel, który po pokojowym zajęciu kraju mógłby się okazać łagodnym i mniej szkód wyrządzić narodowi, a zwłaszcza jego kulturze, skoro kraj zdobędzie orężem, postąpi z nim jak z łupem wojennym; będzie bezwzględny i szkody dla kultury narodowej wynikną większe, niż gdyby się było obrony zaniechało. Prowadząc więc wojnę bez szans zwycięstwa nie tylko spełnia się niepotrzebną ofiarę, ale zarazem pogarsza się położenie kultury narodowej, o której obronę właśnie chodziło. Wojna bez nadziei zwycięstwa może więc robić wrażenie niecelowej czyli etycznie niedopuszczalnej.

Takie głównie racje można ze stanowiska etyki wysunąć przeciw dopuszczalności wojny bez szans zwycięstwa. W rzeczy samej niektórzy moralisci katolicy, nastrojeni pacyfistycznie, używają ich stale, aby uzasadnić niedopuszczalność takiej wojny. Natychmiast jednak wysunąć można przeciw nim nie argument, ale proste rozważanie pewnego fenomenu etycznego, które powinno każdego zdrowo myślącego człowieka przekonać, że coś w owych pozornie mocnych racjach jest w nieporządku. Jako taki fenomen można wziąć wypadek, w którym, dajmy na to, Polsce, pozbawionej (np. przez długotrwałą wojnę) swojej siły obronnej, Rosja bolszewicka proponowałaby pod groźbą użycia siły wejście w skład Związku Republik Rad, przy czym nie byłoby żadnych szans wygrania rozprawy orężnej. [Kiedy rozmyślam] [...] nad tym hipotetycznym wypadkiem, wydaje mi się oczywistym, że etycznie zdrowy polski maż stanu dobrowolnie na taką propozycję zgodzić się nie może.

Podobne fenomeny dadzą się zresztą przytoczyć także ze stosunków prywatnych: tak np. wyobraźmy sobie dom farmera otoczony przez znacznie przeważającą bandę ludożerców, która proponuje mu poddanie się, z tym, że w tym wypadku padnie ofiarą tylko jedno z dzieci. Znowu wydaje mi się, że ów farmer ma nie tylko prawo, ale i święty obowiązek odpowiedzieć ogniem wszystkich rozporządzalnych broni bez względu na konsekwencje i mimo braku jakiegokolwiek nadziei zwycięstwa. Gdyby tak nie postąpił, nazwałbym go potworem moralnym. Musi więc być coś nieskładnego w owych zbyt pięknych rozumowaniach naszych moralistów w sprawie wojny beznadziejnej.

Aby zdać sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, nie można oczywiście powoływać się na żadne instynkty, czy inne zwierzęce czynniki w człowieku, bo z takim powołaniem kończy się wszelka rozumna etyka i wszelka dyskusja: dobrym jest wówczas to, co instynktom danego człowieka odpowiada. Także fakt, żeśmy Polacy tak czy inaczej zawsze postępowali, w zasadzie niczego nie dowodzi – aczkolwiek, jak wspomniałem, szczęśliwie pod tym względem dzieje umożliwiły nam lepszy wgląd w świat wartości, dając niejako przenikliwy wzrok ducha. Aby zagadnienie rozstrzygnąć, trzeba odwołać się do podstawowych, zupełnie oczywistych norm etycznych i z nich starać się wyciągnąć poprawne konsekwencje.

Otóż zastanawiając się nad rolą obecnego pokolenia danego narodu, można łatwo przekonać się, że spełnia on dwa ważne obowiązki: jeden wobec narodu wziętego jako całość ponadczasowa, a więc także wobec przyszłych pokoleń; drugi wobec innych narodów, wobec społeczeństwa ludzkiego. Byłoby nadzwyczaj ciasnym i z gruntu błędnym pojmowaniem nacjonalizmu katolickiego, gdybyśmy prawa i obowiązki obecnego pokolenia mieli wyznaczać tylko względem obecnych i tylko względem własnych potrzeb kulturalnych. Istniejemy przecież nie dla siebie, ale dla wieków, i to nie tylko wieków bytowania naszego narodu, ale i całego świata. Racją nacjonalizmu jest właśnie to, że chcąc zachowania i rozwoju własnych wartości kulturalnych, tym samym wzbogaca kulturę świata.

Rozpatrzmy więc z tego wyższego stanowiska sprawę wojny bez szans zwycięstwa. Jeśli chodzi o przyszłość narodu, mimo wszystko, co mogą opowiadać «praktyczni», pozytywistyczni, a właściwie bardzo niepraktyczni i nie orientujący się w historii myśliciele, utrata niepodległości nie jest najgorszym złem dla narodu. Dużo gorzej jest, gdy razem z niepodległością ginie to coś zupełnie nieuchwytnego, co przecież stanowi siłę i wielkość tego narodu w dziejach; jego, że tak powiem, «mit» narodowy. "Mitem" chcę tutaj nazwać mianowicie zespół historycznie ufundowanych przekonań o dodatnich cechach charakteru narodowego; o tym, że dany naród potrafił w dziejach zachować swój ideał etyczny; że przedstawia wielką, bohaterską wartość.<sup>2</sup> Śmiercią dla narodu jest nie utrata niepodległości, ale właśnie utrata jego mitu; wyrobienie się przekonania, że ideał narodowy nie jest wart zachodu; że właściwie ten naród to nic tak wielkiego. Kiedy takie przekonanie się wyrobi i okaże się na podstawie historii słuszne, to jest śmierć i koniec. Nie ma już wówczas idei, gotowej kiedyś podnieść masy do czynu, odtworzyć niepodległość i kulturę. Przeciwnie, dopóki ten mit istnieje, nie ma niczego, co by, jak się zdaje, mogło naród zniszczyć. Nieprawdopodobne przykłady jego olbrzymiej i zwycięskiej siły dają choćby Żydzi, Irlandczycy, Czesi, a i my sami w ostatnim wieku.

Jeśli więc prawdą jest, że każdy naród ma prawo i obowiązek bronić swojego bytu, to prawdą jest także, że winien przede wszystkim bronić swego mitu narodowego, tworzyć go i rozwijać przy każdej sposobności. Wojna, nawet przegrana, nie jest zupełnie przegrana, jeśli była prowadzona po bohatersku, z zacięciem, w rozumieniu wielkości chwili, w podporządkowaniu się Ojczyźnie; jeśli tysiące ludzi wolało zginąć niż zhańbić się poddaniem. Naród, który było na to stać, może być pewny, że nigdy nie zginie. Istnieje więc wartość, której nawet w wojnie bez szans zwycięstwa się nie traci, ale nawet którą się zwiększa wydatnie. Jest coś, czego się broni i dla czego warto poświęcić nawet bardzo wiele.

Ta wartość wydaje się tak wielka, że nie równoważą jej szkody wynikłe z pastwienia się zwycięskiego nieprzyjaciela. Bo, ostatecznie, to, czego nieprzyjaciel osiągnąć może, to tylko ciało narodu, nigdy jego duch: ten wychodzi z ostatniej, pozornie przegranej, bitwy zwycięski i kiedyś powstanie jak mityczny Feniks, świetniejszy niż dawniej – o ile tylko był dość silny, aby pchnąć ludzi do walki, nawet bez nadziei. Nie chcę już poruszać sprawy, że nadzieja na litość zwycięzcy jest niemal zawsze złudna. Widzieliśmy to nie raz i nie dziesięć razy w dziejach: *sae victis* zastępuje bardzo prędko bardzo obłudne *pacare subiectis*.

Tak więc przedstawia się sprawa, gdy ją rozpatrujemy ze stanowiska samego narodu, który podejmuje beznadziejną walkę. Na poparcie tezy można jednak wysunąć jeszcze inny, ważki argument z założeń etyki międzynarodowej.

Samo istnienie niepodległe, możność swobodnego rozwoju kulturalnego poszczególnych narodów, nie jest tylko ich interesem i uprawnieniem, ale także obowiązkiem. Rzeczy układają się tak, że dla dobra ogólno ludzkiej kultury potrzeba, aby poszczególne narody posiadały wolność tego rozwoju. Kto więc choć jednemu narodowi ją odbiera – przynajmniej narodowi kulturalnemu – ten przekracza prawo obiektywne, grzeszy nie tylko przeciw uprawnieniu danego narodu, ale także przeciw wspólnemu dobru ludzkości. Skoro zaś tak jest, naród, który swojej wolności broni, staje w obronie nie tylko własnego uprawnienia, ale także owego dobra wspólnego. Wobec braku jakiegokolwiek instytucji policyjnej ponadpaństwowej, taki naród spełnia jej rolę. Toczając wojnę o swój byt niepodległy, znajduje

<sup>2</sup> Oczywiście nie będzie to pojęcie *mitu* w dosłownym, filologicznym znaczeniu tego słowa, ale w znaczeniu przyjętym dziś potocznie.

się pod względem etycznym dokładnie w tym samym położeniu, co stróż porządku publicznego w walce z przestępcami.

Wobec tego może się zdarzyć, że walkę wypadnie podjąć w imię dobra ludzkości i poszanowania przedmiotowego prawa nawet bez szans zwycięstwa. Uważamy za bohatera policjanta, który nie poddał się przeważającej sile bandytów, ale, choć nie miał żadnej nadziei zwycięstwa, walczył do ostatniego naboju i zginął. Tę samą ocenę etyczną stosować trzeba do narodu napadniętego przez potężniejszego od siebie nieprzyjaciela; do narodu, który mimo braku szans na uratowanie swego bytu fizycznego w walce, podejmuje odważnie wojnę. Naród taki spełnia swoim poświęceniem – bardzo zresztą ze stanowiska narodowego względem – ważny obowiązek wobec ludzkości: zadając nieprzyjacielowi, który zakłóca porządek publiczny, ciężkie straty, utrudnia mu rozbój; sprawia, że naruszenie prawa staje się trudniejsze, a inne narody bezpieczniejsze. Bo gdyby narody broniły się tylko wówczas, gdy kupieckie wyrachowanie dowodzi im, że mają akurat 51% albo zgoła 76% możliwości zwycięstwa, narody-rozbójnicy, owi międzynarodowi bandyci, mieliby zanaście ułatwione zadanie i sprawiedliwość zbyt by cierpiała. Broniąc więc swojego bytu niepodległego w wojnie beznadziejnej, naród służy wielkiej sprawie i choć ulegnie, spełni swój obowiązek wobec świata.

Wreszcie trzeba wziąć tutaj pod uwagę zasady etyki prawdopodobieństwa. Poważniejsi [współcześni] moralściści [...] katolicycy głoszą na ogół, że nie istnieją żadne sztywne normy w tej dziedzinie; im ważniejszy obowiązek, tym większe musi być prawdopodobieństwo, że nie jesteśmy w konkretnym wypadku obowiązani do działania, aby wolno było nie działać. Tak uczy też zdrowy rozum etyczny: od obowiązku pożyczania przyjacielowi obiecanej książki, której potrzebuję dla zabawy, zwolnimy się już wtedy, gdy niewielka zajdzie wątpliwość, czy zobowiązanie jest jeszcze w mocy; ale gdy chodzi o dostarczenie lekarstwa, koniecznie potrzebnego do zachowania życia, trzeba będzie zupełnej pewności, że ono – dzięki zmianie okoliczności – przestaje być potrzebne, abyśmy uznali, że obowiązek wygaś. W świetle tej zasady najmniejsze nawet prawdopodobieństwo wygranej sprawia, że wojna w obronie niepodległego bytu narodu staje się dopuszczalna i nakazana w sumieniu, z mocy ogólnych zasad etyki wojennej.

Otóż niezmiernie trudno stwierdzić, że w danych okolicznościach, choćby pozornie najgorszych, szanse są naprawdę żadne. Dzieje wojen uczą nas, że *fortuna audaces iuvat*; że bardzo często wojna podjęta bez nadziei zwycięstwa, zmieniła się wskutek wystąpienia nowych okoliczności w świetne zwycięstwo. Mąż stanu, który by nie był przekonany przez dwa argumenty powyższe, winien przynajmniej zastanowić się, czy poddając swój kraj bez walki, nie grzeszy przeciw zwykłym zasadom etyki wojny; czy nie przecenia niebezpieczeństwa i czy fałszywie nie stosuje jakiegoś zupełnie niewłaściwego probablistmu.

Reasumując: wojna bez szans zwycięstwa jest dozwolona, a nawet nakazana w sumieniu, gdy chodzi o obronę niepodległego bytu narodu, bo tocząc ją:

(1) naród broni swego ideału historycznego, umożliwia sobie powstanie z nową świetnością w przyszłości;

(2) spełnia ważny obowiązek obrony przedmiotowego prawa i ogólnego dobra ludzkości przeciw narodom bandyckim.

Dochodzi do tego wzgląd, że wojen bez szans zwycięstwa jest niezmiernie mało, jeśli w ogóle są; a w każdym innym wypadku, nawet przy najmniejszej nadziei sukcesu, zwykle zasady etyki wojennej nakazują walkę podjąć.

## **CZAS WOJNY**

5-35  
WOJENNE ZNĘKANIE

PISANIE

Poniedziałek, 3 marca 1941 roku, w biurze, godz. 9.30.

Wznówiony został obyczaj codziennych lodowatych natrysków zaraz po obudzeniu. Wymaga to bohaterskich zaiste wysiłków woli. Ale potem jest bardzo przyjemnie. W ten sposób zimną wodą odpędza się niepotrzebne neurasteniczne ślamazarzenia. Postanowiono pisać bardziej systematycznie, mniej impresyjnym systemem.

Z tym pisaniem jednak to jest tak.

To też jest wydarzenie życiowe. Tylko że wszystkie inne wydarzenia życiowe – pocałunki, spacerki konno, jazda koleją, kupowanie skarpetek, jedzenie ciastek, rąbanie drzewa, dlubanie w nosie – są jakoś KONIECZNIE udane. Tu zaś jest możliwość fiaska. Czy zna Pan<sup>1</sup> tę szczególnie przejmującą melancholię nieudanych książek, która jak upiór straszy z bibliotecznych półek? Takie debiuty, o których nikt już nie wie, a które kiedyś były dla kogoś wielką chwilą, które są całe pokryte marzeniem, zwątpieniem i wiarą, entuzjazmem i chłodną krytyką. Mam współczucie dla takich książek. Traktuję je dobrze, jak chorych, którym się mówi tylko rzeczy miłe. A towarzyszy temu zabobonny strach.

Książek tego rodzaju jest dziś szczególnie wiele. Dlatego że żyjemy w czasach, kiedy to jest sposobem zaznaczenia się w świecie. Postawienia na sobie wykrzyknika. Dawniej by facet próbował dobrze zamachać szablą, albo dobrze tańczyć, czy dobrze prawić dworskie słowa. To były sposoby, które należały do życia – i jeśli nie były tragiczne, mogły być przecież komiczne. Sposoby, które nie straszyły po śmierci.

Taka nieudana książka, taka nieszczęsna próba eternizacji siebie samego – cóż za melancholia. Gdzieś, kiedyś był rękopis. Światło lampy nad nim i ręka z piórem. A zaraz obok głowa i serce. Zwierzę i metafizyczne ja. Te samotne wieczory, ta cisza, ten biały papier.

Po co się pisze? Skąd OBOWIĄZEK pisania? Och, tego obowiązku nie ma. To jest sprawa egoistyczna. Kto mówi inaczej, jest obłudny. Pisz się dla siebie. Proszę to zrozumieć: jeśli życie jest sztuką, to przecież to doprawdy nikogo nic nie obchodzi, że pan Strączek chciał być genialny.

Pisać się powinno tylko to, co jest *przeżyciem*.

Co jest zatem częścią życia. To, czego nie można nie napisać. Nie to, co tylko można napisać. I powinno się to robić bezimiennie. To byłoby bardziej higieniczne i moralne (swoją drogą chciałbym, żeby było wiadomo, że to ja).

Trzeba odwrócić pojęcia. Nasze czasy, ponieważ są przeintelektualizowane, wielbią tych, którzy piszą. Ale: przedtem wielbiono książąt, rycerzy, wodzów. To jest kwestia zmienna. To nie jest *constans*.

<sup>1</sup> Chodzi o Alicję Iwaszkę, późniejszą żonę autora [przyp. JJJ].

## ŻYCIE

Wtorek, 4 marca 1941 roku, w biurze, godz. 13.00.

[Ten odcinek musi być napisany na maszynie.]

Znakomicie robi poranny zimny prysznic. Jest w tym konieczne, małe, miniaturowe połączenie postawy naukowej i bohaterskiej (życie jest sztuką). Czyli – coś w moim stylu. Naszym?

Jesteśmy trochę huxleyowaci. Nie powinienem o tym zapominać. To jest dobrze. Wczorajszy dzień wyraźnie to pokazał – ten obiad w dobrej restauracji, w hotelu, ten spacer pod masochistyczną górę. Wariat i papierosy, sprofanowany kościół. Wstrętne pozostałości zeszłego miejskiego lata na brudnej, ujawnionej spod śniegu trawie.

Życie jest zarazem piękne i obrzydliwe fizyczne. Jest hotelowe i wiosenne. Jest miejskie i wiejskie. Piękne i huxleyowate. Sztuka i refleksja. Humor i ironia. Dociekliwość i tragizm. To jest dopiero coś pełnego w naszej manierystycznej rzeczywistości. Żyjemy w epoce manieryzmu. Może dlatego tak lubię wszelkie malarstwo manierystyczne, zwłaszcza między gotykłem a renesansem (te sale w *Lowre*, wykłady Focillona w *College de France*).

Tu rodzi się «genialna» refleksja do eseju: jesteśmy manieryzmem tego typu, tylko w odwrotną stronę. (Nie zapomnieć o tym napisać – styl, charakter dworsko-rycerski, irracjonalność, wiara i naukowa analiza, odkrywające prawa perspektywy. Wielka przestrojność świata. Tratwy obłąkanych. Dziwne góry. Ogrody rajskie. Ogrody snów. Surrealizm.)

To zostaje definitywnie ustalone. Jedną z tez, wynikających z tej, że życie jest sztuką, jest – tego Pani nie czytałem – ta, że życie jest stylem. Tylko to, co stylowe, jest żywe.

Otóż my będziemy stylowi. Czy godzi się Pani na takie dzieło? pleśń? taniec? poemat? dramat? tragedię? komedię?

Wczoraj byłem nad rzeką w sznurach, poprzedzających rozpoznanie wizji. Teraz ją mam. *On va la faire. Voulez Vous me suivre, Mademoiselle? Je me suis décidé de Vous conduire.*

Pani przecież wie [to już musi być napisane ręcznie], że ta decyzja nie jest tylko intelektualna.

## MODLITWA

12 marca 1941 roku.

Tej wojny stanąłem «oko w oko z żywiołem». To było wielkie przeżycie. Zobaczyłem, jak puste było moje życie. Byłem czymś beznadziejnie śmiesznym – ochotnik, który ani razu nie wystrzelił. To nic, że nie miał okazji – to też jest tylko wyjaśnienie.

Ostatniej jesieni wpadłem w tak ostrą neurastenię, że myślałem, iż to się skończy w zakładzie dla nerwowo chorych. To było naprawdę straszne. Ale wtedy poznałem głód życia i skali. Zrozumiałem, że nie żadna medycyna, ale życie i duża skala mogą mnie uleczyć.

Mam dosyć silną czasem potrzebę religijną. Ale nie jestem kompletnym katolikiem. Może dlatego, że jestem manierystą? Mimo to jednak w jakichś bardzo ciężkich chwilach czuję potrzebę Boga. Tej jesieni dwukrotnie poszedłem do katedry i przed cudownym Chrystusem rzucałem swoje oskarżenia. To nie była modlitwa – klęczałem z zaciśniętymi pięściami i oskarżycielskim wzrokiem patrzyłem wprost na tę pochyloną głowę. Nie prosiłem, ale *zjadałem* życia, skali – wielkich moich wydarzeń. Za co spotyka mnie ta krzywda małości? Ta krzywda pustki? Żądałem wszystkiego, co by mogło być wielkie – chociażby nawet było straszne.

Wczoraj około godziny 12 w południe na ulicy żołnierz niemiecki bił mnie pięścią w pysk. Goniąc mnie, zwał się przede mną na ziemię razem z rowerem. To niewątpliwie wzmoгло jego wściekłość. Bił umiejętnie i mocno. Krew puściła mi się ciurkiem z obu dziurek od nosa.

Jedyną moją myślą wtedy było – podnieść kapelusz. Musiałem to zrobić dwa razy. Patrzyłem na duże krople krwi, rozpyływające się w błocie.

To było okropne. Najstraszniejsze było to, że nie miałem żadnego odruchu, żeby mu oddać. Przyjąłem to jak kataklizm. Byłem bierny. Gdybym się na niego rzucił, może by mnie zabił, może jakimś cudem wyszedłbym z tego cało – cuda zdarzają się właśnie w takich chwilach, kiedy indziej nie są potrzebne – ale w każdym razie byłbym po tamtej stronie bajora.

Pamiętam, jak jesienią 39 roku widziałem na Nowym Świecie Niemca<sup>2</sup>, walącego tak samo jakiegoś robotnika. Wtedy się we mnie aż zakotłowała wściekłość – wtedy bym się rzucił z pięściami, gdyby tak na mnie...

Ale na mnie padło to właśnie teraz. Od wielu dni byłem nieustannie głodny, byłem zniechęcony, ledwo lazałem na bolących, odmrożonych nogach, krew odpłynęła mi od obu także odmrożonych rąk, a przede wszystkim – byłem na samym dnie najgorszej neurastenicznej depresji. To piszę, wiedząc dobrze, jaka jest różnica między objaśnieniem a usprawiedliwieniem. Ten brak odruchu, który bym miał powściągnąć, czy też ulec mu – jest prawdą, którą przyznaję bez względu na to, ile mnie to kosztuje. Po prostu dlatego, że to jest prawda.

Czyśmy się tak strasznie zmienili od tamtej jesieni? Czyśmy się tak bardzo stali niewolnikami – mimo wszystko, co myślimy i czujemy świadomie? Czy wszyscy?

Cokolwiek się o tym mówi, dobrze, że są ludzie, którzy poszli za granicę. Ludzie, którzy nie przestali być wolni i czynni. Którzy nie są «cierpiętnikami». Gdybym i ja tam poszedł, byłaby jedna niewątpliwa, pozytywna korzyść – byłoby mniej o jednego Polaka, którego Niemiec bił po pysku, i który już takim zostanie do śmierci, cokolwiek by potem zrobił. To *nieprawda*, że może przestać być takim – fakty tym się różnią od intelektualnych fikcji, że są nieodwracalne. To *nieprawda*, że «idea» potrzebuje cierpienia. Żadna idea nie wymaga cierpienia. Idea wymaga, żeby ją realizowano. Cierpienie jest tylko ewentualnym dodatkiem, o którym nie wolno mówić. Mówienie o tym – to jest nieprzyzwoitość i chamstwo. A Polak – właśnie ja muszę to teraz powiedzieć – musi być rycerski: wolno mu raczej opowiadać kawały, niż *mówić* o cierpieniu.

Kiedy przyjdzie taka chwila – nie będę bił po pyskach bezbronnych Niemców. Nie czuję potrzeby takiego odwetu. Czuję potrzebę, żeby się odegrać – nie na Niemcach – na samym sobie. Chciałbym móc zrobić coś takiego, co by mi pozwoliło przestać pamiętać o mojej twarzy (która w tej chwili jest jeszcze spuchnięta i obolała – co jest śmieszne).

Chciałbym też wiedzieć, co by czuł jakiś socjalistyczny wielbiciel chamskiej pięści, gdyby był na moim miejscu. To byłoby przecież niemal mistyczne zetknięcie się z przedmiotem kultu!

Och, nie nienawidzę tej pięści za to, że była chamska! Nie potrafiłbym jej nienawidzić, tak samo, jak nie potrafię jej czcić. I widzę cały komizm sytuacji.

Patrzę teraz na swoje ręce – wcale się nie wstydzę tego, że są suche i delikatne, wcale nie żałuję, że nie umieją się zwinąć w brutalną pięść. Niepokoi mnie tylko sygnet na małym palcu prawej ręki. Rad bym jakoś ominąć wzrokiem ten fakt, że on tam jest z tym swoim

<sup>2</sup> Zachowano oryginalną pisownię [przyp. JJJ].

znakiem, który już pod Grunwaldem... O, natręctwo starych pozółkłych, drogich melodii! Omijam go wzrokiem, ponieważ jego obecność jest jakoś bardzo dokuczliwie śmieszna.

Cóż za farsa!

Nie zdejmę go. Nie tylko dlatego, że to fizyczna niemożliwość z racji zbręknięcia odmrożonego palca. Przede wszystkim dlatego, że to jest prawda, że on jest. O tym trzeba pamiętać – mimo wszystko.

Gdybym był poszedł za granicę, nie byłbym dostał od Niemca pięścią w pysk. Ale właśnie faktem, prawdą jest – że zostałem tutaj. Trzeba myśleć tylko o tym, co jest rzeczywiste. To, że zostałem tu, to też musi mieć jakiś sens. Ale nie taki – Boże! Boże! – przecież nie taki!

Jak każdy człowiek, mam prawo być »egoistą« – czy to czasem nie jest pierwszym naszym obowiązkiem? – i dlatego nie przestanę odczuwać jako krzywdy tego, że byłem ochotnikiem, który ani razu nie wystrzelił, i że nie było mi danym (czy to słowo jest właściwe? – powinienem sam stwarzać swoją rzeczywistość, a nie czekać biernie na to, co mi będzie »dane«) być tam, gdzie się teraz strzela, a właśnie tu, gdzie się dostaje po pysku.

## MAŁŻEŃSTWO

*Wtorek, 8 kwietnia 1941 roku, w biurze, godz. 10.15.*

Jednym z problemów manieryzmu jest »kryzys instytucji małżeństwa«. W istocie nie jest to może kryzys tej instytucji, ale kryzys współczesnego człowieka właśnie – niezdolnego do statyki.

Przeciwnieństwo tandety i rzetelności sprowadza się do przeciwieństwa między ilością a jakością. Ważne jest jedno wielkie dzieło, nie zaś wiele małych wierszyków. Takie dzieło, »po którym już można umrzeć«. Otóż małżeństwo, w samym założeniu, jest to właśnie takie dzieło, z tą różnicą, że po nim trzeba żyć. Manierysta jest zdolny poznać idee tego dzieła, przeżyć je, ale – nie bardzo umie potem żyć. Nie lubi bowiem patosu rzeczy wielkich. Nie nosi pióropusza na codzień.

Byli ludzie, którzy nosili pióropusz na codzień. To było w »ciemnym średniowieczu«. Ci ludzie byli bardziej prości, mniej »urażliwi«. Czy bardziej brutalni? Pewno tak; bili się dobrze i siłą własnych rąk, nie – maszynowymi karabinami. Ich kultura była naprawdę zgrzebna – rycerz wracał z bitwy zziębnięty, spocony, ubabrany we krwi; mówił językiem prostym i wyraźnym; słuchał pieśni, które nie były »poetycko niejasne«; fundował cudowne ostrołukowe kościoły, w których po śmierci leżał na płycie z kamienia – ze skrzyżowanymi nogami, z głową opartą na hełmie, w pozycji zaiste niemożliwej dla współczesnego wytwornego człowieka, ale jakże pięknej. Współczesny człowiek tylko czasem wygląda na coś tak prostego, jak Janek, którego pasują na rycerza. Poza tymi momentami jest – och, jest Giovannim.

Jest i jednym, i drugim naraz. Janek będzie zawsze nosił na hełmie rękawiczkę złotobłękitnej damy swego serca. Och, za niego można ręczyć. Ilekroć Giovanni stanie się Jankiem, ilekroć ruszy na wyprawę krzyżową – tylekroć będzie śpiewał najprostszą i najpiękniejszą pieśń trubadurów. Ale Giovanni – Giovanni, który jest Gogiem z domu wariatów, który jest Antonim Beavis M.A. – och, ten jest czymś, na czym trudno polegać.

30 kwietnia 1941 roku.

Cały ten odcinek jest tak nieznośnie patetyczny! Fakty, falciki, falciki – drobne kamyczki – całe dnie zasypane kamyczkami – nic się nie komponuje z tego zwirow. Można co najwyżej wyślubić końcem laski swoje inicjały – oto jedyny sposób zadokumentowania samego siebie. Czy chcesz wyrysować serce i litery: A.J. ♥ J.G. – czy chcesz?

Byli ludzie, którym to wystarczało. Wycinali szczyrykiem takie znaki na korze drzew albo na ogrodowych ławkach i myśleli – wierzyli – że to jest ich miłość – że to jest – oto się dzieje miłość. Jest w tym trochę poczucia magicznego – słowo wypowiedziane jest fikcją dokonanego czynu. To tak, jak w sztuce babilońskiej – reliefy z przedstawieniami fikcyjnych triumfów władcy. Każdy pierwotny człowiek buduje sobie taki pałac, którego ściany pokryte są reliefami, i w którym czuje się władcą, księciem, bliskim bogów. U wrót stoją demony. Uskrzydłone asyryjskie lwy o ptasich głowach. Takie przedstawienie demona jest nazwą – jest to graficzne czy plastyczne słowo (w mojej pracy magisterskiej wskazywałem na intelektualny i nawet «językowy» charakter tych przedstawień). Taka magiczna semantyka – kto zna nazwę demona, jego imię, kto potrafi wezwać go na swe usługi tym imieniem, ten nad nim panuje. U wejścia do pierwotnych pałaców stały z obu stron...

## TŁO

26 lipca 1941 roku, w bluzie, dochodzi druga.

O, ludzie z domieszką alkoholu w surogacie krwi! Ludzie niespokojni, których wyobraźnia tworzy gorączkowo porywający obraz ich samych i świata. Widać, widać. Patrząc w te wizje, idą półprzytomni. Wpadają na latarnie, potykają się o brzeg chodnika – potykają się o rzeczywistość.

Czy pamiętasz – pytanie retoryczne – czy pamiętasz «huxleyowaty odcinek»?... *Vouslez Vous que je Vous méme?*... Świat niby wizja w tle portretu. Wiek szesnasty. Piętrzą się fantastyczne góry, na nich zamki wieżaste i miasta, ludzie – małe, smutne, awanturnicze mrówki – och, warto na nich popatrzeć: to są rycerze, żebracy, szaleńcy, wędrujący na tratwach, pod żaglem wzdętym przez wiatr. Wiatr wieje przez przestronne powietrze. Wiatr, który oto jest tu – drażni nasze nozdrza, wypełnia nasze płuca, chwytny przez łapczywe wargi – jest tu, ale oto jest i t a m, tam, skąd przybył i dokąd leci. Jest w całym świecie. Nasze wargi chwytają łapczywie cały świat.

To jest tło. Na pierwszym planie jest człowiek, dziwnie nieruchomy. Ma tę rycerską, prostą twarz kawalera du Toison d'Or, pamiętasz? Jest odwrócony tyłem do świata, twarzą do Ciebie. Ale świat ten jest jego żywiołem, to właśnie jego krew z domieszką alkoholu. Nie patrzy na ten świat. On jest w nim, w jego żyłach, w jego gorączkowej wyobraźni. Patrzy na Ciebie tak, jakbyś Ty była właśnie tym światem.

Uwierzysz w portret. *Voilà l'erreur de l'histoire.* Obraz jest tylko obrazem. Jeżeli ja weń wierzę w chwilach, kiedy pokonam pesymizm, czy to jest dostateczna racja, byś miała ze mną razem spadać z chodnika, który jest szlakiem moich realnych, moich neurojorynych kroków?

Właśnie dziś wyruszamy w naszą biedną, śmieszoną podróż po świecie. Chcę żebyś wiedziała: nie jestem człowiekiem z portretu. Jestem tylko jego wyznawcą. Twoja wiara pomaga mi weń wierzyć.

Jeżeli jutro będziemy jechać konno – wiedz, czym jest galop. Twarz niemal na ciepłej, pachnącej potem szyi, na twardych włosach grzywy, kolana więżą rwący kłęb mięśniów;

ziemia leci lawiną, wiatr dławł, tętent i szum... Próbujemy uwierzyć w cuda. Próbujemy rozzerwać widnokrąg.

## BIEDA

3 września 1941 roku.

Chcę Ci teraz napisać ten zamierzony odcinek wczorajszy. Byłaś rozkapryszona. Zdawało mi się, że wiem dlaczego – dlatego, że znowu roztrząsałem przy Tobie z Mysią<sup>1</sup> zawile sprawy pieniężne. To Cię zawsze drażni. Nie chcesz tego słuchać. Zastanawiałem się, dlaczego Cię to drażni. Sprawa tak zwykła...

Otóż, czy dla każdego? My z Mysią wciąż jeszcze mamy w tej sprawie postawę ludzi biednych, tj. takich, dla których rzeczą dziwną i niezwykłą jest, jeśli nie brakuje «na obiad», nie zaś, jeżeli nań starczy. Ludzie biedni mają swój odrębny pogląd na naturalny bieg rzeczy. Naturalnym wydaje im się to, że pieniędzy nie ma. Dosłownie – nie ma. Kredens jest pusty. Ostatnia resztką mąki wyszła już wczoraj. Cukru nie ma od tygodnia. A tymczasem *trzeba* zrobić, stworzyć, «skojarzyć», jak mówi Leosia<sup>2</sup>, trzeba jakoś wyczarować obiad. To nie jest kwestia mechanicznych zabiegów – zakupów, obliczeń. Jest to kwestia wysiłku, pomysłowości, fantazji, przedsiębiorczości. Żeby był obiad, nie wystarczy o tym pomyśleć – to trzeba zrobić. Ten oto, konkretny, dzisiejszy obiad zaprzęta uwagę i pomysłowość. "Zrób coś, koniecznie zrób coś, przecież musi być obiad!"

To jest właśnie naturalny stan rzeczy. Przykry, to prawda. Ale naturalny. Równie naturalny, jak inne rzeczy przykre; takie, jak niepogoda, jak choroba. Ludzie zawsze mają skłonność rozmawiać o przykrych rzeczach naturalnych, które ich przekraczają. Wojna, choroba, pogoda, wszelki taki dopust – to są tematy do rozmowy. Właśnie o tym się mówi, na ten temat się «filozofuje» – że «z chorobą to już tak», «a jak bieda...». Te refleksje potrzebują materiału faktycznego – dostarcza się go obficie – przykłady, wspomnienia... Właśnie nawet od tych faktów zaczyna się «filozofowanie». Ludzie biedni nie unikają w rozmowie [tematu] swej biedy. Nie wstydzą się jej – tak, jak nie wstydzimy się choroby czy śmierci. O tym się właśnie mówi przede wszystkim. Człowiek nałoguje się do takich rozmów. Są tacy, którzy nie mogą obejść się bez swej biedy – rozsmakowują się w niej. Daje im ona poczucie rzeczywistego istnienia. To tak jest, i to jest rzeczywistość; człowiek jest taki; takie właśnie jest życie. Oto jest życie. Żyjemy...

Ludzie biedni mówią właśnie o tym – o biedzie, o sprawie dzisiejszego obiadu, o paru złotych na obiad jutrzejszy. Mówią, kiwają głowami, wzdychają, złoszczą się i smucą. Te rozmowy! Cała moja młodość minęła wśród takich właśnie ludzi, takich rozmów. Wieczór, po kolacji, która *była*, które została stworzona i nie jest już groźna – jest zwycięstwem, osiągnięciem, triumfem – po tej triumfalnej kolacji długie gawędy... o biedzie... o biedzie...

Nikt się tu nie wstydził mówić o pieniądzach. Nikogo to nie drażni. To nie jest czyjaś sprawa zupełnie osobista. To jest *wspólna* sprawa, tak jak wspólną ludzką sprawą jest choroba i śmierć.

Czy to jest słuszny stosunek do tych spraw? W każdym razie ma on jedną zaletę – oto nie ma w nim kultu pieniądza, strachu przed nim, nabożeństw według tego skrupulatnego rytuału, którego wymaga jego natura. Pieniądz! Mój Boże, raz jest, raz go nie ma; ale żyje się mimo to. Pieniądz nie jest potęgą zastaną – tworzy go się, zdobywa, «kojarzy». Jest własnym dziełem. Czymś, co nam służy, co nam podlega; z czym można zrobić, co się chce. Nikt się

<sup>1</sup> Chodzi o siostrę autora, Marię [przyp. JJJ].

<sup>2</sup> Chodzi o służącą Gralewskich, Leonie Oraczewską [przyp. JJJ].

nie boi pożyczyć ostatnie pięć złotych, nikt się nie boi o to prosić, nikt nie boi się wydać ostatnie pięć złotych na przyjemności, nikt się nie boi spóźnić się ze spłatą długu... Wszystko to są bowiem rzeczy naturalne. Nikt się nikomu z ich racji nie dziwi. Wiadomo, że nie pieniądz jest ważny, lecz człowiek. Pieniądz nie jest demonem. Jest rzeczą ludzką. Kursuje między ludźmi, jak uśmiechy, jak uściski dłoni, westchnienia, obelgi, czy kłaki.

Właśnie dlatego ludzie biedni szukają i *zwajdują* pomoc tylko u biednych. Pożyczyć – to po prostu tak, jak uściskać rękę: to nie jest kwestia buchalteryjna. Co więcej – nie ma to związku z jakimiś wyższymi siłami, dającymi władzę. To jest rzecz ludzka, nie nadprzyrodzona. Ale spróbuj pożyczyć u bogatego – pokaże się, że ten rytuał wymaga łezania, że akt ten daje władzę wglądu w cudze życie, że zniewała i wymaga pokory. Wymaga pokory, tak jak każde zetknięcie się z bóstwem. Ale to bóstwo jest fałszywe. Dlatego fałszywy i przykry jest i akt pokory. Jest to upokorzenie. Człowiek czuje, że jest [to] ujma dla jego godności, ponieważ bóg jest fałszywy.

Nie mogę obronić się przed przekonaniem, że stosunek ludzi biednych do pieniądza jest bardziej słuszny, bardziej ludzki. Oczywiście, wprowadza on rozgardiasz – jak wszystko bowiem co ludzkie, przeciwny jest mechanice – biurokratycznej, buchalteryjnej mechanice; pełen jest *indywidualnych* nieobliczalnych wyskoków. Tych samych, w jakie obfituje całe nasze ludzkie życie – szczęście, namiętność, zabawa, nieszczęście, grzech, humor i smutek. Człowiek powinien nad tymi sprawami panować. Powinien. To prawda. Ale nie wolno mu zmieniać się w buchaltera.

To nie jest kult niesumienności pieniężnej. To tylko przekonanie, że pieniądz jest sprawą drugorzędną i ludzką. Z całego mego doświadczenia biedy to jedno chcę zatrzymać – nie czcić pieniądza. Panować nad nim, umieć zaprowadzić ład w tej dziedzinie, ale go nie czcić w żadnej formie.

To nie jest żadna potęga. Potęgą jest człowiek, który go «stwarza» i używa. On jest ważniejszy.

Z lat biedy pozostało mi to, że mówię o sprawach pieniężnych. Doprawdy nie widzę w tym ani nic złego, ani nic wstydliwego. Jest to rozmowa taka, jak o pogodzie. Nie mówi się tu ani o rzeczach boskich, ani o szatańskich – a tylko tych tematów się wstydzimy. To sprawa ludzka.

### MIŁOŚĆ (WARIACJE HEIDEGGEROIDALNE)

21 października 1941 roku, w biurze, ca godz. 13.

Prawdziwa miłość jest jak śmierć – jest ostatecznym zrealizowaniem możliwości. Kiedy jest prawdziwa miłość, miłość przestaje być możliwa, ponieważ jest. Tak samo, jak gdy wyrośnie drzewo, drzewo przestaje być możliwe, ponieważ jest. Poezja ziaren! Jest niewątpliwie swoista poezja ziaren. Poezja możliwości. Wydaje się, że drzewo, które jest dopiero możliwością tkwiącą w ziarnie, jest piękniejsze od drzewa, które już jest, ponieważ jest niezdeterminowane, nieokreślone i można je sobie rozmalować i w coraz to inny sposób wyobrażać. Ale – właśnie tylko wyobrażać. To drzewo nie jest. Czy może zatem być piękne? Czy może być piękne, skoro nie jest?

A oto możliwość została zrealizowana. Jest drzewo. To, a nie inne; to właśnie, szczególne drzewo. Nie mieści się w nim żadne drzewo inne, żadne, zupełnie żadne – bo ono jest to i nic więcej. Nic więcej. Nic więcej. Ale co może być więcej? I czy można *wieć* coś innego niż to, co jest? Czego można *zaznać* poza tym, co jest? Znać. To jest ważne. Znać

można tylko to, co jest jakoś szczególne, odmienne od innych; co *jest*. Jest tylko to, co odmienne; znać można tylko to, co odmienne; inaczej bowiem nie zna się niczego; zna się tylko to *Das Man* – to *się*, którego nie ma. Zna się, kocha się. Kocha się. Tak się kocha, jak się kocha. Ale nie tak, jak ja. A więc wcale.

Jest niewątpliwie coś smutnego w zrealizowaniu możliwości. Ale pewno w tym samym stopniu, co każde narodzenie, które jest przecież radosne. Miłość bowiem, jak śmierć, jest powrotem do *das Sein*. Do bycia. Do bytu. Oto bowiem jest. Jest.

(Refleksja.

(1) Coś tu nie pasuje – czy miłość jest jak śmierć, czy jak narodzenie? Narodzenie jest początkiem możliwości; śmierć jej kulminacją i końcem. Ale nasz przyjaciel Heidegger ma pojęcia bardzo wygodnie sprzeczne. Codziennosc jest mimo wszystko *das Sein*. Wkraczając w codzienność przez narodzenie, wkraczamy także w *das Sein*, chociażbyśmy z niego nigdy nie wychodzili. Wkraczając w możliwość, pozostajemy w niemożliwości. Niemożliwość jest immanentna możliwości. Każda możliwość zrealizowana staje się niemożliwością. Miłość, która jest, sprawia, że miłość jest niemożliwa.

Miłość jest niemożliwa.

To niemożliwe! To jest niemożliwe!

*Jest niemożliwe.*

(2) Możliwość jest immanentna niemożliwości.

Jest miłość. Miłość jest niemożliwa. To jest doprawdy niemożliwe! Ale co? Co jest niemożliwe? Przecież wszystko jest możliwe – wszystko, wszystko. Cały świat.)

## BOGOWIE

9 grudnia 1941 roku.

Nie należy się dziwić bogom greckim, że mówią rzeczy banalne. Jak wskazujemy na to w innym miejscu, bogowie greccy nie byli mądrzy. Zwłaszcza zaś nie byli inteligentni. Było to plemię silne, pogodne i beztroskie; inteligencja zaczyna się wraz z troską. Co więcej – żyli oni w epoce, kiedy burżuazyjne, refleksyjno-introspekcyjne kłopoty nie były jeszcze znane. Mieli oni co innego do roboty – kochali, zabijali, sprawiali sobie wspaniałe widowiska z burz morskich i piorunów. Życie, ponieważ byli nieśmiertelni, nie było dla nich problemem. Nie zastanawiali się tedy nad życiem – żyli po prostu. Podobni byli do jabłoni, która nie zastanawia się nad problemem kwitnienia, ale po prostu kwitnie. Dawni bogowie byli o wiele bliżsi natury – aniżeli dzisiejsi ludzie. Natomiast ludzie ówczesni byli bodaj bliżsi bogom. Czy to prawda, że człowiek z natury swej jest śmiertelny? To fakt, że dzisiejsza cywilizacja wilekominiejska uczyniła go bardziej śmiertelnym, bardziej przerażająco śmiertelnym niż kiedykolwiek. Bynajmniej nie z przyczyn złych warunków zdrowotnych życia miejskiego. Nie wszystko da się rozwiązać przy pomocy statystyki. Nie wszędzie też jest Ameryka. Na to, by zmniejszyć śmiertelność ludzi – niewiele pomoże medycyna ze swymi preparatami z gruczołów. Ze śmiertelności trzeba wyjechać – a tak. Wyjechać, jak z Ameryki: wyjechać konno. Właśnie dlatego, że Ameryka otoczona jest morzem, powiedzenie to jest trafne.

## NOWOCZESNOŚĆ

27 grudnia 1941 roku, w kawiarni Lourse'a, godz. 14.35.

Kiedy przechodziłem przez plac Saski, udało mi się zobaczyć go świeżymi oczami. Zupełny surrealizm. Surrealistyczny fotomontaż. Piękny pałac Brühlowski z wyraźną

atmosferą jakiegoś stylowego życia – i zaradziły, z niewątpliwą legitymacją historyczną. A obok, równo wycięta nożycami wojny – bawiącej się w fotomontaż – przerażająco i zabawnie, panoptykalnie brzydka kamienica na rogu «nowej ulicy». Ktoś kiedyś jakimś goetyckiemu aniołowi w którejś z katedr francuskich włożył do ręki numer *L'Action Française* – i to podawano jako przykład surrealizmu. Nie potrzeba takich sztucznych zabiegów. Gdy mnie kto zapyta, co [to] jest surrealizm, odpowiem – to naturalizm, proszę pójść na plac Saski. Bo to *jest* naturalizm. Pokazuje świat bez interpretacji intelektualnej. Wystarczy wiernie namalować plac Saski, bez pomijania czegokolwiek – będzie surrealizm.

Teraz siedzę u Lourse'a. Stanowczo to jest jedyna kawiarnia w Warszawie. Tu wiem, że jestem w Europie. Widzę przez okno pałac Namiestnikowski i lwy przed nim, narożnik pałacu Potockich i w głębi barokowy szczyt bocznej nawy Karmelitów. Rzeczy, które są stare. To na zewnątrz. A wewnątrz duża sala, pełna staroświecczości – dostatnia elegancja sprzed wojny światowej.

Na tym właśnie polega Europa, że nowe rzeczy powstają na podłożu starych, a tych starych nie niszczy się. Ktoś kiedyś krytykował Paryż, że mało w nim nowoczesności. O nowoczesności myśli się, siedząc w staroświeckiej kawiarni – pozwala się jej być wyobrażeniem i pomysłem, nie przerabia się od razu wszystkiego. Tel-Awiv jest podobno zupełnie i całkowicie nowoczesny. Otóż to właśnie nie jest Europa. To jest nieprzyzwoite, jak embrion. Europa to jest coś starego, co jest bardzo młode. To nie jest ani snobizm – ani trup.

## BYT

*11 stycznia 1942 roku, Czackiego, godz. 17 z minutami.*

Milbrandt<sup>6</sup> długo nie przychodzi – spóźnia się, mimo że jest dziś prelegentem. Wreszcie zjawia się (z Kasieśkim<sup>7</sup> i panną Krzeszewską<sup>8</sup>, na widok której rozpromienia się twarz profesora<sup>9</sup>), zjawia się więc bardzo zmarznięty, skurczony, i pośpiesznie, a z musu tylko, podając lodowatą rękę na prawo i na lewo, nie patrząc na nikogo, mruczy w powietrze: "Cały szereg tramwajów – tak jakoś...".

Profesor: "No, to chyba zaczynamy, bo już późno".

Milbrandt (ślada pod plecem, podnosi głowę do góry, zamyka oczy mocno zaciskając powiekę, jedną ze swych zmarzniętych dłoni kładzie na plec): "Hasło, które miałem przygotować na dziś jest: byt. Przepraszam, że będę mówił – nie zdążyłem tego napisać..."

Byt. To słowo wymawia, jakby cierpiąc.

Jakże daleko stąd jesteśmy my oboje! To, co się tu mówi<sup>10</sup> wydaje mi się tak mało ważne, tak niepotrzebne. Czy istotnie mam teraz postawę przeciętnego «człowieka z ulicy», który pogardza filozofią i filozofami? Trzeba się przyznać do tego – tak jest w istocie.

Człowiek przeciętny pogardza filozofią, ponieważ zajęty jest życiem. Filozof pogardza człowiekiem przeciętnym, ponieważ tamtego pogarda dla filozofii wynika z zamiłowań prymitywnych, z nieświadomości faktu, że filozofia dotyczy właśnie istotnych spraw tego życia, którym człowiek z ulicy jest pochłonięty. Ja teraz patrzę z góry na filozofię, ponieważ jestem również zajęty życiem. Ale różnica w stosunku do człowieka z ulicy jest ta, że ja wiem, iż filozofia zajmuje się sprawami istotnymi dla życia. Tylko – nie stawiam filozofii ponad życiem. Wiem bowiem również, że jest ona akurat na tym samym szczeblu, co «życie»

<sup>6</sup> Chodzi o Mieczysława Milbrandta [przyp. III].

<sup>7</sup> Chodzi o Ludwika Kasieśkiego [przyp. III].

<sup>8</sup> Chodzi o Danutę Krzeszewską [przyp. III].

<sup>9</sup> Chodzi o Władysława Tatarkiewicza [przyp. III].

człowieka przeciętnego. Z mojego punktu widzenia – z punktu widzenia życia podniesionego do ostatniej potęgi – filozofowie są tym samym, co «ludzie z ulicy».

Przypuszczam, że podobnie patrzy na te rzeczy Kisieł<sup>9</sup> z punktu widzenia swojej rzeczywistości religijnej. I podobnie jak on skłonny byłbym zapewne powtórzyć za średniowieczem: «filozofia służebnicą teologii»... I ja również filozofię uważam za służebnicę —

Bo, patrząc na nią z góry, *nie lekceważę jej bynajmniej*. I jeśli dziś, w chwili burzliwego wzbierania przejmujących zdarzeń, patrzę na filozofowanie z trochę lekceważącym pobłażaniem, być może iż kłodyś, gdy przewalą się lawiny zdarzeń, gdy świat powstanie na nowo z żywiołów i po sześciu dniach błysków i grzmotów w ciemności ukaże się w słońcu prosty, jednolity i jasny wśród lekkiego ćwierkania ptaków – wtedy wrócę do niej z tęsknoty i pokory.

Cieszę się, że teraz mogę nareszcie uczciwie i bez brawury powiedzieć, że moje życie jest ważniejsze od refleksji, od pisania, od sztuki.

## POWIEŚĆ

3 lutego 1942 roku.

Jest to rzecz zupełnie oczywista, że w sztuce istnieją pewne stałe formy, jak właśnie rodzaje literackie. Jeśli się nie jest barbarzyńcą, żyje się w formach, wytworzonych przez kulturę. Te formy można i trzeba wypełniać nową treścią, co znaczy właściwie – realizować je w nowy sposób. Nowa epoka powstaje nie wtedy, gdy się burzy lub omija te formy – np. powieść – ale gdy się napisze nową powieść, która będąc czymś zupełnie nowym, jest przecież powieścią właśnie. W architekturze jedną z takich stałych form jest m.in. świątynia. Otóż nie co innego, jak powstanie bizantyjskiej świątyni, romańskiej świątyni, gotyckiej świątyni, renesansowej, barokowej – wyznacza epoki Bizancjum, romańszczyzny, gotyku, renesansu, baroku. Od romańszczyzny do gotyku przechodzi się nie przez zrobienie czegoś takiego, czego jeszcze nigdy w ogóle nie było, tylko właśnie przez zrobienie tego, co już było – w nowy sposób: przez stworzenie świątyni gotyckiej w miejsce romańskiej.

Ale przejście od malarstwa średniowiecznego do nowoczesnego dokonało się nie tylko przez realizację stałych form w nowy sposób, lecz także przez wytworzenie nowych form. W okresie przejściowym te nowe formy bytują jeszcze niesamodzielnie, pod pretekstem starych form. (To nazywam manieryzmem.) Tak więc martwa natura, pejzaż, scena rodzajowa – zjawiają się najpierw pod pretekstem scen religijnych, na marginesie, w tle. Widać jednak, że o nie głównie malarzowi chodzi, podczas gdy scena religijna, choć wysunięta jest na pierwszy plan, jest tylko owym pretekstem. Otóż wyzwolenie i powołanie do samodzielnego życia tych nowych form – wyznacza też nową epokę i to w podwójnym sensie:

(1) przez powstanie nowych rodzajów;

(2) przez uwolnienie starej formy od pasożytujących na niej nowych – wskutek tego ta stara forma może być znowu zrealizowana w nowy sposób sama dla siebie.

Otóż moja robota podjęta została w dwojakiej intencji.

[...] [Po pierwsze,] chcę wyzwolić pewnen nowy rodzaj, dotychczas pasożytujący na powieści. Istnieje niewątpliwie możliwość, że się mylę – że nie ma takiego nowego rodzaju. Że to, co mnie się wydaje nowym rodzajem *literackim*, jest po prostu pasożytującym na literaturze czynnikiem pozaliterackim. W takim razie wyzwalając to, nie robiłoby się

<sup>9</sup> Chodzi o ks. Aleksandra Kisieła [przyp. JJJ].

literatury, tylko coś innego – publicystykę, krytykę lub tp. Ale założmy doważnie, że mam rację. Jeśli tak, ten nowy rodzaj ma swoje odrębne prawa i *nie można go sądzić wedle praw powieści*, ponieważ tylko krytyka immanentna jest właściwa w stosunku do sztuki. Jest to oczywiście słuszne, że powieść nie może «pouczać» ani «wykładać», ani też wyrażać emocji chwytanych *in flagranti*, na gorącym uczynku, nie «zobiektywizowanych»; ani rozpraszać się w efektach wrażeniowych itp., itd. Ale – czy to się odnosi również do tego nowego rodzaju? To jest problem, który nie ma gotowego *rozwiązania* – to trzeba dopiero rozważyć. Oczywiście, istnieją pewne powszechne prawa wszelkiej w ogóle dobrej literatury bez względu na rodzaj – te, którymi różni się ona od grafomantii. (Być może, że ta różnica polega na tym, że grafomania jest właśnie *poza* wszelkim rodzajem? Że jest ona bez praw w ogóle – a prawo jest zawsze prawem jakiegoś określonego «rodzaju literackiego».) Otóż od rzeczowej krytyki moich pisanin oczekiwałbym [...], by ona wykazała, czy się to istotnie buduje w jakiś rodzaj literacki, i czy się to trzyma praw tego rodzaju – czy nie łamie ich.

Druga moja intencja jest bardziej osobistej, prywatnej natury. Oto chodzi mi o przezwyciężenie na własny użytek tego «manieryzmu», który nie pozwala mi dziś na napisanie powieści. Przez przyznanie się do manieryzmu, przez uwolnienie i usamodzielnienie tego czegoś nowego, co, jak mi się wydaje, on wnosi, chcę ten manieryzm w samym sobie przezwyciężyć i «dojść do powieści».

Powiedziałem wyżej, że stałe formy *realizuje się* w nowy sposób. Otóż wyobrażam to sobie tak. Są pewne formy jakoś tam bytujące samodzielnie poza nami jako abstrakcje, które możemy ująć pojęciowo. Możemy np. sformułować definicję powieści. Na to jednak, aby taką formę zrealizować, trzeba ją przenieść ze świata abstrakcji do rzeczywistości; sprowadzić do rzeczywistości. Tą rzeczywistością, w której realizuje się rodzaje literackie, jest człowiek. Człowiek to nie jest abstrakcja, ale konkret – Filip, urodzony tu i tu, wtedy a wtedy, Europejczyk, chrześcijanin, Polak, Mazur, Mazur spod Płocka, ze wsi Chuda Wola, syn Macieja i Mariany *etc.* Człowiek jest wrośnięty w całą rzeczywistość, zarówno materialną (przyroda), jak duchową (kultura); ale zarazem jest to niepowtarzalne indywiduum, będące na *swój sposób* Polakiem, chrześcijaninem, człowiekiem «swojego czasu» *etc.*

Otóż ja, będąc na swój sposób człowiekiem swego czasu *etc.*, nie mogę napisać powieści – jeśli mam to traktować uczciwie, tj. jako swoje dzieło, nie zaś jako mechaniczne odrabianie «kawalka». Nie stać mnie na zrealizowanie w swoim osobistym materiale abstrakcyjnego rodzaju – powieści. Mógłbym co najwyżej kompilować z *czudzych dorobków* – a to byłaby przecież tandeta, robota nieodpowiedzialna i nieuczciwa.

Na to, żeby «zrealizować» coś w tym «swoim materiale» – trzeba się przede wszystkim dobrze rozeznac w tym materiale – to jest do wszystkiego się w sobie w sposób bezwzględny «przyznać».

Otóż – ja się przyznaję do tego, co nazwałem «manieryzmem». Przyznaję się nie dla pozycji. Staram się to zrobić uczciwie i trzeźwo, i dlatego dostrzegam w tym manieryzmie pewne rzeczy, które wydają mi się godne afirmowania. Moje przyznanie się nie ma nic z egzaltowanego «kajania się». Jest to po prostu trzeźwe spojrzenie na samego siebie. Dostrzegam też, że nie jestem odosobniony, że w tym manieryzmie jestem «człowiekiem swego czasu».

To, co wydaje mi się godne afirmowania, chcę wyzwolnić jako nowy rodzaj. Mam nadzieję, że po tym zabiegu higienicznym będzie mnie stać na napisanie powieści.

Otworzyłem maszynę (pożyczoną), żeby pisać dalszy ciąg zaczętego eseju, ale... Szedłem tu na piechotę przez roztafale ulice brudnej dzielnicy robotniczej, gdzie najdobitniej zaznacza się miejska wiosna – w blocie, w zupełnym braku przyrody nie reprezentowanej nawet przez sztuczne preparaty skwerów, w zupełnym braku jakiegokolwiek pięknej architektury, która by kokietowała oko i duszę. Właśnie tu, w najbardziej miejskim mieście, właśnie tu wiosna, jeśli się ją czuje, nie jest na pewno niczym innym – jest potężnym żywiołem, dziejącym się mimo wszystko. Idąc tu wielkimi krokami nóg, na których pogoiły się już ranki odmrożeń, poczułem znowu, znowu, że jest coś ważniejszego niż wszelki «wyrz» – są żywioły, jak wiosna, jak życie, jak człowiek.

Trzecia zima w zupełnie nieopalanym pokoju! Jestem tak bliski przyrody, że moje życie wplecione jest w cykliczne zmiany jej procesów. Zima była snem, chuchaniem w łapy, zagrzebywaniem się w matczyniach. Teraz jest wiosna. Zwierzęta budzą się po lasach. Ja się też budzę. Oto mam znowu nogi silne i sprawne, nie obolałe. Oto znowu chodzę z podniesioną głową. Czuję się silny. Ostatnimi czasy, dzięki obiadom za lekcje angielskiego i zupom na Wroniej «odjadłem się» nieczgorzej. Jestem silny. Jestem zahartowany przez mrozy i zimne miaszkanie – przez całą wojnę ani razu nie byłem przeziębiony. Jestem silny nie tylko fizycznie. Potraktowałem wojenne niewygody jako okazję do ćwiczeń. Przez całą zeszłoroczną zimę brałem co dzień rano i wieczór zimne natryski w moim zimnym pokoju. Ćwiczyłem się w panowaniu nad nerwowymi depresjami i nad kompleksami niższości. Mam dobre wyniki. Czuję się silny, dokładnie świadomy samego siebie i uwolniony od tego, co w nas samych jest dla nas niewolą – od uczuciowych mgieł. To było też jedno z ćwiczeń – patrzeć trzeźwo, analizować wszelkie spontaniczno-irracjonalne reakcje, racjonalizować je.

W pewnym swoistym sensie jestem dorobkiewiczem wojennym. Na cóż obrócić zdobyte kapitały? Och, coś się na pewno znajdzie. Nigdy w życiu nie potrafiłem się nudzić. Nigdy też nie miałem harpagońskich skłonności – kapitały są po to, żeby je użytkować. Będą zużytkowane.

Ale jak? Szukam lokaty kapitału. Zwracam się do Pana<sup>10</sup> nie jako potrzebujący pomocy, lecz jako «przedsiębiorca». Czy istotnie w Polsce jest tak, jak to twierdził Prus, że zainteresowanie i pomoc zyskują tylko ci, co są pokryci ranami i cierpiący? Czy tylko litość jest u nas motorem społecznych działań?

Na pewno nie będę tezauryzował moich kapitałów. Ale mnie nie chodzi o to, żeby robić cokolwiek bądź, żeby być czynnym jakkolwiek bądź. To, co mam do roboty teraz – to nie jest byle co; i dlatego nie zrezygnowałbym z tego dla byle czego. Chodzi mi o sprawy dużej skali i może Pan być pewien, że nie będę się chwycił pierwszych z brzegu możliwości. Duża skala, to nie znaczy bynajmniej efektywność, jakkolwiek potrzebny mi jest pewien swoisty smak; po prostu dlatego, abym mógł całkowicie przejąć się robotą, co sprowadza się do tego, że ludzie najlepiej robią to, co do nich pasuje, do czego oni sami pasują – nie zaś to, do czego muszą się naginać kosztem samego siebie (są, oczywiście, tacy, do których pasuje właśnie naginanie się, ale, skoro ono do nich pasuje, to przestaje być naginaniem się, i powyższa zasada zostaje w mocy).

Jestem Panu bardzo wdzięczny za to, że z dwóch tendencji, jakie mnie rozrywały na początku, podtrzymał Pan i utwierdził tendencję do pozostania tu. Wprawdzie człowiek

<sup>10</sup> Chodzi o Michała Walickiego, ówczesnego szefa autora w AK [przyp. JJJ].

czynny wszędzie znajdzie sobie coś do roboty, ale to, co przerobiłem tu, cenię sobie bardzo – a nigdzie indziej nie można by tego przerobić. Jednakże plan pozostania tu obejmował nie tylko to, co robiłem dotąd. Przewidywało się jeszcze inne sprawy. I tych to właśnie spraw wciąż mi braknie. Ogarnia mnie zazdrość, kiedy patrzę na innych, nie dlatego, żebym chciał robić to, co oni, lecz dlatego, że oni przecież mają coś z tej dziedziny, co im wystarcza. Mnie by to nie wystarczyło i dlatego nie podejmuję tych spraw. Ale wciąż mi się wydaje niemożliwe, żeby nie było nic takiego, co bym mógł robić. Na pewno coś takiego jest. Tylko ja nie wiem o tym, albo o mnie nie wiedzą. W życiu bardzo wiele zależy od mechaniki – zetknięć, zderzeń, ocierania się, wplątania w pewne tryby. Ta mechanika działa ślepią siłą bezwładu. Trzeba się przeciwstawiać tej sile.

## URODZINY

3 marca 1942 roku, Wronia, godz. 11.45.

Trzydzieści lat temu zdarzył się fakt dla mnie osobiście nie pozbawiony znaczenia – urodziłem się. Fakt taki i jego rocznica usposabiają do refleksyjnego spojrzenia na siebie. Zjawisko chyba powszechne. Jakże inaczej jednak reaguje na te sprawy (tj. na kwestię własnego życia) człowiek współczesny w porównaniu z ludźmi poprzedniego pokolenia. Dla tamtych urodzenie SIĘ należy do dziedziny tego heideggerowskiego SIĘ, które nad nami ciąży i panuje, a które ostateczny moment niepokoju osiąga w fakcie, że SIĘ umiera. Ludzie o władnieli przez to potężne SIĘ i widzący kulminację jego w śmierci, czuli lęk wobec życia, które przecież jest tak bardzo nieracjonalne, niepraktyczne, absurdalne, i nie dające się uporządkować. Lęk wobec życia. Świadomość faktu, że się umiera. Oto źródła neurastenii, zabawnie nierozsądnych planów «racjonalnych» reform życia oraz poczucia klęski wobec niepowodzenia tych planów. Tylko na tym podłożu mogła wyrosnąć «atmosfera kulturalna», w której walor godności związany był z wszelkimi odmianami rezygnacji z życia – w sensie «służby dla idei», «[służby] dla nauki» czy czegokolwiek innego. Tylko w związku z tym ukształtować się mógł właściwy tej epoce typ «bohatera» – płaczący cierpiętnik, patetycznie deklamujący o ofierze z życia. Cóż za obłudne kłamstwo. Przyznaj się, o czcigodny – przecież BOISZ SIĘ ŻYCIA; twoja «ofiara» jest po prostu ucieczką, zrzucającem całego kłopotu z siebie na jakikolwiek mechanizm, któremu mógłbyś się podporządkować, aby żył za ciebie; twoja «ofiara» jest szukaniem narkotyków przeciwko neurastenii i lękom – twoja «ofiara» jest szukaniem ciepłego kąta za piecem, gdzie by już nie było deszczu ani mrozu. O, swoisty masochizm tej epoki w połączeniu z dążeniem do komfortu. Wojna pojęta jako nieszczęście z racji braku wanny i czystej białizny, z racji możliwości ran, z racji straszliwej grozy faktu, że się umiera. Wojna jako nieszczęście z racji uniemożliwienia ucieczek od życia w sztukę i w naukę. Aż tu nagle wojna – nie można uciec w sztukę, ani w naukę, ani w komfort; już tylko chyba w masochizm służby, w obrzydliwość deklamacji o ofierze. Jeśli jednak zdarzy się ktoś z poczuciem dobrego smaku? Och, nieszczęście. Biedny, biedny George Winterbourne Aldingtona z powieści *Death of a hero*. Otóż to. Otóż to. Ludzie prowokujący do litości. Ludzie zestrachani możliwością cierpienia. Ludzie, którym się zdaje, że nie twórczość jest celem człowieka, lecz negatywne zabiegi, zmierzające do «usuwania cierpienia».

Oto epoka ludzi nierycerskich, bo deklamujących i fałszywych, bo pozbawionych smaku, poczucia humoru i rozsądku. Epoka zastrachanych, płaczących tyczków.

Człowiek współczesny patrzy na swoje życie od innego końca. Kulminacja dnia tkwi nie w fakcie, że się umiera, lecz w tym, że się rodzi. Rodzimy się i oto żyjemy. Jest to

awantura tak niepraktyczna, niebezpieczna i niewygodna, iż zapewne znacznie praktyczniej, bezpieczniejszej i wygodniejszej byłoby nie żyć wcale, gdybyśmy mogli sami o tym decydować. Ale zdecydowano już za nas – oto żyjemy, i jeśli mamy osiągnąć jakieś zadowolenie, czy szczęście, musimy akceptować całą fantastyczną niepraktyczność tej przygody. Nie ma żadnej możliwości ucieczki. Najbardziej racjonalne sprzeciwy nie zdadzą się na nic. Nawet jeśli byśmy z nich zbudowali najbardziej konsekwentny logiczny system zdań. Nie zda się to na nic, ponieważ nie ma wyboru. Jest tylko jedno życie – to właśnie, które jest. Nic na to poradzić nie można. Człowiek, które wypadł z okrętu do wody, może najbardziej racjonalnie dowodzić, że to się stało bardzo niepraktycznie, niewygodnie i niebezpiecznie. Ale z pewnością nie będzie tego robił – ponieważ oto musi płynąć, skoro wpadł. Jedyna rzecz, którą ma do zrobienia, to nie protest, lecz afirmacja – musi uznać ten fakt, że wpadł do wody, i musi się do niego zastosować – musi płynąć: to jest jedyna nadzieja ratunku. Otóż – wpadliśmy; to prawda – wpadliśmy w ogromnie nieracjonalną i niepraktyczną awanturę. Któregoś tam dnia, szereg lat temu, urodziliśmy się – czerwone, wrzeszczące embryony, paskudnie biologiczne i bardzo niepokojąco psychiczne, sprzeczne w sobie, niepraktyczne, absurdalne. Trzeba by to może jakoś całkiem inaczej obmyślić? Ale – pewnie została przecięta: jesteśmy sami – żyjemy. Nie ma już żadnej rady – musimy żyć. Wpadliśmy, jak ów człowiek, który się znalazł w wodzie – wpadliśmy w nas samych: w wielkie burzliwe, niespokojne morze, które jest nami.

Musimy żyć. Ba. Chcemy, **CHCEMY** żyć. Nasza afirmacja jest zupełna. To prawda, że sztuka i refleksja są jedynymi wartościami. Ale one nie są poza życiem. Sztuka nie jest nieżyciowym estetyzowaniem, refleksja nie jest błądzeniem w abstrakcjach. To nie są ucieczki od życia. Życie na nich właśnie polega. Życie jest sztuką i refleksją.

Za nic nie chcemy z życia rezygnować.

*[W części krytycznej położyć nacisk na sztukę i refleksję – jako jedyne dziedziny godne człowieka. Typ uczonego artysty. Kapłan sztuki. Kapłan nauki.]*

### PRZYPADKOWOŚĆ

*2 maja 1942 roku, Sim., godz. 12.20.*

Najprzyszejsza w tym wszystkim jest tchórzliwość człowieka wobec przypadków. Żyjemy w porządku przypadków. Ten świat jest światem zdarzeń. Mamy instynktowną tęsknotę do ładu, opartego na logice, na artystycznej kompozycji; na mrocznych, ale nieodparcie przekonywających wskazaniach naszych uczuć. Postulujemy inny świat, świat ładu. Próbujemy nasz świat realny reformować – tworzymy fikcje ładu, tak szyderczo i okrutnie burzone przez rzeczywistość. Przypadkowość przeraża nas. Chcemy się przed nią bronić.

R.<sup>11</sup> pyta mnie, czy możliwe są przypadki? Czy poza nimi nie kryje się konieczność? Odpowiadam, że jeśli jest świat konieczności i ładu, to w naszym świecie manifestować się może tylko przez przypadki, tak jak prąd elektryczny manifestuje się dzwonkiem – po naciśnięciu guzika. Jeżeli nawet na zewnątrz naszego świata, u jego drzwi, są jakieś guziki, które ktoś może naciskać – to w naszym świecie odezwą się tylko dzwonki. Żeby zobaczyć, kto dzwoni i czego chce, trzeba otworzyć drzwi. Ale tego właśnie nie możemy.

Lęk przed przypadkiem? Żebyż się był nie zdarzył? Czy musiał się zdarzyć? Czy nie można było zapobiec? Poradzić coś? Czy doprawdy trzeba tylko czekać?

<sup>11</sup> Chodzi o [?] Rogowską [Rogoyńską?] [przyp. III].

Och, czekać, będąc pełnym lęku – cóż za zaprzeczenie godności ludzkiej. Działać, walczyć, bronić – a, to co innego. Ale czekać?

I ta przekłeta wyobraźnia. Ona nam mówi i pokazuje, że może być tak i inaczej, i jeszcze inaczej. Gdyby nie ona, przyjmowalibyśmy zdarzenia bez buntu, bo nie wiedzielibyśmy, że mogło być inaczej.

Ktoś tutaj gra na fortepianie. O, sztuko. Jest w tobie konieczność i ład – nie ma przypadków: jesteś ludzka. Skądże się bierzesz w świecie przypadków? Jakże to jest możliwe?

Och, jesteś nie tylko zwycięska, ale i smutna. Nie możesz nic więcej, jak tylko zestrajać przypadki. Dźwięki są zdarzeniami. Słowa są zdarzeniami. Są równie ślepe same w sobie, jak upadanie kamieni, jak śmierć, jak urodzenie. Konieczność i ład sztuki objawia się też przez przypadki. To także tylko dzwonięcie elektrycznych dzwonek.

Ale tutaj, w tym świecie, inne zwycięstwo człowieka jest możliwe. Uczynić z własnego życia taką muzykę – to jedyne możliwe zwycięstwo. I chociaż jest w tym smutek – jest też triumf.

## ROZRZUTNOŚĆ

*7 sierpnia 1942 roku, ruiny, godz. 11.20.*

Jacyśmi byli rozrzutni w tych dawnych, przedwojennych czasach. Tyle było tego wartkiego życia naokoło nas, a myśmy nie chodzili patrzeć na nie, nie nurzaliśmy się w jego nurcie, tylko odrzucaliśmy je na bok, siedząc w domu, czytaliśmy książki, rozmawiali, odpoczywali.

Dzisiejsze rano. Tak mnie korci, żeby wyjść na miasto. A przecież wiem, że nie znajdę tam nic prócz wojennej głuszy, wojennego zniechania. Wtedy zaś – ile ranków cudownie żywych i świeżych i wolnych, które spędzało się w domu, w bibliotece, w muzeum. Czy nie dostrzegaliśmy całego życia wokół nas?

Myślę, że to życie stanowiło istotny, ważny składnik naszych dni. Ale ważne było właśnie jako niebacznie ponieczone, odrzucone z niechcenia i niedbałe. Ta rozrzutność, to marnotrawstwo jest konieczne. Dzisiejsza niemożność rezygnacji z życia (ponieważ nie ma z czego rezygnować) nie tylko odbiera wszelki sens moralny naszej współczesnej ascezie, ale także uniemożliwia «używanie» życia, czyli – innymi słowy – życie samo. Czy to znaczy, że nie żyjemy teraz? Nie, żyjemy, i to bardziej bodaj intensywnie niż dawniej. Ale to życie jest chorobliwe. Jest to chorobliwa łapczywość na życie – ludzi śmiertelnie chorych na krótko przed skonaniem. Cała Polska jest jak *azyłom* chorych. Cały świat jest «zaczarowaną górą» Manna. Dość tego. Trzeba zdjąć ten czar; niech ustanie gorączka i bicie pulsów w skroniach.

## ŚMIERĆ

*Bez daty.*

*Il y en a des choses aux quelles on parvient mieux en ne les visant pas comme un but.*

Eugène Dupréel, *Traité de morale.*

To prawda, że chrześcijaninowi chodzi o dobrą śmierć. Ale katolicyzm nie jest bynajmniej ponury i żałobny. Przede wszystkim bowiem chodzi o życie. Życie jest naszym zadaniem – a nie umieranie. Śmierć nabiera znaczenia dopiero dzięki temu, że jest najważniejszą sprawą życia. To jest ostateczny akcent i – choć to brzmi paradoksalnie – punkt kulminacyjny życia. Rzecz w tym, aby żyć w ten sposób, żeby każdy moment był całkowi-

tym dziełem – by każdy mógł być ostatecznie wykończony przez ten akcent, tę kulminację. Śmierć ma znaczenie tylko jako wydarzenie życiowe. Inaczej nie można by wierzyć w życie przyszłe. Śmierć byłaby ostatecznym kresem. Otóż tylko o taką «dobrą śmierć» chodzi chrześcijaninowi. Ta śmierć może być zewnętrznie jakakolwiek – w łóżku, w katastrofie kolejowej, na wojnie, na szubienicy. To nie jest ważne, ponieważ w istocie zawsze jest jednakowa. "Dobra śmierć" – to nie znaczy "efektowna śmierć". Tu nie ma żadnych momentów aktorskich.

Otóż taka śmierć jest jedną z tych rzeczy, *aux quelles on parvient mieux en ne les visant pas comme un but*. Idąc na wojnę nie myśli się o śmierci. Myśli się o życiu. To łatwo sprawdzić. Oczywiście – śmierć figuruje w rachunku, ale tak samo, jak co dzień – jak kiedy idzie się ulicą wśród rozpedzonych aut. Tyle tylko, że ta pozycja rachunku na wojnie jest uświadomiona. Ma się świadomość możliwości kulminacyjnego momentu życia. Dlatego wojna jest wzmocnionym życiem. Dlatego, między innymi, sprowadzając wzmoczoną żywoność, powoduje gwałtowne, głębokie przemiany. Wzmoczone życie – wzmoczona twórczość. A twórczość jest istotą życia.

Świadomość śmierci zmusza do osiągnięcia w sobie dokonań. Dlatego chrześcijaństwo ją budzi. W ten sposób roznieca się cały człowiek. Żyje. A o to właśnie chodzi. Chodzi o życie.

Życie jest czymś tak ważnym i tak doniosłym, że KAŻDE życie (i każda śmierć) jest materiałem na wielkie dzieło. Każde życie – życie chłopca, życie urzędnika, życie uczonego, wielkiego pana, odkrywcy, żołnierza czy wodza. Te odmiany – to są tylko kwestie faktury.

Patrząc powierzchownie, można mniemać, że ta faktura jest najważniejsza. Że życie jest inne zależnie od faktury. Długi czas ulegałem temu złudzeniu. Zdawało mi się, że potrzeba faktury, aby życie było nadzwyczajne. Nie mylłem się tylko co do tego, że ono powinno być nadzwyczajne. To prawda. Ponieważ powinno być prawdziwe. Istotnie żywe. Powinno być naprawdę życiem. A to jest najbardziej nadzwyczajna rzecz na tym świecie. Ani biologia, ani filozofia nie potrafią tego wythunaczyć.

Teraz przekonałem się o tym, że środek ciężkości tkwi nie w fakturze, lecz w prawdziwości. Po to, żeby życie było nadzwyczajne, wystarczy, aby było prawdziwe – nie potrzeba jakichś efektów: jakichkolwiek «schematów stylowych», z legendy romantycznych poetów, z bajek o rycerzach, z awanturnych filmów, czy z *Tajnego detektywa*.

Można się jąć tylko rzeczy i spraw KONKRETNYCH, i tak czy inaczej POTRZEBNYCH (tego nie należy interpretować jako gruby utylitaryzm – są różne potrzeby, nie tylko materialne). W sformułowaniu negatywnym to brzmi tak: nie wolno imać się spraw nieokreślonych ani tylko efektownych. Co to znaczy "nieokreślonych"? Chodzi o mgliste «idee». Nie wolno np. «służyć ludzkości», a trzeba służyć człowiekowi, jeśli się go spotka w potrzebie. Ten człowiek jest zawsze konkretny; ma jakieś swoje, zabawnie swoje imię i nazwisko, własny kolor włosów, pusty brzuch czy zranioną nogę. Tak samo nie wolno «służyć Polsce», a trzeba wysadzić w powietrze ten a ten most, postawić tę a tę szkołę, napisać tę a tę książkę, przewieźć to a to tam a tam, przeprowadzić taką a taką ustawę itp. Służby mglistym ideom są niemoralne, ponieważ usypiają czujność na samego siebie, upoważniają do lenistwa, zamieniają życie w fikcję, stwarzają fałszywe mistycyzmy.

Ponadto człowiek uczciwy – np. uczciwy szewc – może się podejmować tylko konkretnych zadań, ściśle określonych i DORAŻNYCH: podzielić złoty but z lewej nogi. Sprowadziwszy rzecz do takiego przykładu trudno nawet znaleźć przeciwstawienie.

Ważna tu jest doraźność – całe życie jest sprawą doraźną i nagłą. Właśnie to sprawia śmierć.

Faktura nie jest najważniejsza, ale nie jest bez znaczenia. Każde życie musi mieć jakąś fakturę – tak, jak każde dzieło sztuki. Faktura zjawia się wraz z realizacją. Chodzi tylko o to, by nie od niej zaczynać i nie stawiać jej sobie jako cel. Ale ona nie jest obojętna. Każdy ma swoją fakturę. Swoją. Dlatego jeden jest podróżnikiem – inny chłopem, który nie wyrzał poza swój powiat. Obaj mają życie. CAŁE życie. Ale chcąc być prawdziwym, trzeba odnaleźć swoją własną fakturę. Tę jedyną, która jest niezastąpiona.

Kultura «zachodnia» szanuje człowieka. Dlatego taki fakt, jak niemożność wydania swoich pisanych dzieł, człowiek zachodni rozumie jako nieszczęście. To nie jest imponujące, ale wstrząsające – tak jak np. ślepotą. Jest imponujące tylko o tyle, o ile ślepiec jest imponujący w swojej ślepotcie. Sama ślepotą jest po prostu tylko straszna, smutna, okropna.

Porównanie niemożności pisania ze ślepotą tylko wtedy jest «proporcjonalne», jeśli pisanie jest potrzebą równie naturalną, jak patrzenie. I równie konieczną. Jeśli się pisze nie dlatego, że się może pisać, ale dlatego, że się nie może nie pisać.

Pisać powinno się właściwie tylko w tym wypadku.

Co do naszej rozmowy – nie uwzględnił Pan<sup>12</sup> jednego ważnego momentu: że rozmawiając z Panem, ja właśnie CHCĘ reagować na wszystko BEZPOŚREDNIO i AUTENTYCZNIE.

Sytuacja nie była zupełnie *fair*, ponieważ ja nie otrzymałem wyzwania. To była zasadzka. Dlatego nie czuję się pokonany. Moje «dzianie się» było autentycznym działaniem się, choć nie było zabawą w Indian, która to zabawa może się wydawać bardziej czynna. To właśnie tylko różnica faktury. Życie może być pełnowartościowe niezależnie od faktury.

Jeśli Pan widzi, że maluję farbami olejnymi, nie może Pan mieć pretensji, że nie wychodzi z tego akwarela. Jeśli Pan chce, żeby wyszła akwarela, trzeba po prostu przy zamówieniu powiedzieć – żebym wziął te właśnie farby wodne, nie olejne.

Inna sprawa, że Pański eksperyment był całkowicie *legitimate*. Tyle tylko, że przy analizie tego eksperymentu pominął Pan jeden ważny moment. Robię Panu zarzut tylko metodologiczny, i to nie co do przeprowadzenia eksperymentu, ale co do analizy jego wyniku.

Jaka jest moja właściwa faktura?

Otóż jest ona niewątpliwie specyficznie moja i niepowtarzalna, jak każda autentyczna faktura. Mimo wszelkich trudności życiowych, których, jak Pan wie, nigdy mi nie brakło, ta faktura jest realizowana. Nie wyobrażam sobie, aby mogło istnieć coś, co by tę fakturę mogło zmienić. Ona zależy ode mnie. Jest wynikiem mnie. Ja zaś jestem nauczony znajdować miejsce mimo wszystko. Nie wiem, czy Pan zauważył, jak bardzo jestem zawsze niezależny.

To ostatnie poruszam dlatego, że [jeśli] interesuje się Pan mną od dłuższego czasu, to wynikać to może z dwóch założeń.

Albo każdy człowiek nadaje się do wszystkiego (można go nauczyć) i wobec tego o wyborze człowieka decyduje wartość charakteru. W takim razie tym, co zciągnęło na mnie uwagę Pana, jest charakter.

Albo ludzie różnią się między sobą nie tylko charakterem, ale ponadto kwalifikacjami do różnych działań. W takim wypadku wchodziłyby w grę nie tylko charakter, ale także i kwalifikacje moje.

<sup>12</sup> Por. przyp. 10.

Ponieważ druga teza wydaje się rozsądniejsza, sądzę, że mimo stałej krytyki, widzi Pan we mnie jakieś szczególne kwalifikacje.

Wydaje mi się, że gdy chodzi o eksploataowanie ludzi do jakichkolwiek celów, możliwe są dwa sposoby, odpowiadające powyższej alternatywie.

Albo naginanie człowieka do zamierzonego celu przez odpowiednie kształtowanie go – takie mianowicie, aby nawet i wbrew samemu sobie funkcjonował odpowiednio do zamierzonego celu.

Albo wybór ludzi w naturze usprawnionych do tego celu – tak, aby eksploataowanie ich nie było gwałceniem ich natury, ale pełną realizacją jej. Wtedy osiągnięcie celu jest dla tych ludzi ICH OSOBIŚCIĄ sprawą, która nie jest im narzucona, i którą rozwiązują w sposób egoistyczny (w dobrym sensie).

## NAPIĘCIE

2 lipca 1943 roku, [Gibraltar,] ok. godz. 10.

Od wczoraj zaczęło się coś dziać w moim osobnym wątku. Przyszły z daleka zapytania i polecenia, żeby "as quick as possible"... Teraz tylko czekam, każdej chwili gotowy do drogi. Mam już dosyć obecnego ekspe...

4 lipca 1943 roku, [tamże,] ok. godz. 11.

Dwa typy rozmowy polegającej na sporze.

(1) [Rozmowa] polegająca na «wyrażaniu», *ekspresyjna*.

Chodzi o to, żeby rozładować swoje napięcia emocjonalno-myślowne (przy czym myślowe pozostają w stadium irracjonalnym niedoświadczania); o to, żeby się wygadać. Tu stosunek partnerów jest utarczką, pojedynkiem. Chodzi o to, żeby zyskać osobistą przewagę. Sprawa wyladowania się, to sprawa osobista – osobista potrzeba biologiczna. Przewagę uzyskuje się tu przez energię psychiczną – chodzi o to, by mieć więcej tej energii. W postaci wytwornej rozmowa tego typu jest pogodną grą; w postaci wulgarnej jest «przekrzykiwaniem się». Wtedy nieraz dochodzi do użycia siły fizycznej, gdy zabraknie energii psychicznej.

W rozmowie takiej zawsze jest wygrywający i «przeegrany» – na tym polega wynik rozmowy. Gra słabości i siły.

(2) [Rozmowa] polegająca na porozumiewaniu się, *refleksyjna*.

Tu nie chodzi o sprawy osobiste, ale ponadindywidualne – o prawdę. Wynikiem takiej rozmowy jest teza, uznana przez rozmawiających za prawdziwą. Nie ma tu pojedynku. Emocjonalne napięcia nie mają tu udziału. Nie gra roli «energia» psychiczna, lecz obiektywne pojęcia i tezy. *Ścierają się czynniki obiektywne – nie subiektywne*. Stąd potrzeba definicji, spokojny tok rozmowy, uważne słuchanie rozmówcy (gdy w rozmowie pierwszego typu słucha się uważnie rozmówcy, bywa to podstępem, czajeniem się lub gestem okazywania łaski, co też jest manifestacją własnej siły). Zupełnie brak argumentów *ad personam*.

W pierwszym wypadku – język artystyczny (poza logiczną wartość słowa).

W drugim – język logiczny (logiczna wartość słowa).

4 lipca 1943 roku, [tamże,] godz. 18.00.

No, ten etap się kończy i to w sposób nadspodziewanie efektywny. Dziś wieczór opuszczam Gib[raltar]. Boję się, że dostanę rугę od starszego pana<sup>13</sup> za moją rozmowę

<sup>13</sup> Chodzi zapewne o gen. Władysława Sikorskiego (zryp. III).

w Madrycie. Ale będę się bronił. Co najważniejsze, rysują się pomyślne perspektywy na przyszłość [...]. Nie mogę pisać, tyle się we mnie kłębi uczuć i myśli. Nareszcie osiągnąłem ten stopień napięcia życia, że unieвозмоżliwia ono autorefleksję. Dopiero kiedyś później potrafię może – i będzie to stokroć bardziej upajające – opisać dziejące się dziś zdarzenia – dnia 4 lipca 1943, w niedzielę, około godz. 17

\*\*\*

KOMISJA LIKWIDACYJNA  
POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH  
Sekcja "S"

L.dz.69/Sekcja "S"/47  
Londyn, dnia 30.I.1947 r.

Pani Alicja IWANŃSKA  
New York, 7 N.Y. U.S.A.  
500<sup>1/2</sup> Riverside Drive,  
International House, Room 833

List Pani z dnia 25.I.1947 r. otrzymałem i podaję Pani okoliczności, w jakich zginął mąż Pani, śp. Jan Gralewski.

Śp. Jan Gralewski, jako kurier Armii Krajowej, wysłany był z Kraju do Anglii. Przez Niemcy, Francję, Hiszpanię i Portugalię dojechał on do Gibraltaru w końcu czerwca 1943 r.

Naczelnny Wódz – śp. gen. Sikorski – wracając z Bliskiego Wschodu do Anglii zatrzymał się w Gibraltarze i śp. mąż Pani zameldował się u niego i odbył z generałem dłuższą rozmowę, po której gen. Sikorski postanowił zabrać ze sobą samolotem do Anglii męża Pani.

O zmroku dnia 4.7.1943 r. samolot wystar tował z lotniska w Gibraltarze i po przelecieciu kilkuset metrów wpadł do morza. Mimo natychmiastowej pomocy, z wyjątkiem ранnego pilota, nie zdołano nikogo więcej uratować z pasażerów i załogi samolotu. Wszyscy zostali zabici, względnie utonęli w samolocie.

Zwłoki męża Pani po wyłowieniu z morza zostały pochowane w Gibraltarze.

Polski oficer łącznikowy w Gibraltarze, por. Ludwik Łubieński, zabrał rzeczy, które znalazł przy śp. mężu i stąd rzeczy te zachowały się.

Jedynym polskim świadkiem katastrofy był właśnie por. Łubieński, który był przy odlocie samolotu.

Metrykę śmierci męża Pani wystawiły Władze Brytyjskie w Gibraltarze.

Jedną kopią metryki, z przeznaczeniem dla Pani, posłałem do Kuratora Mas Spadkowych, Dr. K. Poznańskiego, prosząc go, by przesłał ją Pani wraz z przedmiotami po mężu.

KIEROWNIK SEKCJI "S"  
Komisji Likwidacyjnej P.S. Zbr.  
(JÓZEF) HARTMAN  
ppłk.)

## NIENAWIŚĆ, ŚMIERĆ I WOJNA

### I. O NIENAWIŚCI, OKRUCIEŃSTWIE I ABSTRAKCJI

*Wiadomości Polskie Polityczne i Kulturalne* (Londyn)  
r. 1/1940 nr 10 s. 3

#### 1

Nienawidzę totalizmu i za to także, że nauczył mnie nienawiści. Nienawiść do zła jest – zapewne – uczuciem «szlachetnym» i «sprawiedliwym», ale czy można bezkarnie wyzwolić szlachetną nawet nienawiść? Czy uczucie to – raz rozpętane – przez samą swoją dynamikę nie wyzwala w nas równocześnie innych uczuć – potępionych? Worka, w którym Eol zamknął wiatry, nie można otworzyć po to tylko, by jeden jedyny pomyślny wiatr uderzył w żagle. Złe wiatry wyrwyją się równocześnie z otchłani magicznego worka, strzepią żagle i mącą powierzchnię wód.

„Nienawidzę.” „Mam prawo do nienawiści.” Budzę się co dzień z tym uczuciem.

Wiatr zwił ze stołu ćwiartkę papieru. Schylam się. Heż gniewu w tym ruchu. Nie! – to nie zwykłe zniecierpliwienie, *agacement*, na które nikt dziś pozwolić sobie nie może. W każdym ruchu, w każdym słowie dochodzą do głosu potępione, na dno świadomości zepchnięte uczucia, wyzwolone przez prawo do nienawiści.

Totalizm zniekształca nie tylko dusze swoich wyznawców – zatrzuwa nienawiścią, a więc zniekształca i dusze tych, którzy usiłują mu się przeciwstawić; tych, którzy podjęli z nim szlachetną i sprawiedliwą wojnę. Jest to żelazny wiek ludzkości:

*... fugere pudor verumque fidesque  
in quorum subiere locum fraudesque dolique.  
Insidiaeque et vis et amor sceleratus habendi.*

Jest to żelazny wiek ludzkości i skrwawiona bogini Pallas – potrząsa chrześzczącą zbroją.

Tragizm leży w tym, że nienawidzę, że jestem zatruty, że cierpię nad tym – i że dumny jestem z nienawiści, która chroni mnie od grzechu «letności».

#### 2

Ci, co z rąk gniewnej bogini przyjęli chrześzczący oręż, ci, co walczą, wolni są od grzechu nienawiści. Sublimują ją w walce. Ale jakże straszny jest los jednostek i narodów skazanych na bezczynność. Niesublimowane uczucia zniekształcają osobowość, deprawują i zaprawiają sadyzmem wyobraźnię. Prawo do nienawiści wyzwala sadyzm i drapuje go w tożę kodyfikatora.

Ci, co skazani są na bezczynność – w sensie walki bezpośredniej – mogą znaleźć ratunek w cierpieniu. Cierpienie jest nie tylko ratunkiem – jest obowiązkiem tych, co nie walczą.

"Uspokój się. Cierpienie twoje nie zmieni biegu historii, i dlaczego zaraz łamać przysłowiowe krzeselko?" – tak mówią obserwatorzy zdarzeń...

Tchórzostwo, wygodnictwo moralne i megalomania.

Roł się od tych zaestetyzowanych komiwojażerów intelektualnych, od tych intelektualnych subiektów, którzy «pracują w kulturze», tak jak pracuje się w towarach «tokiowych», z metrem składanym w kieszeni, z ołówczkiem za uchem. Chcą czytać «wojnę», tak jak się czyta książkę, zaznaczając na marginesie paznokciem «ciekawsze» fragmenty. Sprawy tego świata sądzą z wysokości swego pseudointelektualizmu. Im więcej obojętności na sprawy tego świata, tym więcej dumy, tym więcej zarozumiałości. Ci ludzie dumni są z tego, że w mieście spalonym nie trupy widzą, ale stokrotkę między niedopalonymi, szerniałymi belkami. A potem ze stokrotką w butonierce spacer po świecie w poszukiwaniu nowych, «interesujących» objawów szaleństwa. Bo to, co dla nas jest walką o zbawienie, dla nich jest mniej lub więcej ciekawym obłędem.

Czy chcą zbawić duszę, czy bawić duszę? "Ale co zrobimy z tymi, co umarli za życia, co nie należą ani do przeszłości, ani do współczesności, co nie są ani poganami, ani chrześcijanami?" (Péguy).

Ci, co z rąk gniewnej bogini nie otrzymali chrześzczącej zbroi, ci, co skazani są na bezczynność, muszą cierpieć, aby cierpieniem oczyścić się z grzechu nienawiści, aby brać udział w dramacie, który się rozgrywa. Jeśli już – siłą rzeczy – są widzami, niech będą jak widzowie średniowieczni, którzy na widok Heroda w jasełkach wołali: "Powieś go, powieś!" Musimy uwierzyć w rzeczywistość jasełek, na które zwołał nas czas, musimy uwierzyć w realność śmierci z kosą, która przechadza się wśród stokrotek i popiołów. Musimy uwierzyć w realność Heroda i wołać: "Powieś go – powieś".

– Powieś go!

I dlatego dumny jestem z nienawiści, która mnie zatruwa, i modłę się o cierpienie, które by oczyściło mnie z grzechu nienawiści.

### 3

«Obserwatorzy życia» operują często argumentami historyzmu. Historyści mają czas. Mierzą czas wiekami: "tendencje dziejowe dojrzewają, giną, ustępują miejsca innym, i tak, *mutatis mutandis*, rozwija się ludzkość. I dalej: jest szczególna megalomania w przeświadczeniu, że czas, w który zostaliśmy uwikłani, jest właśnie ważny, ostateczny, że nosi na sobie piętno eschatologii. A więc... uspokój się, cierpienie twoje nie zmieni biegu historii, i dlaczego zaraz łamać krzeselko?"

Chrześcijanie nie mają czasu, stoją wobec wieczności, ale czas mierzą tą skromną ilością lat, które mają wypełnić w życiu doczesnym. Chwila, w której żyję, jest istotnie najważniejsza: jedynie w tym wąskim wycinku czasu dysponuję sam sobą, mam wolność wyboru między dobrem a złem. Gdy przekroczę wyznaczone mi granice, znajdę się wobec sądu, który nie zna omyłek. Będę zawieszony między zbawieniem a potępieniem. Czyż chwila, w której żyję, działam, nienawidzę i cierpię, nie jest najważniejszym momentem w dziejach i czy nie warto złamać przysłowiowego krzeselka?

Argumenty historyzmu są często podbudową pod teorię *beau geste*. Jakże by to było pięknie na ławie oskarżonych w dolinie Jozafata spokojnie przetrzeć szkła okularów i z ciekawością spojrzeć w oczy Ostatecznemu z Sędziów. Sen ten często nawiedzać musi «obiektywnych obserwatorów życia». Byłby to *beau geste* godny szubienicznika z opowieści Brantôme'a – czy śmierć wybrać, czy brzydką kobietę.

Wielbiciele *beau geste'u*, estetyści z argumentami historyzmu w kieszeni, zdają się zapominać o jednym: można oto spokojnym ruchem przetrzeć szkła, spojrzeć w oczy Ostatycznemu z Sędziów – i wyczytać w nich potępienie.

Więc warto – warto złamać przysłowiowe krzeselko: nienawidzić, cierpieć i ustrzec się grzechu letniości.

4

W argumentach historyzmu czai się okrucieństwo. Relatywistyczny historyzm prowadzi często do zimnego pięknoduchostwa. Historyzm racjonalistyczny typu Hegla prowadzi do okrucieństwa. Nie Tamerlan, nie markiz de Sade, ale Hegel był największym okrutnikiem, jakiego znają dzieje. Hegel ze swoim abstrakcjonizmem, ze swoją bezosobową konstrukcją dialektycznego rozwoju. Jednostka to tylko kurz osadzający się na wypolerowanych trybach historycznego arytmetru. To tylko kurz, który się zmiata niedbałym ruchem ręki. "Nie nie wysusza serca tak, jak abstrakcje" (Napoleon). A w wojnie dzisiejszej ściera się właśnie abstrakcja zbiorowości z rzeczywistością jednostki.

Roślina, która dojrzewa, zsyca się, traci zieleni, ale równocześnie obnaża swój kośćiec spleciony z trwałszych włókien i wydaje nasienie. Wojna dzisiejsza nie jest tak barwna, jak wyprawy Napoleona, które należą jeszcze do cyklu awanturniczych wojen trojańskich. Ale wojna dzisiejsza jest bardziej zasadnicza. Właściwe cele i motywy działań wojennych stają się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej uchwytnie. W subtelnej tkaninie dziejowej spleły kolorowe nici, którymi wyszyto helm Achillea i dzieje wypraw Argonautów. Barwne włókna zetlały, wykruszyły się – odsłoniła się mocna kanwa ideowa. Bo wojny nie prowadzi się ani o naftę, ani o Helenę, ale o pogląd na świat. Nafta, to tylko potężny środek w wojnie, która się toczy o koncepcję życia; o koncepcje, które chce się narzucić, których chce się bronić. Ci, co by twierdzili, że w rozgrywkach o Turcję chodzi wyłącznie o pozycje strategiczne i gospodarcze, byłiby równie śmieszni jak ci, co w manewrach von Papena chcieliby widzieć zabiegi o rękę Heleny trojańskiej.

Jak wiek homerycki, który stworzył mit wojny o kobietę, podobnie wiek XIX stworzył mit wojny o naftę.<sup>1</sup> Pod pozorem «odklamania» dziejów usłowoano w nas wmówić, że podstawą przemian dziejowych są wartości gospodarcze.

Powtórzmy więc: wojen nie prowadzi się ani o zboże, ani o naftę – nafta jest tylko koniecznym, potężnym środkiem w wojnie, która się toczy o taki, a nie inny pogląd na świat, o taką, a nie inną koncepcję życia. W przemianach dziejowych, w które zostaliśmy uwikłani, odsłoniło się teoretyczne podłoże walk gospodarczych i zbrojnych. Jesteśmy uwikłani w wojnę, która toczy się między rzeczywistością i abstrakcją – między jednostką a zbiorowością. I dlatego ta wojna jest tak okrutna. I dlatego jest tak ważna. Bo tylko jednostka jest rzeczywista, tylko jednostka jest nieśmiertelna – tylko przed nią otwarta jest wieczność. Zbiorowość – rasa, naród, klasa – może być długowieczna, nigdy – wieczna. Dzieje każdej zbiorowości kończą się u wrót doliny Jozafata.

<sup>1</sup> Mógłby ktoś złośliwie zauważyć, że Achilles antycypuje w *Iladzie* materialistyczną interpretację wojny. "Jam tu nie przyszedł gwałt Trojan kopijników, bo mi nigdy nie brali ni wołów, ni koni" – mówi Achilles wściekły na Agamemnona, ale wiemy przecież, że cała zfera, tj. wsłabłość Achilla, rozpadła się z powodu Bryzeidy. Ładnie zresztą Achilles wyszedł na neutralność.

Wróćmy do okrucieństwa, do innej – niż dialektyczna – formy abstrakcyjnego sadyzmu. "Zabawne słowo: "człowiek" – pisał przed laty de Maistre, obłąkany wyznawca obłąkanego nacjonalizmu – zabawne słowo "człowiek"! Nie spotkałem nigdy człowieka. Spotkałem tylko Włochów, Rosjan czy Francuzów." Dla de Maistre'a i szkoły, do której należał autor *Pochwały kata*, jednostka była fikcją – rzeczywistością była zbiorowość: naród.<sup>3</sup>

Oto fragment z *Wieczorów petersburskich* de Maistre'a:

Nie wątpię, Panowie, że zbyt jesteście wdrużeni w rozmyślenia, by nie zdarzyło się wam rozmyślać o KACIE. Czymże jest ów niepojęty stwór, który wybrał zawód dręczenia i uśmiercania swoich bliźnich, mając tyle zawodów popłatnych do wyboru, dających pole sile i zręczności. Jego serce, jego mózg, czyż są podobne naszym mózgom, naszym sercom? Czy nie zawierają nic szczególnego i obcego naszej naturze? Co do mnie, nie umiem o tym wątpić. Jest zewnętrznie podobny do nas; rodzi się tak jak my, lecz jest istotą niezwykłą, i na to, by się znalazł wśród rodu ludzkiego, potrzebny jest dekret szczególny, *fiat sily stwórczej*. Został stworzony jak świat.

Rozważcie, czym jest w opinii ludzkiej, i spróbujcie zrozumieć, czy może być nieświadom tej opinii i czy może jej stawieć czoła. Za ledwie władza wyznaczy mu mieszkankę, a już inne domostwa odsuwają się, aż stracią je z oczu. Wśród samotności, wśród próżni wytworzonej wokół siebie, żyje sam ze swą samcią i małymi, które uczą go głosu ludzkiego. Gdyby nie oni, rozpoznawałby tylko jęki.

Dano już znak potury: służalec prawa puka do jego drzwi – wyrusza, przybywa na plac publiczny wypełniony tłumem stłoczoną, i drżącym. Rzucają mu na postwę truciela, ojcobójcę lub świętokradcę: chwytą go, rozciągają, wiąże na krzyżu poziomym, podnosi rękę. Nastaje cisza przeraźliwa i słychać jedynie chrzęst kości trzaskanych drgiem i wycie ofiary. Odwiązując ją, niesie na kolo: połamane członki płaczą się w szprychach, głowa zwisa, włosy jeżą się, a usta otwarte jak czeluść wyrzucają krwawe słowa, które wzywają śmierci. Skończył – serce mu bije, ale to z radości; jest zadowolony z siebie (mówi: "Nikt nie łamie kołem kępiej niż ja"). Schodzi: wyciąga okrwawioną rękę, a sprawiedliwość rzuca mu z daleka kilka sznuk złota. Unosi złoto krocząc między sąpalerem ludzi, którzy usuwają się ze zgrozą. Zasiada za stołem i je. Potem do łóżka – śpi. Nazajutrz budząc się nie myśli zgola o tym, co robił wczoraj. Jesteś człowiekiem? Tak: Bóg przyjmuje go w swoich świątyniach i pozwala się modlić. Nie jest złodniarzem, a przeczładź ten język nie potrafi powiedzieć, że jest coolliwy, uczciwy, godny szacunku. Żadnej moralnej pochwały nie można by było znaleźć, bo każda pochwała zakłada jakieś stosunki z ludźmi – kat nie ma żadnych.

A jednak wszelka wściekłość, wszelka władza, wszelka dyscyplina wspierają się na oprawcy. On jest grozą i więzią społeczeństwa. Odbieracie światu tego niepojętego wykonawcę sprawiedliwości, a chaos zajmie miejsce ładu, zwalą się trony i runie społeczeństwo. Bóg, który jest twórcą władzy, jest też twórcą kary – rzucił naszą ziemię między te dwa bieguny.

Gdy tłumaczyłem tę *Pochwałę kata*, miałem wrażenie, że mam palce poplamione krwią. Trzeba zanalizować ten fragment niezależnie od całej konstrukcji teoretycznej rozwiniętej przez de Maistre'a, niezależnie od wiary i historyzmu, który był podstawą szkoły «tradycjonalistów». Trzeba przeczytać ten fragment tak, jak się czyta wiersz, trzeba go zanalizować stylistycznie, by dotrzeć do źródeł twórczości de Maistre'a. Tym źródłem jest sadyzm. Gdyby było inaczej, fragment ten nie miałby tej potęgi wyrazu, nie byłby tak mocny artystycznie... Zdania są «napięte» do ostateczności; lada chwila, a słowa wyłamują się z reguł składni, jak ramiona skazańca ze stawów. Spoza maski tzw. «wyższych racji», spoza konstrukcji pojęciowej teoretyka nacjonalizmu, wylania się twarz sadysty. Teraz już rozumiem, dlaczego de Maistre pisał gdzie indziej o preróżnych metodach chłosty i niezrównanych zaletach rosyjskiego knuta: dla de Maistre'a jednostka była fikcją. "Przedziwne słowo: – "człowiek"! Nie spotkałem nigdy dotąd człowieka!"

<sup>3</sup> Mówię o tzw. szkole «tradycjonalistów», Francja, która w dziele Pasteura nauczyła się leczenia wścieklizny przez szczepienie zmniejszonych dawek groźnej choroby, dzięki szkole «tradycjonalistów» uwolniła się od wszelkich przerostów nacjonalizmu. Ten dąsżyk wścieklizny, zastosowany w pierwszej ćwierci XIX wieku, okazał się – jak wtemy – zbawenny w skutkach.

Największy błąd w ocenie człowieka popełniamy wtedy,  
gdy chcemy w nim widzieć istotę albo z gruntu dobrą,  
albo z gruntu złą.

(Vauvenargues)

«Teoria kata», która w oprawcy widzi metafizyczną podstawę ładu na tym świecie, jest wyrazem pesymistycznej oceny jednostki. Człowiek jest słaby, tworzy prawa po to, aby je łamać. Człowiek jest zły i dlatego trzeba nim rządzić żelaznym drągiem. Ta miła sercu de Maistre'a mądrość dyktatorów jest odreagowaniem na osiemnastowieczne optymistyczne złudzenia w ocenie jednostki. Człowiek «z natury» dobry i zdolny do stanowienia o sobie, olśniony rolą prawodawcy, zajął się nie sobą, ale sumieniem bliźnich i z dzieciinną radością pociągnął za sznurek od gilotyiny. Człowiek jest zły, rozumował – sądząc zresztą po sobie – de Maistre, wielki mistrz francuskiej kontrrewolucji. Człowiek jest zły, dlatego... że myśli. Intelkt szyje koncepcję «na wyrost», rozwija w jednostce przeświadczenie o jej rzekomej wielkości, i kupie gnoju, którą jest człowiek, przypisuje boskie kompetencje. Rozum jest źródłem wszelkiego zła, twierdził de Bonald, starszy «kolega» filozoficzny de Maistre'a. «Grecja, ongi naród atletów, upadła przez uprawę filozofii»...

Upadła! Z wyżyn stadionu sportowego na niziny Akademii! To wylania się nowe przeciwstawienie: antynomia instynktu i myśli. Kto myśli – ten się waha; kto się waha – ten jest słaby. Jednostkowemu z natury swej intelektowi należy więc przeciwstawić się zbiorowego instynktu, który determinuje rozwój społeczeństw i jednostek.

Tak zarysowują się trzy klasyczne antynomie nierozłącznie związane z zagadnieniami totalizmu, z zagadnieniem jednostki i zbiorowości:

optymizm – pesymizm,  
intelekt – instynkt,  
wolność – konieczność.

Totalizm opowiada się za zbiorowością w imię instynktu powszechnego jako źródła siły, w imię determinizmu jako nieuchronnej konsekwencji niezmiennych cech rasowych, w imię pesymizmu w ocenie indywidualnej wartości człowieka.

Podsumujmy: zbiorowość, instynkt, determinizm, pesymizm, to podstawy tej koncepcji życiowej, z którą jesteśmy w wojnie. Taka jest trwała kanwa dziejowa. Śledząc drogi wybiegów dyplomatycznych i spekulacji gospodarczych, gubimy się tylko w zawitych ściegach krzyżowych tkaniny historycznej.

Rozmowa Sokratesa z Kalliklosem, doprawdy, ważniejsza jest od tych rozmów, które przeprowadził niedawno w Europie delegat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Trzeba przyznać, że Kallikles, jak przystało na greckiego «degenerata», to «pan całą gębą». Nie mam, niestety, pod ręką *Gorgiasza*, aby rozwinąć cały bezmiar olśniewającego chamstwa, którym grecki sofista czaruje po dziś. Jest pewna wielkość w jego oświeconej brutalności, pewna wziętość w jego nihilizmie. Nietzsche, arogancki i pozbawiony smaku uczeń Kalliklesa, to po prostu smarkacz wobec greckiego mistrza, który na polach elizejskich wali zapewne nadczłowieka linijką po łapach. Jak przystało na nauczyciela. I z całym poczuciem humoru. Kto wie, czy przede wszystkim tym poczuciem humoru Kallikles nie góruje nad Nietzschem. Humor strzeże od historii i sprowadza rzeczy tego świata do

właściwych wymiarów. Jakże nisko upadło (nawet!) chamstwo. Jakże się zdegenerowało nieprześwietlone poczuciem humoru i smaku. Wyobraźmy sobie Kalliklesa na premierze opery wagnerowskiej – oszalałby ze śmiechu.

Sokrates jest intelektualistą: dobrze sądzić, to znaczy dobrze czynić. Wiedza i cnota to jedno.

Kallikles bawi się, ziewa, rozumuje, wreszcie wybucha: bujne, szerokie życie bez hamulców i pana nad sobą, to dobro, to cnota. Reszta to błyskotki i zabawki. A kto by się filozofią zajmował, kije dać takiemu jegomościowi, mój Sokratesie.<sup>3</sup> Intelkt to broń słabych. A słabych kopie się i depce. Iść za żądzą, za prądem, to wielkość, to dobro. "Bo człowiek – mówi Kallikles – podobnie jak inne zwierzęta..."

Arystotelesowska definicja człowieka jako zwierzęcia rozumnego jest jakby kompromisowym rozwiązaniem sporu. W istocie nie jest to «biały pokój», i palmę zwycięzcy otrzymał Sokrates: człowiek jest gatunkiem rodzaju *zwierzę*, lecz rozum jest tzw. różnicą gatunkową, «formą», która go różni od zwierząt.

Ale spór trwa. Oto pilni uczniowie Kalliklesa poprawili mistrza: doświadczenie historyczne i psychologiczne wykazało, że jednostka, taka jak ją grecki sofista pojmował – bez hamulców i pana nad sobą nie może znieść dynamiki własnych pragnień – ginie lub zaczyna... myśleć.

I dlatego pilni uczniowie Kalliklesa przenieśli akcent ze «słabej» jednostki na «mocną» (bo wolną od wyrzutów sumienia) zbiorowość. Pojęcie nadczłowieka zastąpiono w ostatnich czasach pojęciem nadnarodu.

Wchodzimy więc – jak się zdaje – w okres nowych rozgraniczeń. Może «wolność» stanie się różnicą gatunkową, «formą», która różnić będzie człowieka od ludzi, podobnie jak mądrość, która wyodrębniła go ze świata zwierząt.

\* \* \*

Człowiek nie jest ani «z natury» dobry, ani «z natury» zły. Może stać się dobry i może stać się zły.

A więc – *A vous de choisir – souscrivez aux bons d'armement! – Souscrivez.*

Aby przez wolność myśli rozwijać intelekt, aby przez wolność intelektu przewyciężyć determinizm. Aby przez zwyciężenie biologicznego determinizmu stworzyć podstawy pod optymistyczną ocenę jednostki – aby zwyciężyć abstrakcję, okrucieństwo i nienawiść.

## II. ŚMIERĆ

"Uwagi", *Nowa Polska* (Londyn)  
r. 6/1946 z. 9-10, s. 513-519

Przyszłość jest dziś bliższa niż przeszłość. [ęgnamy się dziś z przeszłością. Dostrzeżemy ją po latach wyraźniej, ocenimy sprawiedliwiej, ale że optymistyczna skłonność pamięci zwykła idealizować czas miniony, historycy oceniają lata międzywojenne z pobłażliwością, na którą nas nie stać.

*Tout comprendre c'est tout pardonner.* Ile niebezpieczeństw w tej maksymie, nie tyle z chrześcijaństwem związanej, ile z intelektualizmem etycznym starożytnych...

<sup>3</sup> Ten szczyt chamstwa: "Ja ciebie nawet lubię – mój Sokratesie"...

Jeśli wybaczać – to w imię miłości, a nie w imię zrozumienia «motywów». Każdy czyn ma swoje motywy *implicité* zawarte w strukturze dokonanego czynu. Nie wynika z tego, aby każdy czyn był dobry, czy zasługiwał na pobłażanie. Gdybyśmy wszystko nawet mogli zrozumieć – to nie wszystko zechcemy wybaczyć. Szczególnie dziś, «na gorąco», w stanie «afektu». Jest zapewne w tym stanie skłonność do szybkich, zbyt szybkich sądów, ale jest też w afekcie ta sama jasność widzenia, z którą oceniamy błyskie niebezpieczeństwo. Po chwili dopiero – z gasnącym afektem, z minionym niebezpieczeństwem – pojawia się rezonerstwo i rozumowanie, które wprowadza do sądów i działań szereg trafnych korektyw, dobroczynnych dla myśli (jak zielone szkła dla zmęczonych wzroku). Ale gaśnie z tą chwilą precyzja i szybka selekcja w ocenie faktów, którym czas użycza łagodnej barwy śniedzi.

Gardząc czasem obrazilibyśmy najtrudniejszą może z cnót: cierpliwość. Pozbawieni historycznego myślenia, zwichnęlibyśmy jedność naszej osobowości gasząc pamięć i staliibyśmy się podobni do tych, którzy w imię niepewnej przyszłości wyżywają się w niszczeniu tradycji. Zapewne. Niemniej – jak się zdaje – nie wolno nam nie doceniać wartości spostrzeżeń «na gorąco».

Żegnamy się dziś z przeszłością. Jeśli gniew ma jasność spojrzenia i sprawiedliwość ocen, to w tym samym stopniu gniew pozwoli dostrzec to, co przeoczy pobłażliwe jutro. Gniew zniekształca układ zdarzeń i zestawia je w fałszywych proporcjach. Obraz świata, któremu afekt użyczyć może «ostrości», przypomina wypukłe zwierciadło: wyolbrzymia kształty skupione w ośrodku afektu i zwięża je w kierunku obwodu świadomości.

Poczucie humoru jest najlepszym korektorem gniewu: chroni od hysterii i sprowadza rzeczy tego świata do właściwych rozmiarów. Prawdziwy humor jest ostrożny i nie lubi przesady, choć tak chętnie operuje rytmem opery «buffo», karykaturą i szarżą. Mówi o tym mądrość starożytnych: Arystofanesa, Apulejusza i Lukiana – mówi o tym kultura humanistów: Erazma i Rabelais'go – mówi o tym intelektualizm ludzi Oświecenia: Woltera, Krasickiego czy Swifta. Humor, nawet w brutalności Arystofanesa i mizantropii Swifta, nie jest czyniś obcym humanizmowi. I dlatego, mówiąc o czasach, w których się żyło, warto mieć pod ręką *Pana Tadeusza* i *Klub Pickwicka*, jako że nie ma trafniejszego sądu bez korekty humoru, a prawdziwego humoru bez dobroci.

Właściwy Józefowi Piłsudskiemu zmysł humoru – nieraz drapieżny i zgryźliwy – był może jednym z elementów jego politycznej mądrości. Gdyby Prusacy nie mieli dowcipu równie ciężkiego (jak ich grzechy – inne, pogodniejsze byłyby dzieje Europy). Jakże nam brakło prawdziwego poczucia humoru, który by wybuchem śmiechu w rytmach Rossiniego przerwał drzemkę zwycięzców i okrutne sny pokonanych. Z jednej strony ponura, zwierzęca powaga totalistycznych najeźdźców – z drugiej ptasie, głupie dowcipnisiostwo parlamentarzystów, kiepskich uczniów z natury rozmownego Figara.

A zresztą jakże zrozumieć bez poczucia humoru czas, który był może równie groteskowy jak tragiczny? Tak jak śmiesz nas zamaszysty idiotyzm czasów saskich, tak, być może, śmieszycie będzie przyszłe pokolenia obraz społeczeństw zachodnioeuropejskich w okresie międzywojennym. Może rozgrzeszy go nawet po latach uśmiech francuskiego czy angielskiego Chodźki. Nie będzie w tym śmiechu nic z brutalnego poczucia wyższości. Nie ma okrucieństwa w śmiechu, który wzbudza Molière, choć tak tragiczni są jego bohaterowie.

Jest coś prawdziwie zabawnego w zrekonstruowanym szkielecie mastodonta – «nieudanego» dzieła przyrody. Zjawisko kontrastu (*pariuntur montes nascit parvulus mus*) nie jest zapewne podstawą poczucia humoru, ale jest bez wątpienia jednym z jego konstitu-

tywnych elementów. Jeśli nieudolne powiązanie ogromu i niedo-  
łęstwa, który pozwala skojarzyć naszą epokę z obrazem przedpotopowego trawożericy,  
ubawi przyszłych historyków – nie bierzmy im tego za złe: zrekonstruowany przez  
uczonych, wybielony przez czas kościec epoki wyszczerzy do nich ponumerowane zęby  
w bezmyślnym, nieco zażenowanym uśmiechu.

Mylą się ci, którzy mówią o «degeneracji» społeczeństw zachodnich. Żyliśmy po prostu  
w nieudanym okresie historycznym, tak jak nieudanym przyrodniczo tworem był mas-  
todont, nie przystosowany do życia i zatopiony w bezdennych rozlewiskach czasu.

#### *Problem infantylizmu*

Psychonaliza nie pojawiła się «przypadkiem» w dziejach myśli. Elementy psycho-  
analitycznego ujęcia życia i terapii znane były od wieków filozofom i moralistom – jeśli  
zakatalizowały się w teorii Freuda, rozwinęły i rozpowszechniły – to dlatego przede  
wszystkim, że na progu XX wieku psychoanaliza była «potrzebniejsza» niż w wieku XVI  
czy XVII. Przemiany dziejowe stworzyły odpowiedni grunt dla rozwoju doktryny: r o z w ó j  
neurozy wymagał odpowiedniej terapii.

Wynalazili i teorie nie formują historycznych przekształceń. Rzeczyna się zgoła inaczej.  
Skonstruowanie fortepianu wynikało na przykład ze zbliżającego się romantyzmu, który szukał  
odpowiednich dla siebie środków ekspresji muzycznej i nie mógł się już zadowolić suchym,  
*more geometrico* brzmiącym klawesynem. Rozwój i adaptacja «nowych» teorii mówi nie  
tylko o rozwoju inwencji, ale i o strukturze epoki, która z ogromnej, historycznej rekwizy-  
toryni mniej lub więcej sprecyzowanych pomysłów, wydobywała i pogłębia «potrzebne sobie»  
teorie życia czy artystycznego kształtowania.

Koncepcja Freuda jest, zapewne, rewolucją w dziejach psychologii, ale jest i świa-  
dectwem choroby trawiącej czas: mówi o infantylizmie epoki, mówi o prze-  
wadze ślepych pragnień nad rzeczywistością, o bezmyślnym okrucieństwie, papuziej imitacji  
i małpiej ciekawości.

Ministra, którego podziwiamy dziś we fraku, przyszłość – jeśli historycy będą obda-  
rzeni poczuciem humoru – zobaczy poprzez okulary psychoanalityka. Zobaczy go w krót-  
kich majtkach, w bluzie z marynarskim kołnierzem, z obtłuczonymi kolanami i procą w kies-  
zeni. Bo jakże inaczej, nie odwołując się do klinicznego zaniku poczucia rzeczywistości –  
zrozumieć senną bezmyślność tych, którzy z c i e k a w o ś c i ą z okien gabinetów patrzyli  
na rosnącą wojnę i jakże inaczej zrozumieć o k r u c i e d ũ s t w o tych, którzy wojnę  
narzucili światu.

#### *Oslabienie poczucia rzeczywistości*

Słabe poczucie rzeczywistości – cecha infantylizmu – wydaje się być głównym zniekształ-  
centem uczuciowym, które w przyszłości stanie się przedmiotem współczucia i śmiechu.

Słowo «rzeczywistość» miało ostatnio szczególne wzięcie i było ostateczną instancją  
we wszelkich sporach. Zwykło się np. mówić o jednym z mężów stanu jako o «wielkim  
realistcie», zakładając tym samym, że rzeczywistość jest niczym innym jak umiejętnością  
oszustwa. Popularna w stolicach Europy piosenka «za trzy grosze»: *bifteck d'abord et la  
moral après* – sprowadzała rzeczywistość do kawałka wołowiny. Wyniki takiego pojmowania  
rzeczywistości nie dały na siebie czekać długo: zabrakło befsztyków i moralności, której  
się w imię befsztyka wyrzeczono.

Różne znaczenie, jakie w rozwoju historycznym przypisujemy terminowi "rzeczywistość", mówi nie tyle o jego nieuchwytności, ile o strukturze moralnej epoki.

W wieku XVII Kartezjusz chcąc udowodnić istnienie stołu, na którym pisał, i krzesła, na którym siedział – odwołał się do Boga, jako do jedynej rzeczywistości o c z y w i s t e j, poprzez którą dopiero, w słynnym wywodzie, mógł uzasadnić istnienie stołu i krzesła. W pojęciu Boga bowiem widział wystarczającą rację egzystencji – rację, której nie umiał dostrzec w stole i sznycu. Dla Kartezjusza Bóg był rzeczywistością konieczną – sznycel niekonieczną.

Operowaliśmy odwróconym poczuciem rzeczywistości, nie więc dziwnego, że przypisując realność politycznym kombinacjom o wołównie – utraciliśmy właściwe poczucie rzeczywistości i, bezmyślni widzowie, staliśmy się ofiarami poważnych uczuciowych zniekształceń.

Okrucieństwo i ciekawość – to dwa spośród wielu – elementy infantylnizmu, które znalazły swój szczególny wyraz w czasach pogardy.

Ciekawość w i d z a jest najohydniejszą formą kapitalizmu: pozwala partycypować w tragicznych dziejach świata bez poważnego wkładu uczuciowego i bez poczucia odpowiedzialności. Jest to rentierstwo psychiczne, które streszcza się w odcinaniu kuponów od rzeczywistości.

Ciekawość u ichtologów czy entomologów, których «pasjonuje» każda wesz nieparzystokopytna, jest całkowicie uzasadniona i znawca pcheł i karaluchów nie ustala hierarchii wartości: przyrodnik klasyfikuje. Ta sama ciekawość odniesiona do bliźnich, nie zrównoważona przez miłość i współdziałanie – wydaje się być głęboko niemoralna. Jeśli wolno mówić o kompleksach historycznych, tak jak się mówi o kompleksach indywidualnych, to obciążeni byliśmy, jak się zdaje, tak zwanym «kompleksem spektatora». Ciekawość widza paczy hierarchię wartości: skoro wartością jedyną jest *das Interessante*, równą ma wartość «interesujący zbrodniarz» i «ciekawym» myśliciel. Ta forma ciekawości zaważyła szczególnie na tzw. społeczeństwach demokratycznych, które usprawiedliwiły ją – jak najnieśluszniej – zasadą równości społecznej: aktorkę filmową, kardynała, braci syjamskich i Einsteina posadzono na jednej ławeczce jako «nieprzeciętne», «interesujące» fenomeny. Jak owady, które przez szczególny układ cech nie mieszczą się w ramach gatunku.

Jeden z twórców dziennikarstwa – Le Clerc, podobny do kronikarza Pingwini – «poległ» przytłoczony tomami swej biblioteki. Biblioteka była zapewne źle dobrana i układ książek oparty był na fałszywej zasadzie: gmach z książek, jak gmach z cegieł różnego formatu i źle spojenych – runął grzebiąc pod ciężarem *in octo* i *in quarto* wielkiego publicystę. Dziennikarze lat międzywojennych, kolekcjonerzy ciekawostek różnego kalibru, nie umieli niestety wyciągnąć wskazań z tej, tak pouczającej, nauki.

### *Metafizyka śmierci według Simmela i Freuda*

Kultura życia wewnętrznego – pisze Georg Simmel – związana jest ze znaczeniem, jakie przypisujemy śmierci. Problem życia i problem śmierci – to dwa aspekty tego samego zagadnienia.

Zniekształcamy znaczenie śmierci wtedy, kiedy przedstawiamy ją w postaci Parki. Mniemać, że w oznaczonej chwili nitka, która symbolizuje życie u r y w a s i ę, to mniemać, że z tą chwilą dopiero śmierć przekształca życie. Śmierć jest w istocie konstytutywnym elementem życia i – daleka – formuje już jego przebieg. Lekkomysłny stosunek do śmierci jest jednocześnie powierzchniowym pojmowaniem życia.

Infantylnizm nie może się z faktem śmierci pojednać. Jeśli świadomość godzi się z ko-

niecznością [śmierci] jako losem, którego odmienić nie może, to głębokie pokłady uczuciowe burzą się przeciw śmierci: nie możemy nawet [(bo nie chcemy)] wyobrazić sobie naszego zgonu – jeśli widzimy siebie na łożu śmierci, to zachowujemy sobie niemniej rolę... widza i tym samym zachowujemy istnienie. Bo logika uczuć różna jest od logiki Arystotelesa. Tradycyjny sylogizm w sformułowaniu uczuć jest czteroczłonowy:

- (1) Wszyscy ludzie są śmiertelni.
- (2) Sokrates jest człowiekiem.
- (3) Sokrates jest śmiertelny.
- (4) Nie jestem Sokratesem i nie wierzę w śmierć.

[To poczucie nieśmiertelności, wyprowadzone przez Freuda (z pominięciem perspektyw metafizycznych) z przemożnego instynktu życia, leży u podstaw tragicznego konfliktu, w którym uwikłana jest jednostka w czasach wojny: nie możemy już śmierci «przeżyć». Śmierć nas osacza, śmierć wstrząsa światem – żyjemy w jej cieniu. I tak wojna porusza najgłębsze złoża psychicznego życia. Wojna każe wierzyć w śmierć.

Zygmunt] Freud był nie tylko psychologiem. Wbrew pozorom był przede wszystkim moralistą i dlatego chcąc się uporać z psychologicznym konfliktem odpowiada jak moralista:

[Pamiętajmy o starym przysłowiu: *Si vis pacem, para bellum*. Czas już przekształcić dawne wskazanie: *Si vis vitam, para mortem*. [Jeśli życie chcesz dzwigać i ze śmiercią pogodzić się musisz.]

Nie chcieliśmy się ze śmiercią pogodzić, zubożyliśmy więc życie i staliśmy się równocześnie ofiarami lęku przed śmiercią.

#### *Lęk przed śmiercią*

Podobnie jak okrucieństwo, lęk przed śmiercią jest trwałym elementem natury ludzkiej. Nie będziemy rozstrzygać jego wielorakich i złożonych form, mowa będzie o dwóch odmianach, na których znać piętno epoki.

Odmawia się często pacyfizmowi poważniejszego znaczenia w strukturze lat międzywojennych i w ich tragicznym rozwiązaniu. Niemniej lęk przed śmiercią, który tak potężnie wyraził się w pacyfizmie, rozbroił nie tylko moralnie, ale i materialnie społeczeństwa zachodnie [trawione wiarą w wartość czteroczłonowego, infantylnego sylogizmu, który z życia wyłączył chce śmierć.

Pacyfizm – podobnie jak ciekawość spectatora, który staje poza życiem – przekreśla pojęcie wartości i ich hierarchii. Jest w doktrynie integralnego pacyfizmu sprzeczność, która obezcela doktrynę: pokój za wszelką cenę, nawet za cenę wyrzeczenia się doktryny, której nie chce, w imię pokoju, bronić.

Pacyfizm sprzedaje wszystkie wartości za cenę życia. A jakąż mogą mieć wartość zasady, w których obronie życie nie stawia się w grę? Tak są marnie, jak życie nie urobione przez śmierć.

Jedna jest tylko śmierć haniebna, która życie urywa jak Parka: śmierć ze wstydu.

Spółeczeństwa zachodnie obrały wojnę w obronie pokoju. I tak odnajdą pokój, jak odnalazły już życie. Niemniej doktryna integralnego pacyfizmu obciąża sumienie lat międzywojennych *Navigare necesse est* – mówi stara maksyma – *vivere non est necesse*. Pacyfizm obrał inną dewizę: *Fluctuat nec mergitur!* Jakże piękny jest splekany w ogniu, powleczony dymem herb Warszawy, Syrena, którą Warszawa ma w herbie – jak Wanda co nie chciała Niemca – znalazła wolność w szarym wiślanym nurcie.

Zmaganie się woli z naturą, zmaganie się umysłu, który «w górę» się zrywa z masą, która w dół ciąży – to obraz walki zrównoważonej w jednej tylko ze sztuk: w architekturze. Architektura posługując się rozkładem ciężaru i oporem materii według planu, którego zarys powstał w umyśle – pozostawia materii możliwość działania w tym stopniu, że stwarza złudzenie, jakoby materia realizowała ów plan o własnych siłach. Architektura jest zwycięstwem umysłu nad materią; podobny rezultat osiągnęlibyśmy kierując człowiekiem nie wbrew jego woli, lecz posługując się jego wolą tak, aby zgodna z własnym założeniem i celem spełniała równocześnie nasze zamiary.

Ta jedyna w swoim rodzaju równowaga materii biernie odpornej i twórczości, która «w górę» dąży – rozbita jest wtedy, gdy budowa wali się w ruinę. Przyroda triumfuje nad dziełem człowieka i zachwiana równowaga natury i umysłu przechyla się w stronę natury. Jest w tym zjawisku szczególny tragizm, który przyobleka ruiny cieniem melancholii; zniszczenie wydaje się być jakby zemstą przyrody za gwałt, zadany jej przez umysł ludzki, który posłużył się naturą, aby stworzyć kształt na własne podobieństwo. Odsłania się w ruinach rozwój obcych człowiekowi sił i form: natura, biorąc odwet – posługuje się sztuką jako surowcem. Tak rodzi się nowa całość, stworzona z natury i sztuki. I dlatego widok ruin daje wrażenie spokoju: w spłęciu zmagających się sił zwyciężyła przyroda – walka wygasa. Dlatego też ruiny wiążą się tak dobrze z tym pejzażem: wiążą się z nim jak polny kamień, wczepiają w pejzaż jak drzewo. Jedynie ruiny znajdują wspólny z tym przyrodą koloryt dzieła człowieka, jakkolwiek dostosowane do terenu, wylamują się z pejzażu i zdają się wypływać z innego porządku rzeczy. Tak starym tkaninom, mimo różnicy pierwotnych barw, wilgoć i susza, ciepło i chłód, tarcia i rozkład wewnętrzny – nadają w ciągu długich wspólnych losów jednolitą ton i harmonijną patynę. Podobnie wzrost drzew, słońce i deszcz, mróz i skwar wiążą ruiny z tym, którego dzieła losy.

Zrównoważony przez architekturę konflikt między ciążeniem materii i konstruktywną siłą umysłu – jest obrazem naszej stałej walki wewnętrznej. Zmagają się w człowieku skłonności, które wyrazić można w przestrzennym umysłowaniu jako «pęd ku górze» – z siłami, które, podobne biernej materii, ciągną do ośrodka ciemności, zła natury człowieka. W walce, w ciągłej przemianie, która znaczy właściwy życiu wewnętrznemu niespokojny rytm, żyjemy na skrzyżowaniu dwóch, równie w nas mocnych sił. Stare mury, nasycone spokojem, łączą w sobie wrogie siły umysłu i przyrody, które pleśń patynuje jednolitą barwą.

Tym tłumaczy się urok ruin i szczególny *charme* dekadencji. Dekadencja – zjawisko banalne i właściwe każdemu niemal stuleciu – nacechowana jest, podobnie jak wielkie okresy schyłkowe, bogatą i zróżnicowaną kulturą, wrażliwością i umiejętnością adaptacji, które kojarzą w swoistym eklektyzmie nieprzejezdane żywioły.

Tak wygasające ognisko rozkłada fałdy popiołu wzdłuż ciemniejących żeber zetłalego drzewa i powleka żar szyną pyłem.

Śmierć wygnana teńszewic z kręgu świadomości zabarwia niemniej tło psychiczne niepokojem i trwogą. Epoka nasza wróciła do ruin nie po to, aby wzorem romantyków rozmyślać w cieniu złamanej kolumny, ale po to, aby odświeżyć ruiny i tak zachować szczątki dogasającego życia. Właściwy romantyzmowi *goût des ruines* wyrodził się w konserwatorstwo. Konserwatorstwo jest jedną z wielorakich i nieuchwytnych form lęku przed śmiercią: osłabiona wiara w inny niż doczesny cel życia, znajduje kompensatę w trwaniu przedmiotów pięknych: pałaców, katedr, fresków, którym człowiek przekazuje utracone poczucie własnej, indywidualnej nieśmiertelności.

Natura rzeźbi dzieła sztuki i wiatr błądzący w stare mury podobny jest do śmierci, której cień modeluje powierzchnię życia, nadając mu relief i głębię. Jest w konserwatorstwie jak i w pacyfizmie tchórzliwa kapitulacja: życie za wszelką cenę. Nawet za cenę estetycznej wartości dzieła. Bo piękna jest śmierć nie podpartego drągami zamku, który na wzgórzu, plukany deszczem i targany wiatrem, kona jak orzeł z miłkiewiczowskiego matecznika, któremu lata zamknęły skrzywiony, drapieżny dziób. Odświeżone, wydarte przyrodzie ruiny średniowiecznego zamku burzą poczucie rzeczywistości i podobne są do wypchanej sowy. Ruiny mają swoistą wartość estetyczną – trzeba im pozostawić dostojność konania.

Strawieni lędem i pozbawieni wiary we własne siły pochylił się nad stygającym ogniskiem, rozgarniając faldy popiołu, jakby niepewni, czy z dogasającym żarem nie zgaśnie ostatni płomyk twórczości. Konserwatorstwo jest czymś skierowanym przeciw rzeczywistości – jest wyrazem braku wiary we własne siły twórcze i mówi o utracie wiary w nieśmiertelność duszy indywidualnej.

\*\*\*

Zniekształenia uczuciowe, o których była mowa, wpłynęły, obok innych, na z a n i k p o c z u c i a w i e l k o ś c i. Mimo pozorów człowiek spragniony jest wielkości. Pozbawieni wartości prawdziwej, tj. niewymiernej, ludzie dali się uwieść wielkości wymiernej, tj. pozorowej. Pozbawiony pokory, miłości, nadziei i wiary w ostateczną sprawiedliwość i cel istnienia – czas nasz dał się uwieść wielkościom wymiernym, małym, które narzucił mu totalizm – w rozmiarach stadionów, w rozciągłości autostrad i chamstwa. I tak jakby na świni ogromnej, siedząc okrakłem na połączonym bydłociu bestii apokaliptycznej wjechała wodzowie, kopnięciem buta rozwalając wrota przyszłości.

### III. MYŚLI O WOJNIE

*Orzeł Biały – Polska Walcząca na Ziemi Włoskiej (Rzym)*  
r. 6/1946 nr 17, s. 9

Zawleczeni w wir tych wojennych czasów, niedostatecznie poinformowani, bez dystansu, który pozwoliłby powziąć sąd o dokonanych już i mających nastąpić przemianach, bez wylotu na przyszłość, nie możemy zrozumieć dokładnie znaczenia doznań, które nas osaczają i nie możemy zdać sobie sprawy z wartości sądów, które formułujemy. Wydaje się, że nigdy zdarzenie żadne nie wyniszczyło tak dalece ojcowizny, która jest wspólnym dobrem ludzkości, nie zmąciło umysłów i nie obniżyło tego, co wzniesiono. Nawet wiedza straciła swoją bezstronność. Antropolog chce wykazać degenerację i rasową niższość przeciwnika, któremu stawia diagnozę umysłowych zaburzeń.

Tak pisał – bodajże w roku 1916 – Zygmunt Freud i taki jest tok jego rozważań.

Cierpienie jest zapewne biologiczną i psychologiczną koniecznością. Jest czymś równie nieuniknionym jak nienawiść, która draży sumienia, jak różnorodna ocena wartości – jak wojna. Pogodziliśmy się już z jej koniecznością. A przecież na zasadzie poszanowania p r a - w a wychowana jednostka nie może się pogodzić z wojną i nie może się dziś oprzeć uczuciu głębokiego r o z c z a r o w a n i a. Zorganizowane w państwa narody wyznaczyły jednostkom, które w skład ich wchodzi, szereg twardych ograniczeń: kazały wyrzec się łatwego zaspokajania pragnień trudnych do opanowania, bo głęboko zakorzenionych w instynktach. Organizacja społeczna stawia przed jednostką wzniosły postulat wyrzeczenia się przemocy, potępia zdradę i podstęp – i ucieka się w czasach wojny do podstępu, przemocy

i zdrady. Wojna nie zna praw, o których była mowa w czasie pokoju – wojna nie zna nawet praw wojny.

Państwo – mówi Freud – traktuje jednostkę tak, jak traktuje się nieletnich: kryje prawdę pod maską «pedagogicznych» kłamstw i zdaje się monopolizować bezprawie jak tytoń, alkohol i sól. Rozprężenie z a s a d w stosunkach międzynarodowych nie może nie paczyć sumień indywidualnych: z gasnącym autorytetem prawa wyzwala się w jednostce okrucieństwo i nienawiść.

Mówi się często o człowieku jako o «istocie z natury dobrej». Jest to mit, podobnie jak mitem jest teoria ewolucji moralnej.

Zakorzeniona w nas głęboko skłonność do zła jest w historycznym rozwoju niezmienna. Psychologia wieku dziecięcego mówi o prawdziwej preegzystencji zła, które co najwyżej ulec może przemianie w życiu jednostki (nie ludzkości). Człowiek może stać się dobrym i może stać się złym. Prawdziwa zasada przemiany będzie zawsze indywidualna, «wewnętrzna» – niemniej układ zewnętrznych wydarzeń może tę przemianę utrudnić lub ułatwić. Zarówno w jednym kierunku jak w drugim. Żyjemy dziś w czasach moralnej i umysłowej deprawacji.

Mam tu na myśli – pisze Freud – ów zanik inteligencji, ową tępy zawziętość, uporczywe uchylanie najbardziej oczywistych argumentów, dziecinną wiarę w najbardziej wątpliwą tezę.

Filozofowie i znawcy człowieka wiedzą o tym, że w biedzie jesteśmy, gdy chcemy widzieć w intelekcie władzę autonomiczną, która może nie liczyć się z siłą uczuciowego życia. Uległy potężnym imperatywom uczuciowym intelekt staje się narzędziem woli i zdąża do tych konkluzji, które mu wola podsuwa. Narodzi nie idą dziś za głosem interesu, ale za głosem namiętności. Jeśli interes wysuwają na plan pierwszy, to po to jedynie, aby racjonalizować namiętność. Dlaczego jednostki etrące pełne są wzajemnej pogardy i nienawiści? Oto tajemnica, której sensu dotrzeć nie umiem. Wystarczy, zdaje się, skupić w zbiorowość miliony jednostek, aby między moralnych zdobywczy zajęły prymitywne, stare złoża psychiczne, brutalne i dzikie.

\* \* \*

W rozprawie swjej (skonfiskowanej swego czasu przez cenzurę wiedeńską) Freud nie występuje rzecz jasna jako anarchista i «wróg państwa w ogóle». Jako psycholog chce być tylko interpretatorem i wyrazicielem uczuć, które stanowią jakby tło psychicznego życia jednostek dręczonych wojną.

Warto chyba było przypomnieć ten liczący już niemal ćwierć wieku artykuł. Freud lepszym był prorokiem od tych, którzy przyszłość świata czytać chcą w gwiazdach. "Nie gwiazdy bowiem, ale pragnienia i namiętności rządzą człowiekiem – pisał św. Tomasz. *Pauci sunt sapientes qui passionibus resistent.*" Znakomity psychiatra (o którym mówi jeden z najprzenikliwszych znawców jego myśli, że zglębił, jak nikt dotąd, to, co w człowieku najmniej jest ludzkie) przewidział ogrom moralnej katastrofy, która musiała za sobą pociągnąć wojnę. Nie można rozpętać bezkarnie «szlusznej» nawet i «sprawiedliwej» nienawiści. Uczucie nienawiści raz rozpętane – przez samą swoją dynamikę wyzwala w człowieku wszystkie potępione i na tło świadomości zepchnięte uczucia. Wojna zniekształca nie tylko dusze najeźdźców – ale zatrąwa nienawiścią, a więc zniekształca i dusze tych, którzy starają się najeźdźcy przeciwstawić.

Kiedy po walce okrutnej – pisał Freud z goryczą i troską – powrócą żołnierze do ognisk rodzinnych, nie będą ich dręczyć wspomnienia. Beztrąsko powrócą do rodzinie pomni tych, których zabili. Człowiek dziki, Buszmen, czy mieszkaniec Ziemi Ognistej wykazuje więcej moralnej wrażliwości: zwycięzca, który z boju powraca, nie wolno wejść w obręb wsi rodzinnej i nie wolno zbliżyć się do żony, dopóki nie oczyści się przez pokutę. Oczyszczenie moralne wydaje się być koniecznym warunkiem przyszłego pokoju. Posypanie

popiołem głowy będzie miało dla przyszłego pokoju znaczenie bardziej doniosłe, niż «definitywne» ustalenie granic i organizacje przemysłowe kontynentu. Bo człowiek wbrew pozorom nie walczy ani o zboże, ani o naftę – właściwym powodem wojen są źle wytyczone granice moralne.

\*\*\*

Przemiany, które w czasie wojny wstrząsają ludzkością, nacechowane są dla Freuda zespołem tych objawów, które właściwe są zaburzeniom psychicznym: konflikt zbrojny jest jakby «nawrotem» zbiorowej nerwicy.

W istocie – taki jest właściwy sens psychoanalizy – zaburzenia psychiczne nie są prostym zachwianiem umysłowej równowagi, ale nawrotem do pierwotnych archaicznych źródeł życia psychicznego. Jest w rozważaniach Freuda dyskretnie zaznaczony motyw, który uszedłby jeszcze czujności cenzury, mimo iż dziś jest bardziej wyraźny niż przed laty. Freud nieśmiało tylko mówi o związku, jaki zachodzi między zbiorowością a regresją do "prymitywnych, starych form uczuciowych, brutalnych i dzikich".

Interpretując, może zbyt dowolnie, myśl wiedeńskiego psychologa, powiedzieć można tak: gaśnie wartość jednostki wtedy, kiedy wysuwa się na plan pierwszy jednostka zbiorowa, naród czy klasa.

Takie jest źródło zbiorowej historycznej nerwicy, której istotą jest potężny ruch regresywny, ten sam, który psychiatra odnajduje w indywidualnych aberracjach.

Odwraca się oto nurt starego Renu, tak jakby płynące od wieków wody w poszukiwaniu zatopionego złota ruszyły w górę biegu (odsłaniając zamulone łóżysko historii tragicznego narodu. Wyłaniają się na pół zagrzebane w piasku zardzewiałe pancerze i tarcze germańskich bogów. W oczach naszych zło mityczne przemienia się w żelazo. W zgiełku smyczków i blach, w wulgarnym wrzasku wagnerowskiej orkiestry szumi rzeka (unosząc w swoich skrętach cienie gotyckich katedr i fabrycznych kominów – w przeszłość – w górę Renu, do źródeł historii i rasy.

Wojna dzisiejsza – to jakby walka z falami starego Renu – żeby znów płynęły swoim łóżyskiem zbudowane wody, topiąc i grzebiąc w mule rzeczny przekłute żelazo i złoto.

Zdziwiłby się stary psycholog, gdyby mu powiedziano, że takie oto wnioski wyciągną po latach z jego pism.

\*\*\*

Jeśli człowiek nie chce się pogodzić z wojną – mówi Freud – to nie tylko dlatego, że sumienie jednostki wychowanej w zasadach poszanowania prawa cierpi nad obrazem zbiorowego «legalnego» bezprawia. Człowiek nie chce się pogodzić z faktem śmierci. Mówimy zapewne, że "śmierć wieńczy życie" i wiemy, że jest niesumienne. Ale człowiek, jak mowa był wyżej, jest «irracjonalny» i przysłowiowa *sapientia* nie wyczerpuje jego istoty.

[...] Lekkomyślny stosunek do śmierci zmniejsza życie. Życie staje się ubogie i traci swój sens z chwilą, gdy nie chcemy zaryzykować najwyższej stawki, to znaczy życia. *Navigare necesse est, vivere non est necesse*. Nie chcemy się ze śmiercią pogodzić – mówi Freud – ale w tym właśnie leży tajemnica heroizmu.

Wojna wyzwala w nas nienawiść i wraz z nienawiścią wyzwala potępione uczucia, *ce qui dans l'homme n'est pas humain*. Zapewne, ale wojna wyzwala w człowieku heroizm. Dlatego warto, warto nienawidzić i cierpieć, i walczyć, aby zasłużyć sobie na szacunek w oczach tych, którym chcemy przekazać wartość życia godną człowieka – nie niewolnika.

**WOJNA I POWSTANIE  
PO LATACH**

## W WOJENNEJ POTRZEBIE

Wspomnienia, Kraków 1993 *Phileas*, s. 135-144, 146-149

*Józef M. Bocheński urodził się 30 sierpnia 1902 roku w Czuszowie koło Miechowa; zmarł 8 lutego 1995 roku we Fryburgu Szwajcarskim. Przeżył obronę Lwowa w 1918 roku. W 1920 roku wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po nie ukończonych studiach w Uniwersytecie Jana Kazimierza (1920-1922) i Uniwersytecie Poznańskim (1922-1926) – wstąpił do zakonu dominikanów. Studia filozoficzne odbył w Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim (doktorat w 1931 roku). W 1938 roku habilitował się z filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Był bliskim przyjacielem ks. Jana Salamuchy i Bolesława Sobocińskiego.*

*Uczestniczył jako kapelan w II wojnie światowej (m.in. w Kampanii Wrześniowej i w bitwie pod Monte Cassino). W latach 1945-1972 był profesorem Uniwersytetu Fryburskiego. W 1958 roku założył Instytut Europy Wschodniej.*

*Opublikował ponad 300 prac filozoficznych. Głównie jego dzieła należą do dziedziny logiki formalnej, logiki stosowanej, metodologii, historii filozofii i historii logiki.*

*Jacek J. Jadacki*

Wojna zastała mnie w Służewie. Że nadchodzi, wiedzieliśmy wszyscy od dawna – a ja sam miałem, dzięki mojemu kuzynowi, Piotrowi Borkowskiemu, także jasny obraz jej przebiegu, chcę powiedzieć, czekającej nas klęski. Borkowski był bardzo dobrze poinformowany i trafił się przysłyłem losem Rzplitej do tego stopnia, że chudł i tracił apetyt. Jeśli się jednak nie mylę, był pod tym względem wyjątkiem; przynajmniej w moim otoczeniu większość, jeśli nie wszyscy, oddawali się niczym nie uzasadnionemu optymizmowi. Muszę przyznać, że i ja byłbym chyba myślał jak i oni, gdyby nie Borkowski. A przecież wystarczyło sobie przypomnieć, że Niemcy wytwarzały dziesięć milionów ton stali, a Polska pół miliona, aby zrozumieć, że nasze szanse w wojnie z Niemcami były żadne. Człowiek ma widać wbudowany mechanizm rodzaju ślepotę, gdy chodzi o takie sprawy.

Jak bodaj niemal każdy Polak chciałem wziąć czynny udział w tej potrzebie i udałem się w tym celu do ks. biskupa polowego z prośbą, by mnie powołał do służby. Według prawa polskiego księży katolickich mobilizował bowiem do służby biskup polowy. Był nim wówczas do końca wojny światowej śp. ks. Józef Gawlina. [...] Ks. Gawlina [...] moją prośbę odrzucił. Powiedział mi, patrząc wprost w oczy, jak było jego zwyczajem, że ma z zakonnikami jako kapelanami tak złe doświadczenia, iż zamierza powoływać do służby wojskowej wyłącznie księży święckich. [...]

Skazany, że tak powiem, do cywila, wzięłem udział w przygotowaniu na bombardowania. Kopaliśmy m.in. rowy w naszym ogrodzie. Mogłem stwierdzić przy tej sposobności, jak dalece byłem słaby i mało zdatny do pracy fizycznej.

O samym wybuchu wojny dowiedziałem się 1 września 1939 roku podczas Mszy św., którą zawsze odprawiałem w służewskiej kaplicy o godz. 6. Usłyszeliśmy wtedy huk

pierwszych bomb spadających na Warszawę. Naloty miały odąd mieć stale ten sam przebieg – niebo całkowicie opanowane przez nieprzyjaciela, bombardowanie miasta (o ile pamiętam, głównie centrum). Po odlocie Niemców startował mały polski samolot typu turystycznego, który widocznie rejestrował szkody.

Bombardowania Warszawy miały dla mnie także osobiste konsekwencje. Moja rozprawa o logice Teofrasta miała być częścią zbiorowego tomu wydawanego przez Łukasiewicza.<sup>1</sup> Rękopis był w jakimś biurze uniwersyteckim, a skład drukarski leżał w oczekiwaniu na inne prace, w drukarni. Otóż jedna bomba niemiecka trafiła w to biuro, a druga w drukarnię. Wydawało mi się najpierw, że praca jest stracona. Pokazało się jednak, że odbitka szczerotkowa znajduje się w mojej celi na Służewie, którą wandalę wprawdzie zdemolowali, ale nie raczyli na szczęście zająć się wiązką zadrukowanych papierów.

Wychodząc nielegalnie z Polski w grudniu, brałem się brać tę odbitkę ze sobą, bo mówiono, że Niemcy (czy też Moskale?) rozstrzelali polskiego filozofa, przy którym znaleziono tekst matematyczno-logiczny, wzięty przez celników za szyfr.<sup>2</sup> Posłałem więc moje odbitki Scholzowi<sup>3</sup>, który nie tylko przechował je w swoim seminarium, ale i ogłosił w jego biuletynie, że ta praca jest u niego. Można sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy otwierając kiedyś w Londynie *Timesa*, wyczytałem wiadomość o nalocie na Münster a *sea of flames*. Ale odkryłem inny egzemplarz w Rzymie, co prawda bez dopisków. *Habent sua fata libelli*.

\* \* \*

Po paru dniach, bodajże 6 września, opuściłem Warszawę piechotą z grupą młodych narodowców, którzy mnie na ten wymarsz namówili. Nie chciałem zostać pod okupacją niemiecką, która się zbliżała – ale nie miałem ani ja, ani moi przyjaciele, jasnego planu. Nie pamiętam już szczegółów tego długiego i uciążliwego marszu. Wiem tylko, że w pewnej chwili znalazłem się na Podlasiu, m.in. w wiosce rodzinnej Sienkiewicza.<sup>4</sup> Robiliśmy forsowne marsze – w pierwszy dzień np. prawie 60 km.

Mam tylko urywki wspomnień. Pamiętam np., że zostałem ostrzelany z pokładu małego samolotu, zapewne zdobycznego. Tu i ówdzie napotykałszy na zhlsteryzowaną ludność, która żyła w strachu przed piątą kolumną niemiecką – musieliśmy się często legitymować. W żywej pamięci została mi też grupa podlaskich chłopców wiejskich, którzy – jak mówili – już od tygodnia szukali kawałka karabina, aby bić Niemców. [...]

Przy przekraczaniu jakiejś rzeki – bodaj Bugu – dowiedzieliśmy się od majora kontrolującego most, że na wschodzie spotkamy zamiast Niemców Moskali. Musiało już więc być po 17 września, dniu, w którym ci ostatni wkroczyli do Polski. W rzeczy samej niebawem miałem w rękach ulotkę wzywającą do poddania się, zredagowaną zresztą w nieprawdopodobnie złej polszczyźnie. Niebawem zostaliśmy zatrzymani przez uzbrojonych cywilnych, bodaj ukraińskich, którzy przyłożywszy mi lufę karabinu do piersi, przeszukali kieszenie.

Po paru dniach spotkałem grupę profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego. Spotkanie odbyło się w dość zabawnych okolicznościach.

<sup>1</sup> Chodzi o pierwszy numer pisma *Colloquium Logica* [przyp. JJJ].

<sup>2</sup> Mowa zapewne o Władysławie Hotperze (1909-1941), współpracowniku Leona Chwisiaka, aresztowanym przez NKWD w listopadzie/grudniu w czasie próby przedostania się do Lwowa, i ostatecznie zamordowanym przez Rosjan w Katyniu [przyp. JJJ].

<sup>3</sup> Heinrich Scholz (1884-1966), niemiecki teolog, filozof i logik, pozostawał w bliźkich stosunkach z logicznymi polakami, m.in. z Janem Łukasiewiczem [przyp. JJJ].

<sup>4</sup> Chodzi o Wołę Okrzejską koło Łukowa [przyp. JJJ].

Najpierw słowo o moim ubraniu. Nie będąc plechurem (w wojnie z 1920 roku służyłem w kawalerii), nie byłem wprawiony w chodzeniu i bardzo prędko odparzyłem sobie stopy. Wyrzuciłem więc buciki i szedłem boso. To jest dla początkującego dość trudne zadanie, ale skóra pod stopami dość szybko grubieje i chodzi się dobrze. Nosilem czarne spodnie i biały sweter, naturalnie bez krawatki.

W tym stroju szedłem więc koło wozu, w którym jechał, jak mi się zdawało, jakiś nieznanymi chłop. Prowadziliśmy od pewnego czasu rozmowę (taka rozmowa była zwykle wstępem do zaproszenia na wóz), gdy zbliżyło się paru profesorów, którzy mnie, mimo przebrania, poznali. Wtedy okazało się, że chłopem na wozie był dziekan wydziału weterynaryjnego, u którego byłem na herbacie przed dwoma tygodniami. Po tych wzajemnych odkryciach porzuciłem moich dotychczasowych towarzyszy podróży i przyłączyłem się do warszawskich kolegów. Po drodze trafiliśmy ku mojej wielkiej radości na jeszcze jednego profesora, a mianowicie na Władysława Tatarklewicza, znakomitego historyka filozofii, autora najlepszego moim zdaniem uniwersyteckiego podręcznika tej dziedziny.

Ale i z profesorami nie pozostawałem długo, bo natknąłem się kolejno na kilkunastu żołnierzy pod dowództwem plutonowego. Według ich opowiadań był niedobitkami oddziału zdradziecko rozbitego przez Moskali. Ci ludzie, a zwłaszcza ów plutonowy, zaimponowali mi od razu swoją postawą. Mieli tylko dwa zmartwienia: gdzie znaleźć jakieś wojsko własne i jakby tu wykombinować ckm. Odżyło we mnie wspomnienie pieśni o karabinie maszynowym, którą śpiewaliśmy w 1920 roku, a która powiada, że "każdy chłop morowy chętnie się garnie doń". Kto garnie się do ckm-u jak ten mój plutonowy, jest morowym chłopem. Ja wtem dobrze, że taki sentyment obraża czule dusze wielu współczesnych. Ale taki był nasz sentyment – tych podlaskich chłopców, mojego plutonowego i, przepraszając za samochwalstwo, mój własny. Dodam, że dla nas postawa wspomnianych czułych dusz jest pogardy godna.

W tych warunkach nie można się dziwić, że prosiłem o przyjęcie i odtąd maszerowałem, po części jechałem, bo mieli wozy, z tymi żołnierzami. Z nimi też dołączyłem do czegoś, co nazwano później 81 pułdem piechoty. Jak to się stało, zapomniałem zupełnie – ale lukę w mojej pamięci zapełnia artykuł ppor. Mieczysława Pruszyńskiego z 8 listopada 1947. Nie mogę inaczej zrobić, jak go cytować.

"Do Włodawy ciągnęli wtedy liczni uchodźcy [...]. Któregoś dnia natknąłem się na dominikanina, o. Innocentego Bocheńskiego. [...] – "Co ty tu robisz?" – zapytałem zdziwiony. – "Przyjechałem, jak co roku, na wakacje do Polski i wojna mnie zaskoczyła. Jako stary ułam tęsknię za wojaczką, ale nikt nie chce mnie zmobilizować. Może ty pomożesz?" Przedstawiłem nowego ochotnika kapitanowi Miodowskiemu, który zaproponował mu funkcję kapelana. Uzgodniliśmy, że będzie ze mną kwaterował. Zawsze dobrze mieć księdza w pobliżu na wojnie." [...]

Wypada mi przypomnieć [...], jeśli chodzi o zdarzenia wojenne, nie jestem zawsze pewny, że zaszły naprawdę, że nie ma w nich domieszki bajkotwórczej wyobraźni. Gdy będzie mowa o wypadkach, co do których mam pewność, że zaszły, powiem to wyraźnie.

Pierwszym takim faktem jest zbombardowanie naszego batalionu przez lotnictwo moskiewskie. Łatwo wyjaśnić, dlaczego Pruszyński o nim nie pisze: ogłaszał przecież swoją rzecz w czasie, gdy w Polsce rządził agenci tychże Moskali. O tym bombardowaniu pisać po prostu nie mógł. Ale ono było dotkliwie skuteczne – batalion uległ rozproszeniu, zaginął nawet gdzieś jego dowódca. Wieczorem zebraliśmy się w gaju przy rozdżozach – paręset

ludzi, trzech poruczników – Pruszyński, Wieczorek i trzeci, o ile pamiętam, dowódca kompanii ckm-ów. To nie są wytwory mojej wyobraźni – jestem owego bombardowania pewien.

Natomiast tego, co następuje, nie jestem tak pewny. Siedzimy tedy w owym gaju i ja mówię porucznikom: "No, panowie, regulamin – najstarszy z was niech obejmie dowództwo". Na to, jak rycerze w *Potopie* do Zagłoby, wszyscy trzej chórem: "Kto najstarszy? Wuj – to jest ja – najstarszy!" W rzeczy samej byłem jedynym bodaj w batalionie, który już wahał prochu w wojnie 1920 roku. Tak więc w moich wspomnieniach dowodziłem przez parę godzin batalionem. Przypomniłem sobie wtedy przepis regulaminu bojowego – "ciężka broń naprzód, żywa siła wstecz" – i że kazałem ludziom cofnąć się, a nasze ckm-y trzeci porucznik rozstawił dwa na drodze, skąd mogli przyjść Niemcy, jeden na wiodącej ewentualnie do Moskali. Niemcy, wiadomo, groźniejsi.

Siedzimy tedy w owym gaju, kiedy jeden z naszych ckm-ów zaczyna, nie daj Boże, szczekać. Pędzę – ale na szczęście przyczyną szczekania nie był nieprzyjaciel, lecz przywidzenia strzelca. Nie było mi więc danym dowodzić w bitwie. Nad rankiem zjawił się dowódca, mogłem więc, jak Zagłoba, oddać buławę w jego godniejsze ręce. Nawiasem mówiąc, uważam wszelką działalność bojową księży za niedopuszczalną. Wiem wprawdzie, że wielu księży francuskich postępowało inaczej, ale jest to sprzeczne z całą tradycją naszej wiary. Nie mam więc powodu, aby się chwalić owym moim dowodzeniem.

Całkiem pewny jestem też innego ostrzeliwania, tym razem artyleryjskiego, które zostało w mojej pamięci jako najsroższe ze wszystkich doznanych. To było w punkcie opatrunkowym (normalnym miejscu przebywania kapelana w czasie bitwy), urządzonym, wbrew regulaminowi, w małym gaju. Przypuszczam, że musiały strzelać na nas dwie baterie 75-milimetrówek, w każdym razie w kwadrans spadło dobrych parędziesiąt pocisków. Nigdy w życiu do nikogo i niczego tak się nie tuliłem, jak wtedy do matki ziemi. A Niemcy, dobrzy pacholkiwie, celnie strzelali. Parokrotnie poczułem żar wybuchających wokół mnie granatów. W końcu też i oberwałem, ale bardzo powierzchownie, tak że byłem raczej skałeczony niż ranny, i mogłem służbę pełnić dalej. Takiego ognia nie zapomina się łatwo.

Inne wspomnienie dotyczy bitwy pod Kockiem. Z mojego miejsca postoju było widać po lewej stronie miasteczko, na prawo od niego niewielkie wzniesienie i dalej po prawej las. Otóż z tego lasu wyjeżdżały masy koni – nasze pułki ułańskie – a równocześnie z miasteczka niemieckie czołgi. Gdy pierwsze doszły szczytu wzniesienia, widać było ruch wstecz masy koniskiej – "Do walki pieszej z koni", tak dobrze mi znane z roku 1920 – i galopem wyjeżdżające naprzód działony dak-u. Zaczęła się bitwa, trwająca kilkanaście minut. Po tym czołgi nieprzyjaciela zaczęły się cofać ku pałacemu się miasteczku, a nasze działa przeniosły ogień na Kock.

Może warto tutaj powtórzyć to, co tyłu innych uczestników potrzeby 1939 roku mówiło i pisało, że nasza kawaleria bynajmniej nie szarżowała na czołgi, ale rozprawiała się z nimi ogniem dział nieraz skutecznie, jak w bitwie pod Kockiem. Ta legenda o szarżach jest rozpowszechniona także u obcych i dobrze by było, gdybyśmy mogli według możliwości przeciwdziałać jej szerzeniu, bo jest dla imienia Polski szkodliwa – przedstawia nas jako ludzi niepoważnych w sprawach wojennych.

Alc najważniejszym dla mnie wspomnieniem z tej potrzeby jest następujące. Siedzimy na białku por. Pruszyński, por. Wieczorek i ja. Mówimy półgłosem, bo naokoło nas leżą ranni – nie mieliśmy szpitali polowych. Rozmowa toczy się o położeniu. Wiemy już, że

Warszawa padła, że grupa gen. Kleeberga, do której nasz batalion należy, jest ostatnią gromadą walczących polskich żołnierzy, że amunicja zaczyna nam wychodzić i kłeska jest pewna. Ku mojemu zbudowaniu obaj moi towarzysze wyciągnęli ten sam wniosek: walczyć do końca. Muszę powiedzieć, że z mojego długiego życia, w którym nie brakło bitew i biewaków, mało mam wspomnień równie dramatycznych. Proszę pamiętać, że rozmowa toczyła się przy akompaniamencie jęków rannych, że rozmówcy wiedzieli o upadku Warszawy i beznadziejności walki; mimo że byli obaj wyczerpani wczorajszymi walkami; że, i to było dla mnie szczególnie ważne, jeden z nich był potomkiem starej, szlacheckiej, karmazyńskiej rodziny, a drugi synem gospodarza wiejskiego. Jeśli kiedy danym mi było spotkać prawdziwą Polskę, to wtedy. W dodatku miałem naczyń dowód zmiany w porównaniu z neutralnością mas chłopskich w r. 1920 – proces integracji pionowej posunął się widocznie naprzód.

\*\*\*

Kapitulacja, o której wiedzieliśmy, że nadchodzi, przyszła 4 października. Jak por. Pruszyński i zapewne wielu innych, odmeldowałem się – chcieliśmy iść na zachód i walczyć dalej. Zrzuciłem płaszcz wojskowy, jedyną część umundurowania jaką posiadałem i poszedłem w opisanym powyżej stroju – boso, czarne spodnie, biały sweter – na Niemców. Dodam, że z powodu wspomnianego skaleczenia miałem trochę gorączki i że byłem nieogolony.

Natrafiam na niemieckiego podoficera, który przytyka mi lufę pistoletu pod żebro i ciągnie gdzieś, mówiąc „*Verfluchter Jude*” („Przekęty Żyd”). Tłumaczę mu, że nie jestem Żydem, ale katolickim duchownym, ale on oświadcza, że to jest „*ganz egal*”, że na jedno wychodzi, i taszczy mnie dalej, aż stajemy przed obliczem podchorążego. [...]

Ten – mimo całej kurtuazji – nie puścił mnie wolno, ale kazał odprowadzić do szkoły, gdzie mnie zamknięto z kilkoma innymi ludźmi przyłapanymi na polu bitwy. Otóż znałem z opowiadań starych żołnierzy zasadę, którą tutaj przepisuję, bo może się przydać młodszym. Ta zasada głosi, że jeśli cię wezmą do niewoli, uciekaj jak najprędzej. Im dłużej czekasz, tym staranniej będziesz pilnowany i tym trudniejsza będzie ucieczka – a starać się uciec jest przecież obowiązkiem żołnierza wziętego do niewoli. Pamiętny na tę zasadę rozglądając się w pomieszczeniu i odkryłem, że okno w toalecie daje wyjście na wolny świat Boży. Tak i rychło nie było mnie w domu niewoli. Pokuśtykałem parę kilometrów do najbliższej stacji i, o dziwo, po paru godzinach nadszedł tam pociąg jadący na zachód. [...]

[W Krakowie] zajmę się zaraz staraniami o wizę na powrót do Rzymu, gdzie czekała mnie moja katedra. Nie widziałem potrzeby pozostania w kraju i muszę przyznać, że nigdy nie mogłem zrozumieć ludzi, którzy twierdzili, że powinienem cierpieć z innymi. [...]

W międzyczasie o mało co nie pojechałem do obozu koncentracyjnego. Było to tak. Rektor zapraszał wszystkich wykładowców UJ na odczyt niemieckiego profesora; sukces tego odczytu miał być warunkiem pozwolenia na częściowe otwarcie uniwersytetu. W rzeczywistości chodziło o pułapkę. W przeddzień owego odczytu odbyło się, bodaj u ks. profesora Klawka<sup>2</sup>, zebranie wykładowców wydziału teologicznego. Zdania były podzielone – wielu podejrzewało słusznie podstęp – inni uważali, że należy solidaryzować się z rektorem. Byłem zdania tych ostatnich, a że dyskusja była ostra, siedłem w ten dzień fatalny tym bardziej zdecydowanie na odczyt owego Niemca.

Odległość między klasztorem dominikańskim a uniwersytetem jest w Krakowie, jak we wszystkich miastach średniowiecznych, niewielka, ale Pan Bóg chciał, że na tej krótkiej

<sup>2</sup> Ks. Aleksy Klawek (1890-1969), bibliista, był wykładowcą Wydziału Teologicznego UJ (hrzyp. III).

drodze spotkałem moją siostrę Olusię, której nie widziałem od początku wojny. Zawróciłem więc do klasztoru i rozmawiałem z siostrą może pół godziny, po czym surmienię wzięło górę i poszedłem znowu na uniwersytet. Grmach był obstawiony policjantami i nie wpuszczono mnie do środka. Byłem na tyle naiwny, że upierałem się, pokazywałem moje dokumenty. Na szczęście nie wpuścili mnie. Tych, którzy byli w sali, wywieźli do Sachsenhausen, a potem do Dachau – między innymi ks. Michalskiego i ks. Salamuchę. Po dwóch miesiącach byli już między nimi zmarli na skutek niedożywienia i okrutnych warunków życia. To wywiezienie krakowskich uczonych jest niewątpliwie jedna z najhaniebniejszych zbrodni dokonanych przez Niemców w czasie ostatniej wojny. [...]

\* \* \*

W Rzymie najpilniejszą sprawą było zorganizowanie interwencji celem uwolnienia profesorów UJ. Zwróciłem się o pomoc do ks. Waleriana Meysztowicza<sup>6</sup>, radcy kanonicznego ambasady polskiej przy Watykanie i profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Nie zawiodłem się. Nasi profesorowie zostali uwolnieni na skutek akcji komitetu rzymskiego – a że ta akcja została podjęta i przeprowadzona skutecznie, jest przede wszystkim zasługą ks. Meysztowicza.

<sup>6</sup> Ks. Walerian Meysztowicz (1894-1982) był profesorem prawa kanonicznego w USB (przyp. JJJ).

## MYŚLI O WOJNIE I POKOJU

*Przegląd Katolicki* r. 77/1989 nr 35 (271) s. 2

*Bronisław Dembowski urodził się 2 października 1927 roku w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. W czasie II wojny światowej zmobilizowany w akcji Burza, był od 15 sierpnia do 4 listopada 1944 roku w oddziale partyzanckim 72 pp AK Ziemi Radomskiej. W latach 1946-1950 studiował filozofię w Uniwersytecie Warszawskim (magisterium u Władysława Tatarkiewicza). Następnie wstąpił do Warszawskiego Seminarium Duchownego; w 1953 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Po studiach w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (1953-1957) uzyskał najpierw magisterium (1957), a następnie doktorat (1961) z filozofii chrześcijańskiej. W latach 1962-1982 był wykładowcą Akademii Teologii Katolickiej. Habilitował się w 1969 roku. W latach 1982-1992 był profesorem i dziekanem Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie. W 1992 roku został biskupem diecezji wrocławskiej.*

*Jego prace naukowe dotyczą głównie teologii naturalnej i historii filozofii polskiej.*

*Jacek J. Jadacki*

Urodziłem się 2 października 1927 roku. W chwili wybuchu II wojny światowej miałem niespełna 12 lat. Należę przeto do pokolenia, w którego dzieciństwo wtargnęły gwałtowne przemiany. Z dzieci zbyt szybko staliśmy się dorosłymi, a nawet żołnierzami. Zbyt wielu moich rówieśników straciło życie z powodu wojny. Dziś pamiętając o nich w modlitwie, wspominam też Niemców rocznika 1927, powołanych do wojska w ostatnich miesiącach wojny. Wielu z nich nie wróciło do domu.

We wrześniu 1939 roku na groźbę bombardowań, na zmęczonych, wycofujących się żołnierzy polskich, na wkraczające oddziały zwycięskich wtedy wojsk niemieckich – patrzyłem oczami jeszcze dziecka, ale już zaczynającego rozumieć, że świat, w którym zostałem wychowany, już w takiej postaci nie wróci. Zacząłem powoli rozumieć, że trzeba szukać w chrześcijaństwie mocy niezniszczalnych, które pomogą uratować to, co było dobre w przemijającym świecie; które pomogą przetrwać wartościom, w których byłem wychowany. Byłem zaś wychowany w ideałach niepodległościowych. To przecież pokolenie moich rodziców wywalczyło niepodległość dla naszej ojczyzny, która od końca XVIII wieku pozbawiona była państwowości. Naród jednak polski – choć przez ponad 120 lat pozbawiony swego państwa i przemocą podzielony między trzy mocarstwa, Rosję, Prusy i Austrię – zachował swoją tożsamość w znacznym stopniu dzięki swojej kulturze, co podkreślał Jan Paweł II na forum UNESCO 2 czerwca 1980 roku, oraz dzięki wierce religijnej, podtrzymywanej przez Kościół rzymskokatolicki, który już wtedy ratował podmiotowość narodową, ukazując jednocześnie perspektywy uniwersalne, dając podstawy dla coraz śmielej głoszonego pluralizmu w zjednoczonym świecie.

Wychowany byłem zarówno w tradycjach pracy organicznej, pracy od podstaw, wzmacniającej społeczeństwo kulturowo i ekonomicznie, jak i w tradycjach walk o sprawiedliwość

społeczną oraz o niepodległość – za *waszą i waszą wolność*. Pokolenia całe czekały właśnie na wojnę i na czyn zbrojny, które przyniosą wolność naszej ojczyźnie.

Straszliwa I wojna światowa przyniosła nieobliczalnie wielkie zniszczenie materialne i moralne, a także ogromną liczbę zabitych i rannych. Jednocześnie przyniosła niepodległy byt państwowy wielu narodom, wśród nich Polakom. Paradoksalnie – przyniosła więc jakieś dobro. Nie ukrywam swej dumy, że wśród żołnierzy walczących za Polskę w Legionach Piłsudskiego był także mój Ojciec – Włodzimierz. W organizacjach niepodległościowych była też moja Matka – Henryka.

Wysiłek zbrojny i krew żołnierzy polskich przelana na wszystkich frontach II Wojny Światowej, a także ofiary wśród ludności cywilnej, wysłużyły nam dzisiaj prawo do naszej polskiej tożsamości. Dumny jestem z mojej Matki, zaprzysiężonej w Ruchu Oporu już w październiku 1939 roku, aresztowanej wraz z moją siostrą Małgorzatą w maju 1940 roku. Zostały obie rozstrzelane w *Frauenkonzentrationslager Ravensbrück* we wrześniu 1941 roku. Dumny też jestem z moich dwóch braci, podchorążych AK, żołnierzy Powstania Warszawskiego, udekorowanych Krzyżem Walecznych. Sam, ledwie ukończyłem 16 lat, złożyłem przysięgę wojskową w 72 pp AK Ziemi Radomskiej.

I Wojna Światowa przyniosła nam odzyskanie wolności.

II Wojna Światowa przyniosła nam narzuconą konieczność obrony bytu narodowego, rozpaczliwej walki o życie i honor, o prawo do bycia sobą.

Choć więc różne są wojny i niekiedy trzeba stawać w obronie ojczyzny, to jednak czy można nadal utrzymywać, że wojna – przemoc – jest właściwym sposobem rozwiązywania konfliktów między narodami? W świetle doświadczeń z przeszłości, pamiętając spustoszenia moralne i zniszczenia fizyczne, wywołane przez wojny, a także w świetle obecnych możliwości samounicestwienia – stanowczo trzeba powiedzieć: nie!

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że przemoc w różny sposób się przejawia; wołanie o pokój bywało wykorzystywane przez różne mocarstwa dla petryfikowania niesprawiedliwych ustaleń. Tak było w Europie po Kongresie Wiedeńskim 1815 roku. Stalinowska «walka o pokój» też miała w sobie groźne wypaczenia, odbierające słowu «pokój» jego właściwe znaczenie.

Dwa więc są niebezpieczne błędy.

Z jednej strony nadzieja, że przez wojnę lub rewolucję wprowadzone zostaną sprawiedliwe stosunki między narodami i ludźmi.

Z drugiej strony zachowywanie – w imię rzekomego pokoju – niesprawiedliwej sytuacji, w której silniejszy (naród lub jakaś grupa w narodzie) krzywdzi słabszych (Inny naród lub jakąś grupę w narodzie).

U podstaw i źródeł tych skrajnych błędów leży zawsze jakaś moralna niedoskonałość – grzech. [...]

## FILOZOFIA TAMTYCH CZASÓW – FILOZOFIA BEZINTERESOWNOŚCI

*Andrzej Grzegorzczak urodził się 22 sierpnia 1922 roku w Warszawie. Po studiach w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim (w czasie których zetknął się osobiście z wieloma bohaterami tej książki) uzyskał w 1946 roku magisterium w Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktoryzował się w 1950 roku. W latach 1950-1974 pracował w Instytucie Matematyki PAN, a w latach 1960-1968 ponadto na Wydziale Matematyki i Mechaniki UW. Od 1974 roku jest profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.*

*Opublikował wiele prac z dziedziny logiki matematycznej, filozofii i etyki.*

*Jacek J. Jadacki*

Nawet bliskie epoki różnią się znacznie, podobnie jak różnią się kraje oddzielone zaledwie wąskim pasmem granicznej miedzy.

Jakże inna od dalsiejszej była Warszawa okresu międzywojennego. Mieszkając na Ochocie, wybiegałem w lecie z domu o brzasku, żeby nasycić się przyrodą i wiejską ciszą na sąsiednim skwerku. Słychać było gdzieś daleko od strony Rakowca szczekanie psa i gwizd pociągu, a bliżej – głos kukułki od strony Łazienek, oddalonych o półtora kilometra. «Plach wiślany» i woda w Wiśle były takie, jak dziś już tylko na dalekich plażach pohadnia lub w sztucznych basenach. Sto metrów od domu, po drugiej stronie ulicy Wawelskiej, po Polu Mokotowskim biegały zające.

Taki świat był prawdziwy przed rokiem 1939. Może dla pokolenia moich rodziców i profesorów jeszcze prawdziwszy był świat sprzed Pierwszej Wojny.

Profesor Władysław Tatarzkiewicz do momentu Powstania mieszkał opodal, również o krok od Pola Mokotowskiego. Janek Strzelecki z sarkazmem wyrażał się o Tatarzkiewicz, że w czasie okupacji pisze traktat *O szczęściu*. Dla Janka w czasie wojny prawdziwszy był świat walki. Ja przyznaję dziś z pewnym zażenowaniem, że bliższy był mi świat oderwanych rozważań Tatarzkiewicza, czy *Elementów* Tadeusza Kotarbińskiego, niż świat Szarych Szeregów. Było tak może i dlatego, że koledzy, znający moje teoretyczne zapędy – czy może lepiej powiedzieć krytycznie: moje duchowe ograniczenie – dopiero w przeddzień Powstania powiedzieli mi niedwuznacznie: Zostaw już to nareszcie, nadszedł czas...

Posłuchałem, ale powierzchownie. Stojąc, z jakimś niesprawnym – jak się okazało – samostrzałem, na posterunku przy ulicy Piwnej na Starym Mieście, pisałem sobie z nudów kredą na ścianie aksjomaty logiki. Omal nie dostałem się przez to pod sąd wojskowy, posądzony o zostawianie zaszyfrowanych znaków dla nieprzyjaciela. Ktoś z władz AK-owskich trafnie jednak zauważył, że to chyba raczej jakiś maniak... Ta mania została mi do końca, choć koniec nigdy nie wiadomo jaki i kiedy...

O logice dowiedziałem się w roku 1938 przez radio, słuchając popularnego wykładu profesora Jana Łukasiewicza. (Może mass-media starały się wtedy objąć większy zakres różnych dyscyplin, niż to się dzieje dzisiaj?) Na kompletach tajnego Uniwersytetu Ziem

Zachodnich uczył mnie logiki Jan Salamucha. Gdy postadłem całą jego formalną umiejętność, przekazał mnie mieszkającemu również w pobliżu lepszemu specjalście – Bolesławowi Sobocińskiemu. Na seminarium metodologiczne chodziłem na drugi tajny Uniwersytet – Warszawski – do Henryka Hiza, który był asystentem Kotarbińskiego. U niego słyszałem oprócz teorii poważną muzykę oraz najpoważniejszą literaturę tamtych czasów: strofy Krzysztofa Baczyńskiego: "Tych miłości, które z nami na strumieniach białych płyną, co jak chmury nad głowami czasem każą zapominać... nie wydepcą nienawiści..."

Henryk był bezkompromisowym pacyfistą. Ale nie uchylił się od patriotycznego poświęcenia. Powiedział, że strzelać nie będzie, ale zgłosił się na sanitariusza i wyspecjalizował w przeprowadzaniu ludzi kanałami ze Starówki do Śródmieścia. Na Starówce zostałem ranny od wybuchu czołgu-pułapki. Z wielkim trudem przeszedłem kanałami do Śródmieścia.

Powstanie Warszawskie było największym zbiorowym, ofiarnym wysiłkiem mojego pokolenia.

Podstawowym zjawiskiem, które dzisiaj może wydawać się już egzotyczne, a przynależy do owych minionych czasów, jest właśnie bezinteresowność. Bezinteresowność – może całkiem błaha – maniakałnych, tak jak moje, zainteresowań, albo oderwanych od okoliczności, tak jak zainteresowania Tatarakiewiczza, czy bezinteresowność patriotyczna, znacznie ważniejsza. Przede wszystkim bezinteresowność całego tego wielkiego dzieła, jakim było polskie państwo podziemne, walka z okupantem i w końcu powstańczy zryw. Wobec powszechnej komercjalizacji obecnego naszego życia warto sobie zdać sprawę, że w tym zespolonym działaniu owego okresu element osobistego zysku i własnej kariery był zredukowany niemal do zera. Aktywni w tym dziele, poza żołnierską chwałą i honorowym awansem, nie mieli perspektywy żadnych indywidualnych ani zbiorowych gratyfikacji, jakie przynoszą zwykle z sobą niektóre inne zbiorowe czyny, jak np. rewolucje społeczne, które z reguły odbierają bogactwa jednym, a rozdają innym. Plany powojennych odszkodowań nie wiem, czy zaprzętały myśl kogokolwiek. Do konspiracyjnych zebrań szeregowych drużyn AK nie dochodziły zupełnie. Wszystko w tym dziwnym państwie było przy tym całkowicie dobrowolne. Nikt nie był do niczego zmuszony. Każdy podejmował się czegoś z własnej woli, nie licząc na żadną zapłatę.

Uważam, że bezinteresowność była paradygmatem naszego naiwnego – a jak powiedziałby Marcin Kula: romantycznego – dziewiętnastowiecznego może jeszcze patriotyzmu.

Nasuwa się przy tym refleksja, że to, co w ludziach cenimy najbardziej, to jest właśnie ich poświęcenie dla innych, dla swoich najbliższych, dla współmieszkańców regionu, dla ojczyzny, czy dla przybranych podopiecznych, dla uczniów, dla przyszłych pokoleń całej ludzkości. Dotyczy to nie tylko oczywiście akcji zbrojnej. Tych, którzy rozwijali polski przemysł w końcu XIX wieku cenimy też nie za to, że się dorobili na nim, ale za to, co było w ich wysiłku bezinteresowne, skierowane na kraj, na innych ludzi. Sprytnych biznesmenów podziwiamy, czasem im zazdrościmy, ale nie cenimy moralnie.

Sprawa bezinteresowności i owego polskiego romantycznego patriotyzmu wydaje się światopoglądowo bardzo ważna. Samo pojęcie bezinteresowności nie jest też psychologicznie i fenomenologicznie dobrze opracowane. Najbliższe mu znaczeniowo są pojęcia: ofiarności, wspaniałomyślności, poświęcenia, szczodrości. Po angielsku istnieje zbliżone słowo *desinterestedness*. We francuskim nasuwa się: *gratuité* lub *generosité*. Można twierdzić,

że każde wielkie dzieło powstaje z poświęcenia, a dzieło społecznie dobre wyrasta tylko na głębie bezinteresownego poświęcenia. Ten, kto wygodnie duma w swym fotelu, nie przyczynia się wiele do uratowania kraju, czy świata. Może wpaść na dobry pomysł, jeśli jest fachowcem z dobrą intuicją. Ale żeby z pomysłu tego coś wyszło, ktoś musi się poświęcić, zapamiętać o swej wygodzie, strześcić sobie język na przekonywanie innych, walczyć też i z samym sobą, doznawać wielu upokorzeń. Bez specjalnego wysiłku, wykraczającego zwykle poza naszą standardową rutynę, nic poważnego w życiu nie zrobimy. Ci, którzy mówią, że pragną poprawiać świat, a siedzą wygodnie na swoich stołkach, dobrze jeśli nie przeszkadzają. Naprawdę, jeśli coś się w świecie zmienia na lepsze, to nie dzięki nim, ale dzięki tym, którzy się męczą, albo którzy się męczyli kiedyś, a dzisiaj inni to lekko kończą, co tamci w trudzie zaczęli.

Poza rzeczami zdobytymi trudem są oczywiście też darmowe dary losu. (Istotnym elementem chrześcijańskiego światopoglądu wydaje się przekonanie, że Bóg zachęca ludzi do dobrowolnej ofiary. W osobie Chrystusa tworzy wzór dobrowolnego poświęcenia. Proponując bezinteresowny wysiłek, ustanawia go też jako istotny mechanizm dziejów.) Ewangeliczne wezwane do «zatrącenia swojej duszy» rozumiem jako właśnie wezwanie do poświęcenia się, do działania nie dla własnego zysku – czyli wezwanie do działania bezinteresownego.

W patriotyzmie polskim dopatruję się dużej dawki bezinteresowności, połączonej z nadzieją na solidarność. Otóż tak pojęty patriotyzm, jako odwołanie się swemu społeczeństwu lub narodowi, jest w wielu populacjach jedyną, stosunkowo często spotykaną, postawą wykraczającą poza egoizm jednostki lub wąskiej grupy rodzinnej, jedyną inspiracją mogącą skłonić jednostkę do podjęcia inicjatywy narażającej jej własny ogólny interes. Uważam, że w tym bezinteresownym oddaniu się szerszej zbiorowości tkwi podstawowa duchowa wartość tworzenia się dzisiaj nowych lub na nowo wskrzeszonych państw – jak np. dzisiejsza Litwa lub Ukraina – opartych, jak się zdaje, właśnie na takim patriotyzmie. Istnieją oczywiście inne bezinteresowne powołania mające duchową wartość, ale w tej części świata są po prostu rzadziej spotykane.

We wszystkich związkach bliskości (w przyjaźni, miłości) wytwarza się ciekawa sytuacja psychologiczna: ludzie się wzajemnie obdarowywują, ale wzajemność ta nie jest objęta umową, tylko jest darem wdzięczności. Przejście od daru do umowy robi z przyjaźni handel, z miłości prostytucję. Z kolei użycie siły czyni z przyjaźni gwałt. To jest cecha ludzkiego serca. Na tę wzajemność często nawet liczymy, ale nie chcemy poddawać jej jawnym obrachunkom. Chcemy, żeby każdy czyn miłości – czy bliskości – był wolny, żeby nie płynął z egzekwowanych zobowiązań, ale żeby był właśnie darem miłości.

Polska była w dużym stopniu budowana od wieków na więzach wzajemnego dobrowolnego obdarowywania się, a nie na więzach praw, strzeżonych siłą bata lub pieniądza. To była nasza specyfika, utrudniająca nam istnienie w świecie armii i kapitałów, a ułatwiająca przetrwanie w momentach trudnych, gdy ważniejszymi od realnych instytucji okazywały się idee, narodowa solidarność, pospolite ruszenie sumień i wzajemna pomoc. Komunizm rządów powojennych był jak gdyby poza sferą tej kultury, stąd nie prowadził do jej destrukcji. Natomiast rządy po-komunistyczne – od Tadeusza Mazowieckiego począwszy – jakby zdradziły ten chrześcijański ideał, bezinteresowność spychając z życia publicznego do rzędu prywatnego hobby i wprowadzając w jej miejsce brutalny, choć podobno sprawny ideał skomercjalizowanego państwa prawa, prowadzący, jak się zdaje, do dyktatury kapitału...

W społeczeństwie bez pewnej podstawowej bezinteresownej solidarności zmienia się cała optyka. Ważne stają się tylko umowy o wzajemnych korzyściach. Może istotą polskiego romantyzmu jest przekonanie, że nie tak buduje się społeczeństwo... Interesowność, pieniądza – zwykle dzieląc zabijają to, co bezinteresowne zaangażowanie ożywiało i łączyło. Nie wiem, czy menadżerowie kapitalistycznych społeczeństw i nasi politycy dążący do kapitalizmu zdają sobie sprawę z tego, że egoizm, na którym budują, prowadzi w końcu do pustki i bezsensu.

## INTER ARMA MUSAE NON SILEBANT

Tadeusz Manteuffel (red.), *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*,  
Warszawa 1961 *Iskry*, s. 25-36

Henryk Hiż urodził się 8 października 1917 roku w Petersburgu. W 1937 roku rozpoczął studia filozoficzne w Uniwersytecie Warszawskim; kontynuował je w Uniwersytecie podziemnym.

Z autobiografii:

*"Uczyłem się logiki na wykładach i seminariach Łukasiewicza, Leśniewskiego i Tarskiego. Trudno o lepszy zespół. Podczas wojny byłem asystentem Kotarbińskiego i Łukasiewicza, i pomagałem w szyfrach w Komendzie Głównej AK. W latach wojny uczył mnie szyfrów wybitny matematyk Stefan Mazurkiewicz. [...] Od młodości jestem pacyfistą. A jednak kilka łapanek moralnie czy nerwowo zmusiło mnie do wstąpienia do AK. Decyzję o powstaniu uważałem i uważam za niemądrą. Po powstaniu poszedłem do obojgu."*

*Po pobyciu w Brukseli i w Uniwersytecie Harvarda (gdzie się doktoryzował w 1948 roku) powrócił na krótko do Polski (1949-1950). Ostatecznie osiadł w USA, gdzie był wykładowcą kilku uniwersytetów – najdłużej Pennsylvania State University (1950-1951, 1954-1988).*

*Jest autorem licznych prac z głównie z dziedziny logiki i lingwistyki formalnej.*

Jacek J. Jadacki

W maju 1940 roku zwrócił się do mnie profesor [Tadeusz] Kotarbiński z poleceniem poprowadzenia wykładów z filozofii dla grupy polonistów. Chodziło o przygotowanie ich do egzaminu z *głównych zasad nauk filozoficznych*. Grupie tej patronował dom Cierniaków, rodziny zasłużonej w dziejach nauczycielstwa. Sytuacja moja była nieco kłopotliwa; miałem wówczas za sobą tylko dwa lata przedwojennego uniwersytetu, daleko mi jeszcze było do magisterium, a różnica wieku między mną a moimi słuchaczami była znikoma. W dodatku [Jędrzej] Cierniak (było to jeszcze przed jego aresztowaniem) tytułował mnie «panem profesorem», choć znacznie stosowniej byłoby, gdybym ja używał tego tytułu w stosunku do obojga Cierniaków. Na szczęście Kotarbiński powtórzył mi, że uprzedził Cierniaka, iż – jak się wyraził – «młodzi dentyści muszą czasem zepsuć jakiś ząb». To postawiło mnie w nieco właściwszej skali i zmniejszyło moją żenadę; widocznie Kotarbiński i Cierniakowie zdecydowali się ryzykować.

W ten sposób w początkach moich uniwersyteckich wystąpień miałem serdeczną opiekę niezwykłych ludzi i doświadczonych pedagogów. Z jednej strony zdawałem Kotarbińskiemu sprawę z moich poczynań i z «reakcji publiczności», z drugiej Cierniakowie zawsze wiedzieli, co się dzieje na kompletach i czuwali, choć niesłychanie dyskretnie i życzliwie (tak że dopiero po latach zdałem sobie z tego sprawę), nad jakością mego nauczania. Zebrania odbywały się w mieszkaniu Cierniaków na Kopernika, a po aresztowaniu Cierniaka u mnie na Kredytowej. Uczestnikami tego jednego z pierwszych wojennych kompletów byli: Hanka i Isia [Jadwiga] Cierniakówny, Wanda Leopold i Stanisław Marczak – ludzie

o wyjątkowej wrażliwości artystycznej, chłonni intelektualnie, pracowici. Wkrótce grupka ta rozrosła się, trzeba było ją podzielić, by zbyt wiele osób nie zbierało się razem.

Zetknięcie się młodych literatów z zagadnieniami tak zwanej filozofii ścisłej zazwyczaj obfituje w starcia, konflikty, w rozniecenie niechęci do «zimnych mędrców» i terminologicznej płataniny. Myślę, że na tę odwieczną niechęć młodych pisarzy do akademickiej filozofii składa się przede wszystkim podobieństwo zagadnień przy zasadniczej różnicy kryteriów ocen. Dojrzałość, jasność, precyzja i słuszność myśli są czynnikami decydującymi w dysputach filozoficznej, a estetyczne walory wypowiedzi, jej polot, są tu obojętne lub nawet przeszkadzają, bo – często może – zamazują umysłową treść doktryn. Z drugiej strony: pedantyczność wywodów filozofa, jego zawodowy formalizm denerwuje młodego artystę, stwarza wrażenie szpetoty przeciążonej maszynierii.

Te starcia nie były obce naszym zebraniom w roku 1940. Zwłaszcza że treścią tych zebrań była głównie dyskusja zagadnień przedstawionych w *Elementach teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* Kotarbińskiego. Z pozoru tylko książka ta mówiła młodym czytelnikom o tym, co zapowiadał jej tytuł. W rzeczywistości – czy też w efekcie pedagogicznym – była to również generalna ofensywa racjonalizmu, który starał się zaatakować problematykę zazwyczaj mętnie opisywaną przez pisarzy poetyzujących. Atak na platonizm, atak na wszelkiego rodzaju idealizmy, wybór «najzimniejszych» doktryn, obstawanie przy tym, co rozsądne, przy solidnej metodzie, przy rzetelnym namyśle, przy niebraniu na serio tego, co wypowiedziane przenośnie – oto co przede wszystkim uderzało młode głowy rozgrzane już atmosferą walki i nieraz odurzone oparami «uduchowionych prorocत्व» unoszących się nad polem bitwy.

Nie piszę tu recenzji z tej klasycznej książki, chodzi mi tylko o przedstawienie wrażenia, jakie – myślę – robiła ona na moich ówczesnych słuchaczach. A że było to i w moim życiu osiemnaście lat temu, przedstawiałem zapewne niejedną sprawę radykalniej i ostrzej, niż by to było w intencji autora *Elementów*. Mniej niż on miałem zrozumienia i wyrozumiałości dla stanowisk dalekich. Warto zwrócić uwagę na to, że zasadnicza, naczelna książka naukowa Kotarbińskiego, książka precyzująca jego pozycję filozoficzną była pomyślana i napisana jako podręcznik, i to jako podręcznik nie tylko dla studentów filozofii, lecz i dla tych, dla których filozofia miała być przedmiotem pobocznym. Jest to wynik nieodłączności działalności naukowej tego myśliciela od jego wysiłków nauczycielskich. Formułowanie stanowisk własnych rozwija on razem z formowaniem myśli studentów, publiczności. Profesor Kotarbiński jest przede wszystkim nauczycielem i to przejawia się bodaj we wszystkim, co kiedykolwiek napisał.

Niedawno widziałem się w Ameryce z profesorem St[anisławem] Ossowskim. Opowiadał, jak zasadniczą rolę formującą odegrały *Elementy* wśród młodszych polskich socjologów. Podobnie i wówczas. Po przełamaniu wstępnych trudności, trudności natury, powiedźmy, językowej, studenci zetknęli się z dyskusją filozoficzną traktowaną na serio. I na serio są nią przejęci. Moim oficjalnym zadaniem było przygotowanie studentów do egzaminu. Egzamin przeprowadzał profesor Kotarbiński. Większość studentów miała możliwość zetknięcia się profesorem Kotarbińskim i przy innych okazjach. Imponująca była ilość odczytów, zebrań, dyskusji, seminariów organizowanych w tych latach przez Kotarbińskiego i przez innych filozofów Uniwersytetu Warszawskiego. Zgodnie z szeroko rozumianą rolą nauczyciela brał Kotarbiński udział w przeróżnych zebraniach grup literackich, samokształceniowych, chciał rozmawiać z ludźmi, którzy mogli mieć wpływ na umysłowe życie

podziemnej Warszawy. Rola uniwersytetu w normalnych warunkach nie ogranicza się do wykształcenia studentów, lecz obejmuje również dostarczanie podnieć umysłowych, standardów i krytyki dla szerszej publiczności. W warunkach wojennych bardzo trudno było sprawować tę rolę trybunału intelektualnego. Stąd dużą porcję czasu i energii poświęcali profesorowie ludziom nie związanym bezpośrednio ze studiami akademickimi.

Pewnego dnia poszedłem z Kotarbińskim do jakiegoś grona i wygłosiłem odczyt sprawozdawczy z książki [Romana] Ingardena *O poznawaniu dzieła literackiego*. Bodaj nikogo nie znałem spośród dość licznej – jak na ówczesne stosunki – publiczności (około dwudziestu osób, w czymś mieszkaniu na Mokotowie). Przeważali tam ludzie dojrzały, o wyrafinowanej kulturze literackiej. W dyskusji, po odczycie, starano się przeciwstawić stanowisku Ingardena pozycje [Manfreda] Kridla. I gdy kilka dni temu wypadło mi ponownie czytać tę pracę Ingardena, przypomniałem sobie dość dokładnie głosy w tej dyskusji.

Przez długi czas, w każdą niedzielę rano, odbywały się u Kotarbińskich na Brzozowej zebrania, na których dyskutowało się głównie zagadnienia filozofii postaw społecznych. Dyskusje były intensywne i dogłębne, a uczestnicy mieli poczucie doniosłości tego, co się dzieje w pokoju. W normalnych czasach uniwersytet wywiera wpływ na młodzież nie tylko przez bezpośrednie uczenie oficjalnych przedmiotów, lecz również przez urabianie dojrzałej, odpowiedzialnej postawy życiowej. I temu zadaniu profesorowie starali się sprostać w latach uniwersytetu podziemnego. Wiesław Wóhnot opisywał zebrania, na których Kotarbiński przemawiał do młodzieży, nie związanej chyba bezpośrednio z uniwersytetem, na temat zagadnień etyki opiekuńczej. Pozwolę sobie zacytować kilka zdań tego opisu:

“Zebranie nasze nie było zbyt liczne. Unikaliśmy wtedy zebrzań liczniejszych ponad kilkanaście osób. Przeważali inteligenci, młodzi ludzie; kilka panien. [...] Mnie zaproszono mówiąc ogólnikowo, że będzie «grupa zaprzyjaźnionej młodzieży». To odpowiadało na pewno prawdzie.

[...] [Kotarbiński] wykladał, a raczej rozmyślał głośno, o stanie umysłu człowieka dojrzałego i posiadającego poczucie odpowiedzialności, a znajdującego się w trudnej sytuacji życiowej, wśród ciągłych niebezpieczeństw. W takiej sytuacji byliśmy wtedy wszyscy. Dla uporządkowania przeto różnych typów reakcji w warunkach zasadniczo identycznych wprowadził Kotarbiński pewną specyfikę. Dzielił mianowicie ludzi na dojrzałych, to jest takich, którzy posiadają poczucie odpowiedzialności, i takich, którym działanie doraźne przesłania obraz skutków.

[...] Zdawanie sobie sprawy ze skutków naszych czynów bądź z zaniechania jakiejś czynności nazywał stylem życia opiekuńczym albo ojcowskim. Określenie to, jak sądzę, nie wymaga wyjaśnienia. Styl ojcowski daje powagę naszym myślom, a także sprawia, że wszystko, co robimy, chociażby to były rzeczy najmniej nawet ważne, nabiera dostojności i sensu. [...] Temu typowi umysłowości przeciwstawił Kotarbiński ludzi łatwej decyzji, którzy gotowi są w każdej chwili umierać. [...] Wywód profesora Kotarbińskiego nie mógł być inaczej zrozumiany niż jako przestroga.”

Wydaje mi się, że doktryna etyki opiekuńczej dojrzała, jeśli nawet nie została stworzona, na użytek takich ówczesnych zebrzań «grup zaprzyjaźnionej młodzieży». Wydaje mi się, że doktryna ta istotnie była, i pewnie jest, przestroga ze strony ludzi rozważnych pod adresem ludzi bądź zbyt łatwo odważnych, bądź zbyt ważnych.

I inni profesorowie miewali często prelekcje w kołach nie czysto akademickich. Słaniaśław Ossowski mówił o zasadach socjologii do robotników Społecznego Przedsiębiorstwa

Budowlanego (słuchałem go wówczas jako pracownik budowlany) i o metodologii nauk humanistycznych do literacko-społecznych ugrupowań młodzieżowych (słuchałem go wówczas jako przyjaciel członków pewnej «grupy zaprzyjaźnionej młodzieży»). Pamiętam zebrania, na których profesor Maria Ossowska dyskutowała ideologię angielskiego skautingu i zawartość etyczną wierszy [Rudyarda] Kiplinga. Wybór tematów nie był chyba przypadkowy, a konkluzje były znów przestroga.

I mnie wypadło mieć pogadanki do grupy *Szarych Szeregów*, grupy, która była mocno zaangażowana w «mokrej robocie». Zostałem tam zaproszony, ponieważ uważano intensywnie bombardowanie problematyką etyczną za środek zapobiegawczy przeciwko możliwej demoralizacji chłopców biorących czynny udział w tych niezwykłych wydarzeniach. Mówiłem im, że nie należy zadawać niepotrzebnego bólu, że jak się ma coś wykonać, to jest naszym obowiązkiem obmyśleć takiego planu, by powodował on jak najmniej ludzkiego cierpienia. Strzelać należy z tyłu, bez uprzedzenia. Bo po cóż mamy powodować przedśmiertelny strach, przerażenie u osoby, którą mamy zlikwidować. Sama likwidacja – to konieczność wojenna. Strach zadany przez niby to rycerskie strzelanie z przodu – to nierozsądna i nieetyczna pozostałość średniowiecza, która nie przyczyniła się do postępu działań wojennych.

Alé wróćmy do właściwych kompletów uniwersyteckich. Coraz większe było na nie zapotrzebowanie, coraz bardziej odczuwano się brak normalnego trybu szkolnego, z wykładami, seminariami, kolokwiami. Uniwersytet nie zashuguje na swe miano, gdy student styka się z jednym tylko wykładowcą. A już szczególnie filozofia bez ścierania się opinii, stylów, osobowości niewiele ma racji bytu. Niemożliwe było zorganizowanie otwartego forum. Ale wielu studentów zaczęło uczęszczać na szereg równoległych kompletów. Pani Maria Ossowska i doktor Eugeniusz Geblewicz prowadzili wykłady, na które i moi słuchacze chodzili. Po jakimś z moich wykładów o teorii poznania studenci oponowali, cytując, co doktor Geblewicz mówił o psychologii postrzeżeń. Bez takich konfliktów eksperyment podziemnego nauczania byłby nieudany. Profesor Władysław Tatarkiewicz przez lata spotykał się co tydzień z grupą bardziej zaawansowanych studentów i choć osobiście udziału w tych zebraniach nie brałem, atmosfera tam wytworzona oddziaływała i na mnie, i na innych kolegów, którzy dowiadywali się o przebiegu tych zebrań od ich uczestników. Jan Gralewski, Mieczysław Milbrandt, Alicja Szabekowa, Danuta Krzeszewska, Ludwik Kasiński, Alicja Iwańska, Danuta Wicentowiczówna, Alicja Kadlerówna należeli do tego grona, które było kontynuacją seminarium filozoficznego prowadzonego przez profesora Tatarkiewicza przed wojną. Również na nas wszystkich wywierał duży wpływ Mieczysław Choynowski swoim rozmachem myśli, zapalem do nauki, nienawiścią do bzdury i niekompetencji.

Trudno mi dziś, po tylu latach i «z lewej strony» Atlantyku, wyliczyć wszystkich studentów, którzy przesunęli się przez te komplety w ciągu przeszło czterech lat. Większość z nich to humaniści, specjalizujący się w różnych dziedzinach. Spośród nich wielu wykazało bardziej niż przeciętne zainteresowania i talenty filozoficzne: Isia Cierniakówna, Ewa Grochowska, Helena Adamiakówna, Henryk Stonert, [Lesława] Tazbirówna, Jerzy Pelc, Klemens Szanłowski, Tadeusz Skubiszewski, Barbara Baczyńska, [Elżbieta?] Zielińska, [Jerzy] Miller, Barbara Białostocka, Andrzej Grzegorzczak. Z tymi wymiana myśli szybko przekroczyła ramy oficjalnych kompletów. Dodatkowe spotkania, spacer, jakieś *ad hoc* organizowane odczyty czy dyskusje były terenem dalszych rozmów, ścierania się, wspólnej walki.

I oczywiście rozmowy nie ograniczały się do technicznej tematyki logiczno-semantycznej. Przez lata toczyliśmy dysputę na temat racjonalizm a emocjonalizm; czy należy powodować się uczuciami na równi z rozsądkiem, czy nawet wbrew rozsądkowi, czy też należy rozsądnie brać pod uwagę życie uczuciowe i racjonalnie nim gospodarować. Tematy literatury pięknej były nie do uniknięcia w takim gronie. [Witold] Gombrowicz i [Konstanty] Gałczyński dominowali w latach 1940-1942 nad stylem młodych polonistów i tym samym nad gustami wielu innych studentów. Z biegiem wojny atmosfera «wielkiej» poezji ogarniała umysły. Olbrzymią rolę odegrał tu Krzysztof Baczyński. I to nie tylko swymi wierszami, które stały się szybko poezją naszego pokolenia, lecz również swymi gorącymi dyskusjami, entuzjastycznymi wypowiedziami o [Juliuszu] Słowackim, własną postawą, zachowaniem, w którym odbijał się patos tamtych czasów.

Osoba Baczyńskiego łączy środowisko studentów polonistyki ze studentami skupionymi wokół grupy *Płomieni*. Baczyński, Karol Lipiński, Jan Strzelecki, Ewa Grochowska, Marcin Czerwiński – to główni płomieniarze. Tu panował radykalizm społeczny, przejmowano się personalizmem, którego głównym pisarzem był Emanuel Mounier. Rozwijano też działalność polityczną. Lipiński, Strzelecki i Czerwiński, studenci socjologii, byli pod przemożnym wpływem, tak jak zresztą my wszyscy, obojga Ossowskich. Płomieniarze uczęszczali też na moje komplety. Studia filozoficzne były pomocą dla przedmiotu głównego – socjologii, a socjologia z kolei wpływała na działalność główną – polityczno-wychowawczą. Ta ostatnia była tak absorbująca, że nie dziw, że Janek Strzelecki, wyczerpany, zasypiał przy moich dłuższych wywodach semantycznych.

Działalność polityczna czy wojskowa była w owe czasy potężnym konkurentem nauki. Krzysztof Baczyński przez trzy miesiące nie pokazywał się na wykładach. Był w partyzantce. Wyczuwało się, że chłopcy przychodzą na komplety w przerwach między zajęciami znacznie bardziej fascynującymi, że dla wielu uniwersytet jest dodatkiem do podchorążówki. Halina Walterówna (bardzo utalentowana matematyczka) i Stanisław Leopold dzielili swój czas i energię między naukę i harcerstwo, które w owe czasy nie było zabawą. W roku 1943 płomieniarze i Stanisław Marczak (piszący jako Juliusz Oborski) zaczęli wydawać miesięcznik literacko-społeczny *Droga*. Pismo to odzwierciedlało dyskusje toczące się wśród moich studentów, którzy oczywiście stali się już dawno moimi przyjaciółmi.

W zimie 1940-[19]41 rozpocząłem również wykłady z filozofii dla studentów wydziału matematyczno-przyrodniczego. Wykłady te dotyczyły głównie logiki matematycznej i przygotowywać miały do egzaminu zdanego przed Janem Łukasiewiczem. Niektórzy studenci wydziału humanistycznego uczęszczali i na te wykłady. Wkrótce wytworzyła się grupka interesująca się specjalnie logiką symboliczną i zaczęły się odbywać osobne zebrania tego grona, które nazwaliśmy Warszawskim Klubem Logistycznym. Zebrania miały charakter seminaryjny. Omawiało się tam zagadnienia z rachunku zdań, z teorii mnogości i dyskutowało się dość szczegółowo systemy podstaw matematyki, zbudowane przez Stanisława Leśniewskiego. W zebraniach tych uczestniczyli między innymi Andrzej Grzegorzczak, Henryk Stonert, Halina Walterówna, Helena Adamiakówna, Isia Cierniakówna. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem wspaniałego intelektu Andrzeja Grzegorzczaka, który szybko stał się filarem tych zebrań.

Systemy Leśniewskiego były też jednym z głównych tematów zebrań, które w latach 1940-1944 odbywały się w mieszkaniu profesora Adama Krokiewicza na Brzozowej. Krokiewicz, filolog klasyczny, znawca filozofii greckiej, interesował się w tym czasie stoicyzmem. A nie sposób zajmować się dłużej stoicyzmem nie dotykając logiki stoickiej. O logice stoików

pisał w sposób rewelacyjny Jan Łukasiewicz, najwybitniejszy historyk logiki. Z natury rzeczy zatem Łukasiewicz służył profesorowi Krokiewiczowi radą, pomocą, interpretacją tekstów. Te zebrania wojenne były kontynuacją seminarium, jakie Krokiewicz i Łukasiewicz prowadzili łącznie przed wojną, a które poświęcone były logice Arystotelesa. W tamtych przedwojennych zebraniach nie mogłem brać udziału, byłem bowiem zbyt początkującym studentem. Teraz Łukasiewicz wciągnął mnie w te dyskusje. W zebraniach uczestniczyli również profesor Jerzy Ślupecki i Jan Salamucha (znawca logiki średniowiecznej, nowocześnie wykształcony logik; na jego sposób myślenia większy chyba wpływ wywarł Leśniewski niż Tomasz z Akwinu, którego Salamucha, jako profesor filozofii na wydziale teologicznym w Krakowie, był niejako oficjalnym komentatorem). Dołączył się później do tej grupy doktor Bolesław Sobociński. Na tych zebraniach u Krokiewicza uczyłem się niesłychanie dużo. Bo też nie lada mistrzowie zabierali tam głos. I pewna apolityczność Łukasiewicza przyczyniła się do tego, że zapominało się o wojnie, o problemach *Płomieni* i zanurzało się całkowicie bądź to w świat logiki greckiej, bądź też w podstawy matematyki współczesnej. Ta apolityczna postawa była mi w zasadzie obca, ale cenilem ją bardzo na tych zebraniach. Różnice światopoglądowe były zbyt wielkie, by je poruszać. Powstała niepisana umowa, że przed każdym zebraniem u Krokiewicza wstępowałem do Kotarbińskiego (sąsiedni dom na Brzozowej). Mówiło się wtedy między nami, że idę do «starców», i musiałem zdawać Kotarbińskiemu sprawę zebrań ze «starcami». (O zebraniach tych wspomina profesor Krokiewicz w swej pracy "O logice stoików", *Kwartalnik Filozoficzny* XVII, 1949, s. 186.)

Te zebrania ze «starcami» nie były jedynymi zaawansowanymi seminariami filozoficznymi. Wspomniałem już o seminarium profesora Tatariewiczza. Brałem też udział wspólnie z płomieniarzami, z Alicją Iwańską i z Danutą Wicentowiczówną, w zebraniach, które miały charakter seminarium z zagadnień etyki, a prowadzone były przez panią Marię Ossowską. Profesor Kotarbiński miał zebrania seminaryjne przez całą wojnę. Między innymi brała w nich udział docent Janina Kamińska i pani Halina Powiadowska. Najpierw odbywały się te zebrania u mnie na Kredytowej, później na Czackiego. Na Czackiego też umieszczane były – i wypożyczane studentom – książki wyszabrowane przez odważnych ludzi z biblioteki Seminarium Filozoficznego II, znajdującej się na terenie obsadzonego przez Niemców uniwersytetu. Przechowywany był tu jeden z trzech egzemplarzy maszynopisu przekładu [Franciszka] Bacona, przekładu, w który profesor Kotarbiński włożył kilkadziesiąt lat pracy i talentu. Tam też egzemplarz ten spłonął podczas powstania. Podobny los spotkał obłe inne kopie. Niech mi będzie wolno na tym miejscu publicznie przeprosić profesora Kotarbińskiego i wszystkich tych, którzy by chcieli ten przekład przeczytać, za niedostateczne z mojej strony wysiłki w celu zabezpieczenia maszynopisu.

Nie bez żenady piszę o tamych czasach. Od lat uczę «cudze dzieci», a problemy pedagogiczne, które staram się przezwyciężać w codziennej praktyce, bardzo się różnią od kłopotów, które mieli moi nauczyciele ze mną, jak również zapewne od tych, które dziś istnieją na Uniwersytecie Warszawskim. To, co dziś wydaje mi się ważne w tamtych doświadczeniach, może nie być doniosłe czy pozytywne z perspektywy Warszawy. A ważne wydaje mi się przede wszystkim to, że podjęto eksperyment względnie systematycznej pracy oświatowej i badawczej w warunkach nie sprzyjających. I że eksperyment ten częściowo się udał. Myślę, że się udał, ponieważ olbrzymia większość tych, co zaczęli chodzić na wykłady, kontynuowała naukę do samego powstania (z wyjątkiem tych, którzy – jak Hanka Csaky – zostali aresztowani przez Niemców). Wytworzyła się i utrzymywała atmosfera pobudzenia

intelektualnego. Studenci chcieli czytać, uczyć się, rozwiązywać problemy, choć nie zawsze starczało im czasu, energii i skupienia. Udał się ten eksperyment, bo skutecznie ustanowił w państwie podziemnym niezależność nauki od organizacji wojskowych, społecznych, politycznych, religijnych. Wydaje się – choć to może brzmi zdumiewająco – że swoboda wyładowczy była większa niż w warunkach przedwojennych. Nie było w praktyce żadnych presji przeciwko «szarągniu» jakichkolwiek «świętości».

Ale udał się ten eksperyment tylko częściowo. Po pierwsze dlatego, że zasięg społeczny uniwersytetu ograniczał się do nader wąskiej warstwy społecznej i nie sposób było podejmować wysiłków w celu rozszerzenia tej bazy. Była to w gruncie rzeczy impreza towarzyska warszawskiej inteligencji. Po wtóre, jakość nauczania i jakość pracy studenta pozostawiała dużo do życzenia. Jest to dziś, oczywiście, zrozumiałe i wybacalne. Lecz w tamtych czasach ani ja, ani – myślę – starsi profesorowie nie zdawali sobie z tego jasno sprawy. A w nauczaniu bardzo należy się wystrzegać przeceniania tego, co się właściwie robi. Mówiąc obrazowo, hraliśmy ilościowo ilości kompletów i trudności zewnętrznych za jakość naszej pracy. Wbrew oczekiwaniom nie posypały się bezpośrednio po wojnie rewolucyjne prace, które tylko czekały na ogłoszenie drukiem. Tym, co dojrzewali w warunkach podziemia, potrzeba było jeszcze kilku lat, by dojrzeć do warunków bardziej zwykłych. Nowoczesny uniwersytet zazwyczaj spełnia w praktyce funkcje biura pośrednictwa pracy: przygotowuje młodych ludzi na stanowiska, które się, przynajmniej w przybliżeniu, przewiduje. Nie było podczas wojny perspektywy na to, jakie zadania będą czekały naszych absolwentów, nie wiedzieliśmy, do czego ich właściwie przygotowujemy. Do walki? Do męznego zniesienia cierpienia, więzienia, obozów? Do włączęgi bez wykolejania się? Czy do jakichś fikcyjnych zadań w jakimś fikcyjnym społeczeństwie, które może będzie istnieć po wojnie? Był niemal zupełny brak ogólnego programu, bo go oczywiście być nie mogło. Pod jakimś względem przerabiała się resztki kultury przedwojennej, choć właściwie była ona już tak nam daleką jak kultura ruin antycznej Grecji.

Ale nie jest może ważne, czy uniwersytet podziemny był udaną imprezą. Był imprezą konieczną – odpowiadał doraźnym potrzebom myślenia. I bodaj najważniejszą nauką, jaką wyniosłem z tamtych doświadczeń, jest to, jak wspaniałym środkiem pedagogicznym jest bezpośredni kontakt, czy starcie myślowe z uczniami, o ile studenci chcą i mogą stawiać czoła nauczycielowi. Dużo wtedy zazwyczaj nauczyciel uczy się od uczniów. A to właśnie jest nie najgorszą miarą sukcesu w nauczaniu.

O starciu z uczniami jest jednak czasem trudno. W warunkach unormowanego życia nie ruszamy co krok z kopyta do boju. I gdy dziś w mojej klasie widać nudę, przypominam sobie tamte frontalne ataki na mnie i staram się sztucznie wytworzyć warunki podniecenia, staram się dotknąć, obrazić uczucia tych słuchaczy, aby przez ten drastyczny może zabieg wydobyć z nich myśli, które mogłyby mi się przydać. Tamci wojenni studenci byli w znacznie lepszych warunkach pod tym względem. Przychodzili na komplety głęboko przejęci rzeczywistością Warszawy i sytuacją ich pokolenia. Nie potrzebowalem sztucznych zabiegów, by wydobyć z nich oburzenie, które jest przemożnym motorem produkcji myślowej.

## POWSTANIE

*Potycki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985,*  
Warszawa 1993 Gebethner i Ska, s. 254-258/

Alicja Iwańska urodziła się 13 maja 1918 roku w Lublinie jako córka Jana i Stanisławy z Miłkowskich. Po ukończeniu Gimnazjum Posselt-Szachtmajerowej w Warszawie rozpoczęła 10 października 1936 roku studia filozoficzne w Uniwersytecie Warszawskim u Tadeusza Kotarbińskiego. W 1938 roku wyjechała do Université Libre w Brukseli, gdzie pod kierunkiem Eugène'a Dupréla pracowała nad pracą magisterską o Jean Marie Guyau. W połowie września 1939 roku wróciła do Polski. Studia kontynuowała w podziemnym Uniwersytecie; w 1941 roku otrzymała magisterium z filozofii. Od połowy 1940 roku należała do ZWZ, a potem – do AK (pseudonim: Wiewiórka). Brała udział w Powstaniu Warszawskim, a następnie w podziemiu antykomunistycznym. Po aresztowaniu kolegów z AK wyjechała z Polski w 1946 roku i pozostała na Zachodzie.

W 1957 roku doktoryzowała się z socjologii w Columbia University w Nowym Jorku. Wykładała następnie na kilku uniwersytetach amerykańskich, głównie (do 1985 roku) w State University of New York w Albany. Po przeniesieniu się do Londynu została wykładowcą Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

Wydawała wiele prac z dziedziny socjologii oraz (po polsku) liczne książki poświęcone przede wszystkim problematyce AK-owskiej.

Jacek J. Jadacki

Gdyby wówczas – 1 sierpnia – zapytano mnie, czy powstanie wybuchnie, odpowiedziałabym: "Wykluczone. Nie ma przecież żadnych szans na zwycięstwo. Powstania należą do naszej przeszłości! W połowie XX wieku walczy się inaczej: rozpracowywaniem wroga, sabotażem, dywersją."

Dziwnie pusto w Alejach, a zakład pedikiuru okazał się zamknięty. Szukałam na drzwiach jakiegoś napisu. Może za chwilę wróci? Spojrzałam na zegarek. Była piąta. Wówczas usłyszałam strzały i zobaczyłam rozpedzoną niemiecką ciężarówkę, najeżoną karabinami maszynowymi. Przez Aleje przebiegło kilku młodych chłopców z chlebakami i dziewczyna w letniej sukni z plecakiem. W bramie obok zakładu pedikiuru zakiepiło się od ludzi. Mówili, że to powstanie, ale im nie wierzyłam. Gdyby to miało być powstanie, pan K.<sup>1</sup> przysłałby mi przecież jakieś instrukcje, dał do siebie kontakt.

Dopiero gdy wśród stłoczonych w bramie rozpoznałam dużą Klarę, a może Grażynę... nie pamiętam pseudonimu tej rosnącej dziewczyny z komórki przywiezionej, a może z marginesów LZY-24... dopiero wówczas w powstanie uwierzyłam i wielka złość mnie ogarnęła. Jakże pan K. mógł mnie w takiej chwili opuścić! Będę go oczywiście szukać, a nawet jeśli go nie znajdę – zapewniałam się zaciekłe – i tak dam sobie radę, wykombinuję jakiś przydział

<sup>1</sup> Chodzi o Krzysztofa Loskiego, AK-owskiego szefa Autorki (przyj. JJJ).

przez roslą *Klarę* czy *Grażynę*, która się już-już w Emilię Plater przemieniała. Przez nią się na pewno do powstania włączyć, ale ileż lepiej byłoby być ze swoimi! Dlaczego ten nieznośny pan K. nie dał mi żadnego kontaktu?

Zrozumiałam to dopiero niedawno, zaledwie kilka lat temu, podczas spotkania z nim i Wandą *Biedronką*<sup>2</sup> już tu, w Londynie. Wywiad, a więc i nasz kontrwywiad, miał być w tak zwanym trzecim rzucie; nie miał brać udziału w powstaniu. Taki był ogólny rozkaz. Pana K. jednak już nazajutrz odnalazłam w powstanie jak najbardziej włączonego. Na podwórzu przy Wilczej wśród wysokich słoneczników komenderował sporą grupką uzbrojonych chłopców z biało-czerwonymi opaskami.

Nie o swoim przydziale, lecz o Wandzie *Biedronce* musiałam z nim natychmiast porozmawiać. Bo Wanda, rozpracowująca nadal Mieczysława Bratkowskiego, była teraz bardzo zagrożona. Oto, jak pan K. opisał to w swoich wspomnieniach:

"Wybuch powstania pokrzyżował nasze plany. Odcięty został praktycznie dostęp do naszych materiałów. Można było korzystać tylko z pamięci. Sprawę Bratkowskiego, aktywnie współpracującego z niemieckimi placówkami bezpieczeństwa, zdążyliśmy jeszcze przekazać Wojskowemu Sądowi Specjalnemu. Coś prawdopodobnie przeczuwając przeniósł się w trzeciej dekadzie lipca 1944 r. do nowego mieszkania przy ulicy Wilczej 31, V piętro. Zabrał tam ze sobą również *Biedronkę*. Tam też zastał ich wybuch Powstania." I dalej: "Bratkowski zamierzał ją zabić albo wykorzystać jako zakładnika w swojej obronie. Wybawiła ją *Wiswiórka* (Alicja Iwańska). Wiedząc, gdzie się *Biedronka* znajduje (były przyjaciółkami od wielu lat), zorganizowała odsiecz złożoną z trzech naszych dobrze uzbrojonych chłopców. W rezultacie wszystkich znajdujących się w mieszkaniu Bratkowskiego aresztowano, przekazując Kontrwywiadowi Okręgu Warszawskiego. *Biedronka* została oczywiście natychmiast zwolniona i wraz z *Wiswiórką* do końca Powstania pracowały dla Sztabu Dzielnic Śródmieście-Południe, mając swe «miejsce postoju» w Alejach Ujazdowskich w byłym *Rüstungskommando*."<sup>3</sup>

2 sierpnia podczas tej odsieczy padał deszcz. Widzę w tym deszczu *Biedronkę* w beżowej pelerynie deszczowej, idącą środkiem Wilczej z aresztowanymi. I siebie również widzę w takiej samej pelerynie, eskortującą aresztowanych z trzema uzbrojonymi chłopcami.

Odprowadziliśmy ich do jednostki o skrótowej nazwie INF<sup>4</sup>, zainstalowanej przy ulicy Kruczej. Do tej jednostki wkrótce pan K. nas przydzielił i w niej spędziliśmy prawie dwa tygodnie, podczas gdy on – szczęśliwy – szalał na barykadach.

Teraz, gdy uwierzyliśmy obie w powstanie, nadal zresztą nie wierząc w możliwość zwycięstwa, chcieliśmy jednak walczyć. A kazano nam urzędować w INF-ie... Tak, u r z ę d o w a ć!

\*\*\*

W pierwszych dniach powstania wzięto do niewoli wielu Niemców. Trzymało się ich w piwnicach INF-u, a w innych, zaimprowizowanych więzieniach zatrzymana był spora garstka ludzi z moich kartotek. Za tych ludzi z kartotek byłam teraz odpowiedzialna. Jedni z nich, jak Mieczysław Bratkowski, mieli już wyroki śmierci, innych należało w przypleszonym tempie rozpracować, ustalić, czy są dla nas naprawdę niebezpieczni. Jednych zwalniano, innych przesłuchiwało i konfrontowano, a byli i tacy, których odsyłano podobno

<sup>1</sup> Chodzi o Wandę Namysłowską, przyjaciółkę Autorki [zrycz. III].

<sup>2</sup> K. Leski, "Wspomnienia oficera wywiadu AK", *Za i Przecia* r. 1986 nr z 25 maja.

<sup>3</sup> [Chodzi o] Kontrwywiad Okręgu Warszawskiego.

do Sądu Wojskowego. Tych z wyrokami rozstrzeliwano na miejscu. Z pamięci musiałam rekonstruować swoje mapy powiązań. Co za odpowiedzialność! Jakie ogromne ryzyko. Nie było na to jednak żadnej rady. Już pierwszego dnia powstania Niemcy zajęli przydworcową dzielnicę, a w niej moją kawalerkę z archiwami firmy w skrytkach. Nie było żadnej szansy, aby się do tych skrytek dostać. Musiała wystarczyć moja pamięć.

Byłam skazana na to straszne, ujawniające mnie urzędowanie. Podczas rozprawy Mieczysława Brajowskiego i współpracującej z nim żony Wanda siedziała w sąsiednim pokoju i Brajowski myślał, że jest nadal uwięziona. Gdy już w ten swój wyrok uwierzył ("Niesprawiedliwy – powiedział spokojnie. – Będziecie tego kiedyś żałować."), starał się jeszcze bronić "nazupchnięj w tej sprawie niewinnej panny Wandy". Potem Bratkowskich wyprowadzono i usłyszaliśmy (każda osobno) dwa ciche strzały.

Wkrótce INF przeniósł się z Kruczej do parterowego mieszkania przy Wilczej 31. Urzędowaliśmy w INF-ie od rana do wieczora, a w przerwie między przesłuchaniami karmiono nas tam zupkami i kaszą. Od czasu do czasu tylko wybiegałyśmy na miasto. Ze dwa razy mignął nam pan K. w ciemnozielonym, jakby leśniczym kombinezonie.

Kazano mi kiedyś jak najprędzej przygotować jakieś podziemne przejście pod kamienicami. INF mnie do tej pracy wysłał. Od INF-owego urzędowania wyzwolił. Ze starszymi cywilami, zaopatrzonymi w kilofy, z planem w ręce, spędziłam dzień czy dwa w piwnicach pod Wilczą. Złościł się czasem na mnie właściciele piwnic, częściej jednak sami pomagali i przynosili nam potem zupę i herbatę. Nad nami samoloty, naokoło pożary, artyleria i coraz częstsze ryczące pociski, «krowy». Dopiero teraz mogłam to przeżywać tak, jak przeżywali naokoło inni.

Ale do INF-u musiałam wrócić. Ten INF był nie chcianym, przypadkowym, ale jednak dalszym ciągiem mojej pracy w firmie. Najpierw zakon, a potem Inkwizycja – tak to w życiu bywa. Przesłuchiwanie, przerażenie, płacz skazanych.

I jeszcze ci Niemcy wzięci do niewoli, Niemcy z piwnic. Jednego z nich pamiętam, młodego ogromnego blondyna z Wehrmachtu o różowej, dziecięcej twarzy. Przedstawiał się nam podczas przesłuchiwań jako zawzięty antyhitlerowiec. Po naszej stronie chciał walczyć. I w końcu przesłuchujących przekonał. Powiedział mi, że będzie walczył w «pierwszej linii», czymkolwiek ta pierwsza linia podczas powstania była. Pamiętam jego twarz rozjaśnioną pod rozczochraną czupryną.

Gestapowców podobno rozstrzeliwano natychmiast, ale że ich było w piwnicach sporo, a amunicji mieliśmy zawsze mało, zdecydowano się w końcu na wieszanie. Ale zrywały się zmurszałe lub przepalone sznury, ktoś więc wykombinował, że ze względów humanitarnych należy wymyślić dla nich jakiś inny rodzaj śmierci. Najlepiej uśmiercające zastrzyki ewipanu. Bo ewipan został właśnie w dużych ilościach zdobyty i znajdował się w którymś z powstańców szpitali śródmieścia.

Nie wiem, dlaczego mnie właśnie wysłano z tą misją do naczelnego lekarza. Miałam mu "wszystko dokładnie wytłumaczyć" i poprosić o dostarczenie nam ewipanu jak najprędzej. Malraux byłby pewno zachwycony taką dramatyczną misją. Nie ja jednak! Nie potrzebowałam nigdy aż tak sensacyjnych wydarzeń dla rozsmakowywania się w dziwnej tragiczności życia.

O dobrych dziewięć lat starszy był ode mnie ten młody jeszcze naczelny lekarz: spokojny, o skupionym, niebieskim spojrzeniu. Gdy mu krótko wyłożyłam sprawę ewipanu, twarz mu poczerwieniała. W kieszce chwilę bez słowa pogrzebał, wyciągnął świstek papieru z po-

numerowanymi nazwiskami i dopiero z tym papierkiem w ręku chlusał na mnie swym świętym gniewem.

– Czy pani sobie w ogóle zdaje sprawę, o co mnie pani prosi? Mnie, lekarza, który składał przysięgę Hipokratesa, prosi pani o ewipan do zabijania ludzi! Proszę pani... ja przysięgałem, że jako lekarz będę ludzi uzdrawiał, nie zabijał. Mimo to... mimo wszystko... niech pani sama zobaczy. – I podał mi pognieciony świstek. – Tu mam listę moich najbliższych pomordowanych przez Niemców! – Spojrzałam. Było na niej chyba około dwudziestu nazwisk. – Proszę pani, ja mogę zaraz tam pójść z panią i nie jako lekarz, ale jako człowiek, jako człowiek po prostu, tych morderców własnymi rękami wydusić. Ale ewipanu wam nie dam!

– Panie doktorze – powiedziałam jak najspokojniej, ale głos mój był jakiś inny i wydawało mi się, że to nie ja mówię – panie doktorze, AK nie istnieje po to i nie po to wybuchło powstanie, aby dać okazję do wyżywiania się takim sadystycznym instynktom.

Tak się zakończyła ta moja misja.

## WSPOMNIENIE Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Tadeusz Manteuffel (red.), *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*,  
Warszawa 1961 *Iskry*, s. 15-24

*Tadeusz Kotarbiński urodził się 31 marca 1886 roku w Warszawie; zmarł 3 października 1981 roku tamże. Studiował we Lwowie w latach 1907-1912 filozofię (u Kazimierza Twardowskiego) i filologię klasyczną. Po uzyskaniu doktoratu w 1912 roku był nauczycielem w warszawskich szkołach średnich. W latach 1918-1961 wykładał w Uniwersytecie Warszawskim. Opublikował ponad 500 prac, głównie z dziedziny filozofii, logiki i prakseologii.*

Jacek J. Jadacki

Do zbioru własnych notat śmiało można zastosować słowa poety: "Jak ciebie trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił". Szały, szufflady i wallzy, wypchane erudycją, poszły z dymem, a jednocześnie i dlatego właśnie rozmaici uczeni, znawcy, specjaliści przestali być takimi uczonymi, znawcami, specjalistami, jakimi byli dzięki posiadany notatnikom i kartotekom. Ich wiedza zmalała do połowy, do ćwiertni, do jakiegś tam małej porcyjki poprzedniego swego rozmiaru i nagle wyszło na jaw, że znawstwo pana profesora tkwi po części tylko w jego głowie, którą zdołał unieść z pożogi, i że znaczna, a czasem przeważna, część tego znawstwa mieszkała w unicestwionych papierach. A głowa, jak wiadomo, magazynuje rupiecie. Pełno tam fragmentów, urywków, postrzębionych kart. I nieprawda, że tylko karty papieru tracą czytelność z biegiem lat... Wspomnienia zółkną również i rwą się, i przecierają. Co więcej, zmienia się niepostrzeżenie ich treść. Wyobrażenia odtwórcze, jakby powiedział psycholog, przeobrażają się w wyobrażenia fantazyjne i tracą kwalifikacje rzetelnych świadków naocznych. Na ich zeznaniach nie można już śmiało polegać... Jak było naprawdę? Ani przeczytać o tym nie sposób, skoro teksty przepadły, ani dobrze sobie przypomnieć, ponieważ pamięć – na szczęście! na szczęście! – więcej zapomina, niż pamięta...

Tak i mnie się wydarzyło w dniach klęski. Nigdy nie byłem erudyta, kolekcjonerem, bibliografem, więc nie znajdowało się tak znowu dużo zapisanego papieru w schowkach mego biurka. A jednak odczułem fatalnie likwidację swych rękopisów... Nie tylko dlatego, że okaleczałem jako informator w zakresie zainteresowań filozofującej studenterii, lecz także dla innych, specjalnych powodów. W ciągu lat bowiem, z przerwami, ale uporczywie, robiłem sobie pewną marginesową robotę. Milanowicie tłumaczyłem i komentowałem słynne Franciszka Bacona *Novum organum*, z łaciny na polski. Wysilałem pomysłowość, by oddać w polszczyźnie stylem znośnym wdzięki stylistyczne oryginału i dokładałem starań, by objaśnienia były czerpane ze źródeł zasługujących na zaufanie. Pod koniec okupacji praca ta dobiegła końca. *Novum organum* przetłumaczone, zrewidowane, wypolerowane, wzbogacone setką z górą przypisów, opatrzone wstępem (nieszczęśliwym zresztą, jak teraz widzę), rozpoczęło egzystencję gotowego utworu w czterech odpisach, a każdy, dla obrony przed kompletnym zniszczeniem dzieła, znalazł *locum* w innym mieszkaniu, w innym domu –

wszystkie jednak znajdowały się w Warszawie. I wszystkie spłonęły. Po moim domu rodzinnym na wsi zostało przynajmniej klepisko, po moich rękopisach owego przekładu nie pozostała ani jedna litera.

Nie zliczyć z pewnością takich pogromów piśmienniczej produkcji, których świadkami były katastrofalne dni likwidacji powstania warszawskiego. Żywo stoi mi w pamięci agonia domu profesorskiego na Starym Mieście przy ulicy Brzozowej. Piękny to był zakątek. Pomost na arkadach prowadził do wrót siedemnastowiecznego pałacyku o czterech frontach, wznoszących się wwyż od podnóża skarpy zamienionej na ogród... Nad wejściem widniała i do dziś widnieje na resztkach ruin... tablica erekcyjna budowli, jej niejako starożytnościowy indygenat. Głosi ona, że dom wybudował Baltazar Strubićz, *consul warszoviensis*. Tam, w jasnym mieszkanku z oknami wychodzącymi na Wisłę, spędzałem czas z najbliższą rodziną, nie zaczepiany przez nikogo, a czasu miałem dużo, pozbawiony będąc jakiegokolwiek ustalonego i funkcjonalnie określonego stanowiska. Władze okupacyjne w Warszawie po prostu przestały uważać profesorów za profesorów i dały im spokój wedle zasady "niech sobie robi, co chce" – oczywiście w granicach okupacyjnej niewoli. Gdy wybuchło powstanie, zrazu cisza trwała nadal w azylum książkowych intelektualistów... Niebawem jednak do budynku o mocnej strukturze suteren zaczęli nadchodzić przyjaciele i znajomi, osiedlając się i przynosząc wieści coraz gorsze. Jednocześnie życie domu zaczęło spływać do suteren, gdyż na wyższych poziomach robiło się coraz bardziej gorąco. Komuś kula z zewnątrz przebiła goleń, inna przewierciła się przez drzwi, uderzyła pewnego młodzieńca w policzek, odbiła się od kości i błyszcząc rozpoczęła pszczeł czy raczej diabelski taniec po podłodze.

Na praskim brzegu Wisły Niemcy ustawili parę armat i od czasu do czasu cały dom ulegał wstrząśnieniu, spadało, co wisiało na ścianach, trzęsło się szkło, gdy pocisk artyleryjski odłupywał od ściany wschodniej kolejną porcję muru. Dachówki coś zmiotło z dachu. Wychylenie się na zewnątrz groziło śmiercią, ponieważ strzelano do wychylających się, a łączniczka, która usiłowała podpełznąć do drzwi głównych w cienu balustrady – dowlókła się po to, by konać powoli od postrzału w płuca. Po mieszkaniach rozlokowali się żołnierze formacji powstańczych, strzelcy i markietanki. Żyli sobie tak, jak żyją ci, którym mało pozostało do życia... Przez okna i dziury w ścianach strzelali, wypatrując postaci w niemieckich mundurach. Wreszcie odeszli, do kanałów... A dokoła wszystko zaczęło płonąć... Zbliżał się kres profesorskiej oazy. Dom nie wywiesił białej flagi... Z domu niemal do ostatniego dnia strzelano... W domu była zapewne porzucona broń... Włócząc mężczyźni przygotowywali się wewnętrznie na najgorsze. Jednak każdy z mieszkańców przysposobił sobie jakicis zawiniątko: jeśli wypadnie żyć dalej, to coś trzeba będzie zabrać na drogę. I ja też zapakowałem do walizki najważniejsze rękopisy, na wszelki wypadek... Aliści zdarzenia nie potoczyły się ściśle wedle oczekiwań. Ostatniego dnia rano rozległ się wybuch przy bramie od Bugaju. W wylamany otwór wbiegli zbrojni Niemcy i kazali wszystkim wynosić się natychmiast. Nie było czasu szukać przygotowanych tłumoczków. Chwyciło się byle co, nie to, co się chciało mieć. I popędzono nas na wygnanie... I podpalamo dom ze wszystkim, co w nim pozostało.

*Exodus z Warszawy w owym dniu* – to fakt rozstrzygający o periodyzacji moich wspomnień okupacyjnych. Przedtem – u siebie, potem – u dobroczyńców. Przedtem Warszawa, potem włóczęga po innych miastach. Pierwszeństwo w sprawozdaniu należy się fazie wcześniejszej. Od niej tedy zaczynam. Jakoś się żyło, zarabiając nauczycielstwem. Od czasu do czasu kapnęła jakaś subwencja z podziemia. Za *Nowym organum*, przyjęte do magazynów

Ossolineum, instytucja ta wypłaciła tłumaczowi solidne honorarium. Wystarczyło gotówki na potrzeby elementarne, ale o wiktuały nie było łatwo. Z jakimże to wilczym apetytem pochłaniało się talerz lanych klusek na mleku w małym gospodarstwie podmiejskim, dokąd nieraz dobrze na głodno trzeba było maszerować kawał drogi od ostatniego przystanku tramwajowego, aby tam zasłużyć sobie na poczęstunek konwersacją niemiecką. Było wtedy powszechne zapotrzebowanie na niemieczyznę i ci, którzy umieli trochę więcej od innych, uczyli tych mniej umięjących. A jak smakowała solanka, zakupiona na chybicka za ostatni doraźnie zarobiony pieniądź i spożyta zaraz, natychmiast, w pierwszej lepszej bramie. Jednak życie obfitowało w kontrasty i paradoksy. Domy ziemiańskie, gospodarczo wcale dobrze się mające, poczuwały się do obywatelskiego obowiązku goszczenia pozbawionych bazy materialnej intelektualistów.

I mnie też w lecie roku 1943 spotkało podobne zaproszenie. Z prawdziwym sentymentem wspominam te miesiące. Jest to wspomnienie raju w piekle. Piekło było daleko, raj – na miejscu w gościnnych domach pani Zofii Kuźnickiej i pani Zofii Klarnerowej<sup>1</sup> niedaleko Lublina i niedaleko... Majdanka, dokąd szły z raju nie kończące się transporty paczek dla więźniów.

Ale wracam do Warszawy, na ulicę Brzozową. Ha cóż, pracowało się umysłowo, intensywnie i systematycznie. Trzeba było jakoś uporządkować się wewnętrznie, aby móc pracować na przekór wszystkiemu, co odbierało i chęć do pracy, i uważne skupienie... Na co to wszystko, jeśli wroga nawala zwycięży... A tak to wyglądało po kapitulacji Francji. Perspektywa życia w stanie hańby dla tych, co zostaną przy życiu z łaski wroga. I co robić? Toż naród polski miał być przerobiony na plemię pracowników fizycznych, których kultura umysłowa nie miała przekraczać umiejętności czytania, pisania i rachunków, a szczytową funkcją oświatową, pozostawioną Polakom, miał być urząd inspektora szkół ludowych.

Takie chmurne myśli cisnęły się do głów, a dokoła działy się okropności: co chwila wieść, że tyłu a tyłu rozstrzelano, co chwila zniknął ktoś z bliskich lub dobrych znajomych, aresztowany, zesłany do obozu, zlikwidowany. Przyjaciół spośród Żydów czekało krematorium. A na tym tle płakające troski osobiste... Jak można myśleć o abstrakcjach, jeżeli jedyny pozostały przy życiu syn<sup>2</sup> opuścił Warszawę, posłuszny wezwaniu jej prezydenta, i dotąd nie wraca. A inni wrócili już dawno... A on siedzi na północ, poprzez tereny, gdzie rozgrywały się walki mordercze. Jak można pokrzepić się snem, kiedy z sąsiedniego pomieszczenia dochodzi płacz żony i matki<sup>3</sup>, doprowadzonej do rozpaczycy oczekiwaniem powrotu, coraz mniej wróżącym nadziei...

W takich chwilach ludzie dochodzili do władczych decyzji wewnętrznych. Nie poddawajmy się zobojeźnieniu i marazmowi... Pokażmy sobie i innym, że można żyć dzielnie, nawet gdy los depta nas jak pluskowy. Żyje się nie tylko dla przyszłości, aktualność ma swoje cele i oceny własne. Co dzień nastęrcza się możliwość dobrego czynu, gdyż nie brak potrzeb niezaspokojonych. Umysły nie śpią, potrzebują informacji, podnieci, wymiany zdań, a nieraz – kierownictwa... Nie wszystko stracone, świtają z różnych stron nowe nadzieje. Trzymajmy się mocno, trzymajmy się razem, pracujmy wedle założenia, że koszmar minie, jeżeli rozum nie pozwala pracować wedle takiego przeświadczenia... Umiejmy się izolować wewnętrznie na określoną godzinę nie tylko od własnego, lecz także od cudzego cierpienia

<sup>1</sup> Chodzi o Zofię Klarnerówną (1900-1949) z Krza, dr. polonistyk UW, autorkę książki *Słowianofobia w literaturze polskiej lat 1820-1848* [przyp. JJJ].

<sup>2</sup> Chodzi o Adama Kotarbińskiego (ur. 1914), późniejszego architekta [przyp. JJJ].

<sup>3</sup> Chodzi o Wandę z Baumów Kotarbińską, pierwszą żonę Tadeusza Kotarbińskiego [przyp. JJJ].

i niepokoju, aby całą uwagę skupić na robocie, którą podjęliśmy, a którą chcemy wykonać dobrze dla własnego samopoczucia i dla osiągnięcia tego, czemu ma ona służyć w dziedzinie cudzych potrzeb. A jeśli jesteś i chcesz być nauczycielem, oddaj się dzielnie temu zadaniu... I tak na ogół żyła podczas okupacji profesura uniwersytecka.

Byłem jednym z tego grona i uczestniczyłem, wprawdzie nie we władzach, ale w zorganizowanej działalności dydaktycznej podziemnego wydziału humanistycznego. Prowadziłem komplety logiki bezpośrednio oraz pośrednio: nadzorując komplety, którymi kierował bezpośrednio mój ówczesny asystent, dziś profesor jednego z uniwersytetów w USA, doktor Henryk Hiż. Równoległymi kompletami logiki kierowała docentka doktor Dina Szejnberg<sup>4</sup>, wyrwana później, w 1943 roku, z naszego grona aż do końca wojny (Pawiak, Oświęcim). Wykłady i ćwiczenia tym się różniły od zwykłych, że odbywały się w prywatnych mieszkaniach (do jakich kluczek wtedy uniwersytet nie sięgał!), w małych, kilku lub kilkunastoosobowych gronach i że ich uczestnikami byli gorliwcy, którzy studiowali, bo chcieli, choć nikt ich nie zmuszał do korzystania z możliwości studiów. I jeszcze jedno: do programu nikt się nie wtrącał, profesor brał na siebie odpowiedzialność za przedmiot i oczywiście obce było uczestnikom tej nielegalnej, przejętej duchem wolności uczelni jakiegokolwiek ideologiczne cenzurowanie lub kierownictwo. O paradoksie! Nigdy nie brałem udziału w nauczaniu tak absolutnie liberalnym, jak... w dobie najcięższej niewoli.

Znakomite konsekwencje dydaktyczne i wychowawcze całkowitej wolności nauczania i dyskusji, już przy nauczaniu logiki wyraźne, okazywały się w całej pełni dopiero na godzinach innego przedmiotu, któremu oddawałem się również z największym zainteresowaniem. Prowadziłem mianowicie seminarium z filozofii kultury. Miałem komplety studenckie, ale miałem też – poza organizacją uniwersytecką – bardzo interesujące komplety ludzi dorosłych. Nie widzę jednak takiej jednostki programowej w wykazach specjalności uniwersyteckich, a przecież istnieje coś zwanego kulturą i to coś może i powinno być przedmiotem refleksji teoretycznej. Niemcy mają odpowiednie słowo: *"Kulturwissenschaften"*, ale nie słyszałem, by ktoś zajmował katedrę ogólnej teorii kultury, choć istnieje bogate piśmiennictwo traktujące o istocie kultury, o dynamice jej rozwoju, o pozytywnych i negatywnych wartościach jej składników. Braliśmy tedy na warsztat różne takie książki i artykuły, pisane przez różnych autorów, z różnych punktów widzenia i komentowaliśmy ich treść. Ktoś gotów zapytać: które? Och, szczegółów nie pamiętam, raczej przykłady mi się przypominają: pisma Znanieckiego (który właśnie kwestionował płodność problemów ogólnej teorii kultury, podkreślając swoistość i odrębność różnych wielkich jej działów), Nałkowskiego, Jabłonowskiego, Huxlinga, Bergsona (*Les deux sources de la morale et de la religion*), prace o utopjach społecznych, to i owo z obu Sorelów, jakieś drobne broszury, między innymi traktujące o materializmie dziejowym, Rozwadowskiego *Mądrość życia* i inne. Rozczytując się w tych rozważaniach analitycznie i krytycznie oraz biorąc udział w dyskusjach polemicznych, uświadamiałem sobie z coraz większą stanowczością, jak ważna jest i jak bardzo zaniechana nie tylko ogólna teoria kultury, lecz nadto prakseologia, nauka o czynnikach postępu, jeśli przez postępowanie rozumieć ulepszenia w dziedzinie usprawnień.

Z takimi oto świeżymi wspomnieniami i z takimi rozbudzonymi ideami wyruszyłem na tułaczkę po wypędzeniu z Warszawy, rozpoczynając drugi etap okupacyjnego życia. Zdany na dobroczynność komitetów obywatelskich znalazłem zrazu gościnną w Gorzkowicach koło Piotrkowa, u tamiecznego lekarza, doktora Piotra Szychowskiego, dla którego

<sup>4</sup> Dina Szejnberg (ps. Steinberżanka) (ur. 1901) w czasie okupacji działała jako Janina Kamińska; w 1947 roku została żoną Tadeusza Kotarbińskiego [przyp. III].

żywię wdzięczność dożgonną za przetrzymanie mnie z żoną i synem w ciągu dwóch miesięcy przymusowego nauczycielskiego bezrobocia, którego woły czas zużywałem na czytanie co ciekawszych dzieł z biblioteki prywatnej doktora. A znalazłem tam dzieło Perettiakowicza o wpływach Rousseau w Polsce<sup>5</sup> i przekład zarysu pedagogiki McCurina<sup>6</sup>, i inne dzieła. Ta dodatkowa przygodna lektura przydała mi się do pracy, którą wypadło mi podjąć bezpośrednio potem.

Szybkim krokiem nadchodziła późna jesień. Do doktorostwa miała zjechać rodzina. W pokoju na górze, gdzie mieszkaliśmy nie było urządzeń opałowych. Zanosilo się na to, że będziemy musieli przesiedlić się do pobliskiego Radomska, zamieszkać w podwórku naprzeciwko śmietnika i żyć w wielkiej biedzie z mizernie płatnych lekcji prywatnych.

I wtedy właśnie nadszedł niespodziewany zbawczy list od człowieka, którego nazwisko mało mi wtedy mówiło, a któremu jestem również wdzięczny nieskończenie za inicjatywę twórczą i ożywczą, za dzielność organizacyjną, za ratunek. Pan Janusz Chmielewski, wówczas dopiero kandydujący do naukowej specjalizacji, a dziś profesor sinologii i językoznawstwa ogólnego w naszym szkolnictwie wyższym, postanowił zorganizować potajemne wykłady i ćwiczenia filozoficzne w Radomiu, gdzie się zebrała dość znaczna ilość chętnych odbycia w roku akademickim 1944/45 normalnego kursu filozofii, z perspektywą zaliczenia go po wojnie na poczet przyszłych studiów oficjalnych. Tak się też stało.

I znowu paradoks: ten rok wykładowy, kiedy urzędowe uniwersytety w Polsce milczały z kneblem niemieckim na ustach, był najpracowitszym i może dydaktycznie najbardziej intensywnym rokiem w całej mojej dość wieloletniej działalności profesorskiej.

Wykładałem historię filozofii, logikę... i prakseologię. Pierwszy to raz ten przedmiot nauczania, bliski raczej organizatorom przemysłu, obcy na ogół filozofom i logikom, wszedł u nas do programu roku uniwersyteckiego jako specjalność systematycznie uprawiana. Z tego kursu powstała później książeczka pt. *Traktat o dobrej robocie*. A był powód do tego, by marzyć o dobrej robocie w roku, kiedy walila się hitlerowska Walhalla i kiedy tak bardzo się chciało wejść na drogę dzielnej twórczości po spodziewanym zrzuceniu z rąk więzów niewoli...

Dopuszczłbym się czarnej niewdzięczności, gdybym nie zeznał na tym miejscu, ile życzliwego wspomnienia doznaliśmy w Radomiu – żona, syn i ja – od zacnej rodziny inżynierostwa Witostwa Judyckich, którzy nam dali u siebie przytułek, stworzyli w domu atmosferę przyjaźni i umożliwili mi w ten sposób skderowanie całego wysiłku nerwowego na pracę profesorską.

Dokonywam teraz w myśli przeglądu młodych wówczas sił, które wyrobiły się na siły dojrzałe w toku studiów filozoficznych za okupacji w Warszawie i w Radomiu. Staje mi przed oczyma szereg dzisiejszych wykładowców logiki na uniwersytecie – adiunktów, doktorów, zastępców profesora, widzę dalej postać kobiecą – sędzięgo w sądach dla nieletnich, postać pracownicy psychologa w dziale zwalczania wypadków na kolejach, postaci dwu dość już dziś wytrawnych lingwistek, postać ekonomisty, publicysty i znawcy teatru. Tym podnoszącym na duchu żywym dowodom skuteczności ówczesnych wysiłków towarzyszą jednak smutne wspomnienia strat. Oto w Radomiu doszło do egzaminu na stopień magistra filozofii. Utworzyliśmy we dwóch z esk-dyrektorem tamtejszego gimnazjum, panem Egiejmanem<sup>7</sup>, prowizoryczną – *in spe* późniejszego oficjalnego uznania – komisję egzaminacyjną

<sup>5</sup> Peł. zapewne: Antoni Perettiakowicz, *Filozofia prawa Jana Jakuba Rousseau'a*, Kraków 1913 [przyp. JJJ].

<sup>6</sup> Nie udało się zidentyfikować tej książki [przyp. JJJ].

<sup>7</sup> Nie udało się ustalić bliższych danych [przyp. JJJ].

I nadaliśmy tytuł magistra filozofii Janowi Kalickiemu.<sup>8</sup> Nawiasem mówiąc, tuż po wojnie osoby z obcego środowiska, niezadowolone z działalności czcigodnego Egiejmana w Obywatelskiej Radzie Opiekuńczej, zlikwidowały go w trzy dni.

Po wojnie Kalicki wyjechał na specjalizację do Anglii, gdzie uzyskał doktorat. Z tym doktoratem wyjechał do Stanów Zjednoczonych, mając tam objąć stanowisko wykładowcy, i zginął bez sensu, rozbiwszy samochód, który prowadził nie dość umiejętnie.

Jakże przekorny bywa bezmyślny tok zdarzeń! Jednak przekorność ludzi, ogarniętych złowrogą motywacją, konkuruje skutecznie (a wtedy konkurowała rekordowo) z klęskami przypadkowymi... Panna Hanka Csaky, uczestniczka jednego z moich kompletów, przewoziła riksą «bibulę». Zatrzymano ją, zrewidowano, później w więzieniu bito i zabito. W związku z treścią przychwyconego dokumentu zginęła wkrótce dzielna Ewa Połowska... Pewnego razu gestapo natrafiło na potajemną lekcję geografii... Jak to? Co to? Mapy? Mapy terenów, gdzie się toczą działania wojenne!... Śmierć wykładowcy!...

Wielu zginęło profesorów, wielu młodych uczonych w ten czy inny sposób naraziwszy się wrogowi dość butnym czołem: Tretlak<sup>9</sup>, Rafacz<sup>10</sup>, Roszkowski<sup>11</sup>, Zakrzewski<sup>12</sup>, Lenczewicz<sup>13</sup>... Hosiassonówna<sup>14</sup>, Lindenbaum<sup>15</sup>, Rajchman<sup>16</sup>... I tyłu, tyłu innych...

<sup>8</sup> Jan Kalicki (1922-1963), po wyjeździe z Anglii był wykładowcą w Berkeley, USA [przyp. JJJ].

<sup>9</sup> Andrzej Tretlak (1886-1944), historyk literatury, aresztowany przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego jako zakładnik i prawdopodobnie rozstrzelany [przyp. JJJ].

<sup>10</sup> Józef Rafacz (1890-1944), historyk prawa, rozstrzelany przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego [przyp. JJJ].

<sup>11</sup> Wacław Roszkowski (1886-1944), zoolog, zastrzelony przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego [przyp. JJJ].

<sup>12</sup> Kazimierz Zakrzewski (1900-1941), historyk, rozstrzelany przez Niemców w Palmirach [przyp. JJJ].

<sup>13</sup> Stanisław Lenczewicz (1889-1944), geograf, zginął z rąk Niemców w Warszawie [przyp. JJJ].

<sup>14</sup> Jasna Hosiassonówna-Lindenbaumowa (1899-1942), specjalizująca się w filozofii nauk, została rozstrzelana przez Niemców w Wilnie [przyp. JJJ].

<sup>15</sup> Adolf Lindenbaum (1904-1941), logik i matematyk, został zamordowany przez Niemców w Ponarach pod Wilnem [przyp. JJJ].

<sup>16</sup> Aleksander Rajchman (1899-1940), matematyk, zginął w obozie w Dachau [przyp. JJJ].

2.08 - 6.09.1944  
WYBRANE I DZIURAWE REMINISCENCJE

Stefan Morawski urodził się 20 października w Krakowie. Maturę otrzymał w 1939 roku w Łodzi. W czasie wojny studiował najpierw krótko medycynę, a następnie filozofię (głównie w Władysławu Tatariewiczza) w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim. W 1947 roku (po pobytku w Uniwersytecie w Sheffield) uzyskał doktorat. Od roku 1945 (z kilkuletnią przerwą) był wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego; usunięty w 1968 roku – podjął pracę (od 1970 roku) w Instytucie Sztuki PAN.

Jego bardzo bogata twórczość naukowa dotyczy prawie wyłącznie estetyki.

Jacek J. Jadacki

Czas starości jest czasem wspomnień. Te – jeśli pozbawione są podpórki ocalonego dziennika, czy też na żywo prowadzonych zapisków pamiętnikarskich – najeżone być muszą zapadniętymi, utkane z czarnych dziur, postrzępione. Zwłaszcza jeśli ponad pięćdziesiąt lat nie próbowało się wskrzesić wydarzeń i doświadczeń, które postanowiło się odtworzyć.

O mym udziale w Powstaniu Warszawskim mówiłem – chyba fragmentarycznie i okazjonalnie – tylko tuż po roku 1945. Zachowały się wówczas moje wiersze z tamtych dni – w obliczu niewątpliwej już klęski – wiersze najpewniej nie zasługujące na ogłaszanie. Niewykluczone, że w kontaktach z Andrzejem Grzegorzycykiem i jego ówczesną panią (Anną Tymieniecką), z którymi spotykaliśmy się (wraz z mą żoną – Anną) tuż po wojnie w czasach krakowskich, na wspólnych weekendach, napomykało się o perypetiach z sierpnia i września 1944 roku oraz o ich konsekwencjach. Później nigdy i wobec nikogo na ten temat nie wynurzałem się. Nie miałem smykałki kombatanckiej; rzekłbym, że raczej doznawałem silnej awersji na myśl o instytucjonalizacji więzów, które były okolicznościowe. Nie zapisałem się do ŻBoWiD-u. Kiedyś, w początku lat siedemdziesiątych, zatrzymał mnie na ulicy jakiś nieznamy pan, używając mego pseudonimu powstańczego – oświadczając, że był strzelcem w mej drużynie. Dał wyraz zdziwieniu, że nie zgłosiłem się do Kola Krybarczyków i nie uczestniczę w «puli kombatanckiej». Podziękowałem mu za pamięć, ale nawet nie zapytałem o jego nazwisko i numer telefonu.

Kiedy teraz wracam pamięcią do tamtych przeżyć, przede wszystkim nasuwa się stwierdzenie, że do Powstania poszedłem w sposób niejako spontaniczny, a zarazem – tak mi się to dzisiaj rysuje – pod presją wewnętrzną *fitum*, którego moje pokolenie nie mogło ominąć. Nie byłem czynny w żadnej grupie podziemnego oporu; nie szkoliłem się do walki zbrojnej (miałem za sobą jedynie dwa lata przysposobienia wojskowego w szkole średniej oraz specjalny obóz przygotowawczy dla podchorążych z cenzusem – późną wiosną 1939 roku); pracowałem w fabryce i jednocześnie studiowałem na tajnych kursach Uniwersytetu Warszawskiego. Z początkiem lipca, po kilku miesiącach pobytu w Przeworsku, gdzie – dzięki pomysłowi i poparciu prof. Władysława Tatariewiczza – byłem korepetytorem w posiadłości książąt Lubomirskich, pojawiłem się znów w stolicy, przygotowany na wybuch

Powstania, na które oczekiwałem – wiedząc o takich zamiarach kierownictwa Walki Podziemnej od mych kolegów – w każdej chwili.

Pierwszego sierpnia, wczesnym wieczorem, jak niemal wszyscy wkoło, wiedziałem, że Powstanie zaczęło się. Chciałem wyruszyć od razu, ale po radzie z wówczas najbliższymi mi osobami (matką i siostrami mego przyjaciela, Andrzeja K., który wraz z innymi został pokazowo rozstrzelany z zagipsowanymi ustami, o czym mówiły wszędzie rozlepięte afisze) dopiero następnego dnia o świcie udałem się, aby odnaleźć najbliższą jednostkę powstańczą. Mieszkalem wówczas przy ul. Smolnej. Dotarłem do ul. Konopczyńskiego, gdzie stacjonowała druga kompania ósmego zgrupowania pod nazwą *Krybar*. Zgłosiłem się do porucznika *Jasia* (dzisiaj wiem, że nazywał się – Jan Jasiński). Trzeba było podać pseudonim; przedstawiłem się więc jako *Krzysztof*. Opowiedziałem porucznikowi – zgodnie z prawdą – jakie mam dyspozycje; w konsekwencji jako podchorążemu z najniższym stopniem – przydzielono mi drużynę podobnych do mnie «przybłędów» oraz odpowiedni zapas pistoletów, granatów i butelek zapalających. Tak zaczęła się moja ponadmiesięczna epopeja przy ul. Bartoszewicza, gdzie otrzymałem kwatery, bryczesy, cholewy *etc.* po zbiegłym *Volksdeutschu*.

Czy hałem się, przygotowując się do walki powstańczej?

Oczywiście. Towarzyszyła mi myśl – dałem jej wyraz, żegnając się z najbliższymi – że mogę nie przeżyć, że umrę tuż-tuż przed upragnionym progmem wolności, która świeciła na horyzoncie, gdyż naziści byli spanikowani i bezsporny był fakt, że ich wzmożona agresja była reakcją przegranych.

Instykt samozachowawczy okazał się jednak nikły w zwręciu z radością, jaką dawała nareszcie możliwość bezpośredniego starcia się z barbarzyńskim wrogiem, wzięcia odwetu za śmierć ojca w obozie koncentracyjnym i matki w getcie częstochowskim. Ponadto zaś – i to właśnie nazywam "spontanycznym gestem, przesyconym siłą fatalną ciążącą na naszej kondycji narodowej" – zostałem tydzień w domu, co w szkole, tak wychowany, że udział w Powstaniu, który mógł pociągnąć za sobą ofiarę najwyższą, tzn. stracone życie, wydawał mi się czymś naturalnym i koniecznym.

Ojciec admirował [Edwarda] Abramowskiego, ale Józef Piłsudski był dlań *tabu*. Musiało się Marszałkowi wybaczyć wyjście na przystanku *Niepodległość*, gdyż on był jej głównym architektem, a była to wartość naczelną i bezcenna. Podobnie myślał dyrektor mej szkoły, J. M., polonista i mój umiłowany wychowawca do matury w łódzkim Liceum Państwowym im. Stefana Żeromskiego, który choć poglądów lewicowych (PPS), uważał Piłsudskiego za świętość nienaruszalną. W szkole średniej historia kolejnych powstań była niejako trzonem naszych dziejów i naszego etosu. Literatura stanowiła jej siostrzane odbicie; Artur Grottger, Aleksander Gierzyński i Jacek Mączewski – obecni w kłonie uczniowskim – współbudowali tę tradycję.

Podczas okupacji potęgowało ją ustawiczne doświadczenie bezwzględnej alternatywy: albo zgoda na ujarzmianie nas przez rzekomych *Kulturträgerow*, a właściwie zatrutych ludobójczą ideologią fanatyków; albo nieubłagana potyczka z nimi – codziennie, na każdym kroku. Stąd np. moja niemota, mimo że zdałem maturę m.in. z języka niemieckiego ze świetnym wynikiem, kiedy jakiś Niemiec zagadywał mnie na ulicy czy w urzędzie o cokolwiek. Stąd też studiowanie na tajnych kompletach, które było jawnym wyzwaniem rzuconym okupantowi: studiowanie – niekiedy narażające na śmiertelne niebezpieczeństwo – o czym pisali Jerzy Pelc i Inni kronikarze tamtych lat.

W pamięci najostrzej zapisały mi się kilkakrotne usiłowania zdobycia Uniwersytetu Warszawskiego, którego załoga okazała się wszelako nazbyt silna, aby można było ją rozbić. W pierwszych atakach moja drużyna była w akcji i jakim cudem uratowaliśmy się – nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że biegałem parliśmy *via* Sewerynow i ul. Bartoszewicza ku ul. Obożnej pod nieustannym świstem kul, chroniąc się gdzie popadło, i że zostaliśmy rychło odwołani, przy czym droga odwrotna w ogniu miotaczy min i granatników była jeszcze bardziej niebezpieczna niżli pierwotna. W kolejnych atakach zrezygnowano z nas; być może drużynę uznano za mało zdatną, a mnie za nieskutecznego.

Zostałem więc wyznaczony do wycofywania rannych i ściągania martwych. Tego epizodu powstańczego nigdy nie zapomnę: młodzi, jak ja, chłopcy, silnie krwawiący, z postrzałami w piersi czy głowie, krzyczący "Jeszcze Polska nie zginęła". Obrzygani ich krwią najszybciej i najdelikatniej, jak umiałem, wyносłem ich – oczywiście nie sam – we względnie bezpieczne miejsce, gdzie czekały już sanitariuszki. W dniach 23-24 sierpnia i 2-4 września znów Opatrzność uratowała mi życie, gdyż robota, którą mi zlecono, miała miejsce na polu nieprzerwanego obstrzału.

Wtedy też zrodziła się po raz pierwszy krytyczna refleksja. Czy warto było za taką cenę – jakże sporą – podejmować brawurowe próby odbicia placówek znacznie lepiej od naszych wyposażonych w broń? Czy nie należało lepiej kalkulować rachunku własnych i cudzych szans? Nie ja jeden zostałem oczucony z feerii polskiego munduru i poczucia władztwa nad opanowanym terytorium. Podobnie myśleli również *wniści* – bowiem rodowód powiślański zgrupowania sięgał lat 1940-1942, kiedy to działacze, związani światopoglądowo z chrześcijańską demokracją, założyli, niepodległościową organizację oraz przygotowywali się systematycznie i długoplanowo do walki zbrojnej, co zaowocowało ich przystąpieniem do AK w roku 1943 – a ponadto nieliczni NSZ-owcy i AL-owcy, którzy znaleźli się w naszym ugrupowaniu.

Tym mocniej utrwalała się we mnie owa świadomość krytyczna, im częściej w *Barrykadzie Powiśla* czytałem napaści na wszeteczną Armię Czerwoną za jej zdradzieckie zwłokanie z ofensywą, podczas gdy rozum cynicznie zmuszał do stwierdzenia, że działa ona we własnym interesie – całkowicie odmiennym od interesu naszego. Należało liczyć się z tym faktem z góry. Świadomość porażki nieuniknionej nie zmieniała przy tym wierności wobec idei powstańczej. Ani mnie, ani moim kolegom, w ogóle nie przyszłoby do głowy idee tę podważać. Co więcej, nabierała ona jeszcze większego znaczenia ze względu na heroiczny zryw *contra spem*: zryw w naszym najgłębszym przeświadczeniu niezbędny – co miało obrócić się w przyszłości (nie wiadomo kiedy) w *gloria victis*.

Tak też czułem się w końcu sierpnia, kiedy otrzymałem rozkaz, żeby objąć z całą drużyną najbardziej wysuniętą placówkę w ruinach ul. Obożnej. Trwało to od szóstej rano do dziewiątej wieczorem. Przedostaliśmy się tam tunelami przekopanymi między domami. Nie wolno było rozmawiać inaczej niż szeptem w bliskości niemal dotykowej. Suchy prowiant należało jeść również jak najciszej. Przekazywałem rozkazy pisemnie, kiedy wypadało wziąć w karby strzelców, rozpierzchających się – czy śpiących. Parę metrów od nas leżały dwa trupy powstańców – jeszcze świeże; paręnaście kroków dalej już cuchnące – niemieckie. Co jakiś czas sunęły nad nami *stakasy*. Moździerze grały bezustannie. Nerwy, napięte do ostatnich granic, powodowały zmęczenie po paru godzinach. Moji podkomendni zaczęli buntować się – naciskali na mnie: "Po co to?". Aby okiełznać ich strach i zmęczenie, zgodziłem się, aby wymiennie spali, albo też co godzinę wracali na paręnaście minut w kierunku naszych pozycji dla odpoczynku. Nie byłem w stanie wy tłumaczyć im, że jesteśmy szpicą

alarmową na wypadek ataku nieprzyjacielskiego od tej strony. Powtarzałem nieustannie: "Jesteśmy żołnierzami; rozkazu nie kwestionuje się". Nb. tak właśnie argumentowali *Bartnicki* (B. Schodowski) i *Wichajster* (S. Kłaczkowski), koledzy podchorążowie, których skądinąd podziwiałem za ich umiejętności żołnierskie, odwagę i roztropność, ale nie zgadzałem się z nimi, kiedy starali się usensownić nonsensowne koncepcje oczyszczenia naszej części Powiśla z przyczółków niemieckich. Świadectwem tego sensu miała być według nich elektrownia, ale zapominali, że tam powstańcy byli wewnątrz i działali zaskoczenia równoważnymi siłami. Ten długi dzień na martwej placówce był jednak w moim ówczesnym przekonaniu – sensowny. Chwała zwyciężonym, którzy nie pozwalają pokonać się w sposób ostateczny. Trzeba być nieprzejednanym *wanik-estafką*.

Jeszcze silniej, niemal – co tu ukrywać – absurdalnie doświadczyłem tego samego uchwycenia sensu w nonsensie 5 lub 6 września. Powstanie powiślańskie konako. Z mej kompanii już nikt w pobliżu nie pozostał; moja drużyna zwinęła żagle bez słowa, jeden po drugim. Bombardowania trwały, tzw. ryczące krowy nie dawały spokoju. Spałem na żarzących kamieniach zburzonego domu. Po owej nocy w godzinach porannych zostałem ranny – zapewne jakimś granatnikiem, gdyż cały byłem poszatkowany odłamkami szrapneli, które po dzień dzisiejszy noszę w sobie. Pokrwawionego, ale wciąż przytomnego, zastał mnie w ruinach kpt. *Krybar* (Cyprian Odorkiewicz) – nasz dowódca, który kontrolował wszystkie byłe posterunki. Zostałem ewakuowany do szpitala przy ul. Konopczyńskiego, a stąd w ciągu dwu-trzech dni do Podkowy Leśnej wraz z wydzieloną częścią owego szpitalnego zespołu. Tej ostatniej nocy doznałem czegoś niesamowitego; jakby skumulowały się w mej wrażliwości, wyobraźni i refleksji wszystkie polskie losy powstańcze, dawne i najświeższe: samotny przeciw światu, niewątpliwie wierny do samego końca, szalony romantyk, podtrzymujący ufność i moc swych racji, silniejszych niż jakakolwiek *Realpolitik*.

Jak wspominałem, moje talenty wojskowe były niewysokiej klasy; rekompensowałem je zdyscyplinowaniem, brakiem lęku, odpowiedzialnością, zaletami organizatorskimi. Cały czas drużyna moja – nie zasługująca chyba na lepsze potraktowanie – pozostawała w odwodzie. Wydarzyło się jednak coś, co zmieniło przynajmniej na parę dni jej samopoczucie i perspektywy prestiżowe. 14 sierpnia opancerzony samochód z trzema SS-manami przez omyłkę zjechał z Krakowskiego Przedmieścia na ul. Bartoszewicza. Czujki nasze zaalarmowały, że zbliża się czołg niemiecki. Rzuciliśmy się do okien z granatami i butelkami zapalającymi. Wedle moich podkomendnych to mój granat unieszkodliwił podoficera, który pozostał w zdobytym przez nas pojeździe (jego kompani zdolali uciec korzystając z zasłony dymu). Stałem się nagle «gwiazdorem» – tym bardziej, że strzelcy opowiadali tę *western story* innym, zwłaszcza zaś siostram, zajmującym się rannym Niemcem.

Nie przywiązywałem do tego epizodu żadnej szczególnej wagi; nie miałem w sobie nic z «łowcy głów», a tym bardziej z łowcy medali i krzyżów zasługi. Jeśli cokolwiek wzburzyło mnie, to fakt, z którym nigdy nie umiałem uporać się; ten mianowicie, że zabiłem człowieka. Niemiec ów po dziesięciu dniach niesamowitych mąk – skonał. Otóż popełniłem wówczas rzecz, która, wyjawiona, spowodowałaby zapewne bezlitosne dla mnie skutki – ubłagałem sanitariuszkę, wyznaczoną do pilnowania umierającego więźnia, aby dawała mu... morfinę, a tej w powstańczej apteczce nie tak wiele było... Postąpiłem właściwie? Nie potrafię tego konfliktu sumienia rozstrzygnąć. Miałem wszelkie powody, żeby zabić – w rewanżu za zbrodnie popełnione na mych rodzicach i krewnych, przyjaciółach i całym narodem. Nie znajdowałem jednak takiego prawa moralnego, które rozgrzeszałoby mnie z zadania śmierci

człowiekowi (być może potworowi), zabłąkanemu w gąszczu nieznanego mu miasta. To była jednak bitwa, w której kule mogą dotrzeć każdego; bitwa, którą bez wątpienia spowodowali nazisci. Szukałem więc przeciwności, uśmierających mój niepokój moralny.

Jeśli w tym wypadku można było uchwycić się jakichś usprawiedliwień, nie umiałem ich w żaden sposób znaleźć dla pędzenia schwytych *Volksdeutsche* na barykadę przy ul. Kopernika w kierunku na Okólnik i Tamkę. Barykada ta blokowała ewentualny atak niemieckich czołgów z uniwersytetu. Wiedomo, że nazisci uprawiali proceder osłaniania swych pojazdów aresztowaną ludnością cywilną i bez żenady – z zajadym okrucieństwem – strzelali do uciekających Polaków. Sądziłem jednak, że *wet za wet* nie godzi się z naszym etosem. Dwie Niemki popełniły wówczas samobójstwo, skacząc z czwartego piętra budynku, w którym były uwięzione jako zakładniczki – na naszym wikcie i nęcane przy tym przez żandarmerię. Jedna z nich poskarżyła mi się bezpośrednio, że jest u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej, błagając o wstawiennictwo. Uczyniłem to. Mój przełożony i koledzy wyśmiali mnie i nazwali mazgajem.

Takim słabeuszem zostałem w ich oczach do ostatnich dni, mimo że byłem żołnierzem bez zarzutu. Czy mieli słuszność? Wciąż pozostaję przy mniemaniu, że jej nie mieli. Nie wolno w żadnych warunkach – nawet tak niezwykłych, zgoła wyjątkowych, jak tamte – szafować życiem niewinnych osób, i przeznaczać im funkcję żywych tarcz tylko dlatego, że wróg dał nędzny moralnie przykład.

Niespodziewanym – swego rodzaju groteskowym – *clou* epizodu z 14 sierpnia, od którego wyszedłem, okazała się lektura informacyjnie znakomitej książki Włodzimierza Rozlańca *Grupa "Krybar" – Powiśle 1944* (Warszawa 1989). Dzięki niej zdołałem zrekonstruować wiele wydarzeń, które poplątały mi się w pamięci. Otóż na stronach 100-101 tego rekapitulacza przeczytałem, że ów samochód opancerzony, nazwany potem *Jasiem*, został obrzucony granatami i butelkami zapalającymi z wielu okien. Autorstwo jego zatrzymania przypisuje się tam ppor. *Aspirze* (W. Jastrzębowskiemu) i strzelcowi *Wojdzie* (A. Bładowskiemu). Bóg z nimi! Nie wykluczone tedy, że wcale nie byłem sprawcą tej śmierci, która ciążyła mi przez pół wieku. Ubiegać się o pierwszeństwo zdobycia czegoś, co w istocie samo wpadło w ręce, byłoby rzeczą śmieszną i żalostną.

Dobrze, że mogę rozstać się z legendą parudniowego «gwiazdora», zatrzymując w pamięci inne obrazy z Powstania: choćby codzienne przygody ze strzelcami wyborowymi, którzy polowali na nasze najdrobniejsze wychylenie się poza parapet, a nawet na pojawienie się w prostokacie pokoju, który mieli na muszce. Ileż razy w pierwszym tygodniu budziłem się pod kocem obsypanym tynkiem, a niewiele nad poziomem mego łóżka znajdowałem na ścianie serię centek po kulach dla mnie przysłanych. Trzeba było przenosić się na inną, wyższą i bezpieczniejszą kwaterę, i zdać sobie od razu sprawę, że to nie wyścig o głowę moją czy cudzą, ani tym bardziej o sławę i nagrody, gdyż sławką w tej ryzykownej grze o zmylenie i przechytrzenie przeciwnika – niechaj to brzmi patetycznie – był tyleż mój byt osobisty, co byt narodowy.

Trafem Powstanie połączyło mi się w sposób tragiczny z uczelnia, która stała się moją *Alma Mater*. Nie znałem jej topografii, nigdy jej przedtem nie odwiedziłem, o korzystaniu z jej biblioteki nawet nie marzyłem. Studia zacząłem w roku 1942 dzięki przypadkowemu zetknięciu się z moim nauczycielem gimnazjalnym (St. Mł.), który wykładał historię i propedeutykę filozofii. Skontaktował się on z prof. Tadeuszem Kotarbińskim i wyjednał moją wziętę u niego. Studiowałem już w szkole [Jana] Zaorskiego, ale rzuciłem medycynę.

Na tajnych zajęciach – w szkole przy ul. Jasnej czy w prywatnych lokalach, np. przy ul. Kopernika lub Smolnej – spotykałem m.in. Klemensa Szaniawskiego, Krystynę Szner i zapewne (pewności jednak nie mam) Jerzego Pełca oraz Andrzeja Grzegorzcyka. Zdawałem kolejno egzaminy w domu u prof. prof. Kotarbińskiego, Tatarukiewicza, Władysława Witwickiego, Juliana Krzyżanowskiego, Nelli Samotyhowej itd. Z nikim jednak z tej gromadki zapaleńców (tak ich i siebie wówczas ochrzciłem, gdyż wcale nie łatwo było studiować regularnie i z samozaparciem w tamtych latach i warunkach) nie utrzymywałem w czasie okupacji relacji towarzyskich. Na Powiślu na nikogo z nich nie natrafiłem, wyjąwszy moją pierwszą dziewczynę, również studentkę filozofii, A. K., która – coś za zbieg okoliczności – nagle wpadła w moje objęcia przy jednym z domów przy ul. Konopczyńskiego. Okazało się, że wraz z siostrą schronienie znalazła u Michała Dadleza (*Andrzeja Bogorii*), dyrektora Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, organizatora życia kulturalnego na wyzwolonym Powiślu. Rozstaliśmy się dopiero w pierwszych dniach września; udało się jej z siostrą przebrnąć na przyczółku czerniakowskim na drugą stronę Wisły, a ja zostałem na płonącej barykadzie.

Z dalszymi moimi losami związane są też moje dwukrotne służby całonocne w Pałacu Saszica. Był w naszych rękach. Podkopami i dziurami w ścianach otworzono doń drogę bez przeszkód. Budynek ten trzeba było bronić dzień i noc. Na codwugodzinny obchódzie nocnym jego posterunków uświadomiłem sobie, jak słabe mamy uzbrojenie, jak zmęczeni jesteśmy wojowaniem (większość strzelców zasypiała z bronią w rękę, którą im po prostu wyciągałem – i budziłem ich, udając wzburzenie, że nie dopełniają obowiązku) i jak wielu z moich kolegów-powstańców ubył. Żyliśmy w coraz rozleglejszym cieniu śmierci. Niemniej jednak ani wtedy, ani później nie kwestionowałem postawy, o której już wyżej wspomniałem, a która była nam wspólna: mierzyć bardziej siły na zamiary, niżli *vice versa*, aby dać świadectwo światu (i przyszłym pokoleniom), że egzystencja narodowa bez suwerenności i godności jest nie do przyjęcia.

Czy tamten niezwykły miesiąc zaważył decydująco na moim życiu? W żadnej mierze. Jak usiłowałem wyjaśnić, był składowym elementem formacji duchowej, która mnie już wcześniej ukształtowała. Natomiast uczynił mnie dojrzałym, nauczył goręcości znoszenia klęski, ostrożności w formułowaniu sądów, odcieczania mistyfikacji od takiej mitologii, którą trzeba pielegnować. Ale te lekcje musiałem nadal brać od życia i wciąż je pogłębiać.

Szczegółów życia codziennego – jako normalnego, mimo nienormalności opisywanej tu sytuacji – niewiele zachowałem w pamięci. Starałem się tu przekazać to, co w moim ówczesnym doświadczeniu było najważniejsze.

Czy nie grzeszę samochwalstwem cnoty? Zaiste, za cnotliwe uważam – nawet w warunkach zataru wojennego – rozróżnianie między zbrodniarzami i niewinnymi osobami wciągniętymi w klerat okrutnych konfliktów. Niemniej, wcale nie byłem wówczas i nie jestem wciąż dzisiaj pewien, czy moja cnotliwość była wtedy na miejscu. Tylko dlatego odwołuję się do tamtych refleksji – nie po to, aby wywyższać się, lecz aby unaocznić zderzenie postaw wcale nie jednoznacznych. Z kolei nasuwa się z dystansu czasowego pytanie, czy uniknąłem najgroźniejszej pułapki, jaką jest rzutowanie na daleką przeszłość doświadczeń późniejszych, a także selekcja ich opisu oraz oceny według kryteriów – chcąc nie chcąc – idealizujących osobę autora?

Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Możliwe, że skrzywiłem ówczesną perspektywę i zatarłem żywiołowe pragnienie zemsty; że wybieliłem i wypaczyłem autentyczny bieg rzeczy i moich przeżyć oraz refleksji z tamtych dni.

Jak trudno takich pułapek uniknąć, przekonałem się niedawno, kiedy mój okupacyjny przyjaciel, Bronisław Kłosowski, aresztowany i zesłany na Sybir przez kontrwywiad radziecki, przesłał mi swoją niedawno wydaną książkę *Zakopane-Archangielsk bez przepustki*. Jest w niej m.in. mowa o mnie z lat tuż powojennych. Występuję tam w okularach, które zacząłem nosić w trzy lata później; jako komunista, choć do roku 1948 nic wspólnego z partią komunistyczną nie miałem; jako bojownik Gwardii Ludowej, z którą też żadnego kontaktu nie utrzymywałem – *etc.*

Każde wspomnienie jest w sposób nieunikniony przeinaczeniem. Jeśli w moim wspomnieniu pomieszałem *Wahrheit i Dichtung*, lepiej być w pełni tego świadomym, niżli pretendować do rzetelnego sprawozdania i komentarza.

## W FILOZOFICZNYM PODZIEMIU LATA 1939-1944

Andrzej Rusław<sup>W</sup> Nowicki urodził się 27 maja 1919 roku w Warszawie. Po ukończeniu gimnazjum w 1937 roku wstąpił na Uniwersytet Warszawski. Studiował u<sup>W</sup> Władysława Tatar<sup>W</sup>kiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Witwickiego i Stefana Baley<sup>W</sup>a. W 1943 roku otrzymał magisterium z filozofii w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim na podstawie pracy o filozofii Heraklita (napisanej pod kierunkiem Władysława Tatar<sup>W</sup>kiewicza).

Był uczestnikiem Powstania Warszawskiego (odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstań<sup>W</sup>czym).

W 1947 roku doktoryzował się w Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w latach 1952-1963 był wykładowcą. Następnie był pracownikiem Uniwersytetu Wrocławskiego (1963-1973) i UMCS w Lublinie (1973-1989).

Jego liczne prace należą głównie do dziedziny historii filozofii, filozofii kultury i religioznawstwa.

Jacek J. Jadacki

Dwa lata studiów na Uniwersytecie Warszawskim (1937-1939) należały do najszcześniejszych lat mojego życia. Filozofia okazała się trafnie wybranym przedmiotem studiów. Uczylem się z wielkim zapałem, pilnie uczęszczając na wykłady Władysława Tatar<sup>W</sup>kiewicza, Władysława Witwickiego, Tadeusza Kotarbińskiego, [Jana Marcela] Fabre'a, [Artura] Stanghelliniego, a także na proseminaria ([Bohdana] Kiesz<sup>W</sup>kowskiego i Kotarbińskiego), semina<sup>W</sup>ria (Tatar<sup>W</sup>kiewicza i Witwickiego), *privatissimum* (Tatar<sup>W</sup>kiewicza), wreszcie na lekcje greckiego, rysunków i kaligrafii (prowadzone przez Witwickiego). Kontynuowałem też studia rozpoczęte w 1935 roku pod kierunkiem Kazimierza Czap<sup>W</sup>irskiego z zakresu dziejów filozofii materialistycznej, historii doktryn politycznych i teorii socjalizmu. Każdą wolną chwilę spędzałem w Bibliotece lub na lekturze książek, wypożyczonych do domu.

1 września 1939 roku miałem 20 lat i 3 miesiące, zaliczone dwa lata studiów na Uniwersytecie Warszawskim i zdane egzaminy z historii filozofii u Tatar<sup>W</sup>kiewicza, z logiki u Kotarbińskiego i z psychologii u Witwickiego. Byłem członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (od stycznia 1939 roku) i wiceprezesem Koła Filozoficznego Studentów UW (od 6 marca 1939 roku). Miałem też na swoim koncie pracę o Williamie McDougallu (1871-1938) V<sup>W</sup> wydrukowaną przez Tatar<sup>W</sup>kiewicza w *Przeglądzie Filozoficznym* (t. 42, zeszyt 2 z 1 lipca 1939 roku, s. 177-186).

Wybuch wojny był dla mnie dotkliwym ciosem, ponieważ przerwał umiłowane studia, które sprawiały mi tyle radości.

\*\*\*

Wojna budziła mój sprzeciw z dwóch powodów.

Po pierwsze – dlatego, że polegała na zabijaniu, grabieży, wyrządzaniu krzywd, niszczeniu dóbr kultury i rozbudzaniu nienawiści. Po drugie – dlatego, że tym razem to mój

kraj został napađnięty; na nasze miasta i wioski spadały bomby, zabijano Polaków, wypędzano nas z mieszkań, ustanawiano nad nami obcą władzę, przekształcano nas w niewolników.

Wyrastały stąd trzy imperatywy:

- (1) konieczność obrony Polski przed wrogami;
- (2) konieczność obrony Ludzkości przed zdżzieniem, zatruciem nienawiścią, wybuchem ślepego nacjonalizmu;
- (3) konieczność «pozostania sobą», obrony prawa do myślenia własnymi mózgiem i do podejmowania decyzji wynikających z własnych przekonań, a nie pod presją tych, którzy chcą mnie tego prawa pozbawić.

II Wojna Światowa była dla mnie zderzeniem «dwóch światów», z tym, że nie miałem na myśli dwóch bloków militarnych, które toczyły ze sobą wojnę, ani dwóch ustrojów politycznych, jako że żaden z nich nie był tym, za co chciał uchodzić; imperium rosyjskie nie było państwem proletariackim budującym socjalizm; imperia zachodnie, oparte na ucisku i wyzysku krajów kolonialnych, nie były obrońcami Wolności, Demokracji i Praw Człowieka. Najmniej obłudny był hitleryzm, który jawnie przedstawiał zbrodnicze cele własnych działań wojennych – znałem je, bo przestudiowałem w grudniu 1936 roku *Mein Kampf* Adolfa Hitlera, a później, w czasie wojny, czytałem na bieżąco książki Rosenberga, Goebbelsa, Schiracha i innych przywódców hitleryzmu.

Myśląc, mówiąc i pisząc o «dwóch światach», miałem na myśli, z jednej strony, kompleks spraw ekonomicznych, politycznych i militarnych, z drugiej zaś świat bibliotek, muzeów, sal koncertowych, wydawnictw, drukarni i uniwersytetów. Ten drugi świat uważałem za moją prawdziwą Ojczyznę, zbudowaną ponad narodami, rasami, państwami, wyznaniami religijnymi. Wiedzałem, że moim najświętszym obowiązkiem jest służenie tej właśnie Ojczyźnie.

Z takiej perspektywy wybuch II Wojny Światowej oznaczał «stłamszenie» świata kultury po to, żeby świat dyktatur, świat militarystyki i nacjonalizmu – mógł bez przeszkód rozwijać swoją zbrodniczą działalność.

Wybuchła wojna, więc M u z y muszą milczeć!

Pierwszego dnia wojny odpowiedziałem: Muzy nie będą milczeć! Świat Filozofii, Nauki, Sztuki – musi walczyć o prawo do własnego istnienia.

Najświętszym moim obowiązkiem wobec tego świata jest wykorzystanie każdej minuty na filozofię, literaturę, naukę. Na czas wojny przyjąłem gęwitzę, którą sygnowałem wszystkie kolejne zeszyty swojego *Dziennika lektury*: NON SILBANTI! (Niech nie milczą!)

Wypowiedziałem wojnę – wojnie.

\*\*\*

Postanowiłem przede wszystkim kontynuować moje lektury filozoficzne. W okresie od 1 września 1939 roku do 2 stycznia 1944 roku przeczytałem przeszło 1140 książek – w tym ponad 200 książek filozoficznych – zarejestrowanych w prowadzonym od 14 września 1932 roku *Dzienniku lektury* jako pozycje 1470-2603. Ile książek przeczytałem w roku 1944, nie wiem, ponieważ przerwałem prowadzenie dziennika.

Czytałem w wielu językach, ale najwięcej pracy włożyłem w poznawanie filozofii niemieckiej.

W związku z lekturą Kanta miałem zabawną przygodę. Kiedyś, w 1943 roku, wracałem na Żoliborz późnym wieczorem i – po godzinie policyjnej – natknąłem się na niemiecki patrol. Kazano mi podnieść ręce do góry, jeden żołnierz wycelował we mnie automat, a drugi

mnie rewidował; natrafił na coś twardego i wrzasnął: "Gewehr!" ("Broń!"). Potem wyjął ten przedmiot z górnej kieszeni paita i okazało się, że to *Kritik der praktischen Vernunft*. Przeczytał tytuł i powiedział po niemiecku do kolegi: "Trzeba być skończonym idiotą, żeby w czasie wojny czytać Kanta".

Coś podobnego zdarzyło się wiosną 1941 roku. W jednej z księgarni niemieckich zauważyłem nowe katalogi antykwariatów Lipskich. Było tam wiele książek filozoficznych, między innymi z księgozbioru znakomitego historyka filozofii, Eduarda Zellera (1814-1908), i można je było kupić dosłownie za grosze. Wypisałem sobie kilkanaście tytułów i złożyłem zamówienie. Prowadzący księgarnię Niemiec odczytał na zamówieniu moje nazwisko i powiedział: "Polak? Nic z tego. Prawo do zamawiania mają wyłącznie Niemcy." Poprosiłem więc znajomego Niemca, żeby zamówił dla mnie książki na własne nazwisko. Uczynił to bez wahania. Wkrótce, tuż przed Świątami Wielkanocnymi, przysłała do jego blura ogromna paczka. Koledzy wyrwali mi ją z rąk i zaczęli rozpakowywać, zgadując, co takiego sprowadził sobie z Lipska. Mieli nadzieję, że znajdą tam alkohol i cygara. Rozewali paczkę i zobaczyli, że są tam stare książki. "Freund L... – zawołał jeden z nich – *bist du verrückt geworden?* Czyś ty zwariował, przyjacielu? Nigdy nie podejrzewaliśmy cię o to, że jesteś aż tak głupi, żeby czytać książki." Poczciwy L. musiał się tłumaczyć, że sprowadził te książki dla mnie.

W tym czasie udało mi się zdobyć książkę z zamkniętego obiegu, przeznaczoną tylko dla oficerów niemieckich. Napisał ją generał von Rabenau; miała ona tytuł *Geistige und seelische Probleme im jetzigen Krieg* (czytałem ją na przelocie maja i czerwca 1941 roku) i była stenogramem wykładu wygłoszonego w wyższej szkole oficerskiej. Był to niezwykle wykład, ponieważ autor wyjaśniał, dlaczego Niemcy muszą przegrać tę wojnę. W czasach napoleońskich – pisał – i w wojnie z Francją w 1870 roku każdy oficer niemiecki miał zawsze przy sobie *Mowy* Fichtego i wiersze poetów niemieckich, a w wolnych chwilach grał na fortepianie utwory Mozarta, Beethovena, Schumanna. Niemcy byli wówczas *Kulturträgerami*, nieśli w świat skarby filozofii, poezji i muzyki niemieckiej. Obecnie oficerowie niemieccy nie czytają książek, odnoszą się z pogardą do filozofii, poezji, muzyki. Nie są już nosicielami «siły duchowej», która przynosi zwycięstwo. Bez takiej «siły duchowej» nie ma mowy o ostatecznym zwycięstwie.

\*\*\*

Dnia 14 listopada 1939 roku wybrałem się z Radomia, gdzie mieszkalem z Rodzicami, do Warszawy i odwiedziłem prof. Tatarzkiewicza w jego warszawskim mieszkaniu; okazało się, że mogę kontynuować studia pod jego kierunkiem. Profesor wyraził zgodę na pisanie przeze mnie pracy o filozofii Heraklita. To był – po lekturach – drugi składnik mojej wojny z wojną.

15 lutego 1940 roku w czasie kolejnej wizyty w mieszkaniu prof. Tatarzkiewicza przedstawiłem równocześnie z planem pracy magisterskiej także plan pracy doktorskiej. Miała to być praca o ideale osobowości, w której zamierzałem przeciwstawić sobie dwa wzory osobowe: wzór bohatera i wzór twórcy kultury, oddanego filozofii, nauce i sztuce. Budowanie kultury – twierdziłem – również wymaga bohaterstwa, ale i czegoś więcej: trafnego orientowania się w hierarchii najwyższych wartości i rozumnego gospodarowania czasem, energią, życiem. Łatwiej jest być bohaterem, niż wzbogacić kulturę wartościowymi dziełami.

Tatarzkiewicz uznał, że plan jest zbyt obszerny. ("Można w nim zmieścić także pracę habilitacyjną" – powiedział.) Ale wyraził zgodę, abym równocześnie pisał obie prace: magis-

terską o Heraklicie i doktorską o bohaterstwie. Natychmiast zabrałem się do pracy i po czterech latach, a dokładnie 17 listopada 1943 roku, Tatariewicz oświadczył, że na podstawie pracy magisterskiej i zdanych egzaminów uzyskałem stopień magistra filozofii. Praca magisterska zaginęła (ocalały tylko dwie strony brulionu rękopisu), natomiast praca doktorska miała kilka kolejnych wersji, a jej streszczenie ukazało się w *Przeglądzie Filozoficznym* (1948, s. 120-130).

Fragmety pracy doktorskiej referowałem na różnych zebraniach «podziemnych»; uczestnikiem jednego z takich spotkań był prof. Kotarbiński. Później, gdy jesienią 1947 roku znów referowałem tę pracę na zebraniu Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, ktoś powiedział w dyskusji, że moja praca wyrosła zapewne z rozważań nad klęską Powstania Warszawskiego. Wtedy zabrał głos prof. Kotarbiński i stwierdził, że główne myśli tej pracy referowałem w czasie okupacji – na rok przed wybuchem Powstania.

Po powrocie na stałe do Warszawy, 3 lipca 1942 roku, mogłem chodzić na prowadzone przez prof. Tatariewicza «podziemne seminarium filozoficzne». Większość uczestników tego seminarium stanowiły osoby, które – jak na przykład Ludwika Kasińskiego i Mieczysława Milbranda – znałem już z seminariów, prowadzonych przez profesora w latach 1937-1939.

Pamiętam seminarium z jesieni 1942 roku, na którym Tatariewicz przedstawił projekt wspólnego opracowania *Słownika filozoficznego*. Miały to być prace, liczące ok. 20 do 30 stron. Przy rozdawaniu haseł Tatariewicz kierował się naszymi zainteresowaniami; podawał także tytuły książek, które należało wykorzystać przy opracowaniu hasła. Ja otrzymałem do opracowania cztery tematy: "Przyroda, wszechświat", "Cel (etyka)", "Celowość (metafizyka)" i "Kategorie". Wiem, że były jeszcze takie tematy, jak "Pojęcie", "Prawda", "Przyczyna", ponieważ w hasło "Cel" miał być odsyłacz do hasła "Przyczyna", w hasło "Kategorie" odsyłacz do hasła "Pojęcie", natomiast hasło "Prawda" zapamiętałem z referatu księdza Jana Salamuchy, na który powołałem się w dyskusji z prof. Czesławem Białobrzeskim, po jego referacie, wygłoszonym na następnym spotkaniu seminaryjnym.

Napisałem wszystkie cztery hasła. Tekst trzech zaginął, natomiast ocalał zeszyt z brulionem drugiej wersji hasła "Kategorie", nad którym pracowałem od stycznia do marca 1943 roku.

Ocalały także małe kartki z uwagami Tatariewicza o moich pracach. Uwag było więcej. Tatariewicz usuwał z mojego tekstu to, co najbardziej mi się podobało i stanowiło mój własny wkład. Chciał nadać *Słownikowi filozoficznemu* charakter bezosobowego informatora. Ostatecznie wszystkie moje prace zostały przyjęte i zakwalifikowane do druku (po wojnie). Mimo to sądzę, że zaginięcia tych prac nie trzeba żałować. Na temat przyrody i wszechświata nie miałem wówczas nic interesującego do powiedzenia; dopiero około 1959 roku, w czasie studiów nad filozofią Giordana Bruna, zaczęły się pojawiać moje pierwsze myśli na ten temat. Moja krytyka celowości powtarzała argumenty oświeceniowych ateistów i też nie było w niej moich własnych myśli. Najwięcej myślowego trudu włożyłem w pracę o kategoriach; problematyką tą zajmowałem się już w latach 1937-1938, przygotowując referat o kategoriach w *Krytyce czystego rozumu* (na seminarium kantowskie, prowadzone przez Tatariewicza), a także studiując *Elementy* Kotarbińskiego, w których rozdział o kategoriach uznałem za najbardziej interesujący. Kontynuacja pracy nad kategoriami w roku 1943 miała donieść skutki dla kierunku, w jakim później poszła moja myśl, gdy w latach 1957-1965 zaczął się formować mój własny sposób uprawiania historii filozofii, nazwany przez mnie "metodą centralnych kategorii". Słowa "centralne kategorie filozofii" znalazły się w tytułach obu moich monografi: o Brunie (1962) i o Vaninie (1970), a opracowana przeze mnie

metoda była stosowana przez wiele osób, piszących pod moim kierunkiem prace doktorskie (35 doktoratów w latach 1966-1993).

Brałem też udział w seminarium, na którym Tatarakiewicz przedstawił plan pracy zbiorowej pod tytułem *Historia filozofii polskiej*. Miały to być sylwetki kulku nazistów najwybitniejszych polskich myślicieli. Tatarakiewicz krótko uzasadnił potrzebę takiego opracowania: Niemcy chcą zniszczyć kulturę polską, żeby móc twierdzić, że jej w ogóle nie było. Dlatego naszym obowiązkiem jest przypomnieć polski wkład do filozofii. Z tego seminarium zapamiętałem tylko rozmowę z p. Alicją Kadler, ponieważ zapytała mnie, dlaczego tym razem nie wziąłem żadnego hasła. Odpowiedziałem, że w wykazie Tatarakiewicza nie ma ateistów i materialistów. Wtedy p. Kadlerówna skierowała naszą rozmowę na «materializm dziejowy» Kazimierza Kelles-Krauza.

Pracę nad dziejami filozofii w Polsce podjąłem dopiero dziesięć lat później, zaczynając od Grzegorza z Sanoka, Kopernika, Łyszczyńskiego. Przez trzy dziesięciolecia wykładałem ten przedmiot najpierw we Wrocławiu, później w Lublinie, wybierając ulubionych myślicieli polskich na temat prac magisterskich i doktorskich moich uczniów. Realizowałem więc zadanie postawione przed nami w 1943 roku przez Tatarakiewicza.

Dziejami filozofii polskiej zajmował się w latach okupacji także prof. Kotarbiński. Pamiętam, że byłem w Warszawie na jednym z jego «podziemnych» odczytów, kiedy mówił o poglądach Stanisława Krusińskiego.

Spośród osób znajdujących się w kręgu Tatarakiewicza utrzymywałem bliższe stosunki jedynie z Ludwikiem Kasidiskim i Aleksandrem Kisielem (których poprosiłem jako świadków na mój ślub 26 grudnia 1942 roku), i z Milbrandtem, który kiedyś odwiedził mnie w moim mieszkaniu przy ul. Fortecznej na Żoliborzu. Pamiętam też wizytę prof. Tatarakiewicza w moim mieszkaniu. Przyszedł zapytać, dlaczego przestałem chodzić na prowadzone przez niego seminaria. Wyjaśniłem, że poszukuje mnie Gestapo, że ukrywam się pod fałszywym nazwiskiem (miałem dokumenty, które Tadeusz Szturm de Sztrem wystawił mi na nazwisko "Teodorowicz"), i że nie chciałbym swoją obecnością narażać uczestników seminarium.

Tatarakiewicz odpowiedział, że w podobnej sytuacji znajduje się wiele innych osób, więc nie widzi przeszkód, żebym nadal uczęszczał na prowadzone przez niego zajęcia.

\*\*\*

Z kręgu Kotarbińskiego spotykałem się najczęściej z Henrykiem Hiżem (z którym przyjaźniłem się jeszcze w latach gimnazjalnych) i z Haliną Powiadowską-Kowalewską, przez którą próbowałem uregulować sprawę mojego przeniesienia z radomskiego ZWZ do warszawskiej AK. Przekazała mi propozycję wstąpienia do podchorążówki. Odmówiłem. W Radomiu należałem do «słatki» kapitana Jerzego Ewarysta Rzetyskiego (zginął w walce z Niemcami, 18 września 1942 roku) i zajmowałem się przejmowaniem, odczytywaniem i kopiowaniem poczty wysyłanej przez radomskie Gestapo i przez Komendanta Legionu Francuskiego w Kruszynie. Korespondencja ta była kopalnią wiadomości o dyslokacji niemieckich wojsk, a dla mnie źródłem informacji o sposobie funkcjonowania tajnej policji. Sprawiało mi wiele satysfakcji, że potężny, budzący grozę aparat Gestapo odsłania przede mną swoje tajemnice, i nie wie o tym, że czytam (a czasem konfiskuję) ściśle tajne dokumenty. Do tej pracy wciągnął mnie mój gimnazjalny kolega i przyjaciel, Andrzej Kamiński – w kilka dni po przyjeździe telegramu o śmierci mojego Ojca, Zbigniewa Nowickiego (1892-1942), w niemieckim obozie koncentracyjnym Weimar-Buchenwald.

Do AK-owskiej podchorążówki nie wstąpiłem. Nie interesowało mnie strzelanie. Nie chciałem zabijać. Byłem gotów kontynuować w Warszawie ten sam typ pracy podziemnej, jakim zajmowałem się w Radomiu. Ostatecznie, za pośrednictwem Kazimierza Pużaka, uzyskałem przeniesienie z AK do Organizacji Wojskowej PPS na stanowisko oficera politycznego, zajmującego się kształceniem kadr.

Jesienią 1942 roku zaprzyjaźniłem się z żoliborską grupą *Flamieni*, zwłaszcza z Jankiem Strzeleckim i Karolem Lipińskim. Zaproponowali mi pokierowanie pracami koła samokształceniowego, które miało zająć się studiowaniem filozofii współczesnej. Na pierwszy ogień zaproponowali filozofię Bergsona. Przygotowałem się do tego zadania bardzo solidnie; przestudiowałem w oryginale francuskim *Les deux sources de la morale et de la religion i L'évolution créatrice*. W dniach 22-29 września 1942 roku sporządziłem na maszynie wyciągi z obu dzieł z własnymi komentarzami (16 stron maszynopisu bez interlinii). Kopie wręczyłem Jankowi i Karolowi wraz z pytaniami do dyskusji. Niestety do dyskusji nad Bergsonem nie doszło, ponieważ znaleźli lepszego ode mnie kierownika seminarium w osobie prof. Bogdana Suchodolskiego. Zostałem zaproszony do uczestnictwa w seminarium i wziąłem aktywny udział w kilku spotkaniach, m.in. w dyskusji nad egzystencjalizmem. Znałem już i wysoko ceniłem wydane przez Suchodolskiego dwie antologie polskiej myśli filozoficznej. Teraz – przy okazji spotkań z Suchodolskim – przeczytałem kilka innych jego książek, m.in. o Sewerynie Goszczyńskim, o Stanisławie Brzozowskim, o humanizmie Irvinga Babbitta, o nowych prądach w pedagogice światowej, a także *Skąd i dokąd idziemy?* (wydanie podziemne pod pseudonimem *Jadźwing*). Podziwiałem sposób pisania Suchodolskiego, jego umiejętności wydobycia i związku przedstawiania najcenniejszych myśli omawianych autorów.

Pamiętam też z tego okresu dyskusję nad referatem wygłoszonym przez Stefana Ziemskiego (którego znalazłem z przedwojennego seminarium Tatarakiewicza; przyjaźnilimy się, pożyczył mi interesujące książki). W dyskusji brał udział Strzelecki i Lipiński, a najostrzej krytykował Ziemskiego Hiż.

Inna dyskusja odbyła się w moim mieszkaniu przy ul. Fortecznej. Dyskutowano rozdział z mojej pracy doktorskiej o bohaterstwie, a udział w dyskusji wzięli Janek, Karol, Marcin Czerwiński i kilku innych chłopców z *Flamieni*. Kontakty te zaowocowały drukiem jednej z moich prac filozoficznych w podziemnych *Flamieniach* (nr 5 z maja 1943 roku).

Szczególnie bliskie związki łączyły mnie z inną grupą żoliborskiej młodzieży z V Kompanii im. Komuny Paryskiej Batalionu Organizacji Wojskowej PPS im. Jarosława Dąbrowskiego. Zygmunt Zaremba i Szturm de Sztrem skierowali mnie do tej grupy w charakterze oficera politycznego. Nie mając żadnych instrukcji, w jaki sposób prowadzić zajęcia, starałem się przekazywać wiedzę zdobytą w latach 1935-1939 na Studium Społecznym, prowadzonym (w podziemiach teatru Ateneum) przez Czapińskiego. Przeprowadziłem zebrania dyskusyjne nad programem PPS, a potem zająłem się tym, co mnie wówczas najbardziej zainteresowało, a więc historią filozofii (zaczynając od Heralita) i techniką pracy umysłowej. Doniosłą dziedziną naszej działalności było wspólne redagowanie miesięcznika *Światło* (od kwietnia do listopada 1943 roku), a także «zebrania piątkowe» poświęcone poezji (recytowaniu ulubionych wierszy m.in. Broniewskiego, Majakowskiego, Słonimskiego, Boya-Żelczińskiego, Leśmiana, Czechowicza). Najbliższymi moimi przyjaciółmi z tego kręgu stali się w latach 1943-1944 Andrzej Czystowski, Władka Czystowska, Andrzej Zbrożyna, Elżbieta Fonberg, Orcio Borowicz (dowódca Kompanii), jego żona Joanna, Janusz Ostrowski i inni. Wątki filozoficzne można odnaleźć w pracach, które drukowałem w 1943 roku w *Świecie* i w 1944 roku

w miesięczniku *Młodość Socjalistyczna* (redaktorem naczelnym był Lipiński). Ukazały się cztery zeszyty, od stycznia do kwietnia 1944 roku; z numeru piątego, który był gotowy do druku, zrezygnowaliśmy w związku z aresztowaniem Karola (wyjechał na zjazd młodzieży podziemnej do Lublina, tam go aresztowano, osadzono na Zamku Lubelskim i rozstrzelano).

Warto wspomnieć, że po Powstaniu Warszawskim, kiedy w październiku 1944 roku znalazłem się w Zakopanem, zaproponowano mi udzielanie lekcji filozofii osobie, która wybierała się na studia filozoficzne. Osobą tą była Marysia Bieleńska, kuzynka filozofa, Wincentego Lutosławskiego. Później, w latach pięćdziesiątych, była moją koleżanką w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego; zbliżył nas do siebie wspólny udział w wydarzeniach 1956 roku.

Pod koniec 1942 roku znalazłem się w podziemnej strukturze szkolnictwa wyższego jako asystent prof. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, profesora pedagogiki Wolnej Wszechnicy Polskiej. Za pracę tę otrzymywałem wynagrodzenie. Dobrowolski był wybitnym geofizykiem, uczestnikiem wyprawy do Antarktydy, teoretykiem pedagogiki i twórcą tak zwanej *Nowej Religii*, dla której najwyższymi wartościami były Nauka i Sztuka; była to synteza pozytywistycznego scjentyzmu i młodopolskiego, neoromantycznego estetyzmu, utrwalająca mój własny kult Nauki i Sztuki. Odniosłem się więc do *Nowej Religii* z entuzjazmem, akceptując w niej prawie wszystko – z wyjątkiem negatywnego stosunku do filozofii. Rozwijana przez Dobrowolskiego krytyka filozofii budziła zawsze mój zdecydowany sprzeciw.

Pierwszym zadaniem, które otrzymałem jako asystent, było przestudiowanie i zreferowanie książki Ernsta Macha *Geschichte der Mechanik*. Następne zadania dotyczyły już wyłącznie prac Dobrowolskiego: prac drukowanych, maszynopisów i rękopisów, stron spinyanych szpilkami i stosów luźnych karteczek. Miałem to wszystko przestudiować, przedstawić własne uwagi, uporządkować, przygotować do druku. Pracą tą zajmowałem się przez kilkanaście miesięcy, od początku 1943 roku do wybuchu Powstania w sierpniu 1944 roku. Przed wybuchem Powstania Dobrowolski zaproponował, abym wraz z żoną zamieszkał w jego mieszkaniu przy ul. Krasieńskiego 18, a sam ze swoją żoną wyjechał poza Warszawę. Tak więc sierpień i pierwsze tygodnie września 1944 roku spędziłem w mieszkaniu Dobrowolskiego.

\*\*\*

Przez całą wojnę nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że Niemcy hitlerowskie zostaną pokonane. Na kilka dni przed wybuchem Powstania zastanawiałem się wraz z przyjaciółmi z OW PPS nad szansami naszej walki zbrojnej z okupantem. Nad dyskusją ciążył pewien model – nie przystający do rzeczywistości 1944 roku, ale utrwalony w naszej pamięci przez wspomnienia naszych Ojców i ludzi z ich pokolenia: model rozbrajania Niemców w 1918 roku. Kiedy w lipcu obserwowaliśmy w Warszawie ucieczkę oddziałów niemieckich rozbitych na froncie wschodnim, wydawało się, że rozbrojenie takich oddziałów będzie równie łatwe, jak w roku 1918, a pragnienie odwetu za pięć lat okupacyjnych zbrodni było tak wielkie, że gdyby nawet dowództwo Armii Krajowej nie wydało rozkazu o rozpoczęciu działań, to Powstanie wybuchłoby samo. Dowodem na to może być to, co stało się na Żoliborzu, gdzie walka rozpoczęła się na kilka godzin przed wyznaczoną datą. Było to w pobliżu domu, w którym mieszkaliśmy, a uczestnikami walki byli chłopcy z mojej Kompanii. Wielu z nich zginęło pierwszego dnia Powstania, a ich nazwiska znajdują się na tablicy wmurowanej w ścianę kotłowni przy ul. Suzina.

72  
Przeciwko temu modelowi, w który chciało się wierzyć, przemawiały racjonalne argumenty. Mieliszy mało broni, nie starczyło jej dla wszystkich i nie była wiele warta w zestawieniu z czołgami i bombowcami, którymi dysponowała armia niemiecka. Ukazywał się więc drugi model: bohaterskiej, lecz nie mającej żadnych szans szarzy straceńców na czołgi. Uważałem więc, że lepiej poczekać na czołgi sojuszników. Z tego, że oddziały te przyjdą nie tylko po to, żeby przepędzić Niemców, lecz także po to, żeby podporządkować wyzwoloną Polskę Stalinowi, nie zdawałem sobie sprawy i – wbrew posiadanej wiedzy o tym, czym jest sowieckie imperium – nie chciałem tego przyjąć do wiadomości.

Kiedy wybuchło Powstanie, zostałem powołany na stanowisko sekretarza Starosty Powstańczego Ekspozytury Warszawa Północ, a w kilka dni później zostałem kierownikiem referatu kulturalno-oświatowego; organizowałem koncerty, różne imprezy kulturalne, wydawałem dziennik dla dzieci. Za działalność tę zostałem odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Uznano, że to, co robiłem też miało sens.

## ŻOŁNIERZE POWSTANIA

*Jerzy Pelc urodził się 30 września 1924 roku w Warszawie. W 1942 otrzymał maturę w tajnych kompletach Gimnazjum Batorego i rozpoczął studia w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim. Jednocześnie był nauczycielem w tajnych kompletach gimnazjalnych.*

*Brał udział w Powstaniu (jako żołnierz 28 Dywizji Okrzel AK).*

*W 1946 roku otrzymał magisterium, a w 1951 roku – doktorat (u Juliana Krzyżanowskiego). Habilitował się w 1961 roku. Od 1945 roku jest pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego.*

*Cała jego bogata twórczość naukowa mieści się w dziedzinie semiotyki logicznej.*

*Jacek J. Jadacki*

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej miałem niespełna piętnaście lat. Jak niemal każdy Polak pragnąłem walczyć o niepodległość. Trzeba więc było «znaleźć kontakt» – tak się wtedy mówiło. W naszym domu, w al. Jerozolimskich 4, schronił się u swych sióstr p. Drojanowski, prezydent Lwowa. Uznałem, że to będzie odpowiedni człowiek. Odwiedziłem go – mieszkał za ścianą – i wyjawilem swą prośbę. Oczywiście nie wybierałem «kontaktu» według kryteriów politycznych czy ideologicznych. Po prostu szukałem dostępu do organizacji wojskowej.

Przypuszczam, że p. Drojanowski był zbliżony do sfer sanacyjnych przedwojennej Polski, ale jego orientacja polityczna nic mnie nie obchodziła. Rozmowa z nim przyniosła mi rozczarowanie. Była zbyt ogólna, konspiracyjna i ceremonialna. «Skoro chce Pan z nami laborować, zobaczę, co się da zrobić.» Tym «laborować» bardzo mnie zraził. Domyśliłem się – nie wiem, czy trafnie – że należy do podziemnej organizacji cywilnej, politycznej, a mnie chodziło o wojsko, a nie o gadanie. Ale «kontakt» dał i znalazłem się w AK, w Armii Krajowej. Dlatego w AK, że taki był «kontakt».

Chyba podobnie było z wielu innymi rówieśnikami; to, dokąd trafili, było najczęściej dziełem przypadku. Pamiętam rozmowę z Jurkiem Kroh, moim kolegą z tej samej klasy i tego samego tajnego kompletu Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego (późniejszym rektorem Politechniki Łódzkiej, członkiem PAN i doktorem *honoris causa* kilku wyższych uczelni). Zostaliśmy po lekcji, która odbywała się w naszym mieszkaniu. Chcieliśmy się naradzić, do jakiej organizacji się «zapisać». Kryterium wyboru było dla nas jasne: kto ma broń. Jurck Kroh dowodził, że najlepsza byłaby AL, Armia Ludowa, bo oni mają broń i chodzą na akcje. Ale oboj znaleźliśmy się w AK, bo o tym zdecydował «kontakt».

To nie znaczy, bym nie był wychowywany w pewnej atmosferze politycznej. Moi rodzice, w swych czasach studenckich w Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, należeli do akademickiego stowarzyszenia *Życie*, podczas gdy prawnicza organizacja nazywała się, o ile pamiętam z ich wspomnień, *Czytelnia Akademicka*. Ich kolegami byli późniejsi dygnitarze, legioniści: Świtalski, Miedziński, Kasprzycki; moja matka spotykała na wakacjach, u znajomych w Brzeżanach, Edwarda Rydza-Śmigłego, wówczas malarza. Wychowywałem się w kulcie marszałka Piłsudskiego, którego «portrety» rysowałem i rozdawałem krewnym

12  
708  
i znajomym. Byliśmy rodziną prorządową, rodzice głosowali na numer pierwszy, «kto Polak najszczerzy, głosuje na numer pierwszy», Komisarjat Rządu przysyłał zaproszenia na galowe przedstawienia w Teatrze Polskim z okazji 3 maja i 11 listopada, nawet służąca, niezapomniana Józefa Kozioł, człowiek bliski jak ktoś z rodziny, była odziedziczona po redaktorze naczelnym rządowej *Gazety Polskiej*. Ale ojciec nie zapisał się do BBWR, a w domu oprócz *Kuriera Porannego* czytało się *Wieczór Warszawski*, bardziej na prawo, a w niedzielę *Kurier Warszawski*, na którego tytule nauczyłem się czytać. Po śmierci marszałka coś się komuś nie podobało (ojciec nie zapisał się także do «Ozonu») i pewnego dnia ojcu memu, wysokiemu urzędnikowi na kierowniczym stanowisku, wręczono dymisję, jako powód podając – pamiętam to sformułowanie – «piora polityczne». Udał się wtedy do marszałka sejmu, swego kolegi z lat studenckich. Ten natychmiast w obecności mego ojca zatelefonował, gdzie trzeba, dymisję momentalnie wycofano, a do przepraszki dodano awans.

Mimo tej czternastoletniej przeszłości, mimo takiego, a nie innego wychowania w domu i w szkole, wyraźnie prorządowej, to nie wybór polityczny ani sympatie ideologiczne sprawiły, że znalazłem się w AK, a później od 17 stycznia 1945 roku awansowałem na «zbiórca spod znaku AK» i «zapłutego karta reakcji».

A po środku między wstąpieniem do AK i styczniem 1945 roku...

A po środku było Wojsko Polskie. Podczas Powstania Warszawskiego nosiliśmy białoczerwone opaski z literami "WP". Ja przynajmniej nie przypominam sobie, abym spotkał kogoś z opaską z literami "AK" albo "AI" czy "BCh" (Bataliony Chłopskie), czy jakimkolwiek innym skrótem. I o ile mnie pamięć nie myli, moja legitymacja powstańcza również zawierała słowa "Wojsko Polskie" i nazwę formacji, nie zaś słowa "Armia Krajowa"; ale może się myłę.

W czasie okupacji, oprócz zbiórek wojskowych AK, na których zjawiał się w mundurze «granatowy» policjant, nasz instruktor, i uczył na swym służbowym *visie*, jak się rozbiiera, czyści i składa pistolet, któryśmy – my profani – nazywali "rewolwerem"; otóż oprócz tych ziórek AK, były spotkania i było współdziałanie z organizacjami zupełnie rozbieżnymi pod względem ideologicznym. Oto z jednej strony uczyłem na kompletach gimnazjalnych dla chłopców z Szarych Szeregów. Ta organizacja harcerska różniła się od prawicowego Harcerstwa Polskiego. I znowu: moja praca z członkami Szarych Szeregów – to nie był wynik wyboru politycznego. Tam akurat byłem potrzebny, tam mnie skierowali moi nauczyciele gimnazjalni, więc tam próbowałem na coś się przydać. O moich kontaktach z przedstawicielami kierownictwa – czy dowództwa – Szarych Szeregów, Kazimierzem Koźniewskim, wspominałem gdzie indziej.<sup>1</sup> Pamiętam też wizytę u komendanta Chorągwi Warszawskiej Szarych Szeregów *Bolka*, Stefana Mirowskiego: spotkanie odbyło się w jego ówczesnym mieszkaniu czy kwaterze konspiracyjnej przy ul. Marszałkowskiej, mniej więcej naprzeciw wylotu ul. Księstwa Skorupki. Było krótkie. Przekazałem mu jakąś wiadomość.

Oprócz kontaktów z Szarymi Szeregami współpracowałem z podziemnym Polskim Radiem, pisząc audycje na «po wojnie», spotykałem się przez krótki czas z Mieczysławem Kurzyną, późniejszym powstańcym dowódcą oddziału *Mieczysłów*, którzy – niemal wszyscy – polegali w walce w rejonie PKO przy ul. Świętokrzyskiej, Jasnej, Marszałkowskiej. Kurzyzna był przedstawicielem organizacji skrajnie prawicowej, której odłam młodych wydawał «gazetkę» podziemną *Młodzież Imperium* ("nie chcemy Polski na kółkach", tak brzmiał ich protest przeciwko zapowiedziom oddania Lwowa i Wilna w zamian za Ziemię Zachodnie). Zwrócili się do mnie o pomoc przy wydawaniu tego pisma. Przekonałem ich, by tytuł *Mlo-*

<sup>1</sup> Jerzy Pelc, *Wizytówki i wspomnienia*, Warszawa 1994 Zakład Semiotyki Logicznej UW [przyp. JJJ].

*dzień Imperium* zmienili na *Młodzież Rzeczypospolitej*, który wydał mi się bardziej dostosowany do okoliczności, możliwości i perspektyw na przyszłość. Na tematy polityczne ani ideologiczne w ogóle się nie rozmawiało. Utkwiła mi w pamięci jedna rozmowa z Kurzyną: jak uratować dla przyszłej wolnej Polski najcenniejszą kadre – koryfeusy nauki, sztuki, kultury; czy wolno dzielić ludzi podziemia na tych, którzy mają złożyć daninę krwi, i tych, którzy mają przetrwać do czasu pokoju. Wszystkich pochłaniało jedno – zbliżające się Powstanie, w którym ramię przy ramieniu walczyć mieli i walczyli, i ginęli «lewicowi» harcerze Szarych Szeregów, «prawicowi» harcerze z Harcerstwa Polskiego, «ONR-owskie» nastolatki z oddziału *Mieczysław*, centrowi żołnierze z innych formacji.

Myślę, że wielu ludzi dziś nie rozumie, jak wtedy było. Wiem np. o jednym z kolegów, profesorze Uniwersytetu, który dawniej wielokrotnie usilnie się starał o przyjęcie do Partii, a ta – niedobra – stale mu odmawiała, gdyż (mając lat dwanaście czy trzynaście) należał do NSZ, prawicowych Narodowych Sił Zbrojnych. A taką przeszłością polityczną – uważano – skaziłby szeregi partyjne PZPR. Dwunastoleni wróg klasowy!

W tym rzecz: kilkunastoletnie dzieci nie dokonywały wtedy wyboru politycznego ani ideologicznego. Nie oglądając się na nic podejmowały – sercem, nie rozumem – decyzję patriotyczną: bronić ojczyzny. Nie były stronnikami politycznymi, lecz żołnierzami. Dlatego nie popadały w sprzeczność z własnymi poglądami ani w konflikt z sumieniem, współdziałając z grupami i organizacjami, zakładanymi przez dorosłych, różniących się racjami, opiniami i celami politycznymi.

Co do mnie: robiłem to, co robiłem, i nie sędzę, bym miał się wstydzić, że byłem bezideowym dwulicowcem politycznym, ani szczylić, że – już wtedy – realizowałem hasło pluralizmu.

Warszawa, luty 1995 roku.

## DO POWSTANIA...

*Michał Pohoński urodził się 26 listopada 1927 roku w Mińsku Mazowieckim. W latach 1946-1950 odbył studia prawnicze (zakończony magisterium) – a w latach 1947-1950 równoległe studia socjologiczne (jako wolny słuchacz) – w Uniwersytecie Warszawskim. W 1964 roku uzyskał stopień doktora nauk ekonomicznych w Szkole Głównej Planowania i Statystyki na podstawie rozprawy "Migracje ze wsi do miast", napisanej pod kierunkiem Kazimierza Romanika. Habilitował się w 1983 roku w zakresie socjologii w Uniwersytecie Warszawskim. Od 1964 roku pracuje w Instytucie Socjologii UW; od 1993 roku jest dziekanem Wydziału Filozofii i Socjologii UW.*

*Jest autorem prac dotyczących ruchliwości społecznej w Polsce.*

*Jacek J. Jadacki*

Było słoneczne, ciepłe popołudnie. Chcieliśmy przejść przez ulicę, ale ruch wojskowych samochodów zatrzymał nas na chwilę przy krawędzi chodnika. Siedzący opodal żołnierz w burym szynelu, wsparty na karabinie, spojrzał na nasze białe-czerwone opaski i spytał: *Wy kto?* Odpowiedzieliśmy obaj równocześnie: *My polskie partizany.* Żołnierz, kierując wzrok w przestrzeń, powiedział jakby nie do nas: *Buduj takie, kotoryje słażut, kto takoj partizan, a kto wst.* Ta przepowiednia prostego sowieckiego żołnierza już wkrótce miała się sprawdzić.

W parę dni później, w niedzielę rano 6 sierpnia 1944 roku wyruszyliśmy w grupie kilkunastu osób z Mińska Mazowieckiego do Barczącej. Ściągnięci z dużej części powiatu mińskiego żołnierze Armii Krajowej obwodu Mewa-Kamień w większości zgromadzili się już wcześniej w tej długiej wsi, ciągnącej się wzdłuż parokilometrowej drogi. Przeszliśmy ją dwukrotnie – do dowództwa i z powrotem na kwatery – przyglądając się rozłożonym na podwórkach wiejskich zagrodów oddziałom. Wyglądało to jak pospolite ruszenie lub małe sejmiki szlacheckie, z tą różnicą, że wśród żołnierzy przeważali synowie chłopscy – chłopski był bowiem cały powiat. Mińsk i małe miasteczka dostarczyły jednak również wielu robotników, rzemieślników, inteligentów i uczniów szkół średnich z tajnych kompletów. Słabo uzbrojeni, ubrani od sasa do lasa, roili się pośród chałup wiejskich i na przyległych polach w oczekiwaniu na zbiórkę.

Mimo zgiełku i ruchu dawało się wyczuć pewne napięcie, jak zwykle przed ważnym wydarzeniem.

Kilka dni wcześniej przez powiat przetoczył się front, docierając do Wisły. W Warszawie wybuchło Powstanie. Nie zaskoczyło nas ono. Uważaliśmy je za naturalne przedłużenie i ukoronowanie kilkuletniej działalności podziemnej. Ta działalność – w tajnym nauczaniu, w samopomocy gospodarczej, w prasie i w organizacjach wojskowych – była sposobem na zachowanie ludzkiej kondycji w obliczu tego wszystkiego, co się wokół działo.

Walka zbrojna była zaledwie jedną z form oporu, ale dla nas – młodzieży – najważniejszą. Tylko ona dawała poczucie wolności, a egzystencja bez wolności wydawała nam się niemożliwa. Dopiero później, po *wyzwoleniu*, miało się okazać, że zupełnie niesukcesie.

Późnym popołudniem wszystkie oddziały zgromadziły się na wielkiej polanie w pobliskim lesie. Komentant obwodu, ps. *Lubicz*<sup>1</sup>, w krótkim przemówieniu wyjaśnił nam sytuację. W prowadzonych od paru dni rozmowach, na których wynik wszyscy czekaliśmy, dowódcy sowieccy odmówili zgody na pozostawienie naszych oddziałów pod dowództwem AK. Żądali wcielenia akowców do armii Berlinga. Tylko w tej formie, nie zaś jako odrębne oddziały, mogliśmy ewentualnie dalej uczestniczyć w walce z Niemcami.

Na to nasze dowództwo nie chciało się zgodzić, oznaczałoby to bowiem w rzeczywistości likwidację Armii Krajowej; stanowiłoby ponadto zagrożenie dla żołnierzy, zdanych – bez żadnych gwarancji – na łaskę nowej władzy.

Biorąc pod uwagę powstałe okoliczności, dowódca obwodu postanowił rozpuścić zgromadzone oddziały do domu, wzywając wszystkich do zachowania wierności celom, o które walczyliśmy. Oświadczył jednocześnie, że wraz z oddziałem liczącym około 100-120 osób zamierza przedostać się do Warszawy na pomoc powstańcom. Większy oddział nie miałby szans na dotarcie do Warszawy, nie byłby również odpowiednio uzbrojony.

Spośród około półtora tysiąca zgromadzonych na polanie żołnierzy, większość chciała wziąć udział w wyprawie. Decydować musiało uzbrojenie. Miałem pistolet maszynowy, znalazłem się więc wśród uprzywilejowanych. W grupie ponad stu bardzo dobrze, jak na warunki okupacyjne, uzbrojonych powstańców wyruszyłem pod wieczór w kierunku Kołbieli i Świdra.

Noc spędziliśmy w lesie. Wraz z moim okupacyjnym kolegą z grupy łączników, Januszem, przykryliśmy się derką pod siodło jedynego konia, jakiego miał oddział. Słyszeliśmy przytłumione głosy oficerów, biorących udział w naradzie zwołanej przez dowódcę. Jak się później dowiedziałem, niektórzy odradzali dalszy marsz. Przeważył pogląd, że powinniśmy zrobić wszystko, co możliwe, by udzielić pomocy Powstaniu. Wcześniej rano wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Nadal był piękna, słoneczna pogoda. Szliśmy przez lasy, przecinając szosę Mińsk-Sienica w pobliżu Pogorzeli. Przy drodze, na polach widzieliśmy wraki niemieckich i sowieckich czołgów, rozbitych lub spalonych w stoczony tu przed kilku dniami bitwie.

W czasie krótkiego odpoczynku na lesnej polanie słuchaliśmy radiowych komunikatów z walk toczonych we Francji przez polskie oddziały pancerne. Choć bliskie, były jednak dość daleko...

Szliśmy dalej bocznymi, płaszczystymi drogami, obładowani bronią i amunicją do erkaemów w ciężkich żelaznych skrzynkach. Od czasu do czasu mijaliśmy chłopskie chaty – kobiety wynosiły nam zsiadłe mleko i wiejski chleb razowy. Jeśli nie my, to na pewno one wyglądały jak na ułańskich obrazach Wojciecha Kossaka.

W południe wyszliśmy na rozległe pola w pobliżu Nowego Dworu. Mój oddziałek znalazł się w szpicie wyprzedzającej głównej oddział. W pewnym momencie w oddali przed nami pojawili się dwaj sowieccy kawalerzyści. Podjechali bliżej, zatrzymali konie i pozdrawiając nas zapytali: *Wy kto?* Dowodzący szpicą podchorąży Szudek odpowiedział stereotypową formułą: *My polskie partyzany. – Wot charaszo –* ucieszyli się krasnoarmiejcy. *No sey ot Wandy Wasileuskof?* – *Niet –* odparł podchorąży – *my ot Mikołajczyka, – Da on, ot Wandy Wasileuskof?* – *Niet, on od siebia –* odparł nasz młody dowódca łamanym, ale jak się okazało zrozumiałym rosyjskim. – *No on iz Moskwy?* – *Niet, on iz Londona –* stwierdził zgodnie z prawdą podchorąży. Na tym rozmowa się skończyła. Kawalerzyści jeden po drugim podnosząc rękę do czapki zawrócili konie i odjechali.

<sup>1</sup>Był nim Ludwik Wolański, zastrzelony 14 grudnia 1944 roku.

Szliśmy dalej przez blisko dwie godziny i około czwartej po południu dotarliśmy nad Świder na wprost położonej w dole, po drugiej stronie rzeki, Radachówki. U góry łagodnego stoku, zbiegającego do Świdra, rozłożyliśmy się obozem.

Zmęczony i głodny wybrałem się do pobliskiej chaty, oddzielonej od naszego stoku niewysokimi olszynami. Poprosiłem gospodynię o jajecznicę, posiłem się, napisałem krótki list do matki i z przewieszonym przez ramię stetem ponownie wszedłem w olszyny. Gdy już podchodziłem do naszego obozu, minąłem się z mokrym, zasapanym, biegnącym od strony Świdra piechurzem sowieckim z pepeszą w rękę. Spojrzeliśmy na siebie przelotnie i nie zatrzymując się kontynuowaliśmy wędrówkę – każdy w swoją stronę. Gdy wyszedłem na zbocze, zobaczyłem, że na dole nad samą rzeką, ale już po naszej stronie, mrowią się sowieccy piechurzy w zmoczonych mundurach, rozstawiając skierowane lufami w naszym kierunku maxymy – ciężkie karabiny maszynowe ze stalowymi tarczami ochronnymi.

Spytałem koleże, co się dzieje. Odparł pośpiesznie: *Rozkaz – nie strzelać, ucofywać się pojedynczo, jeśli się uda*. Zawróciłem z miejsca i korzystając z zasłony krzewów ruszyłem w kierunku przeciwnym do rzeki. Z prawej strony widziałem długą tyralierę sowieckiej piechoty, okrążającej nasze zbocze. Między krzewami i chatami wymknąłem się w ślad za małą grupą naszych chłopców i ruszyłem w kierunku odległego o parę kilometrów dworu w Dłużewie. Tam dowiedziałem się nazajutrz, że piechota sowiecka rozbroiła i aresztowała tę przeważającą część naszych żołnierzy, którzy nie zdołali się wywinąć z okrążenia. Dzięki zakazowi strzelania nie doszło do potyczek i po kilkunastu godzinach dowództwo frontowych oddziałów sowieckich zwoliło zatrzymanych.

W ten sposób udaremniono naszą próbę – tak jak dziesiątki podobnych po prawej stronie Wisły – przyłączenia się do Powstania Warszawskiego.

Pozostało nam obserwowanie czerwieniejącego na zachodzie w dzień i w nocy nieba, i nasłuchiwanie coraz bardziej ponurych wieści nadchodzących z Warszawy.

W sąsiedztwie Dłużewa, w pobliskim Lasominie, oddziały lotników sowieckich urządziły błyskawicznie na wielkich, płaskich polach lotnisko dla myśliwców, oddalone od Warszawy o 10 minut lotu. Przez pozostałą część sierpnia, kilkanaście razy dziennie, samoloty te wykonywały różne zadania bojowe. Mieszkańcy dworu w Lasominie, wśród których wielu miało w Warszawie najbliższe rodziny, natarczywie, czasem błagalnie pytali lotników, kiedy udzielią osłony ludności miasta, nieustannie bombardowanej przez samoloty niemieckie. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu – odpowiedź brzmiała tak samo: *Wskorie*.

18 września około drugiej po południu wracałem przez las z pobliskiego Starogardu z lekcji łaciny – w czerwcu zdałem u Batorego eksternistyczny egzamin z czwartej klasy gimnazjum do pierwszej licealnej i próbowałem w nowych warunkach kontynuować naukę. W pewnym momencie usłyszałem nieco przytłumiony, jednostajny grzmot: spojrzałem w górę i na wielkiej wysokości zobaczyłem sunące powoli, majestatycznie klucze czteromotorowych bombowców. Ich przelot trwał kilka minut i, w ciszy leśnej, robił wrażenie ogromnej potęgi. Nie miałem wątpliwości, że to nadeszła wreszcie tak upragniona pomoc z Zachodu. Wkrótce okazało się, że za późno i za mało. Losy Powstania były już przesądzone.

Po jego upadku stopniowo docierały wiadomości o poległych przyjacielach i kolegach. Ginęli jednak nie tylko powstańcy.

Spotkany przeze mnie po latach uczestnik marszu do Powstania opowiedział mi o losach wielu żołnierzy z naszego oddziału, podobnie jak on aresztowanych przez UB i NKWD wkrótce po opowiedzianych tu wydarzeniach – i wywiezionych do Workuty, gdzie zdziśniętkowały ich nieludzkie warunki w kopalniach, nadludzka praca, głód i mróz.

## WOJNA W MYŚLACH, MOWACH I UCZYNKACH WILNIANINA

*Tadeusz Pszczółowski urodził się 6 sierpnia 1922 roku w Wilnie. Po zamknięciu przez Litwinów Liceum im. Śniadeckich (działającego przy Uniwersytecie Stefana Batoro), którego był uczniem, wstąpił do Liceum Mechanicznego.*

*W czasie wojny był żołnierzem 3 Brygady Wileńskiej AK.*

*Studiował w KUL (1945-1946) i Uniwersytecie Warszawskim (1946-1951), gdzie uzyskał magisterium (1949) i doktorat (1951). Początkowo zatrudniony był w Polskim Radiu i Telewizji. W latach 1961-1992 był pracownikiem (a od 1976 roku – kierownikiem) Zakładu Prakseologii PAN. Habilitował się w 1968 roku.*

*Jego dorobek naukowy obejmuje głównie prace z dziedziny prakseologii.*

*Jacek J. Jadacki*

### POD KZĄDAMI LITWINÓW

Stosunek do otaczającego nas świata, do wydarzeń – w znacznej mierze zależy od tego, co włożyliśmy do magazynu naszego umysłu poprzez lektury i słowo mówione, własne spostrzeżenia, rozumowanie i wnioski. W 1939 roku stosunek do wojny miałem pozytywny. Bo zanosilo się na to, że wreszcie zacznie się coś ciekawego dziać. Skończy się ekspansja hitlerowskich Niemiec, które dostaną wreszcie za swoje:

“Marszałek Śmigły Rydz [bis],  
a z nim żołnierze my niczłomni,  
z odwiecznych polskich ziem, nie damy wrogom nic,  
lecz jeszcze Grunwald im przypomnim.”

W rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego odbyła się na Roszie wspaniała defilada, która nie pozwalała wątpić, żeśmy *siłni, zwaerci, gotowi*. Oglądałem maszerujące oddziały, artylerie, czołgi... Kawaleria miała jednak najwyższą pozycję w armii; dostać się do podchorążówki było marzeniem większości maturzystów.

W czerwcu zdałem do Liceum im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich – przy Uniwersytecie Stefana Batoro, a nie, jak inne licea, przy gimnazjach. Mimo wybuchu wojny zajęcia odbywały się normalnie. Dostaliśmy tylko dodatkowe warty nocne. Po złożeniu żołnierskiej przysięgi w kościele garnizonowym św. Ignacego, co parę dni pilnowaliśmy rozmaitych obiektów wojskowych – magazynów, prochowni, zbrojowni. Ostatnia moja warta w nocy z 17 na 18 września wypadła mi w więzieniu wojskowym na Antolokolu. Wiedzieliśmy już o wkroczeniu Czerwonej Armii. Na dziedzińcu palono akta; przyjechały ciężarówki Sądu Wojskowego z Łidy. Oficerowie też zaczęli palić przywiezione papiery, opowiadając o zaskoczeniu i niewielkich potyczkach z KOP-em, który nie miał żadnych szans zatrzymania nawały czołgów. Tak skończyły się nasze zajęcia dodatkowe w drugim roku przysposobienia wojskowego. Polskie Radio, które transmitowało program warszawski, w tym przemówienia prezydenta Stolicy, Stefana Starzyńskiego – zamilkło. Ale lekcje w liceum odbywały się, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

12  
13

Kłeska militarna w wojnie z Niemcami, okupacja sowiecka, brak jakiegokolwiek reakcji zbrojnej naszych sojuszników – to był wielki szok. Okazało się, że polskie władze kłamały, budziły nieuzasadnione nadzieje; że dla wielu wkroczenie Czerwonej Armii było dniem radości. Na ulce Wilna wyległy tłumy z powitalnymi transparentami i czerwonymi sztandarami, które oglądaliśmy co roku na pierwszomajowych pochodach. Nieproszeni goście czuli się gospodarzami, przyłączali Wileńszczyznę na wicki do bogatego Kraju Rad, w którym wszystkiego jest w bród. Tak pisali, mówili – a jednocześnie wymietli wszystko ze sklepów, polowali na ręczne zegarki, ale niczego z sobą nie przywieźli. Zaopatrzenie przerzucili na Litwinów, którym oddano szybko zajęty «na wicki» Wileński Kraj z Wilnem. 27 października odbyło się uroczyste wkroczenie [Litwinów] do «odwleczonej» stolicy; przestało nią być Kowno.

Na Wszystkich Świętych, wieczorem, przed cmentarzem na Rossie, zebrały się tłumy młodzieży. Zaduszki zamieniły się w polityczną manifestację, popierającą gen. Władysława Sikorskiego i jego wolę prowadzenia dalej walki. Manifestacja ruszyła do miasta, gdzie żołnierze litewscy bezwzględni i zacietrzewieni, kolbami rozpedzili Polaków. Należało się spodziewać likwidacji USB, ponieważ był on reliktem polskiego panowania, które należało wyznaczyć z litewskiej narodowej pamięci. O ile jeszcze w stosunku do bolszewików można było mieć nadzieję, że uniwersytet po radziecku zreformowany pozostawiłby, jak to się stało we Lwowie, o tyle wrogość Litwy do wszystkiego, co polskie, upewniała, iż dni USB są policzone. A z nim – Liceum im. Śniadeckich.

Dwa miesiące wojny ukazały mi nie jedno, lecz dwa [jej] oblicza. Dalekie – gdzieś w Polsce przez cały kraj przetoczyła się armia niemiecka; na linii Maginota i Zygryda udawały obie strony, że walczą. Bliskie – trochę nieprzespanych nocy w czasie dwutygodniowej służby wartowniczej, kilka nalotów niemieckich, dwa wojska [obce] i trzecie polskie w konspiracji, która zawładzała się natychmiast po wkroczeniu Sowietów. Bo dla nas nie było wątpliwości, że litewska stabilizacja jest chwilowa i wojna w oddali będzie się rozijać. I rzeczywistość w końcu listopada rozpoczęła się wojna radziecko-fińska, która ujawniła niesprawność Czerwonej Armii i głupotę jej dowódców. Kto zaczyna wojnę w zimie?

Tą wojną byłem zainteresowany, ponieważ mój ojciec (Dowborczyk) uciekł przez represje niemieckie, popełniając samobójstwo, ja zaś wyobrażałem sobie, że mogę jego śmierć pomścić, biorąc udział w wojnie fińskiej. Z kolegami zgłosiliśmy gotowość wyjazdu do armii fińskiej w poselstwie fińskim w Kownie. Przyjęto grzecznie i wdzięcznie naszego przedstawiciela, Romualda Kukołowicza, ale z oferty nie skorzystano.

Litwa była państwem względnie neutralnym i gazety przytaczały wiadomości pochodzące z dwóch walczących stron. ZSRR podawał, że wojnę wywołał spisek amerykańsko-angielsko-francusko-niemiecki, że zbudowano agresywną linię Mannerheima; Finlandia natomiast ujawniała [rosyjskie] aspiracje terytorialne. Chodziło o odsunięcie granicy [fińskiej] od Leningradu i jeziora Ładoga. Wiedziałem już, że w wojnie rację ma silniejszy. W tym wypadku Finlandia po podpisaniu traktatu pokojowego po prawie trzech i pół miesiącach walki straciła nie tylko Wyborg i Petsamo, ale też jeszcze inne ziemie, które bezprawnie zajęła «niezwyciężona armia», nie licząca się z warunkami układu pokojowego.

Przewidując, że Litwini zlikwidują przyuniwersyteckie liceum, przenieśliem się do Państwowej Szkoły Technicznej na Wydział Mechaniczny. Wydawało mi się, że takie liceum ma największe szanse przetrwania, niezależnie od zmieniających kolei losów wileńskiego szkolnictwa polskiego. W połowie grudnia zniknął USB; powstał uniwersytet litewski. Z rozpar-

celowanej biblioteki Koła Filozoficznego Studentów USB dostałem parę książek, z których Kazimierza Twardowskiego *Rozprawy i artykuły filozoficzne* mam do dziś. Interesowałem się [już wówczas] filozofią, przeczytałem wszystkie [dostępne mi] propedeutyki, historie filozofii [Fryderyka] Klimkego i [Władysława] Tatarkiewicza, korzystałem z czytelni Biblioteki Wróblewskich. Wiedziałem, że USB zszedł do podziemia, że był bojkot uniwersytetu litewskiego, który prowadził politykę antypolską, [i] którego studenci – rekrutujący się z Uniwersytetu Kowieńskiego im. Witolda Wielkiego – tłukli pałkami modlących się po polsku [wiernych] w kościołach, rozpedzali [polskie] przedstawienia; byłem w czasie jednego takiego ataku w *Lutni* na operetce.

Szkoły Techniczne im. Piłsudskiego stały się wyższą uczelnią z litewskim językiem nauczania, a *de facto* z polskim – tyle, że ze sporą dawką litewskiego i historii Litwy. Poziom – i tak wysrubowany – podnieśli profesorowie Politechniki Warszawskiej, którzy znaleźli schronienie i pracę w Wilnie. Matematykę uczył prof. Stefan Straszewicz; termodynamikę, konstrukcji stalowych i części maszyn – prof. Wacław Moszyński, brat Kazimierza, profesora etnografii, etnologii i historii kultury USB. Przez pewien czas brałem korepetycje z języka angielskiego u Miss Jane – córki prof. Straszewicza. Mieszkał [on] za gmachem sądów przy placu Łukiskim. Przychodząc na lekcje, przynosiłem gazetki i biuletyny nasłuchu radiowego, które traślały też do pp. Moszyńskich, mieszkających w najbliższym sąsiedztwie.

Nie wiem, czy to była jakaś ogólniejsza akcja, czy tylko prywatna inicjatywa ks. dra Witolda Pietkuna, asystenta Wydziału Teologicznego USB, ale przez cały «litewski» rok szkolny co sobotę spotykaliśmy się we czwórkę na plebanii parafii Wszystkich Świętych, by uczyć się podstaw syllogistyki, metodologii i apologetyki. Ta czwórka chodziła do tej samej klasy, należała do tej samej organizacji konspiracyjnej i z niepokojem śledziła przebieg działań wojennych, słuchając u mnie radia. W czerwcu Niemcy zbliżali się do Paryża. Francja skapitulowała. Wstrząsające wrażenie zrobiła na mnie transmisja radiowa z katedry *Notre-Dame*. Wołano: *Notre-Dame de Paris – sauvez la France!* Odśpiewano Marsyliankę. A Niemcy już wjeżdżali na ulice [miasta].

Na zakończenie roku szkolnego mieliśmy wycieczkę do Kowna. Pokazano nam m.in. Muzeum Wojny (*Karo Muzejus*), w którym dowiedzieliśmy się, że najbardziej zacięte boje [Litwinów] toczył z Polakami; na [czterech ścianach] stojącego przed gmachem obelisku – wymienione są daty bitew. W większości – z Polakami. Zwycięstwo pod Grunwaldem (*Zalgiris*) – to zasługa Litwinów pod wodzą wielkiego księcia [litewskiego] Witolda Wielkiego. Do dziś zresztą w muzeach litewskich nasi wspólni królowie są tylko w randze wielkich książąt litewskich. L 2

Skorzystalismy z zaproszenia na zakończenie roku w żeńskim gimnazjum polskim [w Kownie], gdzie przy otwartych oknach chór śpiewał *Jeszcze Polska nie zginęła*, deklamowano patriotyczne wiersze... A przez okna widać było podwórze szkoły niemieckiej, po którym biegał *Hitlerjugend*. To było bardzo dziwne. Mielibyśmy nieprzyjemności za urwanie się z zaplanowanego zwiedzania starówki, gdyby nie zmiana władzy.

### OKUPACJA ROSYJSKA

15 czerwca obudziliśmy się już w sowieckim Kownie. Czołgi zorały asfalt ulic, powywracały wiele latarni, poobiły narożne domy. Komunikaty podały, że stało się tak, ponieważ ginęli żołnierze Czerwonej Armii, stacjonujący w bazach [na Litwie], i ponieważ klasa robotnicza miała już dość burżuazyjnych rządów smetonowskich. Ten sam los spotkał

jednocześnie wszystkie kraje bałtyckie. Propaganda sowiecka nie starała się wtedy o jakiegokolwiek prawdopodobieństwo podawanych powodów inwazji. Zaskakiwała nas tylko destrukcja. Tak nie wkraczałby nawet nieprzyjaciel do zdobytego miasta. Ale tak wjechał «przyjaciel» do nowej [sowieckiej] republiki. Bez kłopotów wróciliśmy do Wilna, gdzie takich śladów wandalizmu nie zauważyłem.

W sierpniu odbyło się referendum – wrzuciłem do urny kopertę, do której nie pozwolono nawet zajrzeć: głosowanie [było] «tajne». Na paszporcie (*pasas*) dostałem pieczętkę, że brałem w nim udział. Z radia i gazet dowiedziałem się, że wszystkie kraje bałtyckie niemal jednogłośnie wypowiedziały się za wejściem do wielkiej rodziny ZSRR i tak znalazłem się w Litwie Radzieckiej (*Tarybu Lietuvos*).

Na początku sowieckiego roku szkolnego wypełniliśmy ankietę personalną, w której m.in. było pytanie o stosunek do ZSRR. Dla Polaków nie ulegało wątpliwości, że byliśmy z [Sowietami] w stanie wojny, że jedna część Polski znajdowała się pod okupacją niemiecką, nasza zaś – pod sowiecką. Można było na to pytanie odpowiedzieć zgodnie z prawdą i znaleźć się w więzieniu, a następnie być wywiezionym. Minimum pozytywnego stosunku, jakiego od nas oczekiwano, zawarte było w formule, którą nam oficjalnie podano: «sympatyk Komsomolu». Do programu [szkolnego] doszedł język rosyjski w potężnej dawce 8 godzin tygodniowo (*obščesojużnyj jazyk*), zachowano litewski – język «republikański». Przy okazji nauczania rosyjskiego i historii otrzymaliśmy dawkę prosowieckiej agitacji i propagandy, ideologii, materializmu dialektycznego i historycznego.

Na Zaduszki urządono nam zabawę taneczną, a kiedy nasz wychowawca powiedział w klasie, że w tym dniu wspominamy zmarłych i nie życzy sobie, by ktoś z jego wychowanków skorzystał z zaproszenia, następnego dnia go zaaresztowano i wywieziono. Postawa inż. Ludwika Janowicza wzbudziła wśród uczniów podziw. Dyskutowaliśmy, czy wybranie śmierci (bo zmarł w transporcie) w takich okolicznościach było czynem rozważnym. Przecież uczniowie-Polacy, w większości członkowie organizacji podziemnych, i tak na zabawę w [Dzień Zaduszny] by nie poszli. Komsomolcami byli wszyscy uczniowie Żydzi, którzy i tak musieli słuchać organizacyjnego rozkazu, a sumienie obywatelskie (*graždanskaja soviesť*) nakazywało zademonstrować.

Na własny użytek zbudowałem [sobie] typologię ludzi i strategię działania. Wyróżniłem «twardych», elastycznych i porywczych. Pierwsi byli zasadniczy w głoszeniu swoich przekonań. A więc nie wypadało pisać «sympatyk Komsomolu», skoro to była organizacja wroga. Nie trzeba było brać udziału w referendum. Nie należało przyjmować obywatelstwa litewskiego i zgadzać się na zmianę nazwiska. Elastyczny, do których siebie zaliczałem, dbał o to, by w rubryce *narodowość* napisano «Polak» (*Lenkas*), a że na przykład był *Pščolauskas*, nie zaś Pszczółowski – to nie najważniejsze (jeżeli nawet Stalin był *Stalinus*, a Hitler – *Gitleris* albo *Hitleris*). Uważałem, że trzeba było skorzystać z okazji i uczyć się, nie dawać się sprowokować do ujawnienia swego niezadowolenia z sowieckich porządków i nie przesadzać z konspiracją.

[W tym czasie] zaktywizował się Związek Wolnych Polaków. Członkowie tej młodzieżowej organizacji wydawali piśmiątka *Złoty Róg*, *Za naszą i waszą wolność*, biuletyny wiadomości; zbierali broń i amunicję; prowadzili zajęcia, na których zapoznawaliśmy się z rozmaitymi karabinami, pistoletami, rewolwerami, granatami. Miałem [nawet] archaiczny pistolet z paroma nabojami i kilka granatów. Przygotowywaliśmy się do walki, która miała nastąpić w niedalekiej przyszłości, o której jednak nikt nic bliższego nie wiedział. Chodziło

o utrzymanie stanu gotowości, uodpornienie się na propagandę sowiecką, która nachalnie wciśkała się we wszystkie dziedziny życia. Chodziliśmy na kazania ks. dra Henryka Hlebowicza do kościoła św. Jerzego, albo do Bernardynów, gdzie ten duszpasterz akademicki USB z wielką odwagą i charyzmą, mówił niedwuznacznie, jakich to czasów doczekaliśmy się, jak to nam świeci *lux ex oriente*.

Pierwszego maja po sprawdzeniu obecności w klasach, śniadaniu w stołówce – kakao i kanapki z szynką (niebывały wówczas luksus!) – poszliśmy na pochód. Na placu Łukiskim stała trybuna i wojsko. Szliśmy w milczeniu wśród szpalerów piechoty, która w odpowiedzi na wznoszone okrzyki odpowiadała długim "Uraaa!". Cywile z chodników zostali usunięci. Mieszkańcy ul. Mickiewicza nie mieli prawa wyglądać przez okna. Szliśmy w kierunku katedry pustą ulicą. Przeznice były zakorkowane korodnem w odległości chyba stu metrów, za którym dopiero kłębił się tłum w oczekiwaniu na wznowienie ruchu. Ten koszmarny pochód pierwszomajowy na całe życie odczytał mnie obchodzenia robotniczego święta.

Z wiadomości, dochodzących z polskich terenów anektowanych [przez ZSRR jako tzw. Zachodnią Ukrainą], wnioskowaliśmy, że czeka nas gorszy koszmar – wywózki. Największe nasilenie deportacji [z Wileńszczyzny] nastąpiło w połowie czerwca. Była to akcja dla początkujących obywateli sowieckich (dostaliśmy paszporty ważne 6 lat) haniebna. Bez sądu, bez jakiegokolwiek przewinienia, zabierano całe rodziny na ciężarówkę, na stacji kolejowej oddzielano kobiety z dziećmi od mężczyzn, i wieziono jedne na południe, drugich na północ. Z ulgą przyjęliśmy wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Dzięki niej udało się oswozić wielu wywożonych. A iluż kandydatów do wywózki niespodziewanie jej uniknęło?

### OKUPACJA NIEMIECKA

Wojna zaczęła się o godzinie 4 rano atakiem niemieckim i paniczną ucieczką «niezwyciężonej armii», której oddziały dziesiątkami tysięcy żołnierzy szły do niewoli. Litwini mieli nadzieję, że Niemcy niosą sprawiedliwość. W tym duchu przemawiał z Kowna gen. [Statys] Raštikis, nawołując do niszczenia sowieckich okupantów i witania Niemców. We wtorek byli oni już w Wilnie. Oddziały pancerne wjechały w Cielętnik, czołgi i samochody pancerne równo się poustawiały na trawniku, ich załogi myły się, goliły, perfumowały i szły zwiedzać miasto. Litwini kwiatami witali wkraczające oddziały. Pojawili się litewscy policjanci w swoich operetkowych strojach. Był to dla nas okres pracowitego zbierania porzuconej broni i amunicji. Front szybko potoczył się na wschód, ale dla każdego Polaka ta wojna przyniosła nadzieję. Marszałek Piłsudski w czasie I wojny światowej wykorzystał zmagania zaborców; gen. Sikorski na pewno zrobi coś podobnego teraz. Nie spodziewaliśmy się jednak, że ZSRR będzie sojusznikiem allantów.

Chwilowo dobre stosunki [polsko-sowieckie] wykorzystano, by gen. [Władysław] Anders mógł uwolnić wywiezionych Polaków z łagrów i wyprowadzić formujące się oddziały z ZSRR. Podobna ewakuacja odbyła się, kiedy Niemcy byli z bolszewikami w dobrych stosunkach – repatriowano [wtedy] Niemców bałtyckich z Litwy, Łotwy i Estonii. Byłem [w owym czasie] na przedstawieniu *Aiśy* w Teatrze na Pohulance, w którego loży państwowej siedzieli obok siebie wysocy dostojnicy w mundurach niemieckich i radzieckich. To byli pełnomocnicy do spraw chwilowych, jak się później okazało, powrotu Niemców do macierzy, która im przydzieliła mienie wysiedlonych albo pomordowanych [Polaków].

Gdy Niemcy ogłosili [rewelację] o odnalezieniu pomordowanych w Katyniu jeńców polskich, nie miałem wątpliwości, że było to dzieło sowieckie. Pamiętałem, jak strasznie

zmalretowane zwłoki można było obejrzeć w więzieniu na Łukiszkach. Po wkroczeniu – Niemcy specjalnie udostępniłi [więzienie], by ludność obejrzała sobie, co zrobiono z więźniami, których nie zdążono wywieźć. Cała szkoła zwidziła "Wystawę czerwonego terronu", którą urządzono w Ratuszu. Żartowaliśmy gorzko, że [jeśli] się eksponaty zachowają, to będzie gotowa wystawa... brunatnego terronu. Bo pełne były już wszystkie więzienia – nie tylko na Łukiszkach. Wiosną 1941 roku na ul. Wielkiej spotkałem grupę oficerów niemieckich i polskich generałów, idących chodnikiem w kierunku Ostrej Bramy. Nasi byli w płaszczach bez pasów. Jak podały gazety, to była wyprawa do Katynia.

Wyjaśnienia wymaga, skąd [pochodzą] te wszystkie informacje. Otóż zachowały mi się notatki z lat wojny. Jako wrocławski czytelnik przeglądałem [w tych latach] wydawnictwa nie tylko polskie, lecz [i] rosyjskie, litewskie, białoruskie, niemieckie, francuskie, angielskie. Za Niemców korzystałem z obficie zaopatrzonego *Deutsche Leseraum* przy ul. Mickiewicza. Nie tylko [je] czytałem, lecz robiłem także wypisy. Interesowało mnie wiele – oczywiście też wojna, którą zaczynałem analizować.

W przedwojennej Polsce wojna jawiła się dla małych jako meskie zajęcie wojskowych. Mężczyzna jeżeli chce rozkoszy użyć, idzie do wojska służyć. Gdy jest wojna, a raczej wojenka – cudna panienka, to za nią idą chłopcy malowani. I raduje się serce, raduje się dusza... Na wojence jest ładnie, zwłaszcza kiedy ulan z konia spadnie itp., itd. Do szerszej świadomości nie dotarły zmiany, jakie zaszły w sztuce wojennej od czasów I wojny światowej. Wyobrażano sobie, że tak będzie, jak wtedy bywało. Meldunki będą nosiły gołębie pocztowe... Przy ul. Popowskiej był ogromny gołębnik wojskowy. Lubilem tam chodzić i słuchałem opowieści, jak to się gołębie trenuje. Wywozi się je w klatkach gdzieś daleko w Polskę, wypuszcza, a one wracają do gołębnika. Utrzymywano ten system komunikacji jeszcze w 1939 roku. W czasie wojny żołnierze mieli jeździć z gołębiami na linię frontu, a przyniesione meldunki nosić do sztabu.

Dla wielkiego ZSRR, «państwa pokojowego», wojna mogła być tylko obronna. Jeżeli bronilo się interesów narodów [«bratnich»] republik, to nie była [to] wojna. Zajęcie ziem polskich było zaopiekowaniem się Ukraińcami, Białorusinami; zajęcie krajów bałtyckich – spełnieniem żądania klasy robotniczej. Najlepszy teoretyk wojny, [tow. Józef] Stalin, uważał, że zwycięstwo w obronnej wojnie warunkuje silne zaplecze, moralny duch armii, ilość i jakość jednostek wojska (lądowe, powietrzne, morskie), uzbrojenie, umiejętności dowódcze i organizatorskie *nauczalstwa*. Morale od początku istnienia ZSRR było wysokie, ponieważ nie podpisał on międzynarodowych konwencji o jeńcach wojennych. Ale chociaż [żołnierze rosyjscy] nie spodziewali się dobrego traktowania, szli do niewoli, a Stalin zdecydował, że nie może usprawiedliwić złożenia broni przez *krasnoarmiejca*, i że jeńcy będą pociągnięci do odpowiedzialności, jeżeli cali i zdrowi wrócą do ojczyzny. Kadre dowódczą wzmocnił, odwołując generałów i oficerów z łagrów. Zaplecze powiększył, [a] uzbrojenie unowocześnił dzięki wejściu do wielkiej trójki mocarstw sprzymierzonych.

Cielawą była koncepcja wojny, którą wyczytałem w niemieckich gazetach i czasopiśmie. Zaglądałem do wielu: *Das Reich* z wywodami [m.in. Josepha] Goebbelsa, *Das schwarze Korps-Zeitung der Schutzstaffels (SS)*, *Der Stürmer* z hasłem "Die Juden sind unsere Unglück", *Signal*, *Die Woche*, *Wiener Illustrierte* i miejscowy *Deutsche Zeitung im Ostland*. Chybić walcząc o przetrwanie, nauczył się agresji. Krwawe polowania, walki między jednostkami, wojny między plemionami czy narodami, zadawanie śmierci – są całkiem naturalne. Narody ekspansywne dążą do dominacji, do rozszerzenia przestrzeni życiowej (*Lebens-*

raum). Szczególnie predestynowany do tego – ze względu na walory intelektualne i fizyczne – jest naród niemiecki. Wojna – to próbiez jego stanu, jak gorączka – kondycji organizmu. Wojna jest straszna, bolesna; [jest] drogą przez płomienie i zgliszcza, ale nie [ma] innego wyboru i dojścia do celu. A jest nim pokój, poziom życia przyszłych pokoleń. Gdyby nie wojny, ludzkość po dziesiąt dzień składałaby się z koczujących rodzin. Wojna przyczyniła się do rozwoju cywilizacji. Od armaty już niedaleko do maszyny parowej i silnika spalinowego; od rakiety do podboju kosmosu. I wywody tego rodzaju były częste, o czym świadczą niektóre odnotowane artykuły, na przykład z *Signal*: E. Moravec "Virtus militaris" (2.06.1952), "Frei Platz Kanonen Kommen" (2.07.1942). Prasa budziła u Niemców nienawiść i chęć do walki, rozżalała widoki najbliższej i dalszej wspaniałej przyszłości. Anglia – państwo zbrojeckie (*Rüststaat*) – dąży do zniszczenia najdzielniejszego narodu, stanowiącego nierozdzielną jedność z wodzem. Lord Vansittart głosił, że unicestwienie musi być nie tylko NSDAP, ale przetrzebiony [...] i poddany skrupulatnej kontroli [cały naród niemiecki] (Eugen Mündire, "Vansittart – secret service No 1", *Das Reich*, 18.05.1942). *Der Stürmer* przyczynę wojny i jej przedłużanie się przypisywał Żydom. *Die Grüne Post* zamieszczała ogłoszenia samotnych kobiet, które oczekiwały na choćby krótką miłość bohaterskich żołnierzy, przyjeżdżających na urlop do *Vaterlandu*.

[Tymczasem] kończyły się sukcesy. *Das Oberkommando der Wehrmacht* coraz częściej mówiło o wyrównywaniu frontu. Do 23 marca 1942 roku Wilno nie było bombardowane. Tej nocy nadleciały sowieckie bombowce i na chybił trafił zrzuciły bomby koło kolei, hali, kościoła św. Mikołaja [oraz] Ignacowskiego zaułku, gdzie trafiły w koszary.

Kończyliśmy naukę, zdaliśmy maturę i skierowano nas do pracy w HKP (*Haarerkraftfahrpark*). Było ich kilka. Naprawiano tam pojazdy wojskowe. W wolnym czasie uzupełniałem szczegółowy plan części miasta położonej w widłach Wilenki i Willi – Zarzecze, Altaria, Antokol i Belmont. W walkach w mieście – myślałem – na pewno przydadzą się wiadomości o bramach przejściowych; płotach, które łatwo sforsować; przejściach, o których wiedzą tylko mieszkańcy danej dzielnicy. Związek Wolnych Polaków ponosił nieustannie straty – na Ponarach rozstrzelano Jasia Mackiewicz, organizatora i komendanta ZWP; zaaresztowano wielu członków organizacji, których znałem tylko z pseudonimów. «Twardzi» i niecierpliwi musieli kryć się gdzieś na wsi. Organizację przejęła 6 maja 1942 roku Komenda Główna i dostaliśmy przydziały do garnizonu m. Wilna, który by powstaniem w mieście wspierał atak partyzantów od zewnątrz. Ale Niemcy ogłosili pobór do pomocniczej służby wojskowej w transporcie (*im Dienst der deutscher Wehrmacht*), do pracy w fabrykach, na roli «u bauera». Siatka konspiracyjna się porwała. Obiecane utworzenia oddziałów partyzanckich nie było.

### W PARTYZANTCE

Partyzantka rozpoczęła się na Wileńszczyźnie w okolicach Naroczy – w lutym 1943 roku. Oddziały *Kwiteca* na swoje nieszczęście współdziałały z partyzantami sowieckimi, co skończyło się wymordowaniem większości Polaków w sierpniu. Od tam trwał utajony albo otwarty zatarg między «białymi» i «czerwonymi» oddziałami partyzanckimi.

Od jesieni miałem już stały kontakt z Lotnym Oddziałem Partyzanckim im. Bolesława Chrobrego, który w następnym roku stał się III Brygadą AK pod dowództwem *Szczerbca* (Gracjana Froga). Pierwszy etap mego wojowania nazwać można "kułgiem". W styczniu zaatakowaliśmy Rudomino, ok. 10 km od Wilna, a jeszcze mniej od lotniska na Porubanku.

Dojechaliśmy zarekwirowanymi saniami, po krótkiej strzelaninie odjechaliśmy, paląc przedtem dokumentację, dotyczącą obowiązkowych kontyngentów, nałożonych na rolników, i zabierając broń, żywność i papiery. I takie ataki na rozmaite miejscowości powtarzały się co pewien czas, dopóki był śnieg. Potem było gorzej, bo skończyła się wojenka-kullig. Ale chodziliśmy nie długo, bo na wiosnę mieliśmy już ciężarowe samochody na gaz drzewny, i na zasadzki na szosach jeździliśmy jako plechota zmotoryzowana.

Partyzanckie wojowanie składało się z tzw. akcji, krótkich walk, «doskoków» i «odsoków», odpięcia ataków, przy czym atakowali nas żołnierze gen. Povilasa Plechavičiusa – litewskie oddziały na służbie niemieckiej – i [to właśnie] jego żołnierzy wzięliśmy do niewoli w Murowanej Oszmianie. W koszulach i kalesonach z obciętymi guzkami prowadziliśmy [ich] do Wilna i w zwartym szyku wpuściliśmy do miasta. Strzelcy ponarscy, *plechavičiusy* – to zadry w stosunkach polsko-litewskich, tym większe, że Litwini licząc na słabą pamięć, nie przyznają się, że to ich żołnierze rozstrzelali Żydów z getta, Polaków z konspiracji, Rosjan z «czerwonej» partyzantki itd. [Nasze] wypadki *na szos* przypominały nieco opisane [wyżej] bombardowanie sowieckie Wilna. Partyzanci, rozłożeni po jednej stronie drogi, ostrzeliwali nadjeżdżające samochody, ciężarówki – nie wiedząc, kto jedzie. Zdarzało się, że ginęli cywile, którzy skorzystali z okazji transportowej. Bo samochody pancerne [i] większe oddziały były przepuszczane.

Czas między akcjami wypełniały ćwiczenia, służba wartownicza, patrole aprowizacyjne i walka z... wszawicą. Wiedzieliśmy, że armia hitlerowska się cofa, ale poza tym – co się działo na świecie, nikt nas nie informował. Wiadomo było, że mamy nasłuch radiowy, że odbierane są wiadomości [z Anglii], że mamy nadajnik i nadajemy meldunki do Londynu. Szara partyzancka bracia nie dopytywała się o wiadomości polityczne i wojenne. Nie otrzymaliśmy z Zachodu ani jednego rzutu, chociaż były obietnice. W umówionym miejscu palił się ogniska, czekaliśmy przez całą noc, lecz na próżno. Jak koledzy wyobrażali sobie przyszłość? Po prostu mieliśmy już tzw. Republikę Turgielską – tereny na południe od Wilna, całkowicie opanowane przez oddziały AK, gdzie nie ośmielały się zapuszczać wrogie wojska. Zdobędziemy Wilno i w akcji *Burza* stopniowo opanujemy cały kraj! A z Sowietami jakoś się ułoży. Przecież to są sojusznicy Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Nasza część *Burzy* – akcja *Ostra Brama* – rozpoczęła się w początkach lipca. Ciężarówki podwoziły nas pod Wilno. 7 lipca o brzasku mieliśmy przejść tory w Kolonii Wileńskiej. Część Brygady przeszła, ale część została zatrzymana przez uzbrojony i pełen żołnierzy pociąg. Ponieśliśmy straty w zabitych i rannych. W czasie walki nadciągali *krasnoarmiejcy*-szperacze, [a] za nimi wojsko. Dowódca kawalerii, rtm. *Wisłing* (hr. Stanisław Plater) uznał, że to już koniec naszego zadania i kłopoty mieć będziemy nie z Niemcami, a z bolszewikami. Tymczasem druga część Brygady walczyła na Belmoncie, natykając się na bunkry. [Zaden z atakujących oddziałów] nie miał naszych dokładnych planów dzielnic, które by pozwoliły [im] ominąć wszystkie *Stützpunkte*. Wykruszony nasz garnizon nie mógł dać wsparcia od środka atakującym od zewnątrz partyzantom. Uczyniły to [dopiero] wojska sowieckie z czołgami i artylerią.

Gen. *Wilk* (Aleksander Krzyżanowski) – komendant wileńsko-nowogródzki – sądził, że braterstwo broni, zawarte we wspólnych walkach o Wilno, pozwala potraktować poważnie [sowiecką] ofertę współdziałania, zaopatrzenia w broń, po pertraktacjach na wysokim szczeblu. Dowództwo [nasze] zaaresztowano, partyzantów rozbrojono i osadzono w Miednikach. Nie mogłem zrozumieć, jak można było ufać jakimkolwiek zapewnieniom sowieckim.

Dlaczego dali się wyprowadzić w pole decydenci, rozpoczynający Powstanie Warszawskie? Dlaczego [tak] łatwowierny był gen. Leopold Okulicki i piętnastu jego towarzyszy niedoli? Jak można było wzywać do ujawnienia się władzom – członków AK, którzy byli »zaplutylni karłami reakcji«?

Wileńscy AK-owcy nie uciekali masowo z Miednik. Wprost przeciwnie – na teren zamkowy, otoczony murami, gdzie trzymano internowanych, starali się dostać i partyzanci, pozostający na swobodzie, i ludzie z AK nie mający nic wspólnego. Uporczywie rozpuszczano [bowiem] pogłoskę, że powtórzy się ewakuacja z ZSRR, jak to było w z wojskiem gen. Andersa. Szesnastu przedstawicieli [naszych władz] z gen. Okulickim myślało, że polecą do Londynu... Podejrzewam, że AK-owcy, wywożeni z centralnej Polski, podobnie zbyt mocno ufali Anglosasom.

Na Wileńszczyźnie [zaś] trwały [połowania na] »białych« partyzantów. Trzeba więc było przedostać się na tereny przydzielone Polsce. W Białostockiem rozpoczęły działania pozostałości naszych oddziałów. »Repatriowałem się«, ale – mimo namowy – do partyzantki nie poszedłem, nie wierząc w sensowność takiej walki. Sądziłem [jednak], że dojdzie do wojny między ZSRR a aliantami.

Zacząłem studia i pracę. Ze względu na znajomość języków obcych prowadziłem nasłuch Polskiego Radia w Lublinie. Po prostu miałem codziennie wydawać biuletyn dla prasy z wiadomościami usłyszanymi przez radio. Kiedy poznałem sytuację polityczną, wojna nie była już dla mnie taka pewna, chociaż Ameryka miała bombę atomową. Amerykanie nie umieli wykorzystać tego atutu, wobec którego Stalin by spasaował nawet bez wojny.

Nikt, kto znał stosunki w tamtych czasach, nie podawał prawdziwego życiorysu i prawdziwych danych w ankietach personalnych. A więc: nigdzie nie należałem, w wojnie udziału nie brałem; nauka, praca przymusowa, repatriacja. Ojciec nie żyje, matka – nauczycielka; jednak, krewnych nie ma – a [zwłaszcza] za granicą.

Profesorowie nie interesowali się przeszłością wojenną swoich studentów. Może z tymi, których znali z podziemnego uniwersytetu, wspominali okupację i Powstanie Warszawskie. Z repatriantami zza Buga nie było żadnych rozmów o wojnie. Zresztą biogramy profesorów były [także] wyczyszczone z wiadomości o działalności okupacyjnej – [zostawała] najwyżej wzmianka o zajęciach na tajnym uniwersytecie. Oto dowody. Według *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* prof. Tadeusz Kotarbiński od 1919 do 1961 roku był profesorem UW; prof. Tatarkiewicz po Warszawie, Wilnie, Poznaniu – od 1923 do 1961 roku był profesorem UW, a od 1923 do 1948 roku redaktorem *Przeglądu Filozoficznego*. Bez przerwy. W *Biogramach uczonych polskich (Nauki społeczne)* (Ossolineum 1983) z hasła »Eugeniusz Geblewicz« mogę dowiedzieć się, że uprawiał prakseologię, ale nie znajdę informacji, co robił w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Natomiast »po powstaniu warszawskim mieszkał krótko w domu Z. Nałkowskiej w Adamowiznie (IX.1944)«. Czy walczył w Powstaniu – nie jest informacją tak ważną, jak *locum* popowstaniowe.

### ISTOTA WOJNY

O poglądach na wojnę prof. Kotarbińskiego, którego uczniem byłem od 1946 roku aż do jego śmierci w 1981 roku, nigdy nie dowiedziałem się z [bezpośredniej] rozmowy z nim. [Jego poglądy – pacyfistyczne i antymilitarystyczne – znałem wyłącznie z publikacji.] *Aforizmy i myśli* (Warszawa 1986) na temat wojny są jasne. »Wojna nie może być sprawiedliwa, gdyż niepodobna walczyć sprawiedliwie, nawet jeżeli się walczy o sprawiedliwość.

Nie ma takich wojen, czy to zewnętrznych, czy to wewnętrznych, w których by wszystkie drużyny, nawet broniące wspaniałych sztandarów, nie popełniały zbrodniczych okropności." "Walkę należy oswoić tak, jak się oswoiło niektóre dzikie zwierzęta. Niechaj z wilka – wroga ludzi – stanie się psem, przyjacielem człowieka. Taką postacią walki jest wszelkie uregulowane współzawodnictwo w obrębie podstawowej solidarności, współzawodnictwo w produkcji, w pracach szkolnych, w sporcie, w dyskusji, w grze."

Prof. Kotarbiński zajmował się teorią walki; umiejscawiał ją w prakseologii. Od problematyki krwawych wojen uciekł, ponieważ stanowiły one godną potępienia formę walki, którą nazywał "kooperacją negatywną", w przeciwieństwie do współdziałania – kooperacji pozytywnej. Uznawał funkcję wojny w dynamizowaniu postępu technicznego; sądził jednak, że osiągnięty w ten sposób postęp kosztuje nas zbyt drogo. Do tych samych rezultatów dałoby się dojść metodami pokojowymi.

Do wyjątków wśród znanych mi profesorów należał prof. Kazimierz Ajdukiewicz, który w prywatnym gronie opowiadał z humorem o służbie w armii austriackiej – a gawędziarzem był wspaniałym – nie wyrażając potępienia wojny. Nie ukrywał swoich przeżyć w czasie I wojny światowej na froncie włoskim, ani służby w artylerii w wojnie polsko-bolszewickiej. Fakt ten PRL-owskie źródła już przemilczają, podając tylko, że w 1920 roku opuścił Wojsko Polskie w randze kapitana. Prof. Ajdukiewicz wywodził, że ma swój sąd o wojowaniu, który się tworzy na podstawie osobistych doświadczeń frontowych i pozafrontowych oraz dwóch aparatów pojęciowych: austriacko-niemieckiej i polskiej.

Wielość doświadczeń i aparatów pojęciowych nie pozwala na zaproponowanie zadowolającej definicji analitycznej "wojny" i "pokoju".

Moje doświadczenie, które przedstawiłem w kondensacji, oraz przyzwyczajenia pojęciowo-terminologiczne, wojnę i pokój umieszczają w kategorii zdarzeń (zmian i stanów rzeczy), działań zespołowych, zorganizowanych, zinstrumentalizowanych, tj. z użyciem narzędzi, maszyn coraz bardziej skomplikowanych, wspomagających lub zastępujących nie tylko efektory i receptory, lecz także umysł. Zespoły o nieograniczonej liczebności, dzielą się przynajmniej na dwie strony (przeciwnicy, wrogowie), z których każda realizuje swoje zamierzenia, niezgodne z zamierzeniami przeciwnika, nie respektując w działaniach żadnych ograniczeń. Pokój zaś to brak wojny w określonym przedziale czasu i miejsca.

Tak określiłbym interesujące nas pojęcia w języku prakseologii, tj. w jej terminologii. Im ogólniej przedstawiona konotacja, tym bardziej przydaje się komentarz. Brak ograniczeń w działaniach wojennych może budzić wątpliwości. Wszak stosowane były jakieś ograniczenia, na przykład nie użyto gazów trujących. W II wojnie światowej rzeczywiście nie wypuszczano ich na przeciwnika, ale każda ze stron nimi dysponowała. Przed 1939 rokiem wszyscy przechodziliśmy szkolenie przeciwgazowe; cywile mogli kupić sobie maski, a wojsko miało je w swym ekwipunku. Ale nie było to żadne ograniczenie się stron walczących. Po prostu użycie gazów nie stanowiłoby [już] zaskoczenia, jak to było w czasie I wojny. Prof. Ajdukiewicz był właśnie jednym z uczestników ataku gazowego dokonanego przez Włochów. Z narażeniem życia ratował towarzyszy broni; za odwagę otrzymał odznaczenia.

Kiedyś obowiązywało wypowiedzenie wojny. Bez niego wojna *de facto* właściwie nie była wojną. Prawnicze pojęcie wojny mogłoby uwzględniać oficjalne wypowiedzenie wojny i zerwanie stosunków dyplomatycznych. Wojna byłaby więc stanem, który trwa od wypowiedzenia do kapitulacji – czy podpisania traktatu pokojowego. Ponieważ wypowiedzenie wojny eliminuje zaskoczenie, a z nim przewagę, *Führer*, Adolf Hitler, nie bawił się w uprzedzanie

o ataku. Stalin nie robił tego również, lecz uważał, że wojsko «pokojowo nastawionego» kraju *ex definitione* nie wywołuje wojny, nawet gdy wkracza do jakiegoś kraju. Tak zresztą sądzili [również] jego następcy. Interwencja na Węgrzech, w Czechosłowacji – to nie były wojny. Japonia chciała zachować twarz i skorzystać z zaskoczenia. Wobec tego zastosowała wypowiedzenie i niespodziewany atak na Pearl Harbour; jedno miało nastąpić natychmiast po drugim, by Amerykanie nie skorzystali z uprzedzenia o wejściu Japonii do wojny. Zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki dostatecznie uzasadniają moje sformułowanie w określeniu wojny, że strony «nie respektują w działaniach żadnych ograniczeń».

Instrumentalizacja działań była nieskomplikowana w przypadku białej broni; od wprowadzenia w użycie broni palnej zanegowana została zasada o współmierności skutku do przyczyny (*aequali causa effectus*). Kolejne generacje bomb atomowych zwiększyły dysproporcje pomiędzy przyczyną a efektem. Pojawiło się pojęcie wojny atomowej. Jakże mizerne były potencje wojny chemicznej czy bakteriologicznej wobec potęgi energii jądrowej! Byłem zdumiony i wstrząśnięty radiowymi relacjami i komentarzami, które nastąpiły po *news at dictation speed* nadanymi przez BBC. To był 6 sierpnia 1945 roku – w dniu moich urodzin narodziła się wojna atomowa. W nasłuchu spędziłem nie tylko parę dni, ale też nocy. ZSRR po wybuchu bomby w Hiroszimie już 8 sierpnia przystąpił do wojny z Japonią. Następnego dnia druga bomba – Związek Sowiecki długo się nie nawojował, a z owoców zwycięstwa skorzystał. Przedstawiciele «przodującej nauki wojennej» zdefiniowali wojnę jako kontynuację polityki nie przez dyplomację, lecz siłami zbrojnymi. Nie ujawniali, że tak właśnie twierdził K[arl] von Clausewitz w swym dziele *O wojnie*. W przypadku wojny sowiecko-japońskiej rzeczywistość było więcej polityki niż walki. Polityki nie tyle w stosunku do Japonii, ile do wielkich sojuszników. Redagując w tym czasie biuletyn wiadomości dla gazet, podaję, uprzedzając fakty, że amerykańskie okręty wpłynęły do Zatoki Tokijskiej. Lublinianie czytali o tym fakcie, kiedy okręty musiały jeszcze zaciekle walczyć ze zdesperowanym wrogiem.

Wypada odróżniać prawdziwe wojny od pseudowojen: [tzw. wojna] psychologiczna (wojna nerwów), ideologiczna (wojna w eterze), ekonomiczna – to składniki wojen, ale same w sobie są eufemizmami *à rebours*. Z przeciwstawienia wojny niesprawiedliwej sprawiedliwej – wynikało, że my prowadzimy sprawiedliwą, [a] wróg – niesprawiedliwą. Bóg był po naszej stronie, chociaż Niemcy uważali, że po ich stronie, co «udowodniali» napisem na sprzączce pasa *Gott mit uns*. Jeszcze sprawiedliwsza i bardziej bogobojna byłaby wojna przewencyjna przeciwko Niemcom hitlerowskim.

Na końcu moich wspomnień i rozważań przedstawię dwa również przeciwstawne ujęcia wojny: optymistyczne i pesymistyczne.

Pierwsze, mniej przekonujące, traktuje pokój jako stan naturalny i wciąż panujący. Wojny są wybuchami obłądki, nieopanowanej agresji, wrodzonej głupoty – które to erupcje będą coraz rzadsze i pojawiać się będą tam, gdzie inteligencja nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięta.

Drugie, pesymistyczne, widzi wojnę jako dominantę w całej historii ludzkości, w XX wieku w szczególności. Trwa ona nieprzerwanie, pokój zaś wykorzystywany jest na przygotowanie się do nowej wojny. Lokalne wojny, które by można stłumić, są pieczołowicie podsycane, by zarzewie [wojny] nie zgasło. Po wojnach światowych fantodom marzą się wojny gwiazdne z cywilizacjami pozaziemskimi; z cywilizacjami, lecz nie z kulturami, ponieważ... kultura jest atrybutem Ziemi.

## LATA WOJNY... LISTY DO JÓZEFA M. BOCHEŃSKIEGO

*Bolesław Sobociński urodził się 28 czerwca 1906 roku w Petersburgu; zmarł 31 października 1980 roku w South Bend, Indiana (USA). W 1930 roku w Uniwersytecie Warszawskim otrzymał magisterium ("Z badań nad teorią dedukcji"), a w 1937 roku – doktorat z filozofii ("Aksjomatyzacja pewnych wielowartościowych systemów teorii dedukcji"). Habilitował się tamże na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Był kolejno asystentem (1934-1937) i starszym asystentem w Katedrze Filozofii Matematyki Stanisława Leśniewskiego. W latach 1931-1939 redagował (jako sekretarz) Przegląd Filozoficzny. W 1938 roku współzalożył pismo Collectanea Logica.*

*W czasie okupacji był wykładowcą podziemnego UW. W 1945 roku został powołany na stanowisko profesora nadzwyczajnego w Uniwersytecie Łódzkim. Zagrożony aresztowaniem przez reżim komunistyczny ukrywał się przez rok; w 1946 roku uciekł z Polski. Po trzyletnim pobycie w Brukseli wyjechał do USA. W 1956 roku został profesorem University of Notre Dame, Indiana. W 1960 roku założył pismo Notre Dame Journal of Formal Logic.*

*Opublikował około stu prac z dziedziny logiki formalnej.*

*Jacek J. Jadacki*

*Stoniec<sup>1</sup>, 7 lutego 1940 roku.*

Wielbny Ojciec Profesorze!

Niezmiernie się ucieszyłem, dowiedziawszy się z karty prof. [Jana] Łukasiewicza, że Ojciec szczęśliwie dojechał do Rzymu i tam obecnie przebywa. Przyznaję, że myślałem, iż Ojca spotkało jakieś nieszczęście, bo informowano mnie w Wilnie, iż widziano gdzieś Mosdorf<sup>2</sup> i Piaseckiego<sup>3</sup>, jak przedzierali się w ciężkich tarapatkach do Warszawy. Przede wszystkim muszę jednak napisać o sobie. Po rozstaniu się z Panami po różnych przygodach (np. napadzie bandyckim w stodole w nocy) dojechałem z Kieszkowskiem<sup>4</sup> szczęśliwie do Janowa Poleskiego.<sup>5</sup> Stamtąd poszliśmy do Skirmuntów do Mołodowa.<sup>6</sup> Dziesięć kilometrów przed majątkiem napadła na nas banda chłopska i zaczęła ostrzeliwać z karabinów. W rezultacie Kieszkowski został bardzo ciężko ranny w obie nogi (w jednej zgruchotana kość), ja zaś bardzo lekko zadrapany w prawy bok (przerwana skóra). Ta sama banda, zupełnie nas nie grabiąc, odwoziła [nas] bardzo troskliwie do miasteczka Motol<sup>6</sup>, gdzie nas dość troskliwie leczono w prowizorycznym szpitalu. Oczywiście, że nic nie wie-

<sup>1</sup> Jest to miejscowość na Zmudzi, niedaleko Folgi [przyp. III].

<sup>2</sup> Chodzi o Stanisława Piaseckiego (1900-1941), redaktora *Prosto z wosła* i konspiracyjnej *Walki*, rozstrzelanego przez Niemców pod Warszawą [przyp. III].

<sup>3</sup> Chodzi o Bohdana Kieszkowskiego (1904?), ucznia Władysława Tatarukiewicza, docenta filozofii UW [przyp. III].

<sup>4</sup> Janów Poleski znajduje się między Kobryniem a Pielisem, na Polesiu [przyp. III].

<sup>5</sup> Mołodów znajduje się niedaleko Janowa Poleskiego [przyp. III].

<sup>6</sup> Jest to miasteczko położone nad Jasiobłą, na Polesiu [przyp. III].

dzieli o naszej znajomości ze Skirmuntami (których pomordowano za wyjątkiem Ambasadora; ten podobno ocalał); inaczej nasz los byłby przesądzony. Po pięciu dniach pobytu w Motolu – Kieszkowskiego, którego stan zdrowia wymagał natychmiastowej operacji, po wielkich targach odwieźli do szpitala w Pińsku, gdzie już byli bolszewicy, mnie zaś oświadczyli dość wyraźnie, żebym się wynosił do wszystkich diabłów. Pojechać do Pińska do Kieszkowskiego nie mogłem, bo w szpitalu by mnie nie przyjęto, a w mieście, przepełnionym wtedy uciekinierami, niepodobniństwem było zostać. Żeby nie wracać do Kieszkowskiego – tu nadmienię, że niedawno miałem wiadomość z Warszawy, iż tam się dowiedziano, że czuje się on znacznie lepiej, zaczyna już chodzić i miał zamiar udać się z Pińska do Lwowa. Jego rodzina ocalała w Warszawie, ale dom, gdzie mieszkali, nie istnieje. Z Motola, chcąc wyjaśnić sytuację, udałem się do Wilna, do którego po różnych perypetiach dotarłem w ostatnich dniach września. Zostałem tam dużo znajomych z Warszawy i miejscowych. Po obejrzeniu cudów bolszewickich doczekałem się wkroczenia Litwinów i pojechałem do majątku bliskich krewnych z Litwy. Sledzę tam już od 1 grudnia ubiegłego roku. Co dalej z sobą będę robił, jeszcze nie wiem. Chciałoby się udać na Zachód, ale po pierwsze nie mam na to środków (bo złote nie mają wartości), a po drugie są wielkie trudności zwłaszcza obecnie, gdy się toczy wojna w Finlandii. Obecnie «kiszę» w majątku, gdzie mnie jest zresztą bardzo dobrze: śpię, jem, czytam, a ostatnio zacząłem pracować naukowo. Redaguję jedną pracę z zakresu logik wielowartościowych, ale czy i kiedy ją ogłoszę, doprawdy nie wiem. Oczywiście badania i pisanie idzie dość trudno, bo nie mam przy sobie ani biblioteki, ani moich notatek, ani nawet moich prac. Z Warszawy dotychczas otrzymałem pięć kartek od Rodziców i jedną od Łukasiewicza. Rodzice i cała nasza rodzina jest zdrowa i cała, nawet u jednej z siostr ciotecznych urodził się syn. Mieszkanie nasze też ocalało. Z czego i jak żyją, nic nie wiem. Dom, gdzie mieszkali Łukasiewicz, zniszczony, to samo drukarnia z całym nakładem *Collectaneów*<sup>2</sup>; dobrze jeśli u Rodziców zachowają się pierwodruki; będzie można z czasem wszystko odrobić.

Będę bardzo wdzięczny Ojcu za prędką wiadomość o sobie. W jaki sposób udała się podróż z Warszawy do Rzymu? Co słyhać z Mosdrofem, Piaseckim i Niebudkiem? I w ogóle co słyhać na świecie? Ja siedzę w tak zabitym kącie (mój adres: J.M.P. Dr K. Parčevskini (po polsku Parczewski – mój wuj, mąż siostry matki), Jokubanas paš ag., Stončiu ob., Dr B. Sobociński (jest to niedaleko Połgii i morza)), że bardzo mało wieści dochodzi do mnie i za każdą jestem bardzo wdzięczny. Czy Ojciec nie ma jakichś wieści o Salamusze? Będę bardzo wdzięczny, jeśli by można było w Rzymie dowiedzieć się, co się stało z p. Józefem Reultem<sup>3</sup>, zastępcą p. St[anisława] Michalskiego<sup>4</sup> (który przebywa obecnie w Warszawie). P. Reult wyjechał z Warszawy razem z premierem, miał prowadzić jedno z aut. Jeśli po drodze nie zginął, to najprawdopodobniej trafił do Rumunii. Może w Rzymie można byłoby się o nim [czegoś] dowiedzieć. Jego Matka nie ma żadnych wiadomości.

<sup>1</sup> Chodzi o Konstantego (1866-1951), członka Komitetu Polskiego Narodowego w Paryżu w okresie I wojny światowej, w latach 1922-1934 – ambasadora w Rzymie. Zamordowani zostali m.in. Roman (ur. 1868), senator RP; i Maria (ur. 1872), działaczka oświatowa. Mł. majątek Skirmuntów został splądrowany także w czasie rewolucji 1917 roku, a jego właściciel – Zygmunt – ledwie uszedł z życiem [przyp. III].

<sup>2</sup> Chodzi o przygotowany do druku już przed wybuchem wojny pierwszy numer pisma *Collectanea Logica* [przyp. III].

<sup>3</sup> Stefan Niebudek (1910-1943), adwokat i polityk prawicowy, został aresztowany w 1941 roku przez Gestapo, wywieziony do Auschwitz i tam zamordowany [przyp. III].

<sup>4</sup> Chodzi o miejscowość Jakubów, położoną na południe od Kretyni [przyp. III].

<sup>5</sup> Józef Reult (1907-1972), był profesorem psychologii [przyp. III].

<sup>6</sup> Stanisław Michalski (1865-1949) był przed wojną dyrektorem Funduszu Kultury Narodowej [przyp. III].

Także szukamy jakiejś wiadomości o Drewnowskim. Słyszałem w Wilnie, że X.X. Chojnacki<sup>13</sup> i Kwiatkowski<sup>14</sup> zmarli.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania  
Bolesław Sobociński.

Stożce, 15 marca 1940 roku.

Wielebny Ojczcie Profesorze!

Z racji Świąt Wielkanocnych śpieszę przesłać najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pomysłowości, chociaż trudno o niej obecnie pisać. Oby jak najprędzej nastąpiły lepsze czasy! W odpowiedzi na list Ojca wysłałem do Rzymu kartę. Czy zaszła? Z Warszawy otrzymuję coraz nowe wiadomości. W listopadzie zmarł ks. Kobylecki<sup>15</sup>, emerytowany profesor filozofii. Drewnowski jest w niewoli, a jego żona powiła syna – Benedykta. Na wojnie zginął asystent Tatarakiewicza – Wasilewski oraz prawdopodobnie Jerzy Siwecki, bardzo dobrze zapowiadający się filozof, filolog klasyczny i działacz katolicki. Tego bardzo szkoda. Dziś otrzymałem wiadomość, że w Budapeszcie zmarł dr Głuziński<sup>16</sup>, uczeń Twardowskiego, polityk.

Jak już pisałem w kartce, moim największym pragnieniem jest wyjazd z tego kraju. Ale stoją tu wielkie trudności. Nie mam pieniędzy na wyjazd – raz, po wtóre – są ogromne trudności wizowe i transportowe. Należy uzyskać szereg wiz (m.in. bardzo trudną – szwedzką) i bilety na podróż aeroplanową. Tymczasem miejsca są i wykupione, i biura podróży pod wielkim naciskiem różnych czynników robią rozmaite trudności. Wszystko to dałoby się jednak pokonać przy posiadaniu gotówki, o którą tu bardzo trudno. Z profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego udało się wyjechać Jasnowskiemu<sup>17</sup> do Paryża, Zygmunnowi<sup>18</sup> (matematyk) i Zawadzkiemu<sup>19</sup> (psycholog, uczeń Witwickiego) do Ameryki; Kridl<sup>20</sup> (polonista) udaje się do Belgii. Inni siedzą i są bezrobotni. Cały czas dokuczają i dokuczają tu, jak wszędzie, ogromne mrozy i śniegi. I tu, i w Wilnie, i w Warszawie wszyscy bardzo marzą, bo powszechny jest brak opału.

Moja praca naukowa posunęła się znacznie naprzód; hadam pewien problem logiki wielowartościowej, który z jednej strony, jak się zdaje, odpowiada najlepiej pewnym intuicjom niektórych matematyków ze szkoły Bernaysa<sup>21</sup>, z drugiej jest ciekawy dla mnie, bo wiąże się ściśle z moją tezą doktorską. Już mam dowód aksjomatyzowalności tego systemu i jego aksjomatykę, którą obecnie szlifuję. Trudna to i mozolna praca. Całość wypadnie na dwa-trzy arkusze druku. Ale kiedy to będę drukować, to trudno zgadnąć.

Jak już pisałem, nie zwracałem się do Haleckiego<sup>22</sup>, bo uważam to za bezcelowe. Jeśli idzie o rejestrację, kto z członków polskich uniwersytetów tu jest, to będę [bardzo] wdzięczny o zawiadomienie Go przy sposobności o mnie.

<sup>13</sup> Ks. Piotr Chojnacki (1897-1969), filozof, był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego [przyp. JJJ].

<sup>14</sup> Ks. Franciszek Kwiatkowski (1888-1949) jezuita; od 1926 roku wykładowca filozofii na Wydziale Filozoficznym TJ w Krakowie (w latach 1940-1946 z siedzibą w Nowym Sączu) [przyp. JJJ].

<sup>15</sup> Chodzi o ks. prof. Stanisława Kobyleckiego (1864-1939) [przyp. JJJ].

<sup>16</sup> Tadeusz Głuziński (1888-1946) był działaczem ONR, publicystą ABC [przyp. JJJ].

<sup>17</sup> Bogumił Jasnowski (1883-1960) po wyemigracji został profesorem filozofii prawa Uniwersytetu w Santiago de Chile [przyp. JJJ].

<sup>18</sup> Antoni Zygmund (1900-1992) po wyemigracji został profesorem University of Chicago [przyp. JJJ].

<sup>19</sup> Bohdan Zawadzki (1903-1966) po wyjeździe z Polski został profesorem w City College of New York [przyp. JJJ].

<sup>20</sup> Manfred Kridl (1882-1967) ostatecznie osiedził się w USA [przyp. JJJ].

<sup>21</sup> Chodzi o Paula Bernaysa (1888-1977), logika i matematyka, profesora Politechniki w Zurychu [przyp. JJJ].

<sup>22</sup> Oskar Halecki (1891-1973), historyk, zorganizował Polski Uniwersytet za Granicą w Paryżu (1939-1946) oraz Polski Instytut w Ameryce (1942) [przyp. JJJ].

Jak pewno Ojcu wiadomo (nie pamiętam, czy o tym pisałem) w Warszawie spłonęła drukarnia wraz z całym nakładem *Collectaneów*. Dobrze przynajmniej to, że prawdopodobnie zachowały się pierwodruki w moim mieszkaniu. Dom, w którym mieszkają Rodzice ocalał za wyjątkiem okien i śladów od kul. W naszym mieszkaniu spadł tylko jeden obraz, przy czym obłamała się rama, oraz został rozbity klosz w lampie w sypialni Rodziców. Straty więc są minimalne, ale życie bardzo ciężkie. Żadnych dochodów. Emerytury mają płacić połowę, ale kiedy – nie wiadomo. Drożyzna bardzo wielka. Gorzej u znajomych. O paru już wiem, że nie żyją. Sporo w niewoli. Szereg straciło wszystko pod gruzami.

Jak zdrowie Ojca? Czy są jakieś wiadomości o losach Mosdorfa, Plaseckiego i Niebudka? Gdzie są Salamucha i Michalski? Mam wiadomość, że spośród aresztowanych w Warszawie księży wypuszczono Detkensa<sup>23</sup> i E. Dąbrowskiego<sup>24</sup>, biblistę. Kleszkowskiego przewieziono podobno z Pińska do kliniki we Lwowie; jedna noga jeszcze jest chora. Jaki jest los p. Lanckorońskiej<sup>25</sup>?

Łączę serdeczne pozdrowienia  
*Bolesław Sobociński.*

PS. Jakiś pech prześladował moje miejsca pracy. Pokoje w obu redakcjach, gdzie pracowałem, zniszczone, odlamek pocisku wyrwał kawałek muru nad moim stołem w mieszkaniu. Oba seminaria logiczne ocalały, ale jaki będzie los księgozbiorów – nie wiadomo.

*BS.*

*Bruksela, 12 września 1946 roku.*

Wielebny Ojciec Profesorze!

Wiele lat nie miałem możliwości nawiązać korespondencji z Ojcem. Ostatnie listy wymieniliśmy z Ojcem w roku 1940 (Litwa – Rzym) przed samym wystąpieniem Włoch. Piszę obecnie z Brukseli, gdzie jestem przejazdem. Lata wojny, jak dotychczas przetrwałem. W roku 1941 wróciłem do Warszawy, gdzie mieszkalem do powstania wraz z Ojcem (Matka umarła w roku 1942) na dawnym mieszkaniu, zajmując się różnymi sprawami oraz przygotowując szereg rękopisów ze swojej specjalności. Wszystkie zginęły wraz z biblioteką i mieszkaniem w okresie powstania. Ja z Ojcem wprost cudem ocaleliśmy. Prawie na moich oczach został zamordowany śp. ks. Salamucha. Jestem w każdym razie najbardziej miarodajnym świadkiem Jego ostatnich dni i godzin. Po przejściu frontu i pewnej «stabilizacji» stosunków miałem różne propozycje. Dosłownie na 2-3 dni przed formalnym objęciem katedry i rozpoczęciem wykładów musiałem zlikwidować się. Od tego czasu, tj. blisko rok, ani sfery «urzędowej», ani nikt ze znajomych nie wiedział co się ze mną dzieje.

Obecnie jeszcze nie wiem, gdzie wraz z żoną osiadę i co będę robił. Ojciec mieszka pod Warszawą i jakoś sobie radzi. W tych okolicznościach nie było mowy o rekonstrukcji i publikacji dawnych [...] i nowych wyników.

Będę bardzo wdzięczny za wiadomości od Ojca możliwie szybkie, bo nie wiem, jak długo będę w Brukseli. Cały czas wojny dochodziły mi wieści o losach Ojca i wiedziałem

<sup>23</sup> Ks. Edward Detkens (1885-1942), od 1934 roku rektor kościoła studenckiego św. Anny w Warszawie, zmarł w obozie w Dachau [przyp. JJJ].

<sup>24</sup> Ks. Eugeniusz Dąbrowski (1901-1970) w czasie wojny był dwukrotnie więziony na Pawiaku [przyp. JJJ].

<sup>25</sup> Karolina Lanckorońska (ur. 1898), historyczka, docentka Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, była po wojnie profesorką historii sztuki w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie oraz prezeską Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie [przyp. JJJ].

od ks. prof. Michalskiego, że Ojciec przebywa ostatnio we Fryburgu. Ale pisać z kraju za granicę ogólnie (a w moich okolicznościach zwłaszcza) jest wybitnie niezdrowo.

O losach wspólnych znajomych Ojciec prawdopodobnie już wie. Ks. prof. Michalski jest cały i zdrowy; chciałby, aby Ojciec objął katedrę po ks. Salamusze. Boi się jednak, czy powrót Ojca byłby bezpieczny. Od wspólnych znajomych i od Jego rodziny wiem, że stan zdrowia o. Jacka W[ronieckiego] jest bardzo nieszczególny; oprócz innych chorób ostatnio dołączyła się starcza gruźlica. Ks. Ks. Chojnacki, Kwiatkowski, Roslan<sup>26</sup> są w Warszawie i wykładają. Tatariewicz też. Wszyscy towarzysze Ojca z wędrowki w r[oku] 1939 zginęli (Piasecki rozstrzelany, Mosdorf i Niebudek w Oświęcimiu). Mój współnik podróży, Kieszkowski, jakoś wylizał się z ran (mocno kuleje). Ma podobno objąć katedrę we Wrocławiu. W międzyczasie zrobił *solę* i bez żadnego powodu rozwodowego, bo kawaler dotychczas, przeszedł na... luteranizm i został pastorem. Radziłem mu *post factum* przyjęcie mahometanizmu, jako dającego różne możliwości, ale on upiera się przy Lutrze. Podaję to jako przykład obecnego pomieszania pojęć. O innych znajomych i ich losach w miarę możliwości chętnie podam wiadomości w następnych listach.

Dotychczas jeszcze nie zorientowałem się, co w czasie wojny na Zachodzie zaszło w naszej specjalności. Bylbym wdzięczny za wiadomości o tym. Dlaczego Ojciec zamienił *Angelicum* na Fryburg?

Łączę najśredeczniejsze pozdrowienia  
*Bolesław Sobociński.*

PS. Proszę adresować pocztą lotniczą: Bruxelles, 167, rue Berkendael, M<sup>me</sup> Anna Głzycka – dla p. Bolesława. (Adres wyłącznie dla Ojca.)

*Bruksela, 16 grudnia 1946 roku.*

Wielbny Ojczy Profesorze!

[...] Bylbym niezmiernie wdzięczny Ojcu za wskazanie mi [...] naiwnych redaktorów, którzy by zechcieli wydrukować jakieś moje elukubracje, nie oglądając się na to, że są z dziedziny czysto formalnej, oraz że są wypowiedziane przez przedstawiciela czarnej reakcji.

[...] A może gdzieś dałoby się założyć odpowiednik nieszczęsnych *Collectanea Logica*?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i szacunku  
*Bolesław Sobociński.*

*Bruksela, 23 lipca 1947 roku.*

Wielbny Ojczy Profesorze!

[...] Na razie nie mam żadnych określonych planów co do dalszej mojej przyszłości. Chciałbym przynajmniej ulokować [się] w takiej miejscowości, aby zbliżająca się niewątpliwie nowa burza wojenna nie zastała mnie znów w takiej okolicy, z której nie można byłoby się przedrzeć do strony, która mi odpowiada, i być znów skazanym na bezczynność i ewentualne inne nieprzyjemności. [...]

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania  
*Bolesław Sobociński.*

<sup>26</sup> Ks. Władysław Roslan (1902-1961) był od 1954 roku kierownikiem Katedry Teologii Dogmatycznej ATK w Warszawie [zrycz. III].

*Bruksela, 7 lutego 1948 roku.*

Wielbny Ojcie Profesorze!

[...] Tu, w Europie, na razie nie widzę dla siebie żadnych możliwości, a przy tym uważam, że na jakiś czas należy z niej się wyprowadzić, przynajmniej poza granice Pirenejów. [...]

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i szacunku  
*Bolesław Sobociński.*

*Bruksela, 4 kwietnia 1949 roku.*

Wielbny Ojcie Profesorze!

[...] Na pewno doszła już do Szwajcarii wiadomość o zgonie [Władysława] Witwickiego (22 grudnia 1948 roku). Mam informacje o aresztowaniu szeregu osób ze świata naukowego w związku z dawną przynależnością do AK. M.in. historycy sztuki: Walicki<sup>27</sup>, Sienkiewicz<sup>28</sup>. [...]

Zasylam [...] najlepsze życzenia  
*Bolesław Sobociński.*

*Bruksela, 8 kwietnia 1949 roku.*

Wielbny Ojcie Profesorze!

[...] Jest rzeczą oczywistą, że osoba moja jest tam [w Warszawie] zupełnie mało strawna (minimum 7 procesów zakończonych wyrokami śmierci – wykonanymi, gdzie figurowałem jako główny a nieobecny aktor i prowodyr). [...] Sprawy komplikuje ponadto to, że z racji aktualnych jeszcze spraw (choć dla nienarażania ocalałych ludzi) nawet czynniki antykomunistyczne nic o mnie nie wiedzą. [...]

Z punktu widzenia materialnego nie wiem, czy za parę miesięcy nie wyląduję tu jako robotnik w kopalni węgla. Z powodów mego *dossier* absolutnie nie mogę w wypadku awantury zostać tutaj, a ten teren jest zupełnie geograficznie tyle wart, co Helwecja. Może jeszcze gorszy. Dlatego pragnąłbym i musiał[by]m stąd wyjechać – wszystko jedno dokąd – ale tak, żebym miał możliwość choćby najskromniejszego zaczerpienia się. [...]

Przesyłam [...] wyrazy prawdziwego poważania  
*Bolesław Sobociński.*

<sup>27</sup> Michał Walicki (1904-1966) w latach 1949-1953 był więziony przez reżim komunistyczny za działalność w AK [przyp. III].

<sup>28</sup> Jerzy Sienkiewicz (1897-1980), historyk sztuki, w czasie okupacji wykładowca tajnego UW; w latach 1937-1949 był kustoszem Muzeum Narodowego w Warszawie; od 1957 roku był profesorem w Instytucie Sztuki PAN [przyp. III].

## STRZĘPY WSPOMNIENI Z POWSTANIA I OKUPACJI

*Jan Szrednicki urodził się 24 kwietnia 1923 roku w Warszawie. Studia filozoficzne rozpoczął w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim (u Władysława Tatarkiewicza). Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim; potem dostał się do niewoli niemieckiej. Studia ukończył w Uniwersytecie w Melbourne; tam też został zatrudniony jako wykładowca filozofii.*

*Uprawia różne dziedziny filozofii.*

*Jacek J. Jadacki*

Mam całkiem dobrą pojęcie do idei i koncepcji, natomiast bardzo słabą – do zdarzeń życiowych. Nie potrafię więc stworzyć jakiegoś całościowego obrazu czasów wojny; nie wszystko jednak zapomniałem.

Brałem udział w obronie Warszawy w 1939 roku jako goniec rowerowy – i w obronie przeciwpożarowej naszego bloku. Pozostała mi po tym złamana ręka – jedyne w moim życiu «uszkodzenie bojowe»; podmuch rzucił mnie o ścianę kościoła Zbawiciela.

Działalność antyokupacyjną zacząłem właściwie zaraz po upadku Warszawy. Mielśmy znajomego, inż. Mikołaja Makedonicza Iwanowa, któremu – jako obywatelowi szwajcarskiemu – Niemcy nie odebrali radia. Słuchałem więc Fali Polskiej BBC i rozprawdzałem zapisane wiadomości w sześciu bodajże egzemplarzach, tj. w liczbie czytelnich odbitek przez kalkę. Dawalo mi to duże zadowolenie: szesnastoletni ucniak robi taką dobrą robotę! Biuletyn ten miał nawet spore wzięcie, bo nie było jeszcze wtedy prasy podziemnej, a ludzi z radiem albo nie było, albo – jeśli byli, to «dekowali» się ze zrozumiałych względów.

W ogóle ten początkowy okres okupacji znacznie się różnił od późniejszych. Niemcy dopiero uczyli się terrora, choć brutalności im nie brakowało, co widać z masakry wawerskiej – pierwszego naszego szoku kulturowego; my zaś dopiero improwizowaliśmy jakiś tam opór.

Piszę o tym z dwóch powodów.

Po pierwsze, rozpowszechniają się coraz bardziej ponurackie i «beznadziejnościowe» wizje Powstania i okupacji. Zaczęło się to bodajże od Andrzeja Wajdy i jego *Kanał*. *Kanał* to dobry film jako film – ale daje zupełnie fałszywy obraz postawy psychicznej powstańca. Reakcje, które znam z autopsji, były zupełnie inne: z postawą, przedstawioną przez Wajdę, u żadnego żołnierza się nie spotkałem. Można ją było spotkać wśród ludności cywilnej, kryjącej się w czasie Powstania po piwnicach, ale też nie u wszystkich. Cywile kopali studnie, pomagali rannym, starali się przygotować jakąś strawę dla nas, a niektórzy próbowali także dostać się do szeregów walczących. W miarę przedłużania się Powstania, nastrój w piwnicach był coraz gorszy, ale dopiero przy końcu doszedł do Wajdowego.

Po drugie, dużo się mówi o bohaterstwie i patriotyzmie Polaków w czasie wojny. Patriotyzm na pewno był. Byli też bohaterowie, ale nie tak liczni – i ja, jak większość, do nich się nie zaliczam. Nie było ich – i nie mogło być – tylu, aby na tym właśnie oprzeć ruch oporu. Wspierał się on przede wszystkim na reakcji bardziej masowej – instynktownej i naturalnej – niż nawet patriotyzm. Chodzi o to, że nikt nie lubi, aby go kontrolowano – a tym bardziej

«gnieciono». Widać to już u osesków i zwierząt, choć te ostatnie łatwiej do uległości przyuczyć – niż ludzi. Postawę taką przejawiają – nieraz w sposób przerażający – uczniowie; jest ona istotą takich fenomenów społecznych, jak *gitowcy*. Pierwszą reakcją na kontrolę jest opór – a nic nie daje większego zadowolenia, jak opór skuteczny. To był motyw mojej szczeniackiej roboty konspiracyjnej na początku okupacji.

Ruch oporu nie był dziełem osobników o skazańczej mentalności – czekających, aż ich rozdziobią kruki i wrony... Tworzyli go ludzie czynu, którzy działali w sposób, dający im zadowolenie – i przeświadczenie, że robią coś wartego zachodu. Oczywiście, ludzie ci przeżywali chwile strachu, bo nie byli to przeważnie głupcy; ale przeżywali też chwile radości, kiedy się im samym – albo ich kolegom – coś udało. Pamiętam, jaką radość sprawiały nam opowieści o wyczynach *Jędrusia*; one dodawały nam otuchy. Skądinąd większość czasu powstańca wypełniała «normalność»: byliśmy *volens volens* jakoś przystosowani do istniejących warunków – bez tego nie dałoby się żyć. Powstanie trwało na tyle długo, że nie mogło być tylko jakimś niccodziennym «zrywem».

Kiedyś rzeczą prawie *de rigueur* było mówienie o wojaczce w kategoriach wspaniałości, godności, rycerskości, walki o to, czy o tamto. Była to wielka przesada. W sytuacjach dramatycznie trudnych powstaje istotnie możliwość dokonania niezwykłych czynów. Ale w całości wojna jest okropnością w pełnym tego słowa znaczeniu. W polskiej literaturze pokazał to najlepiej Stefan Żeromski. Wojna i wojaczka, walki i bitwy, konieczność poświęcenia wszystkiego i ryzykowania wszystkim – nie są piękne: nie ma rzeczy od nich gorszej. Inna sprawa, że ci, którzy z konieczności w końcu wojują – biorą udział w zmaganiach i poświęcają się – są często godni podziwu i wdzięczności. Ale sama sytuacja, w której bohaterstwo jest konieczne, jest bliska sytuacji najgorszej z możliwych – i podziw dla owej sytuacji, jako takiej, nie ma żadnego uzasadnienia.

Większość z nas – podczas okupacji i Powstania – nie stała wobec konieczności bycia bohaterem. Jak się komuś noga podwinęła – i albo go zamordowano, albo skatowano – nie był *ipso facto* bohaterem. Mnie gestapowcy mocno pobili – miałem pecha; ale i szczęście – bo mnie wypuścili. Nie piję; ponoć gdybym się z nimi uchlął, paściliby mnie bez bicia – z tego punktu widzenia miałem więc prawdziwego pecha.

Mam wrażenie, że braliśmy udział w ruchu oporu i w Powstaniu głównie z naturalnego instynktu «stawiania się». Sytuacja – która niestety stała się dla nas normalna – dawała bardzo dużo okazji do takiego «stawiania się». «Stawianie się» okupantowi było ogromnie cenione społecznie: było na nie «zapotrzebowanie». Z uznaniem i podziwem odnoszono się do «stawiających się». Każdy był więc mocno umotywowany w tym kierunku.

W warunkach naprawdę normalnych – tych, co się «stawiają», traktuje się czasem z pozbawieniem, ale zazwyczaj wedle zasady *huzia na Józia*, i to ze względów oczywistych. Społeczeństwo jest naturalnie przeciwne «stawianiu się» przyjętem w jego obrębie: rygorom prawnym i obyczajowym. Podczas okupacji chodziło o «stawianie się» nieprzyjacielowi, więc reakcja była pozytywna. Tradycja narodowa też robiła swoje. Nie dziwota więc, że większość chciała brać udział w walce przeciw okupantom. Ktoś, kto by w tej walce nie uczestniczył, czułby się nieswojo: musiałby mieć naprawdę poważne powody, aby stać z boku.

Toteż w warunkach, gdzie za najmniejsze podejrzenie, że się ma coś wspólnego z organizacją podziemną, można było zostać natychmiast wykończonym, większość młodzieży ubierała się «na partyzanta»: buty z cholewami, skóry i bryczesy, mina butna itp., itd. Obiektywnie biorąc było to zachowanie zupełnie zwariowane. Gdzież barwa ochronna? Gdzież

instynkt samozachowawczy? Było to jednak zachowanie całkowicie zrozumiałe w środowisku, w którym istniała «moda» na «stawianie się», analogiczna do mody na *wacho-image* w pewnych kręgach dzisiaj. Człowiek szukał prawdziwego zaangażowania: chodził na zebrania podziemne, na ćwiczenia ZWZ, a potem do AK – a właściwie do organizacji, do której udało mu się dostać. Nie był już bezbronny – mógł się wyżyć; czuł, że jest «kimś» – czuł się ważnym członkiem «stada» (a może grzeczniej należałoby powiedzieć: szczepu).

Coś podobnego i ja wyczyniałem. Kpt. Zygmunt Ostrowski, przyjaciel rodziny, zostawił u nas mundur oficerski. No więc zapisałem się do ochotniczej straży ogniowej, a to dlatego, że Niemcy ubierali w mundury armii polskiej członków straży i organizacji *Todta*. Jako strażak mogłem włożyć wymarzony mundur – z frenczem i koalicijką. Uwzględniono nawet moją prośbę o stopień plutonowego z czuzusem; odznaki tej rangi były bardzo podobne do odznak uzyskanej przeze mnie w podziemiu rangi plutonowego podchorążego. Idąc do Powstania, z żalem musiałem zostawić frencz w domu, bo w przedzień Powstania nie mogłem być «znaczny».

Traktowanie takich warunków jako czegoś normalnego – może się wydać komuś czymś... nienaturalnym. Ale to jest nie tylko naturalne, ale i potrzebne: nie bez kozery defetyzm jest przestępstwem w każdej normalnej armii. Żołnierze – i cała armia – mogą funkcjonować tylko wtedy, gdy wojna, akcje i bitwy są dla nich czymś normalnym (w pewnym zasadniczym tego słowa znaczeniu). W Polsce na tych naturalnych reakcjach – i na tradycjach patriotycznej walki o wolność – oparło się coś wyjątkowego. Ale najpierwotniejszym i najistotniejszym powodem naszego postępowania były owe naturalne reakcje. Jest zdumiewająco łatwo tego stanu rzeczy nie zauważyć – no bo każdy prawie wołałby *uchodzić za bohatera*.

Do Powstania, jako się rzekło, siedłem z żalem we własnej czarnej kurtce marengo. Nasza łączność miała się spotkać przy ul. Smolnej, w Gimnazjum Wojciecha i Anieli Górskich, i zdobyć PAST-ę przy ul. Zielnej. Był to plan zupełnie nierealistyczny, gdyż mieliśmy dwa pistolety i dwa granaty ręczne: w warunkach podziemnych łącznościowcy nie mieli pierwszeństwa w przydziale broni. A PAST-a była prawdziwą twardzą i została zdobyta dużo później – w akcji, która była ostatnim sukcesem bojowym powstańców. Ja jednak jechałem na ul. Hożą 10, gdzie miałem zebrać tych, co się nie przedostaną przez al. Jeruzolimskie, bo nasze dowództwo spodziewało się w tym trudności.

W międzyczasie organizowałem na rogu barykadę przeciwczołgową, która na szczęście nigdy nie została poddana próbie ogniowej. Okazało się, że mieszkanie należało do p. [?] Mazowieckiej, matematyczki, nauczycielki mojej siostry. Oto przykład, jakimi drogami chodzi dekonspiracja. Inny przykład jest następujący. Kiedy ojciec posłał mnie z czymś do naszego pośrednika w sprawach nieruchomości, p. [?] Taranka, okazało się, że jego córka jest łączniczką mojego szefa sztabu, a w dodatku – jego narzeczoną. Już w Niemczech dostałem list od mjr [?] Markowskiego, abym poświadczył jego tożsamość i ważność jego ślubu z Haliną, bo z powodu dekonspiracji byłem jedyną osobą, która знаła go pod właściwym nazwiskiem; chodziło o to, że Amerykanie nie chcieli dać im wiza, bo ktoś im powiedział, że mjr Markowski był przedtem żonaty i potrzebne były dowody, że drugie małżeństwo jest ważne.

Do punktu zbornego przyszło ostatecznie paru żołnierzy z mojej jednostki i kilku *bezprzymocy*, których dowódcy nie umieli przewidzieć tego, co mój dowódca przewidział. Była między nimi i Krystyna – moja dziewczyna i przyszła żona. Przeprowadziłem ich przez al. Jeruzolimskie – mimo że nie było jeszcze ani barykady, ani przepokopy – szczęśliwie bez strat.

Moje czynności powstańcze były bardzo zwyczajne: normalna służba, której detali nie pamiętam. Podam więc może tylko kilka migawek, charakterystycznych dla warunków powstańczych.

W Gimnazjum Górskich – w ciągu pierwszych dni – nie było właściwie nic do roboty. Projekt opanowania PAST-y został słusznie porzucony przez dowództwo. Była więc tylko musztra i czynności koszarowe. Spałiśmy – poza dowódcą *Prusem* ([?] Rysł-Brzeski) i paru paniami – na podłodze. Ponieważ byłem artretykiem, postanowiłem zdobyć gdzieś materace; znalazłem je w kamienicy przy ul. Karowej na tzw. «ziemi niczyjej». Po naszej stronie tej ulicy był szpital polowy, prowadzony przez dra Leszka Węgrzynowskiego (naszego kuzyna); przynieśliśmy więc materace również i dla szpitala.

Przenoszono nas to tu – to tam. Wreszcie znaleźliśmy się przy ul. Zgoda 9 – jako łączność gen. *Montera*. Pierwszą funkcją, jaką tam objąłem, było dowództwo plutonu... pułkowników – ludzi znacznie od nas starszych, nie nadających się do pracy w podziemiu, którzy jednak zameldowali się do służby w Powstaniu. Była to dla plutonowego podchorążego funkcja – powiedzmy sobie – delikatna. Zameldował się do mnie wrócić – znany mi zresztą osobiście – płk. *Kwicie*. Dowódca NSZ, płk. [Józef] Leśniewski, uzgodnił z gen. *Borem* przyłączenie NSZ do AK. Kiedy pojechał z kontrolą na wschód Polski, *Kwicie* przejął władzę i zerwał umowę scaleniąwą. Wtedy gen. *Bór* słynnym rozkazem (bodaże nr 122) rozwiązał NSZ. Część NSZ poszła w tę, część w inną stronę. Przez przypadek znalazłem odpowiednie osoby po obu stronach i trochę pośredniczyłem w kontaktach między AK a tymi z NSZ, którzy chcieli się do AK przyłączyć. Pamiętam, że zapytałem *Kwicica*, czy się zmienił w Babinicza. Odpowiedział tak: "Panie podchorąży. Powstanie wydało mi się nonsensem: walką po stronie jednego wroga przeciwko drugiemu. Uważałem, że rozsądniej byłoby siedzieć spokojnie i liczyć straty obu stron jako straty naszego nieprzyjaciela. Staralem się przez oderwanie NSZ zapobiec powstaniu. Skoro się to nie udało, melduję się, aby spełnić prosty obowiązek żołnierski. Może kiedyś zrozumie Pan, że postąpiłem sensownie." Warto odnotować, że *Kwicie* zawsze z wielką kurtuazją odnosił się do mnie – jako do swego dowódcy. Po pewnym czasie pułkownicy znaleźli jakieś zajęcie, a ja z ulgą przeszedłem do normalnej służby.

Podczas Powstania spotkałem w łączności Andrzeja Markowskiego, starszego strzelca, późniejszego muzyka i dyrygenta. *Prus* dobrze go znał osobiście. (Co najmniej jeden tekst o łączności powstańczej myli go z mjr-em Markowskim, dużo starszym od Andrzeja i w ogóle z nim nie spokrewnionym.) Na zamówienie mjra *Barry'ego* napisaliśmy wspólnie piosenkę powstańczą o .. kaszy *pluj* – on muzykę, a ja słowa. Po wojnie Markowski użył muzyki z tej piosenki jako podkładu muzycznego do filmu *Pan Twardowski*, ale słów nie udało nam się – mimo wysiłków – odtworzyć. Piosenkarz Michał [?] Krukowski śpiewał nawet tę piosenkę w USA. Po upadku Powstania wydano Markowskiemu papiery podporucznika, aby nie był – jako szeregowiec – zmuszony do pracy, która mogłaby zniszczyć jego delikatne, pianistyczne ręce. Pod tym względem dowództwo AK wykazało wiele rozsądku.

W czasie rozejmu – zawartego, aby umożliwić wyjście z miasta ludności cywilnej – poszedłem na ul. Widok 10, gdzie mieszkał Adam Wieniawski – mój profesor kompozycji i dyrygentury. Przetrwiał tam zupełnie bezpiecznie. Wieniawski pisał latami *Instrumentoznawstwo*, dzieło swego życia, i przyszło mi do głowy, że byłaby to wielka szkoda, gdyby uległo ono zniszczeniu. Zwróciłem się w tej sprawie do dowództwa, które pomogło Wieniawskiemu wynieść rękopis z Warszawy. Więcej już Wieniawskiego nie widziałem, ale *Instrumentoznawstwo* wyszło i jeszcze dziś jest standardowym podręcznikiem tego przed-

miotu. Pomoc w uratowaniu tego dzieła uważam za swoje prawdziwe osiągnięcie z okresu Powstania.

Jeszcze jedno osiągnięcie – ma związek z moją silną potrzebą noszenia munduru polskiego podczas okupacji. Kiedyś posłano nas do pożaru szpitala powstańczego przy ul. Zgoda. Dowództwo uznało jednak ostatecznie, że szpitala uratować się nie da – i wydało rozkaz odwrotu. Moja wiedza strażacka podpowiadała mi jednak, że rzecz jest do przeprowadzenia – zwłaszcza, że tuż obok była składnica ochotniczej straży pożarnej. Udałem więc, że nie usłyszałem rozkazu. Rozbiłem składnicę, przeprowadziłem linie motopomp z pl. Napoleona (dziś pl. Powstańców Warszawy). Cywile pilnowali motopomp (były małe), a inni pomagali gasić ogień na dachu. Budynek przetrwał; był potem pierwszą siedzibą... partii komunistycznej. Po powrocie na kwaterę urządzono mi straszną awanturę. Ponieważ jednak uratowałem szpital i rannych – których sporej części na pewno nie udałoby się na czas ewakuować – zostałem w końcu chlubnie wymieniony w rozkazie dziennym: raz jedyny w moim życiu i to właściwie za... niewykonanie rozkazu.

Powstanie zakończyłem – ślubem powstańczym. Krystyna i ja postanowiliśmy przeć na Zachód. Ale jak się znaleźć na Zachodzie? Łatwiej – jako małżeństwo. Znaleźliśmy jakiegoś księdza, zostaliśmy zwolnieni ze służby na pół godziny, odbyła się ceremonia z obrączkami pożyczonymi od... branków – i zaraz potem wróciliśmy z powrotem na służbę.

Niewola rozpoczęła się radośnie. Przez Ożarów – poprzez wagony bydłace – do Lamsdorfu, *Stalag VIII F*. Kiedy szliśmy ze stacji kolejowej kilka kilometrów do naszego *Teillager* 344, zderzyły się nad nami dwa niemieckie samoloty – i runęły na ziemię w płomieniach. Pomiędzy *stalagami* Niemcy mieli tam bowiem szkołę pilotów. W tamtych czasach zdarzenie tego rodzaju było powodem do uciechy i podnosiło nas na duchu. I jako takie właśnie je pamiętam.

## PAMIĘĆ POWSTANIA

*Próby świadectwa*, Warszawa 1971. *Czytelnik*,  
s.1-5, 9-12, 25, 27, 33, 34, 37, 38, 83, 84:

"Pamięć Powstania" [tekst napisany w 1984 roku z okazji wystawy  
malarstwa] przygotowanej w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej]

*Jan Strzelecki urodził się 4 lipca 1919 roku w Warszawie (jako syn Władysława, profesora  
SGH, i Janiny, nauczycielki historii); zmarł 11 lipca 1988 roku tamże – z ran, odniesionych w  
bandyckim napadzie, którego ofiarą padł (w niewyjaśnionych okolicznościach) w nocy z 29 na  
30 czerwca tegoż roku. Po ukończeniu Liceum im. Ziemi Mazowieckiej w 1937 roku wstąpił  
na Wydział Prawa UW. W czasie wojny kontynuował studia na tajnych kompletach. Był współ-  
redaktorem podziemnego pisma *Płomienie*; od 1943 roku należał do organizacji Wolność –  
Równość – Niepodległość. W Powstaniu Warszawskim walczył w batalionie *Żywiciel*; dwu-  
krotnie ranny – został odznaczony Krzyżem *Walczynek* i Krzyżem *Powstańczym*.*

*Magisterium z socjologii otrzymał w 1949 roku. W latach 1945-1952 był asystentem Sta-  
nisława Ossowskiego w Katedrze Socjologii najpierw w Uniwersytecie Łódzkim, potem w Uni-  
wersytecie Warszawskim. Po zamknięciu przez reżim komunistyczny katedry Ossowskiego nie  
mógł otrzymać pracy – jako «ideologiczny demoralizator młodzieży». W latach 1957-1964 był  
asystentem, a w latach 1957-1987 adiunktem na «zesłaniu naukowo-ideologicznym» w PAN.  
Doktoryzował się w 1964 roku, a habilitował – w 1984 roku; w 1987 roku otrzymał *docenturę*.  
W 1977 współorganizował *Towarzystwo Kursów Naukowych*, a od 1978 roku – uczestniczył  
w *Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość*. Był stale – aż do tragicznej śmierci – inwi-  
lowany przez SB.*

*Jest autorem kilku książek i kilkudziesięciu artykułów głównie z dziedziny socjologii.*

*Jacek J. Jadacki*

*których nam nikt nie wynagrodzi  
i których nie nam nie zastąpi*

BACZYŃSKI

Gdybyśmy byli – ostatecznie, bez odwołania, bez szansy, bez ratunku – wytworem  
bezsensownego, kłębiącego się w tysiącu form wybuchu istnienia; gdybyśmy byli czystą  
egzystencją – to wszystko, co oni uczynili, nie miałyby znaczenia innego niż męka zadawana  
pokrzywom przez kosę, jak los plemienia mrówek wziętego do niewoli przez silniejsze  
plemię. Okrucieństwo wobec życia byłoby tylko jedną z postaci życia, krąg byłby zamknięty,  
świat doskonale obojętny na przybór czy opadanie zła. Czuliśmy wtedy, że jakby zwiększamy  
wymiar dziającej się przeciwko nam zbrodni, jeśli życie nasze jest oddane wartościom, jeśli  
przez nas, dzięki nam, zwiększa się ilość piękna czy miłości. Czuliśmy się najgłębiej odpo-  
wiedzialni za to, aby zbrodnia ich była największa, aby zabijając nas, zabijali coś o wiele niż  
my ważniejszego – to, czego śmierć nie pozwoliłaby nam stworzyć. Czuliśmy, że jeśli nie

stajemy się źródłem wartości, usprawiedliwiamy to, co robimy. Zmniejszamy godność życia, niemal przyznajemy im rację. Nasza filozofia wartości zakorzeniona była w typie przeżywania sprawy życia i śmierci, nie wymyśliłszy jej, nie przyjęliśmy dlatego, że filozofię jakąś mieć ludziom wypada. Była światłem nad naszym doświadczeniem, wyrastała z podstawowych pytań, które wyzwalała nasza egzystencja. Była to egzystencja zagrożona – ale zagrożenia swe przyjmująca jako rodzaj wtajemniczenia, jako szansę rozpoznania rozstrzygającej sprawy – tego, co może nadać życiu, życiu w nas ocalonemu, życiu przez nich szczeremu, godność tak oczywistą, aby najoczywistszy stawał się wymiar ich przestępstwa.

\*\*\*

#### *Jadwidze, mojej żonie*

Myśmy wiedzieli, czym jest braterstwo. Braterstwo oznacza utożsamienie się z kimś drugim, nieoddzielanie jego losu od swojego; więcej nawet – widzenie jego niebezpieczeństwa wyraźniej niż swego, doznanie, że jego śmierć jest trudniejsza do przeżycia niż własna. Braterstwo jest łatwością przekraczania tych granic, które filozofowie głoszący samotność człowieka uznają za nieprzekraczalne, za linię, za którą jest już tylko milczenie lub powrót własnego głosu. Tkwiłiśmy głęboko wewnątrz słowa "my", słowa, w którym fenomenologowie widzą wyraz oznaczający szczególną jakość doświadczenia, jakość kształtującą odbiór świata, nadającą nam inny wymiar istnienia. W kręgu tego wymiaru – jeśli w nim jesteśmy naprawdę, nie tylko w wyobrażeniu, w udaniu przed sobą, w poczuciu powinności bycia innymi niż jesteśmy, w osadzie chrześcijańskości, będącym już tylko tajnym wstydem – istotnie odbieramy świat inaczej, jesteśmy w inny sposób, i to z poczuciem oczywistości, które dziwnym czyni wszelki odmienny sposób przeżywania. Jeśli jesteśmy w tym kręgu i jeśli jesteśmy głodni – głodem będącym jedną z postaci zagrożenia – to wyciągamy rękę po chleb, aby chleb dać j e m u. Swojego głodu boimy się nierównie mniej niż głodu drugiego człowieka. Na odgłos strzałów zasłaniamy j e g o – jego krew boli nas o wiele bardziej niż własna. W tym stosunku j a i t y działamy tak, jakbyśmy sądzili, że przetrwanie drugiego człowieka jest sprawą nierównie ważniejszą. Nie jest to jednak sąd, ale poryw, nie wynik docieklivosti, lecz oczywistość serca. Nie działamy tak dlatego, że o n jest wartością wyższą; ową wartością jesteśmy właśnie m y – a bez takiego działania krąg braterstwa uległby pęknięciu. Każdy byłby już tylko sobą samym, a raczej czymś mniejszym od siebie. I to byłoby wyrokiem, który by nas ścigał, jak pamięć spełnienia, jakie nam zostało odjęte [...].

\*\*\*

Czas przyżyłiśmy jako przestrzeń istnienia mogącego się wkrótce zakończyć. Całe nasze życie przebiegało jej skrajem: co chwila ktoś spadał. Spadał nie tylko w śmierć – szybka śmierć była najbliższym z upadków; spadał w torturę, w konanie powolne, podzielone na etapy powracającej męki; spadał w system piekieł, w którym dbano troskliwie o to, aby śmierci odebrać jej zwykły charakter. Czas nam dany, nam pozostały, był czasem, w którym jeszcze poruszaliśmy się na krawędzi, w którym jeszcze mogliśmy dać świadectwo naszemu wyborowi i naszej wierności. Byliśmy w tym świadectwie skupieni, była w nas spontaniczność ascezy, która zawsze towarzyszy wierności. Czas był nam dany nie na życie – ale na świadczenie temu, co cenimy wyżej. Nasz stosunek do wartości nasycony był ostatecznym charakterem wyboru.

\*\*\*

Jeśli mieliśmy jakąś absolutną wiarę, to była to wiara w niezatarcie, nieodmienne znaczenie aktów ludzkiego istnienia, poprzez które dzieje się na świecie to wszystko, co stanowi godność człowieka. Ślad, zapisany w chwili, gdy to, co człowiek czyni, sięga kształtu godności, jest śladem stanowiącym zapis trwały, o niegasnącej wartości. Jest wezwaniem, skierowanym ku wszystkim, którzy zapis ten mogą odczytać i powtórzyć, wspierając się wzajemnie w tym świadectwie, ustalającym treść pojęcia człowieczeństwa. Jeśli nie ma ono być dostojną abstrakcją, wspartą jedynie na świadectwach przeszłych; jeśli nie ma być znakiem pustym, za którym nie stoi żadna żywa autentyczność – to nikt nie jest zwolniony z odpowiedzialności za trwanie śladu, ze swojego udziału w walce ze złem, w walce o trwanie wartości.

\*\*\*

Wolność jest pojęciem pustym, nie zawiera nic, co by przesądzało o wyborze wartości, co by nadało życiu kształt, wiązało z zakresem odpowiedzialności. Wyrazem wolności może być również odmowa, wyjście z kręgu napięć, trudnych do zniesienia. Dezercja może być w równej mierze wyrazem wolności, co pozostanie w szeregu, wierność w równej mierze – co porzucenie związku z czymś losem. Sytuacje graniczne ukazywały z nieporównaną widocznością, że wolność nie jest drogowskazem, albo raczej, że jest to drogowskaz dwoisty. Są to bowiem sytuacje, w których nie ma środka, w których człowiek staje wobec nieuchronności wyboru, wobec próby siebie; następny krok jest krokiem bezpowrotnym, nadającym nam niezatarcie płtno. W sytuacjach granicznych tylko włos dzieli drogi określone znakami wielkich moralnych przeciwieństw. Nie ma w nich środka między tchórzostwem i odwagą, między zwycięstwem a upadkiem, między sprośaniem braterstwa a zerwaniem wspólnoty, między progim spełnienia a progim klęski. Na tych rozstajach być wolnym to tylko znaczy stanąć przed wyborem drogi. W tym słowie mieści się opis sytuacji, nie ma w nim wskazania. Wskazanie odnajduje się poza wolnością, jest ona narzędziem, nie celem człowieka.

\*\*\*

Sytuacja, przed którą stał każdy z nas, której oczekiwał, z którą się mierzył – choćby w wyobrażeniu – to sytuacja próby ostatecznej: poddania ciała męce, aby wydało zeznanie obciążające innych. Był to dla nas model doświadczenia, w którym utwalić się miała albo upaść nasza rzeczywista tożsamość, nasze o sobie mniemanie, rzeczywista siła naszego związku z wartościami. W krąg tego doświadczenia każdy wchodzi samotnie, ale samotność taka odcina od braterstwa; odciąć może dopiero upadek. Upadek to znaczy niesprostanie próbie, ustąpienie wobec naporu męki, uznanie, że ulga ciała jest sprawą jedyną, zamknięcie swojej wrażliwości w kręgu biologicznym. Stał właśnie, od strony takiego zamknięcia, utożsamienia z ciałem, zagrażało nam to, co uznawaliśmy za swoją najprawdziwszą zgubę: wydanie tamtych, zgodą na wolę katów.

Siła osobowości w kręgu naszych pojęć to zdolność do trwałego odsunięcia tego zagrożenia, zdolność do trwałego przesuwania granicy, poza którą nie mielibyśmy już prawa do poczucia braterstwa z zespołem, poza którą przestalibyśmy być jednym z nich – a bylibyśmy już tylko umęczonym ciałem, domagającym się litości najpierw od katów, potem od przyjaciół.

\*\*\*

W czasie, w którym świat tak przytłaczał człowieka – człowieka, którym byliśmy my wszyscy – przedmiotowe filozofie nie mogły stać się naszymi filozofiami. Cóż przedmiotowa

filozofia powiedzieć mogła o nadziei? Cóż o godności? Cóż w ogóle o człowieku? Filozofie te, bez względu na to, czy mieniły się idealizmami czy materializmami, człowiek interesuje jedynie w swoich własnościach poznawczych, zwróconych, jako dobre czy złe narzędzie, ku scenie pozahudźkiego świata. Nas interesował człowiek w świecie, i to w takim świecie, jaki stanowił nasze otoczenie, który nad nami ciążył jako potężny ślup ciśnienia mierzącego naszą kruchość lub nasz opór. W naszym oporze nie chodziło o ocalenie nas samych; to zyskiwało się nierównie pewniej przez uległość. Nasz opór był oporem przeciwko światu, który oni chcieli ludziom zgotować. Ale nasz opór nie był bez reszty wyznaczony przez obiektywny układ rzeczy, tylko przez nasz sąd o tym układzie, przez orzeczenie, że to, co oni czynią, jest zbrodnią, której istnienie jest dla nas wyzwaniem. Działaliśmy więc, jak mówią filozofowie, w szczelnie wolności. Nasz opór był aktem moralnego podmiotu, nie dało się go ani wywieść, ani uzasadnić wyłącznie przedmiotową wiedzą.

\* \* \*

Pamięć, wracająca ku czasowi Powstania, ku sześćdziesięciu trzem dniom walk sprzed lat czterdziestu, nie jest pamięcią czystą, to znaczy nie jest aktem świadomości, niekniętej przez zdarzenia czasu późniejszego. Oddziaływuje na nią wpływ czasu, przekształcając perspektywę; oddziałują na nią różnorodne oceny, stwarzające lub zamierzające stworzyć nowe, nieznanne uczestnikom zdarzeń punkty widzenia; fakty, których pamięć dotyka, nabierają wymowy symboli, odsyłają do treści, tkwiących poza nimi; świadomość, której ruchem jest pamięć, nie tyle dąży do odtworzenia poszczególnych faktów, ile do ujęcia i nadawania im znaczeń, płynących z sensu i kierunku działań podejmowanych w całym, pięcioletnim okresie narodowej kaźni i walki; to na tle tej kaźni i walki Powstanie widnieje jako szczytowe świadectwo sprzeciwu, oporu, nie-podległości wobec wszystkich celów, ku którym kaźń miała być środkiem; widnieje, jako wysoki znak wierności wartościom, które kaźń miała ludziom odjąć.

Pamięć ta, skupiająca się na znaczeniu całości, natrafia nieustannie na zjawiska o skrajnej gęstości, w których ostatecznemu zagrożeniu wartości odpowiada nieuległy opór człowieka; w których ukazują się ludzie, zmagający się ze światem, chcącym odebrać im nadzieję, gotującym śmiertelne zagrożenie dla bezcennych wartości, dla samego istnienia, samej możliwości ich zbiorowego bycia w świecie, ich narodu.

A my w miłościach naszych żyliśmy czekałi  
takie groźne jak oddech huczący łodowców,  
a myśmy mieli twarze nawiedzonych chłopców,  
którzy ojczyznę swą i w śmiertci pokochali.  
A myśmy mieli dalsze sprawy, niepojęte,  
które nam ciała zmięły i oczy spaliły.

Krzysztof Kamil Baczyński, *Róża święta*

Jest to obraz grozy i obraz ludzi, nie dających się przez grozę określić, znajdujących siły i kierunek działania poza wymową grozy, ratujących i tworzących swoje człowieczeństwo w posłuchu głosu wartości, a nie głosu grozy.

BEKANNTMACHUNG: Durch das Standgericht der Sicherheit Polnens sind wegen belangender Straftaten auf Grund des § 61 oder 2 der Verordnung vom 2.10.1943 folgende Personen zum Tode verurteilt worden:

1. Skoń Mieczysław, geb. 22.7.1920
  2. Dębacz Władysław, geb. 5.5.1922
  3. Wyszomirski Józef, geb. 6.10.1904
  4. Tuszyński Stanisław, geb. 15.9.1921
- 
- 

\*\*\*

W środku tego stale przynoszonego przez pamięć obrazu świat piętrzy wokół człowieka zagrożenia: zagrożenia bezpieczeństwa, godności, rozwoju, wspólnoty, sprawiedliwości, wolności, istnienia – i przedstawia mu tylko jedną propozycję: uległość. Propozycja ta jest propozycją odstępowania od wartości; przez uległość nie da się uratować godności, wspólnoty, sprawiedliwości, wolności; można uratować zaledwie istnienie. Propozycja ta przyjmując w formie najwyraźniejszej postać rozmowy kata i ofiary; ofiarą jest człowiek schwytyany na czynnościach utwierdzających jego związek z wartościami; wykraczają one poza treść zezwoleń przyznanych mu przez prawodawstwo kata. Jeśli groźba nie wystarcza by człowiek trzymał się granic nadanych zezwoleń, tortura staje się kolejnym argumentem. Tortura jest właściwą drogą do poddania offerze przesłanki, że jedynym wyjściem, jedynym końcem tej rozmowy może być tylko uległość. Tortura stwarza sytuację, w której uległość jest jedyną drogą do zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Można odsunąć grozę bólu, czyniąc się współuczestnikiem czynności kata, kierujących się przeciwko tym, z którymi wiązała nas dotąd służba zagrożonym wartościom. Można bezpieczeństwo przełożyć ponad braterstwo. Można przeżyć, odbierając treść swemu człowieczeństwu. Między istnieniem bezpiecznym a istnieniem ku wartościom otwiera się  $\bar{\pi}$  wtedy przepaść; cena uległości ukazuje się z nieporównaną jasnością; jest nią czyste istnienie, zamknięte w sobie, oderwane od związku z wartościami, oderwane od świadectwa, świadczące jedynie o ulegnięciu groźbie kar, skupionych w ręku kata. Człowiek istniałby wtedy tylko na podobieństwo swego lęku; ten lęk rozstrzygałby o jego kształcie, o jego granicach, o niemożliwości ich przekroczenia.

17-18.XI.1943. W godzinach rannych 17.XI odbywają się dwie nowe egzekucje zbiorowe: przy ul. Koplińskiej koło nasypu kolejowego w pobliżu Dworca Zachodniego, oraz przy końcu ulicy Białoleckiej na Pradze. Według wiadomości napływających z Pawiaka ginie w tym dniu około 80 osób, w tym na pewno 5 kobiet; nie więcej niż połowę rozstrzelano na miejscu, pozostałych w getcie. Urzędowy komunikat, datowany 18.XI i rozplakotany tego dnia po południu, mówi o straceniu 43 osób. Co najmniej 40 więźniów Pawiaka wywieziono 18.XI poza miasto. Rozstrzelano ich w Grodzisku i Żyrardowie... 20.XI wywieziono 20 więźniów z Pawiaka do Otwocka. Stracono ich tam na huczach, w pobliżu toru kolejowego. W ruinach getta ginie codziennie kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt osób. Łapani uliczne są nadal zjawiskiem codziennym. Przeprowadzono je 20.XI na Mokotowie, 21.XI w okolicach pl. Krasiniskich, 22.XI w rejonie ulicy Wspólnej, 23.XI na Żoliborzu i na Pradze w ciągu wielu godzin dziennie. Część osób ujętych przewożona jest na Pawiak i tam zagrożona śmiercią w egzekucji ulicznej, część do obozu Arbeitsamt na ul. Skaryszewska.

Władysław Bartoszewski, 1859 dni Warszawy,  
Znak, Kraków 1974, s. 475, 475-476

Tkwiliby w granicach takiego istnienia, określonego prawodawstwem kata. Byłby człowiekiem, który uległ. Więc groźba takiego kształtu, takiej uległości, przeciwstawia się tamtej groźbie. Groźba życia poza braterstwem w wartościach staje się potężniejsza od groźby bólu i nieistnienia. Człowiek powstaje.

\*\*\*

Jeśli więc zakazy, których strzeże kara śmierci, obejmują wszystkie czynności wyprowadzające człowieka poza obszar biologicznego jedynie istnienia, jeśli uległość sprowadza istnienie do takich wymiarów, to powstawaniem staje się wszystko, co te wymiary przekracza. Życie godne człowieka staje się życiem w postawaniu.

1.II.1944 około godz. 9.00 oddział dywersyjny KG AK Pzaz (dawniej Agn) dokonuje na rozkaz szefa Kedywu Komendy Głównej AK płk. Emila Fiedorfa (Niś) udanego zamachu na gen. Franza Kutschery, dowódcę SS i policji na dystrykt warszawski, odpowiedzialnego za zbrodnie masowe popełnione w Warszawie w ostatnich miesiącach, a m.in. za akcję egzekucji ulicznych...

Władysław Bartoszewski, *ibidem*, s. 506

Powstawaniem, odrzucaniem uległości staje się wiara, jeśli głosi niewymierną godność pomocy bliźniemu, za której świadczenie grozi kara śmierci.

Powstawaniem staje się nauka, jako źródło nieuległego umysłu, jeśli naród ma być sprowadzony do roli narodu niewolników, jeśli wymazany ma być jego udział w kulturze ludzkości.

Powstawaniem staje się sztuka, jeśli wierny obraz spraw ludzkich istnieć może tylko poza obszarem zakazów.

Powstawaniem staje się wszelki udział w trosce o kształt spraw publicznych, jeśli społeczność ma być jedynie przedmiotem działań władców.

Powstawaniem jest na koniec walka. Staje się ona wtedy udziałem w działaniach strzegących praw do życia zgodnego z najwyższymi wartościami narodowej zbiorowości w stanie jej śmiertelnego zagrożenia. Jest wyrazem ostatecznej wierności wartościom.

\*\*\*

Pamięć wraca ku Powstaniu jako aktowi przeżywanemu w najściślejszym związku z wartościami, j których bronilo nasze nieuległe powstawanie. Taki jest przekaz spraw dziejących się w tamtym czasie. Nie jest to przekaz grozy, lecz przekaz ludzkiej możliwości odpowiedzi na grozę. Nie jest to przekaz klęski, lecz przekaz otwierający łączność z najgłębszymi źródłami nieuległości. Nie jest to przekaz zatury człowieczeństwa, lecz przekaz jego nieustrudzonej obrony i zdobywania; nie jest to przekaz zaniku nadziei, lecz nieugiętego nadziei utwierdzenia.

Pamięć o tamtym czasie przekracza grozę, dociera do światła, niesie światło, niesie ocalenie od lęku. Przynosi świadectwo zwycięstwa nad grozą. Tkwiące w pamięci znaczenie tamtych dni jest jednym z nieustających źródeł trwałości i odnawiania się pięknych cech naszej wspólnej polskiej tożsamości.

## DOBRY DZIEŃ ZGRUPOWANIA ŻYRAFY

*Jan Szewczyk urodził się 3 września 1930 roku w Warszawie; zginął w wypadku samochodowym 1 lutego 1975 roku. Należał do tego pokolenia, któremu wojna zabrała nie tylko dzieciństwo, ale także kształtowała charakter – odcisnęła się ona na jego osobowości i sposobie widzenia świata. W wieku 12 lat wstąpił do Saurych Szeregów. Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie miał lat 14 – uczestniczył w nim jako strzelec 227 plutonu harcercskiego AK na Żoliborzu. Doświadczył następnie losu jeńca wojennego, potem żołnierza armii gen. Andersa i emigranta. Po powrocie do Polski, w 1957 r., rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Należał do grona uczniów Ingardena, który również wtedy wrócił do pracy na Uniwersytecie. W filozoficznych pracach Jana Szewczyka, w warstwie metodologicznej odwołujących się do fenomenologii, dużą rolę odgrywa element przemocy, oporu, przeciwstawiania się światu – po prostu walki.<sup>1</sup>*

Barbara Markiewicz

W ścianę frontową domu uderzały raz po raz pociski. Tam gdzie już z niej nic nie zostało, szły na wylot przez zdemolowane wnętrza. Rozrywając się na tylnyc ścianie, zawałały gruzem podwórko. Nad dachem były moździerze granatami. Mieszkańcy tłoczyli się w piwnicach. Brzmiał żałośnie chóralny śpiew kobiet, odmawiano na kłęczkach modlitwy. Z harcercskiego plutonu osłony pozostało tylko paru ludzi. Reszta w akcji.

Rotmistrz *Jurand* stanął w drzwiach wejściowych. Schylił się. Przytrzymując za pasem rewolwer, pobiegł zgięty w poprzek podwórza. Gdy był blisko klatki schodowej, granat rąbnął przed nim o mur, na poziomie pierwszego piętra. Eksplodując, ciął wokół stałą, jak biczem. Rotmistrz upadł na beton. Nie wstawał.

Wyskoczyli *Kukułka* z *Bystrym*. Podbiegli. Podnieśli z ziemi. Beton pod nim zbroczony był krwią. Znów gruchnęły w podwórzu granaty. "Koniec." – Myśl błysnęła im z blaskiem wybuchów. Zaciągnęli oficera do klatki schodowej. Krwawił silnie przez pocięte ubranie. Ktoś w pobliżu krzychał o nosze. "Gówno z noszy" – powiedział *Bystry*.

Musieli wracać. Znowu skok przez prostokąt podwórka. Obok nich przebiegał pod ścianą jakiś pluton. Śmur pochylonych ludzi, w białoczerwonych opaskach, idących z bronią w rękę do akcji. Wybiegli na przedpole, przed dom, prawą bramą; lewa wiodła wprost na barykadę. Biegli milcząc. Pod butami zgrzytało szkło. Na widok *Kukułki* i *Bystrzego* ktoś wyskoczył z szeregu i przystanął. Hełm picchoty, piętnastoletnia twarz, palce białe na metalu "Błyskawicy" – *Ostoja*. "Gdzie *Jasiek*?" – wykrzyknął niecierpliwie. Nie zwalnając, pokazali bez słowa na przedpole. Odwrócił się i pobiegł za plutonem. Zniknął w bramie jeden z ostatnich. Oni znowu stanęli w klatce schodowej wstrząsanego wybuchami domu. Według rozkazu.

Dzień zaczął się zwyczajnie, jednostajną, artyleryjską kanonadą. Po południu, zakotłowało się gwałtownie i nagle. Niemiecka kolumna transportowa nieoczekiwanie zmyliła drogę. Zakręciła. Koniec ulicy blokowało barykada. Kiedy Niemcy zorientowali się w

<sup>1</sup> Opowiadanie – publikowane tutaj po raz pierwszy – zostało napisane w 1964 roku [przyp. BM].

sytuacji było już za późno. Przyczajeni na barykadzie chłopcy trzymali ogień. Posypało się szkło z przednich szyb samochodów. Kule bębniły po blachach. Kilka trupów pozostało na jezdni.

Silniki ścisły. Nikt już więcej nie próbował uciekać. Konwój znieuruchomiał. Barykada trzymała go w szachu: zaprzestano ognia, aby nie niszczyć samochodów. Za to niemiecka bateria na Burakowie zionęła teraz ogniem z dział i moździerzy. W ruch poszły także moździerze w obsadzonym przez Niemców Instytucie. Dom graniczny, barykadę i klasztor spowił dym i ceglasta kurzawa. Na przedpole wysunął się spory oddział niemieckiej piechoty.

Naprzeciw rzucono mu pluton osłony: chłopców z Szarych Szeregów i z BS, z barykady, z granicznego domu. Zaciągano w pomoc dalsze plutony zgrupowania. Akcja skupiała się coraz bardziej wokół unieruchomionych ciężarówek.

Z całego harcerskiego plutonu na przedpole pierwsza wpadła pięćsetka. Biegli według rozkazu w lewo w skos. Zapuscili się w ogródki działkowe. Stracili kontakt z resztą drużyny. Oderwali się od nich, wyprzedzili. Myśleli tylko o tym, żeby zdążyć.

Drużyna była w pełnym składzie. Przodem *Kolmar*, spocony i zdyszany, dźwiga maszynowy karabin. *Jurek* z *Jasiek*em nieśli skrzynki z taśmami. *Zgrywus* zmienia magazynek Thompsona. *Dion* i *Longin* – z karabinami. Amunicji mieli pełne kieszenie.

Tratowali po drodze grządki, waląc twardo w ziemię butami. Co tchu darli się przez żywopłoty i krzaki, chłostani po twarzach gałęziami. Potykali się na drutach i lejach. Aby pędzej.

Oni mieli zresztą najbliżej. Wkrótce też dostrzegli przez gałęzie szare budy pierwszych ciężarówek. Przebiegli chybkim kartoflisko, przypadli za ostatnim żywopłotem. Przed nimi jeszcze niska skarpa, parkan stargany pociskami, zarzewiałe druty kolczaste. Niżej co kilka metrów – samochody. Pierwsze trzy, dłuższy odstęp i pozostałe.

Za drogą, rozległy wertep. Wyboje, fundamenty, zgliszcza. Wydma piachu, resztki parkanu – niemieckiej piechoty ani śladu. Postukują rzadkie wystrzały. Drży powietrze od ryku wybuchów. Nad wertepem, gmach Instytutu.

*Kolmar* klęknął, dźwignął karabin, wbił go dwójnogtem w deskę ławki. Powiódł lufą po samochodach. Wepchnął *Jurkowi* w garść koniec taśmy. Szczęknął do tyłu zamkiem i położył palec na spuście. Kiwnął *Zgrywusowi*, że gra. – "Teraz..." *Zgrywus* obluźował za paskiem trzonkowiec i odcignał zamek Thompsona. Zepchnął do tyłu hełm, ocierając z czoła nerwowym ruchem pot. Spojrzał po chłopakach. Mieli blade, zacięte twarze i rozwarłe szeroko oczy. Kilkunastoletnie serca łomotały im zajadle pod żebrami. Broń trzymali gotową do strzału. "*Jasiek*" – warknął. – "Na wysokość drugiego wozu. Ty i *Longin* – brać trzeci. Uważać mi na siebie – patrzeć na mnie. Jak krzyknę, wszyscy naprzód. Jazda."

Poszli jeden za drugim, zgięci, lewą ręką wspierając się o ziemię, opadając co trochę na czworaki. Zajmowali wskazane pozycje. Gotowi.

Oblizal spierzchniałe wargi. Wczepił się oczami w swój samochód. Chyba ich nie kropną z barykady... Jak dotąd wylatywały stamtąd w górę raz po raz tylko piach i kamienie. Zdławił lęk. Zawył przeciągle – "Hura!" Zerwał się w skoku w przód. Biegł pędem. Nie spuszczał z oczu auta. Cisnął w dłoń uchwyt Thompsona. Strach zamieniał się teraz w nienawiść. Dopadł. Porwał za kłamkę. W aucie się zakotłowało. Niemiec leżał na siedzeniu szoferki. Teraz skoczył, rzucił się do drugich drzwi, rozwałł je szeroko na oścież. *Zgrywus* szarpnął swoimi. Otworzył. Thompson zadygotał mu w dłoni targnięty seria; sypnął strumieniami busek w bok, w płachtę wozu. Zmasakrowana kulami twarz Niemca

uderzyła topo o sledzenie. Rozmazując na nim smugę krwi trup zsunął się na jezdnię z drugiej strony.

Napięcie nerwów zelżało. *Zgrywus* rzucił oczyma w bok, skoczył tam. Widział *Jaśka*, jak prał z *Nagana* nad maskę wozu. Dalej klęczał na bruku *Longin*. Mierzył gdzieś wzdłuż reszty konwoju. Oudał strzał, repetował karabin. *Dżona* tylko nie było nigdzie widać.

*Jasiek* zachnął się nagle i odwrócił. Wskazał rewolwerem na Instytut. – "Widzisz?" – *Zgrywus* spojrział i zdrętwiał. Gdzieś mniej więcej z połowy wertepu podrywała się niemiecka tyraliera. Zagrzechotały karabiny maszynowe. Kilkadziesiąt postaci poderwało się do biegu. Zadudniły potężniej działa. Sparaliżowały barykadę i dom. "Nie utrzymamy wozów. Zgniotą nas." – pomyślał *Zgrywus*. – "Gdzież do jasnej cholery ten pluton?" Poszukiwał oczami *Kolmara*. – "Niech wali! Na co czeka!" – krzyczał do *Jaśka*.

W tej samej chwili usłyszeli za sobą grzmot serii. *Kolmar* także widział tyralierę. Wycelował starannie zanim dał serię. Rąbnął jeszcze dwie lub trzy. Widział przez celownik lewe skrzydło, jak się w ogniu załamuje i szczyrbł, jak Niemcy przypadają do ziemi, jak odstrzeliwują się bezładnie z broni ręcznej. Czwarta seria urwała się nagle. Ściągnął spust. Nic z tego. Zacięcie. Otworzył prędko zamek. – "Jasiu! Kosęć!" – ryknął przez żywoplot. Zaczynały mu latać ręce. Zaklął wściekle na *Jurka*, a tamtemu oczy zaszyły łzami. "Czy to moja wina, do cholery?"

Tyraliera znówu parla naprzód. Przypadł *Jasiek*, podał mu finkę, zaczął spiesźnie ładować rewolwer. *Jurek* przykucnął obok z taśmą w garściach. *Kolmar* szarpnął nożem urwaną łuskę. Nie wyjdzie.

Nieprzyjaciel zbliżał się skokami. Strzelał nie oszczędzając amunicji. Na szosie zaczynało być gorąco. *Zgrywus* puścił jeszcze kilka krótkich serii, lecz z małym skutkiem. "Skończą nas tu na jezdni!" – przeleciało mu przez głowę. – "Chodu chłopaki! Choć!" – wrzasnął machając ręką. *Dżon* pociągnął *Longina* za nogawkę. Odskoczyli pod skarpcę, za żywoplot. *Zgrywus* cały czas ich osłaniał. Gdy usłyszał z tyłu huk ich karabinów, skoczył i on.

*Kolmar* szalał. Był bez broni. Obok chłopcy, wciśnięci w ziemi, strzelali i repetowali nieustannie. Coraz prędzej, coraz bardziej gorączkowo. Piasek zgrzytał w zamkach karabinów. Powietrze drżało od gorąca nad lufami. "Spokojnie!" – krzyknął *Zgrywus*. Podniósł głowę znad swojego Thompsona. – "A ty leć z tym do rusznikarza!"

Kule cięły po gałęziach, po ziemi. *Kolmar* wyszarpnął taśmę, porwał karabin z ławki, zniknął w krzakach.

Nieprzyjaciel był już o rzut granatem. Osiągał szosę. Prażył z bliska z broni maszynowej. Przytkoczył pięćsetkę ogniem. Raz po raz obsypywała ich ziemia, owiewały podmuchy wybuchów, wymacywały karabinowe serie. Nagle z prawej strony buchnęła gwałtowna strzelanina. Nadszło wsparcie – za późno.

Poczógali się z rozpaczą w tył. Skoczyli w krzaki. Gdy zwrócili się do Niemców plecami, ogarnęła ich panika. Uciekali na lew na szyję, wśród gwizdu kul, harataniny wystrzałów. Rozproszyli się i pogubili w gęstwinie. *Jasiek* trzymał się *Zgrywusa* resztką sił. Czarne płyta latały mu przed oczami. Ziemia przyciągała nieodparcie. Strach gnał naprzód. Nie zauważyli nowego, podchodzącego w szyku bojowym, plutonu. Niewiele brakowało, aby dostali się pod jego ostrzał. Zatrzymali się. *Jasiek* rozpoznał *Ostoję* – uśmiechnęli się do siebie. Zawrócili.

Znówu do natarcia. Na komendę poderwało się ich teraz ze dwudziestu. Zagrały serie, zahuczały pojedyncze wystrzały. Ktoś tam krzyknął i pozostał na grządkach. Ktoś zatoczył

się i upadł na rosnące tutaj krzaki, łamiąc z trzaskiem gałęzie. Ktoś zawołał rozpaczliwie: "Nosze!"

Prawe skrzydło – harcowski pluton. Stan – jeden, pięćdziesięciu dwóch. Dowódca – podchorąży *Adam*. Wyprowadził natarcie z olszynki. Rozwinął drużynami w poprzek działek. Kierunek – wieża Instytutu. Wszystko biegiem. Biegiem bez wytchnienia. Ze zmęczenia płątały się nogi. Oddychanie stało się torturą. Tętna rozsadały skronie. Szosa była jednak coraz bliżej. Podchorąży skoczył przez ścieżkę, zwrócił się do plutonu, wydawał rozkaz ochrypłym głosem. I wtedy zawadziła go niemiecka seria. Zgiął się, potknął. Parabellum wyleciało mu z ręki. Podirzymało go dwóch chłopaków najbliższej bieżącej. Toczył jeszcze głowę i rzeźił, ale leciał bezładnie przez ręce. Z ran na szyi tryskała krew. Dalej pluton poprowadził jego zastępca.

Koło samochodów zawrzało. Niemcy prędko jednak zrezygnowali z dalszej walki. Ustępowali pola strzelając chaotycznie choć gęsto, osłaniając się ogniem cekaemów. Trzy czy cztery ostatnie samochody podpalił ręcznymi granatami. Ostrzelani z dziedzińca klasztoru, wycofali się do Instytutu. Wystrzelona przez nich rakietą wzbija się w wieczorne niebo. Artyleria rąbnęła szrapnelami.

Za Burakowem zachodziło słońce.

W płonących na drodze ciężarówkach wybuchała amunicja i granaty, rozrzucając w krag czerwone iskry i żagwie. Nad drogą klebił się czarny dym. W dom graniczny uderzały pociski. Nad działkami rozrywały się szrapnele, a ich odłamki spadały jak grad. Poprzez mrok przewalała się burza ognia, eksplozji, wystrzałów. Przesuwały się zjeżone łufami karabinów sylwetki ludzkie. Rozbrzmiewały wołania i rozkazy. Szybko przebiegały sanitariuszki. Marł dzień. Gromadzili się przy domku na prochni. W podwórzu było tu widno od luny: przeświecała spomiędzy drzew; wychodzili grupkami z olszyny. Byli wytarczani w ziemi i spoceni, pokrzwawieni i zmordowani. Szli do kranu, dowcipkując i klnąc. Pili wodę łapczywie i długo, podsuwając usta pod strumień. Rozmawiali półgłosem. Wyciągali się swobodnie na bruku, opierając się o drugich głowami, rozprężając zeszywniałe mięśnie.

*Zgrywus* siedział wsparty o ścianę, w potarganej na drutach koszuli. Obok *Kotmar* z nieprawionym kaemem. Dalej w cieniu, reszta płatej drużyny. *Dżon* tamował chustką krwotok z nosa. Hełm miał zgięty uderzeniem odłamka. – "Tak brachu, tam pomarańczami nie rzucali" – mówił komuś z przechwalką *Zgrywus*. Patrzył w lunę zmęczonymi oczami. Liczyli pozostałą amunicję i oglądali broń. W oczach żarzył się odblask pożaru. Z gasnącym powoli podnieceniem dzielili się wrażeniami tego dnia. Noc robiła się coraz bardziej czarna. Nikt już więcej nie wychodził z olszyny. Pod płotem, gdzie przez chwilę leżał trup podchorążego *Adama*, srebrny piasek poczerniał od krwi.

Odpooczywali. Wciąż nie było nowych rozkazów. *Ostlicz* zanucił "Szare Szeregi". Kilka głosów podchwyciło nierówno. Podnosząc się zawtórowali i inni. Cichy śpiew szarmonizował się i spotężniał. Był potrzebny jak broń i jak woda. Jak twardy bruk pod plecami. Wolno, szumnie, pomuro niosła się konspiracyjna pieśń. Słowa były ciałem i krwią. Stwierdzały banalną prawdę, że "iść będziemy w ogień szarymi szeregami".

Wyładunek zdobytych samochodów trwał do późna w noc. "Cenna zdobycz wpadła w ręce powstańców: 36 cekaemów, duża ilość trotylu, kilka skrzynek splotek, amunicji, granatów." Tak napisze po latach historyk.

**ŚRODOWISKO  
W OCZACH WŁASNYCH**

## WSPOMNIENIE Z LAT 1939-1944

*Przegląd Filozoficzny* r. 42/1939-1946 z. 3-4 s. 342-348;  
wyd. zm.: Władysław Tatarkiewicz,  
*"Droga do filozofii" i inne rozprawy filozoficzne*,  
Warszawa 1971 PWN, s. 174-182

Z lat okupacji, w których nauczanie i wszelka praca naukowa były tajne, nie ma w bibliotekach sprawozdań drukowanych, ani też w archiwach nie ma śladów tego, co działo się wówczas z filozofią. Trzeba się odwołać do wspomnień osobistych.

W roku akademickim 1938/39, ostatnim przedwojennym, co tydzień wieczorem, gdy już pustoszały gmachy uniwersyteckie przy Krakowskim Przedmieściu, spotykaliśmy się w Seminarium Filozoficznym w niewielkim gronie na dyskusję. Należeli do tego grona starsi słuchacze i słuchaczki, przede wszystkim zaś ci, którzy ukończyli Uniwersytet i już prowadzili własne samodzielne prace. Grono to nie było zwykłe: przez ćwierć wieku nie widziałem tak harmonijnego, złożonego z ludzi tak bardzo zdolnych, wyrobionych, o tak szerokiej kulturze. Byli w nim historycy, zarówno znawcy antyku jak i czasów najnowszych, etycy i estetycy. A wszyscy łączyli filozofię z kulturą literacką, z doświadczeniem artystycznym. Zajmowali się specjalnie sprawami humanistycznymi i stanowili pod tym względem uzupełnienie *warszawskiej szkoły logicznej*. Wszyscy umieli pisać nie tylko naukowo, ale i literacko. Byli jakby stworzeni na to, by kulturę filozoficzną wprowadzać w życie, a konkretnymi aktualnymi zagadnieniami ożywić filozofię. Każdy miał swe indywidualne zagadnienia, ale łączyła ich wspólna postawa naukowa. Ale nie tylko naukowa: łączyła ich także jakaś wspólna atmosfera ludzka i związki osobiste, przyjacielskie.

Tak było jeszcze w 1939 roku, do samej wojny. Dziś z tego grona nie został prawie nikt.

Gdy wybuchła wojna, dwaj – Wasilewski i Siwecki, obaj oficerowie rezerwy – zostali zmobilizowani. I nie wrócili.

*Michał Wasilewski* urodził się 24 VIII 1906 r. Dzieciństwo spędził na dalekich kresach białoruskich. Potem już stałe mieszkał w Warszawie, w domu swych rodziców naprzeciw kościoła św. Krzyża, najbliższy sąsiad Uniwersytetu. W Uniwersytecie skończył najpierw studia polonistyczne, potem przeszedł do filozofii. Doprowadziła go do niej nie tyle ciekawość teoretyczna, ile potrzeba uczuciowa. Miał swój dramat życiowy: w młodości niebaczny strzałem na polowaniu spowodował śmierć swego krewnego i przyjaciela. Został w nim uraz; nie uwolniły go odcień świetne warunki życiowe, jakie dał mu los; uczyniła to dopiero filozofia i ta szczególna atmosfera, pogodna i przyjacielska, jaka panowała w owych latach w warszawskim zespole filozoficznym. Potem był asystentem przy katedrze filozofii. Z upodobania i uzdolnienia przede wszystkim historyk, zajmował się historią filozofii nowożytnej, w szczególności Malebranchem. Ale rozpoczętej dużej pracy o nim nie zdążył doprowadzić do końca; ukazał się tylko drobny fragment w *Przeglądzie Filozoficznym* pt.

"Kartezjusz i Malebranche", 1937 r. Zginął pod osadą Kriwa Łuka w pow. czortkowskim 17 IX 1939 r.

*Jerzy Siwecki* miał dwie specjalności naukowe: filozofię i filologię klasyczną. I on także w filozofii był głównie historykiem, przede wszystkim filozofii średniowiecznej. Był wyjątkowym mediewistą – dla swej znajomości starożytnych źródeł scholastyki. Był gorącym katolikiem i studia historyczne nad scholastyką harmonijnie zespalały się z jego osobistymi przekonaniami. W *Przeglądzie Filozoficznym* ogłosił w 1932 r. "Zagadnienia filozoficzne *Konsolacji Boecjusza*", a potem "Rozumowanie praktyczne i prawda praktyczna u *Arystotelesa*", 1935 r., zaś w *Księdze Pamiątkowej Gustawa Przychockiego* z 1934 r. rozprawę, w której analizował arystotelesowskie pojęcia działania i tworenia.

Przed wojną pracował w szkolnictwie średnim, w gimnazjum na Bielanach: pochłonięty wyczerpującą działalnością pedagogiczną, zajęty katolickimi organizacjami młodzieżowymi, znajdował jednak czas na pracę naukową. Podjął dużą pracę o klasyfikacji umiejętności u *Arystotelesa* i jego średniowiecznych następców, ale dopiero część jej była gotowa, gdy wyruszał na wojnę, aby z niej nie wrócić.

I trzeci jeszcze z tego filozoficznego grona ubył wkrótce: był to *Bolesław Miciński*. Także i on – pośrednio – był ofiarą wojny: zdołał uciec okupacji niemieckiej do Francji, ale tam w ciężkich warunkach emigracyjnego życia zapadł na gruźlicę. Urodził się w majątku rodzinnym Mokra na kresach południowo-wschodnich na Podolu w pow. bałteckim 23 IV 1911 r. Był jeszcze dzieckiem, gdy w 1917 r. rodzina jego musiała opuścić tamte strony. Lata szkolne spędził w Bydgoszczy, uniwersyteckie w Warszawie. Zaczął od historii sztuki, potem przeszedł do filozofii. Był zarazem filozofem i poetą. Był typowym członkiem tego grona, łączącym kulturę filozoficzną z literacką. W 1933 r. wydał tom wierszy *Cień z Gietsemana*, w 1937 r. tom esejów *Podróże do piekieł*, w którym spletały się w pełen wdzięku sposób tematy poetyckie z filozoficznymi, Karol May i Gulwerg z Kartezjuszem. Natomiast praca filozoficzna, magisterska praca o *Deformacji rzeczywistości w literaturze* zginęła podczas wojny. Rok 1937/38 spędził na studiach w Paryżu i Grenoble, pracując nad Cousinem. I jemu, tak samo jak Wasilewskiemu i Siweckiemu, większej pracy filozoficznej nie sądzone było skończyć. Została tylko z jego lat francuskich żartobliwa, ale jakże uroczą pamiętka w postaci eseju "Dyliżans filozoficzny", ogłoszonego w *Przeglądzie Warszawskim* w 1938 r. Po powrocie do kraju objął stanowisko naczelnika działu literackiego w Polskim Radio, ale pozostał przy Uniwersytecie jako drugi asystent przy katedrze filozofii. W 1942 r. ogłosił "Portret Kanta": zagadnienia starości stojące wobec śmierci. Była to praca najdojrzałsza Micińskiego, niepospolita literacko i psychologicznie. Tylko to, że sam stał oczy w oczy ze śmiercią, tłumaczy, że mógł tak rozumieć i odczuć starość. Umarł wkrótce po jej napisaniu, w maju 1943 r. w Grenoble. Choć śmierć była wówczas w Warszawie rzeczą najcodzienniejszą, ta śmierć daleka przejęła wszystkich, bo zmarł człowiek nie tylko dużych zdolności, ale też niezwyklego uroku osobistego, mający samych tylko przyjaciół. Na szczęście znaczna część jego esejów, recenzji, korespondencji przechowała się i została wydana w 1970 r.

Gdy skończyło się oblężenie Warszawy, gdy wrócili ci, którzy się rozproszyli po kraju, w październiku 1939 r. zebraliśmy się znowu. Uniwersytet był w ruinach i nieczynny, spotykaliśmy się w moim domu. Tamtych kilku zabrakło, ale byliśmy jeszcze dość liczni. Pierwszy referat nawiązał do świeżych przeżyć, miał za temat "Katastrofy dziejowe a poczucie nieszczęścia". Odtąd zbieraliśmy się co tydzień: spotykaliśmy się w poniedziałki po południu,

by się rozejść dopiero przed samą godziną policyjną. Spotykaliśmy się w różnych mieszkaniach na Suchej i Kruczej, Wspólnej i Chłodnej, gdzie wydawało się mniej niebezpiecznie. Tematy już potem nie były aktualne, przeciwnie, odprowadzały daleko od ówczesnej rzeczywistości: pierwsze, pamiętam, dotyczyły Bergsona, Koła Wiedeńskiego, Kierkegarda i Heideggera, Władysława Dawida. Nawet w najgorętszych czasach nie przerywaliśmy tych poniedziałków. Nieraz, idąc na nie czy wracając z nich, trzeba było bardzo uważać, by nie wpaść w niemieckie ręce. Przeszło sto pięćdziesiąt tych zebrań poniedziałkowych odbyliśmy w czasie wojny. Dla wielu z nas był to najlepszy, oczekiwany dzień tygodnia.

Ale jeszcze w ciągu pierwszej zimy zabrakło *Jana Mosdorfa*. Został aresztowany, osadzony w Pawlaku i już nie wrócił. Mniej więcej po roku został przywieziony do Oświęcimia i tam po czterech latach męki zmarł jesienią 1944 r. Należał do starszych w tym gronie, urodzony był w 1904 r. Nazwisko jego było szeroko znane, ale jako polityka o aspiracjach skrajnie narodowych i radykalnych społecznie. Jako jeden z przywódców młodzieży tego pokolenia wywarł na nią niemały wpływ. Tragiczny spłot okoliczności spowodował, że po 1934 r. musiał się ukrywać. Gdy potem wrócił do Warszawy, głowę miał pełną pomysłów, koncepcji historycznych i projektów na przyszłość, przekonany o potrzebie całkowitej przebudowy świata, a w szczególności Polski, przebudowy społecznej, politycznej, gospodarczej, umysłowej. Ale nie chciał się zajmować polityką czynną, chciał pisać. Ogłosił w 1938 r. w syntetycznej formie swe idee historiozoficzne i społeczne w dwóch tomach pt. *Wczoraj i jutro*. A przede wszystkim zaś garnął się do filozofii. Swą rozprawę doktorską o *Historiozofii Comte'a* jeszcze przerabiał do druku, wydawszy z niej tymczasem tylko fragment "Czy Comte był pozytywistą?" w *Przeglądzie Filozoficznym* w 1938 r. Inne prace miał dopiero zacząć. Ci, co wrócili z Oświęcimia, z podziwem i wzruszeniem mówili o jego postawie w obozie: pogodą, cierpliwością a odwagą umiał podtrzymywać na duchu towarzyszy niedoli.

W ciągu wojny ubył również *Jan Gralewski*. Z zainteresowań i uzdolnień najbliższy był Micińskiemu: były one na pograniczu filozofii i sztuki. Urodzony 3 III 1912 r. w Warszawie, w niej też od początku odbywał studia uniwersyteckie. Odbywał je długo, musiał bowiem pracować na życie swoje i matki. Ale gdy wreszcie napisał pracę magisterską, była znakomita. Temat jej był zbliżony do pracy Micińskiego: *Deformacja rzeczywistości w sztuce*. I ta praca zginęła podczas wojny. Rok 1938/39 spędził jako stypendysta rządu francuskiego w Paryżu. Przygotowywał drugą pracę z estetyki. Na dwa tygodnie przed wybuchem wojny zdążył wrócić do kraju. Ale walizka zawierająca rękopis pracy estetycznej, wysłana oddzielnie, zaginęła. Fatalność chciała, że zostały po nim tylko drobiazgi: "Sztuka organizowania przestrzeni" w *Arkadach*, "Współczesność w sztuce współczesnej" w *Życiu Sztuki*. Podczas wojny pisał eseje, do większych prac nie mógł wrócić, przeszkadzały troski wojenne, a zwłaszcza zajęcia konspiracyjne. Przy spełnianiu ich jako kurier zagraniczny – zginął tragicznie w 1943 r. z generałem Sikorskim w katastrofie samolotu pod Gibraltarem.

Mimo tych strat w ludziach «poniedziałki» odbywały się dalej. Nawet weszły w nową fazę: od przygodnych referatów przeszliśmy, począwszy od 1943 r., do pracy zbiorowej, do wspólnego opracowywania *Zagadnień filozofii*. Rozdziały tej przyszłej książki, podzielone między uczestników zebrań, kolejno co tydzień były czytane i dyskutowane. Dział jej pierwszy omawiał ogólnie dyscypliny filozoficzne, drugi – zagadnienia metafizyczne, trzeci – teorii poznania, czwarty – etyki, piąty – estetyki, ostatni miał dać przegląd najważniejszych historycznych typów filozofii. Zabrakło tamtych kolegów, ale przyłączyli się nowi, przede

wszystkim ks. prof. Jan Salamucha, który po powrocie z Sachsenhausen i Dachau osiadł w Warszawie, i dr Jan Lempicki, obaj wychowankowie Uniwersytetu Warszawskiego, dawniej uczestnicy Seminarium Filozoficznego. W pracy zbiorowej wszyscy brali czynny udział. W lecie 1944 r. trzy pierwsze działy książki zostały już oddane wydawcy, Stefanowi Dippłowi.

Tymczasem przyszło Powstanie. I zabrało bez mała całą resztę uczestników tego grona. Zginęli: Mieczysław Milbrandt, ks. Jan Salamucha, dr Jan Lempicki, Alicja Szebekowa, Danuta Krzeszewska.

*Mieczysław Milbrandt* urodził się 2 II 1915 r. w Łodzi i tam uczęszczał do szkół średnich. W 1934 r. wstąpił do Uniwersytetu Warszawskiego, w 1938 r. ukończył go. Bezpośrednio potem został asystentem przy katedrze filozofii. Podczas wojny pozostał na tym stanowisku, spełniał funkcje asystenta uniwersytetu tajnego, a potem funkcje docenta historii filozofii, choć nie miał jeszcze habilitacji, a nawet doktoratu. Wykładał także na kompletach Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, uczył propedeutyki filozofii na kompletach gimnazjalnych. Aż do Powstania, do śmierci.

Pisać i drukować zaczął wcześniej. Jeszcze przed skończeniem Uniwersytetu, w 1937 r. i 1938 r. ogłaszał artykuły filozoficzne w *Pionie*, *Narodzie i Państwie*, *Prosto z mostu*, *Polsce Zbrojnej*. Były to artykuły popularne, pisane właściwie dla zarobku, niemniej ze względu na dobór tematów i zajmowane stanowisko godne uwagi. Była tam "Obrona myśli" oraz także artykuł o "Niebezpieczeństwie teorii naukowych", zwrócony przeciw jednostronnemu wywyższaniu myśli. Był "Sceptycyzm a konieczność światopoglądu": mimo wszystkie racje i ponęty sceptycyzmu jakieś konstrukcje myślowe są potrzebne, nieuniknione dla życia. Była rzecz o "Religii i kulturze", w której wywodził, że religia ma swe źródło w poczuciu tajemniczości otaczającego świata i przeto musi wchodzić w konflikt z kulturą, która chce być wolna od tajemnic. W "Potrójnym życiu" wywodził, że rzeczywistość, w której żyjemy, to nie tylko jawa, ale także sny; a jeszcze i marzenia stanowią dla nas trzecią rzeczywistość. W "Wiedzy o człowieku" podkreślał za Carrelem niedostosowanie cywilizacji do człowieka. Występował o "Powagę życia", o pogląd na świat i odpowiedzialność ją swój pogląd. Referował teorie naukowe, teorię czasu, teorię względności, nowe koncepcje fizyczne i astronomiczne wszechświata, ale kończył referat – po swojemu – rozmyślaniami o człowieku, o jego wielkości i nicości.

Od r. 1938 przerwał te artykuły. Znalazłszy inne źródło zarobkowania, zaczął książkę filozoficzną z dziedziny etyki, miała mieć za temat *Cnotę a obojętność*. Ale przyszły czasy wojenne nie sprzyjały pracy; częściowo ją spisał, ale jej nie skończył. A to, co napisał, uległo podczas Powstania zniszczeniu. Tylko "Trzy szkice" odnalezione w ruinach jego mieszkania na Mokotowie – wydrukowane w *Nauce i Sztuce* (I, 2/3, 1945) – stanowią ostatnią po nim pamiątkę.

Podczas wojny objawiły się jego zdolności jako mówcy. Miewał wykłady, wygłaszał w prywatnych mieszkaniach odczyty, brał czynny udział w różnych zespołach, zebraniach, zarówno literackich jak filozoficznych. Był człowiekiem wielu możliwości, a nauka była tylko jedną z nich. Miał łatwość i szybkość pracy niezwykłą. Nieraz długimi okresami nie pracował naukowo, ale potem w niewiele godzin było gotowe to, nad czym inni musieliby siedzieć tygodniami. I w stosunku do swej pracy miał tę niedbałość, która cechuje ludzi wyjątkowo zdolnych. Ścisłymi metodami nowej filozofii operował swobodnie, jednakże – nie cenil ich, przejmowały go inne zagadnienia, których niepodobna ujmować ściśle.

Wykładami z historii filozofii wzbudzał w słuchaczach zachwyt, jednak i ona nie była prawdziwym jego zamiłowaniem. Tym była filozofia współczesna: znał ją w jej rozlicznych kierunkach, rozumiał i odczuwał bodaj jak w Polsce nikt z jego pokolenia. Miał jakieś szczególnie wyczucie swej współczesności, zwłaszcza tej, co widziała niepojętość bytu i tragizm ludzkiego istnienia. Podczas wojny poznał Kierkegaarda i Heideggera i przejął się ich filozofią<sup>1</sup>; to była właśnie ta, do której on sam szedł. Umiał z zawitych, niezrozumiałych zdań Heideggera wyjąć prosty w gruncie rzeczy obraz egzystencji ludzkiej, jej codzienności i nieustannej troski. Mówił o tym często i niepodobna było go słuchać bez przejęcia. Pierwszy szerzył w Polsce filozofię egzystencjalizmu; szerzył tylko ustnie, ale ślad pozostał.

Najważniejsze z jego myśli były, jak się zdaje, takie. Po pierwsze, że świat jest tajemniczy i niepokojący, i ten niepokój rodzi filozofię. Cywilizacja zmniejsza niepokój, ale zarazem zmniejsza człowieka. Po drugie, racjonalne ujęcie nie wystarcza do poznania świata z jego tajemnicami. Ale cuda i czary, jakże ludzie wymyślają, również nie pomogą. Po trzecie, potrzebujemy poglądu na świat, a nie posiadamy niezawodnych sposobów, by go wytworzyć. "Kto nie filozofuje sercem, trzewiami, krwią, rokiem który był, a także następnym dniem, ten najczęściej powtarza słowa bez treści." Po czwarte, nie zastąpią tego teorie naukowe. Ale są niebezpieczne, bo ukazane masom, stają się dla nich z hipotez dogmatami i – jak freudyzm czy teoria względności – głęboko wpływają na życie tych mas. Po piąte wreszcie, najważniejszą dla człowieka sprawą jest nie byt, lecz jego własna ludzka egzystencja, z jej troską, ciężeniem do śmierci, przytłoczeniem codziennością, spod której z trudem wylania się prawdziwe istnienie zgodne z naszą naturą. Życie "nie wiadomo ku czemu zdąża i w jakim miejscu się znajduje. Początek młki z oczu, a końca nie można dostrzec."

Ale jego koniec przyszedł szybko. W chwili wybuchu Powstania, 1 sierpnia 1944 r. zaciągnął się w szeregi wojska. Już 8 sierpnia rzucony do szturm na Sejm, został ranny, a następnego dnia zmarł od ran.

Ks. Jan Salamucha, urodzony w r. 1903, został przed wojną powołany na profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ale kampanię wrześniową przeżył jako kapelan wojskowy w Warszawie, na linii frontu. Z raną i Krzyżem Walecznych wrócił do Krakowa. W niewiele dni później został wraz z innymi profesorami wywieziony do Sachsenhausen, a potem do Dachau. Wrócił w styczniu 1941 r. wyniszczony fizycznie, ale gdy tylko zdrowie pozwoliło, wrócił do pracy. Osiadł w Warszawie i tu do końca okupacji jako wikariusz u św. Jakuba gromadził rzeszę inteligencji, wykładał filozofię w Seminarium Duchownym, prowadził wykłady na Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, miewał odczyty dla szerszej publiczności, "dwoił się i troił w codziennym trudzie jako duszpasterz, profesor, filozof i mądry doradca".

Był wychowankiem Uniwersytetu Warszawskiego, zarówno Wydziału Filozoficznego, jak sekcji filozoficznej Teologicznego, uczniem ks. St. Kobyłeckiego, J. Łukasiewicza, St. Leśniewskiego. Na pierwszym planie była logika, ale także historia myśli filozoficznej. Był autorem szeregu rozpraw: *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i Tomasza z Akwinu*, 1930; "Logika zdań ogólnych u W. Ockhama", 1935 i; "Pojawienie się zagadnień antynominalnych na gruncie logiki średniowiecznej", 1937. Był jednym z tych, co usiłowali scholastykę złączyć z logiką. Na Zjeździe Filozofów Polskich w Krakowie w r. 1936 wygłosił trzy referaty, które razem z głównym referatem J. Łukasiewicza i rozprawami I. Bocheńskiego

<sup>1</sup> Ks. K.M. Michałski w *Przeglądzie Filozoficznym*, t. XLII, 1946, i w oświadc: *Wspomnienia o filozofach zmarłych 1939-1945*, Kraków 1946.

i R. Drewnowskiego ukazały się drukiem pt. *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej*, 1937. Podczas wojny pracował naukowo dalej, przygotowywał do druku książkę *O chrześcijańskim stylu w filozofii*. Maszynopis dużej jej części zachował się, miał być ogłoszony, ale dotąd nie został.

Podczas Powstania Warszawskiego bronił się w wielkim bloku mieszkaniowym między ulicami Mianowskiego, Uniwersytecką i Wawelską. Padł jako kapelan powstańców 8 sierpnia 1944 r.

Tego samego dnia i w tym samym bloku poległ również *Jan Lempicki*. Był człowiekiem mającym pełne kwalifikacje do pracy w szkolnictwie wyższym, jednakże wolał uczyć dzieci w szkole podstawowej. Był z zawodu polonistą, ale o dużych kompetencjach filozoficznych: świadectwem tego jest jego najobszerniejsza praca: *Historiozofia H. Taine'a*, 1938. Przed wojną zaczął pracować nad Bolesławem Prusem, a w szczególności nad jego poglądami etycznymi. Opierając się na ogromnym materiale z filozofii dawniejszej i współczesnej dowodził, że różniły się od wszystkich głoszonych dotychczas poglądów, że jest omyłką traktowanie ich jako utylitarystu czy eudajmonizmu. Myśl swą wyłożył w r. 1942 na odczyt "Założenia etyczne Madzi Brzeskiej", niezapomnianym dla słuchaczy. Jeśli odpisy prac jego – umysłu syntetycznego, samodzielnego, a zarazem niezwykle skrupulatnego i ostrożnego – zwłaszcza prac ostatnich, między innymi owego odczytu o Prusie nie zachowały się, to jest to strata niepowetowana.

*Alicja z Tyszkiewiczów Szubekowa*, uosobienie przywiązania do filozofii, znajdowała zawsze czas na nią mimo absorbujące zajęcia rodzinne, społeczne, towarzyskie, charytatywne, a podczas wojny przede wszystkim wojskowe. To w jej domu najczęściej odbywały się zebrania poniedziałkowe. Przygotowała pracę o stanowisku etycznym Żeromskiego. Była kobietą wielkiej kultury, wielkiego serca, niezłomnego charakteru. Zginęła jako oficer Armii Krajowej przy barykadzie na ulicy Piłsa.

*Danuta Krzeszewska* była najmłodszą z tego grona, urodzona w Warszawie 18 XII 1919 r. W chwili wybuchu wojny była jeszcze w początkach studiów uniwersyteckich. Podczas oblężenia Warszawy pracowała jako sanitariuszka. W jednym z końcowych dni placówka jej była na terenie Uniwersytetu, wtedy trafiony pociskiem zaczął płonąć budynek mieszczący Seminarium Filozoficzne; trzeba było ratować bibliotekę, ale pociski padały tak gęsto, że nikt nie odważył się wyjść ze schronu; ona jednak wyszła i sama wyносиła książki, aż za jej przykładem poszli inni. Za to i inne akty odwagi była odznaczona Krzyżem Walecznych. Niepodobna powiedzieć, ilu ludziom w latach wojny pomogła w niebezpieczeństwie, sama się narażając, ilu uratowała. Podczas Powstania była znów sanitariuszką. I ratując rannych podczas nalotu w Śródmieściu, zginęła przy ulicy Zgoda 4 IX 1944 r. Zespoliły się w niej własności tego grona: kultura umysłu otwarła na wszystko a wolnego od dogmatów, odwaga, pełnia życia, a zarazem poczucie nieszczęścia, jakby instynkt pokolenia, któremu sądzona była zagłada.

Pokolenie to, urodzone bezpośrednio przed pierwszą wojną światową i podczas niej, a wykształcone przed drugą, zostało zdziesiątkowane i utworzyła się wyrwa, jakby brak jednego pokolenia w dziejach filozofii polskiej.

## KAZIMIERZ TWARDOWSKI

*Naród i Państwo* r. 3/1938 nr 7-8 s. 5

My, młodzi, należymy już do drugiej generacji uczniów [Kazimierza] Twardowskiego. Wśród nauczycieli naszych znajdują się ci, którzy byli pod bezpośrednim jego wpływem: [Tadeusz] Kotarbiński, [Kazimierz] Ajdukiewicz, [Władysław] Witwicki i in. Przed siedemnastu laty wydali oni *Księgę pamiątkową* ku uczczeniu wówczas już dwudziesto-pięcioletniej działalności nauczycielskiej Twardowskiego. Za ich pośrednictwem z jednej strony i za pośrednictwem prac naukowych Zmarłego – z drugiej, poznaje i będzie poznawać społeczeństwo polskie poglądy i – co równie ważne – sposób myślenia i metody pracy [...] Twardowskiego.

Aby omówić całokształt działalności naukowej i organizacyjnej Zmarłego, trzeba by obszerniej monografii. Tutaj wskażemy jedynie najważniejsze punkty jego działalności. Oto kilka tytułów jego prac: "Wyobrażenia i pojęcia" (1898), "O tak zwanych prawdach względnych" (1900), *Zasadnicze pojęcia dydaktyki i logiki* (Lwów 1901), *O filozofii średniowiecznej wykładów sześć* ([Lwów-Warszawa] 1910), "O czynnościach i wytworach – kilka uwag z pogranicza psychologii, gramatyki i logiki" ([1912]) i wiele innych.

Ale prace wydane stanowiły jedynie część jego działalności. W r. 1895 rozpoczął pracę nauczycielską na Uniwersytecie we Lwowie; trwała ona nieprzerwanie 35 lat. Wykładał tam logikę, psychologię, etykę, teorię poznania, historię filozofii, estetykę, a nawet dydaktykę ogólną. Prowadził seminaria filozoficzne i zakład psychologiczny; założył w r. 1904 we Lwowie Polskie Towarzystwo Filozoficzne. Oto kilka punktów jego pracy. Wśród bezpośrednich uczniów znajdowali się nie tylko filozofowie, wszyscy zaś przyjęli od niego przede wszystkim sposób myślenia.

Czytelnik dzieł Twardowskiego nie znajdzie w nich jakiejś uniwersalnej odpowiedzi na wszystkie zagadnienia życia; nie dał On systematu filozoficznego, ani nie usiłował w pracach zamieszczać indywidualnych, swobodnych refleksji nad całością życia. Każda rozprawa – to rzeczywisty wysiłek myślowy, oświetlający jakiś nieporuszany dotąd przedmiot albo odpowiadający na zagadnienie, otoczone dotąd atmosferą różnorodnych, sprzecznych i mętnych przekonań; odpowiedzi dane na takie zagadnienia, świadomie przeciwstawiane są często fałszywym sugestiom zwodniczych dowodów, a ukazują źródła mętności i fałszu w wieloznaczności wyrazów i niedomówieniach. Przypatrzmy się na przykładzie Jego sposobowi rozwiązywania zagadnień.

W r. 1898 zamieszcza Twardowski w czasopiśmie *Iris* artykuł pod tytułem: "Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie".

Na wstępie wskazuje na powszechność przekonania, według którego człowiek czyni wszystko z pobudek egoistycznych. Wskazuje potem na różnicę między hedonizmem etycznym (pogląd, według którego postępowanie powinno mieć na celu zadowolenie działają-

cego) i hedonizmem psychologicznym (pogląd, zgodnie z którym postępowanie nie może mieć innego celu, jak tylko własne zadowolenie).

Celem artykułu jest zwalczanie hedonizmu psychologicznego. Autor wskazuje na to, że zwolennicy tego poglądu nie używają nazwy "egoizm" we właściwym znaczeniu. Aby postępowanie nazwać egoistycznym, musi ono nie tylko mieć na celu przyjemność działającego, ale musi ono łączyć się z czymś przykrością; w przeciwnym bowiem razie człowiek pragnący i dążący do własnego wyleczenia z jakiejś choroby byłby egoistą. Choćby więc przyjąć, że człowiek ratuje drugiego z płonącego domu, pragnie jedynie poczucia własnego bohaterstwa, to jednak postępowania jego nie można nazwać egoistycznym. Nawet jednak zgadzając się na takie znaczenie nazwy "egoizm", jakie nadają jej hedoniści, to trzeba by im się przeciwstawić. Aby bowiem przyjemność była celem naszego postępowania, trzeba abyśmy o niej myśleli, gdy postanawiamy coś uczynić; może jest tak w wielu wypadkach, ale czy zawsze? Nietrudno znaleźć przykłady przeciwne.

Dwa są źródła powodzenia hedonizmu psychologicznego. Po pierwsze – postępowanie nieegoistyczne jest rzadkością; po drugie zaś bierze się bardzo często przyjemność, towarzyszącą osiągnięciu jakiegoś celu, za sam cel działania. Człowiek ratujący drugiego będzie się cieszył, gdy mu się to uda, ale celem jego postępowania było tylko niesienie pomocy.

Streszczenie tego artykułu daje niejakię pojęcie o zasadniczych postulatach, jakie stawiał Twardowski myśleniu; była to przede wszystkim jasność. Dlatego rzeczy na pozór skomplikowane umiał przedstawiać prosto i łatwo. Doskonały przykład tego daje podręcznik *Zasadnicze pojęcia dydaktyki i logiki*.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno: Twardowski wychował całe pokolenie ludzi pracujących w dziedzinie nauk filozoficznych; zaszczerpił im również swoje pragnienie, dotyczące rozwoju i potrzeb filozofii w Polsce. Wskazania zaś Jego są do dziś aktualne ("O potrzebach filozofii polskiej" [1918]). Wskazywał On na konieczność stworzenia centrali katalogowej, która ułatwiłaby pracę naukową; zwracał uwagę na potrzebę słownika filozoficznego, na konieczność opracowania całokształtu dziejów (ten postulat wypełnia *Historia filozofii* – Władysława Tatarkiewicza); mówił o potrzebie podręczników poszczególnych nauk filozoficznych.

Pewne punkty tego jak gdyby planu zostały wypełnione ([...] Kotarbiński, *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*; [...] Ajdukiewicz, *Wykłady z dzieł najważniejszych myślicieli*).

Miejmy nadzieję, że zasadnicza cecha pracy naukowej prof. [...] Twardowskiego, dążenie do jasnego i wyraźnego przedstawiania spraw, przenikać będzie coraz więcej do wszystkich dziedzin życia, zwłaszcza do tych, w których fantazja i emocje utrudniają porozumienie i rzetelną pracę. We wskazywaniu drogi do takiej jasności i w daniu przykładu leży między innymi wielkość pracy Zmarłego.

<sup>1</sup> Chodzi o antologię *Główne kierunki filozofii w sylgach z dzieł ich historycznych przedstawicieli*, Lwów 1923 K.S. Jakubowski [zryp. III].

LIST DO MICHAŁA WASILEWSKIEGO

*Pisma. Eseje, artykuły, listy,*  
Kraków 1970 *Znak*, s. 448-449

*Grenoble, zima 1937/1938.*

Mój kochany i drogi Michał!

Taka jestem świnią, że aż wstyd, i dziwię się Tobie, że możesz żywić uczucia przyjazne do ludzi tego pokroju co ja. To bardzo brzydko o Tobie świadczy. Unikaj złego towarzystwa!

Cóż by Ci powiedzieć o moich studiach? Obawiam się, że lepiej mógłbym się porozumieć z Twoim Wujem<sup>1</sup> na temat filozofa «Charmos»<sup>2</sup> albo «Ki-Ravi»<sup>3</sup> (*mihi supérieur*) – w tym zakresie przeprowadziłem studia dość głębokie i okazałem dużo pilności; dziwi mnie tylko moja żona, która nie ma do mnie jakoś za to uznania i ciągle mówi mi o jakimś filozofie Victorze Cousin<sup>4</sup> – ale ja go nie znam i myślę, że to chyba marka wina. Spytaj o to Twego Wuja. Dobrze?

W ogóle Hallna dziwaczy się nieznośnie – wczoraj przyniosła mi sześć butelek «Bréhiera»<sup>5</sup> twierdząc, że to stare, wytrawne i historyczne nawet wino. Spróbowałem i dałem spokój. Jakaś lura! Fu!

A *propos* Twojego burgunda: czy znasz pracę Delbosa<sup>6</sup>? Akurat wpadła mi w ręce. Na szczęście mało książek wpada mi w ręce, bo Francuzi jako naród roztropany nie przeciążają się lekturą.

A teraz już poważnie: pewnie to i owo słyszałeś o mnie od Rodziców; miałem podłą gripę, która niestety przeszkodziła mi w pracy – *robotą nie jest tak nudną, jakby się zdawało – rozsmakowałem się już* (ciągle te smakowe skojarzenia!) *i nawet z dużą przyjemnością dłużej się w tej epoce. W ogóle Apicio<sup>7</sup> jest bardzo mądry i doskonały «pedagogiczny» – praca nad Cousinem wyleczy mnie z wielu błędów, nauczy pedanterii i szperania po «źródłach».* («Źródło», psiakość – znów kojarzę z plynem...) Pracować tu można dobrze, ale jednak bardzo tęskno do Warszawy, do seminarium<sup>8</sup>, do ploteczek, do Transcendentalnej<sup>9</sup> – tak

<sup>1</sup> Nie jest wyłączone, że chodzi tu o Władysława Tatarkiewicza, który był kuzynem Wasilewskiego i... znał wina [przyp. III].

<sup>2</sup> Chodzi o markę wina francuskiego [przyp. III].

<sup>3</sup> Zob. przyp. 2.

<sup>4</sup> Miciński wyjechał do Francji, aby zebrać materiały do pracy doktorskiej o Victorze Cousin [przyp. III].

<sup>5</sup> Chodzi o autora *Histoire de la philosophie*, Emile'a Bréhiera [przyp. III].

<sup>6</sup> Chodzi o pracę *La philosophie française*, autorstwa Victora Delbosa, która mogła zainteresować Wasilewskiego, studiującego prace Malebrancha<sup>7</sup> [przyp. III].

<sup>7</sup> Studenci nazywali między sobą Tatarkiewicza Apollonem; «Apicio» było zapewne zdrobniałą formą tego pierwszego przezwiska [przyp. III].

<sup>8</sup> Chodzi o seminarium filozoficzne Tatarkiewicza [przyp. III].

<sup>9</sup> Tak uczestnicy seminarium nazywali kawiarnię, znajdującą się w pobliżu głównej bramy uniwersyteckiej [przyp. III].

bym z Tobą chętnie pogadał. Teraz już nie będę świnią przez duże S. *Jeżeli mi odpiszesz, to dostaniesz lepszy i mądrzejszy list*. Nie gniewaj się, że prośbę mam do Ciebie: chciałbym wiedzieć, jaki jest los mojej pracy do *Księgi Pamiątkowej*<sup>12</sup> – przekaz na PKO w sprawie mego udziału skierujcie do moich Rodziców, którzy na pewno będą uszczęśliwieni tym drobnym dowodem pamięci.

Co do Grenoble, to jedynie Chevalier<sup>13</sup> tu ciekawy; reszta – pożałuj Boże! Prowincja i zacofanie. Jestem przekonany, że Twojego Malebranche'a lepiej uczono niż moich francuskich kolegów.

Chciałbym wiedzieć nad czym teraz pracujesz. Jeżeli nad *Elemētami* Kotarbińskiego<sup>14</sup>, to pamiętaj: – rano i wieczór po dwie pastylki bromu, bo to pociąga często za sobą poważne zaburzenia nerwowe. Jeżeli nieprawdą jest, że do Ciebie nie tęsknię, to prawdą jest, że nie lubię wina:  $(p < q)' \Leftrightarrow r^{15}$ . Sprawdź to metodą zero-jedynkową, ale uprzedzam, że trzeba będzie wzywać lekarza.)

Wszystkich przyjaciół serdecznie pozdrawiam,  
a Ciebie mocno, serdecznie ściskam

*Twój Bolesław*

<sup>12</sup> Prawdopodobnie chodzi o książkę pamiątkową poświęconą Tatarkiewiczowi, która ostatecznie ukazała się wiele lat po wojnie [przyp. JJJ].

<sup>13</sup> Chodzi o Jacquesa Chevalier z Uniwersytetu w Grenoble [przyp. JJJ].

<sup>14</sup> Chodzi oczywiście o podręcznik Kotarbińskiego *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, który obowiązywał do egzaminu [przyp. JJJ].

<sup>15</sup> Poprawny schemat tego zdania wygląda następująco:  $p' \Leftrightarrow q'$ . Schemat podany przez Michalskiego był zapewne tępem [przyp. JJJ].

## **PRÓBA OCENY**

## MYŚLICIELE O SERCACH WALECZNYCH

Jest tylko jedna rzecz, do której  
się nie ma prawa: cudze życie.  
Jan Czałowski

### I. POWSTAŃCY

Pisał Władysław Tatarkiewicz o roku Powstania Listopadowego w Warszawie:

W tym roku profesor [filozofii] Krystyn Lach Szyrma działał więcej niż przez lata łacińskich wykładów. Utworzył wraz z akademikami Gwardię Narodową i stanął na jej czele. Nie on jeden zresztą spośród filozofów brał udział w walce. Wielu uczniów uniwersytetu poszło do szeregów. Poszli wszyscy ci, którym potem dane było zasłużyć się filozofii polskiej. Służył w czwartym pułku ułanów Henryk Kamiński, uczeń wydziału prawnego, późniejszy autor *Filozofii ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa*; służył też Feliks Kozłowski, znany potem z polemiki z [Bronisławem] Trentowskim o chrześcijańską zasadę filozofii. Sam Trentowski, który właśnie już ukończył był Uniwersytet Warszawski, był się jako ułan w korpusie [gen. Macieja] Rybińskiego. Zaciągnęli się filozofowie i z innych uczelni. Karol Libelt opuścił Paryż, gdzie pracował na studiach, by wziąć udział w Powstaniu i tu dosłużył się rangi porucznika i krzyża *Virtuti Militari*. A w jednej z nim baterii służył jako kanonier ledwie skończony doktor praw krakowskiej wszechszkoły, Józef Kremer, ranny pod Grochowem. August Cieszkowski ledwie 16-letni, zbyt wątły, by służyć w szeregach, pracował koło fortyfikacji Warszawy.

Dodajmy jeszcze Joachima Lelewela (1788), członka Rządu Narodowego; Witolda Heltmana (1796), który został wcielony do wojska carskiego, ale wzięty do niewoli polskiej po bitwie pod Wawrem (31 marca 1831) – przeszedł na stronę powstańców; Tadeusza Krępowieckiego (1798), który jako ochotnik wstąpił do korpusu gen. Józefa Dwernickiego i brał udział w zwycięskich bitwach pod Stoczką (14 lutego 1831) i Boremlem (19 kwietnia 1831), a w końcu został adiutantem gen. Jana Krukowieckiego; Stanisława Worcella (1799), walczącego początkowo w oddziale partyzanckim zorganizowanym przez swego ojca, a później w oddziale pułkownika Karola Różyckiego; Jana Podoleckiego (1800), ochotnika wojsk powstańczych; Józefa Ordeę (1802), który wystawił własnym sumptem pułk jazdy kaliskiej, służył w nim w randze kapitana, a następnie walczył w korpusach gen. Dwernickiego i gen. Samuela Różyckiego, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*; i dalej – Józefata Ostrowskiego (1803), który uczestniczył w Spisku Podchorążych, Maurycyego Mochnackiego (1804), również członka Spisku i jednego z organizatorów Powstania; Józefa Sipińskiego (1804), walczącego w oddziałach powstańczych jako prosty żołnierz; Adama Gurowskiego (1805), odnanzonego krzyżem *Virtuti Militari* i awansowanego do stopnia oficera za zasługi w czasie oblężenia Warszawy; Antoniego Bukatego (1808), żołnierza-artyleryzystę, podobnie jak Kremer rannego (stracił oko) pod Grochowem; Leona Rzewuskiego (1808), oficera artylerii i adiutanta gen. Józefa Chłopińskiego w bitwie pod Grochowem (25 lutego 1831); Konstantego Danielewicz (1809), rannego w bitwie pod Ostrołęką (26 maja 1831); Hieronima Kajsiewicza (1812), ułana ciężko rannego w szarży pod Nową Wsią (19 lutego 1831); wreszcie – Zenona Świętosławskiego (1811), Piotra Semenenkę (1814) i Wojciecha Jastrzębowski (1799).

Tak było przedtem i potem.

Przedtem, w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej Józef Wyhicki (1747) współpracował z Radą Zastępczą Tymczasową, a po upadku Insurekcji współorganizował Legiony we Włoszech; Józef Szymanowski (1748) był ministrem sprawiedliwości w Rządzie Powstańczym; Hugo Kollataj (1750) był jednym z organizatorów i przywódców Insurekcji; Franciszek Dmochowski (1762) był ministrem oświaty; Józef Szaniawski (1764) brał udział w przygotowaniu Insurekcji; Józef Hoene-Wroński (1776) dowodził jako kapitan baterią artylerii w bitwie pod Maciejowicami, gdzie dostał się do niewoli rosyjskiej; w Insurekcji brali też udział Onufry Kopczyński (1735) i Michał Karpowicz (1744).

Podczas Wojen Napoleońskich Józef Bychowiec (1788) pełnił funkcję adiutanta dowódcy kawalerii Wielkiej Armii w kampanii rosyjskiej, marszałka Joachima Murata; a Stanisław Cholewicki (1791) własnym kosztem wystawił całą chorągiew i oddał ją do dyspozycji wojsk Księstwa Warszawskiego.

Potem, Michał Wiszniewski (1794) ogłosił się na krótko dyktatorem Powstania Krakowskiego 1846 roku; Edward Dembowski (1822) był faktycznym jego przywódcą; a Walerian Kalinka (1826) był dyrektorem Kancelarii Rządowej.

A jeszcze później Ludwik Mierosławski (1814), oficer Powstania Listopadowego, podczas Powstania Styczniowego powołany został na dyktatora i naczelnego wodza wojsk powstańczych; Władysław Kozłowski (1832) był członkiem Komitetu Wołyńskiego; Benedykt Dybowski (1833) – jako członek Rządu Narodowego – był bliskim współpracownikiem Romualda Traugutta; w Powstaniu wzięli też udział Józef Chwiećkowski (1821), Kazimierz Kaszewski (1825), Ludwik Szujski (1835) i Wincenty Szyszło (1838).

To jest niepełna lista tych, którzy przeżyli i zdołali wejść w mniejszym lub większym stopniu do historii filozofii polskiej. A ilu padło w walkach z zaborcami – spośród początkujących filozofów i filozofującej młodzieży?

Nawiasem mówiąc krytykom naszych powstań – w związku z tą listą – polecam przemyślenie następującego entymematu:

Powstania były złem.

Zatem ich dobrowolni uczestnicy

albo kierowali się niskimi pobudkami,

czyli byli zło-czyńcami,

albo nie wiedzieli co czynią,

czyli byli głupcami.

Zatem kwiat elit intelektualnych kilku pokoleń Polaków

składał się ze zło-czyńców

lub głupców.

Czy nie powinien zdrześć umysł przed taką konkluzją?

\*\*\*

Spośród uczestników Seminarium Filozoficznego Tatarkiewicza w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego – pięciu już nie żyło.

Michał Wasilewski, asystent Seminarium, poniósł śmierć od kuli rosyjskiego najeźdźcy 17 września 1939 roku na Podolu, w Krzywej Łące pod Czortkowem. Jerzy Siwecki poległ w bitwie pod Kutnem – gdzieś między 9 a 20 września. Bolesław Miciński, drugi asystent

Seminarium, przez Wilno i Kowno przedostał się do Francji, ale wyrzucony zimą z wynajmowanego mieszkania – zmarł (na gruźlicę) 30 maja 1943 roku w Laffrey koło Grenoble. Jan Gralewski, członek ZWZ, a następnie AK, zginął wraz z gen. Władysławem Sikorskim – jako tajny kurier dyplomatyczny – w katastrofie lotniczej k. Gibraltaru 4 lipca 1943 roku. Wreszcie, Jan Mosdorf, aresztowany w czerwcu 1940 roku, więziony na Pawiaku, 6 stycznia 1941 roku wywieziony został do *Auschwitz* i 11 października 1943 roku rozstrzelany przez Niemców w zbiorowej egzekucji.

A większości pozostałych, którzy nałożyli opaski powstańcze – nie dane było oglądać ostatecznej katastrofy Powstania.

Pierwszy padł Mieczysław Millbrandt: 9 sierpnia, ciężko ranny w nogę poprzedniego dnia w szturmie na Sejm (przy ulicy Wiejskiej). Potem oprawcy spod znaku RONA i SS zakłuli bagnietami ks. Jana Salamuchę i Jana Lempickiego: 11 sierpnia – po upadku *Reduty Wawelskiej*. 9 września przy Zgodzie pocisk trafił Danutę Krzeszewską, sanitariuszkę. A na barykadzie przy ulicy Piusa 2 października – dosięgnął Alicję z Tyszkiewiczów Szebekową, oficera AK.

Niewielu z grona skupionego wokół Tatarakiewicza ocalało: Alicja Iwańska, Alicja Kadlerówna, Ludwik Kasiński, ks. Jan Popiel, Danuta Wicentowiczówna-Hiżowa...

Warto dodać, że w Powstaniu wzięli udział nie tylko członkowie seminarium Tatarakiewicza, ale i tzw. żartobliwie tadeiści, czyli uczestnicy podziemnego seminarium Tadeusza Kotarbińskiego – m.in. Henryk Hiż, Andrzej Grzegorzczak, Jerzy Pelc i Klemens Szaniawski. A także uczestnicy tajnego seminarium Jana Łukasiewicza i Adama Krokiewiczza – m.in. Bolesław Sobociński. Nie o nich jednak będzie mowa w tym szkicu.

## II. POGŁĄDY

### 1. ALICJA SZEBEKOWA I DANUTA KRZESZEWSKA. MICHAŁ WASILEWSKI

O zainteresowaniach filozoficznych najstarszej i najmłodszej spośród tych, którzy nie przeżyli – Szebekowej i Krzeszewskiej – wiadomo tylko tyle, co przekazał Tatarakiewicz: że koncentrowały się wokół problematyki etycznej.

Wasilewski natomiast pozostawił po sobie jedynie prace z dziedziny historii filozofii. Można z nich wnosić, że problemem, który go szczególnie zajmował – bo szukał jego rozwiązania u poprzedników – był problem dowodów istnienia Boga.

### 2. JAN MOSDORF

Głównym obszarem zainteresowań filozoficznych Mosdorfa była historiozofia.

#### *Precyzacja terminologiczna*

Ci, którzy domagają się zawsze i wszędzie "precyzyjnego szlifowania terminów", powinni pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, jest iluzją, że precyzyjna terminologia chroni w sposób bezwyjątkowy od popełnienia błędów. Po drugie, są sytuacje, kiedy łatwiej usunąć "pomieszczenie pojęć" i wyjaśnić nieporozumienia – bez uciekania się do zabiegów precyzacyjnych. Tak jest np. w sytuacjach perswazyjnych.

#### *Agonia materializmu*

Za filary nowoczesnego materializmu jego zwolennicy uznawali empiryzm, determinizm, infintyzm (ontologiczny) i ewolucjonizm. Okazało się, że tezy te – mające wspierać materializm – same są nie do utrzymania. "Człowiek jest nie tylko organizmem żywym, ale

również – i przede wszystkim – istotą duchową.” Co więcej, nie można się obejść bez założenia o nieśmiertelności duszy. Chodzi o to, że “podstawą myślenia i działania ludzkiego” jest wiara w sens istnienia: naszego istnienia (*scil. życia*) i istnienia świata. A życie człowieka nie miałoby sensu, gdyby jego dusza «umierała» wraz z ciałem.

#### *Indywidualizm konstruktywny*

Naród nie jest zwykłym, «mechanicznym» zbiorem jednostek, ani nietrwałym związkiem “wrogich klas”, lecz “jednołitym organizmem”, “nierozdzieloną całością historyczną pokoleń zmarłych, dziś żyjących i tych, co [...] przyjdą [później]”. “Dzieje narodu [...] są nieprzerwaną całością, a rozdział na przeszłość i przyszłość – złudzeniem.” Dobro zaś tej całości jest nadrzędne względem dobra składających się na nią grup i indywidualów. Co więcej: naród jest “największym spośród dóbr ziemskich”.

Nie znaczy to, że dobro jednostki ma się w ogóle nie liczyć; że należy odrzucić każdy indywidualizm. Nie znaczy to również, że ideałem jest każdy kolektywizm.

Z jednej strony, indywidualizm twórczy ma rację bytu. Właściwie “działanie posiada samo przez się większą wartość moralną niż zaniechanie. Lepiej błędzić nawet, niż pozostawać biernym.” Nie do przyjęcia jest tylko indywidualizm bierny – nastawiony jedynie na obronę przed podporządkowaniem się cudzej woli. Taka obrona jest w pewnych okolicznościach działaniem irracjonalnym. Konieczność podporządkowania się dobru wspólnemu jest oczywista np. w chwilach zagrożenia. “Przy pięknym dniu lepiej iść osobno, niż być kurcz, wzniesiony nogami współtowarzyszy drogi; ale podczas zademki śnieżnej, gdy światła nie widać, lepiej skupić się razem, zdać się na instynkt i na przewodników.”

Z drugiej strony, są różne kolektywizmy. Co innego kolektywizm komunistyczny, a co innego «kolektywizm» klasztorny. Ktoś, kto by twierdził, że “ustrój ściśle komunistyczny [...] urzeczywistniają klasztory chrześcijańskie”, zapominałby o tym, że “ustrój klasztorny polega jednak na dobrowolnym spełnianiu obowiązków. Ustrój społeczny natomiast nigdy nie jest w pełni dobrowolny: do społeczeństwa nie wstępuje się, tylko się w nim rodzi.”

#### *Arena historii*

Zrozumienie określonego – np. współczesnego – stanu pewnego społeczeństwa wymaga poznania przyczyny tego stanu.

Poszczególne zjawiska dziejowe tworzące taki stan – same są spłotem wielu zdarzeń. Dlatego są one skutkiem nie jednej prostej przyczyny, lecz wielu współdziałających ze sobą i nie sprowadzalnych do siebie czynników. Czynniki te należą zasadniczo do jednego z czterech typów. Są to bądź czynniki ideowe (wartości moralne, normy religijne), materialne (środowisko naturalne i cywilizacyjne), wolicjonalne (świadome «chcenia» jednostek) oraz akcydentalne (okoliczności przypadkowe). Bez uwzględnienia czynników wszystkich tych typów zrozumienie – o które chodzi – jest nieosiągalne.

Dzieje ludzkie są areną walk różnych narodów – charakteryzujących się cywilizacją o różnej wartości. Przy tym “o wartości cywilizacji świadczą nie tylko szczytowi jej przedstawiciele, ale również przeciętne zapatrywania przeciętnych ludzi i wspierający się na nich ustrój gospodarczy i społeczny”. Narody należące do starszej rasy i mające starszą kulturę – są cywilizacyjnie silniejsze od narodów «młodszych». Te ostatnie jeśli nie wystąpią czynnie przeciw tym pierwszym, narażają się na to, że zostaną przez nie podporządkowane, «wchłonięte».

### 3. JAN SALAMUCHA

Spośród dziesiątki głównych bohaterów tej książki Salamucha był postacią niewątpliwie pierwszoplanową: najwybitniejszą, najwszechstronniejszą i o największym dorobku naukowym. Najlepiej więc, jeśli przemówi do nas własnym głosem. Oto fragmenty jego prac, oświetlające z różnych stron jego stanowisko.

#### *Obiektywność filozoficzna*

Dla dobra nauki trzeba dokładnie odróżnić subiektywne czynniki psychiczne pracy naukowej, mogące być przedmiotem psychologii, od racji i przesłanek obiektywnych, wprowadzających daną tezę do nauki. Szczególnie to jest ważne w filozofii, gdzie trudniej niż gdzie indziej oddzielić dojrzałe twory myśli ludzkiej, nieustannym wysiłkiem wdzierającej się w tajniki rzeczywistości, od półproduktów i falsyfikatów naukowych.

(1937)

#### *Gust intelektualny*

Jak wybór pewnego stylu w sztuce, czy upodobanie w nim, sięga tak głęboko w strukturę psychologiczną danego człowieka i w jego nawarstwienia rozwojowe, że mówimy o tym trochę trywialnie: to kwestia gustu – podobnie i dowolna postawa intelektualna jest funkcją tylu czynników, że trudno ją uzasadnić i ma się ochotę i tutaj powiedzieć: to kwestia gustu. Tylko trzeba pamiętać o pewnych konsekwencjach. Gdy się wyznaje minimalizm metody, to się tym samym otwiera pole dla niebywalej anarchii intelektualnej. *Jakob i kiepsko wszystko da się uzasadnić. Gdy się w imię metody ogranicza teren poznania, to się pozostawia olbrzymie pole racji rzeczywistości poza zasięgiem kontroli rozumowej* – a więc wolnej grze emocji, przedstawień i przesądów (dalsze konsekwencje przeżywalimy nie tylko intelektualnie...).

(Z okresu wojny)

#### *Kontrola logiczna*

Żadna logika nie zastąpi inteligencji twórczej [...]. Nie należy od logiki żądać tego, czego ona dać nie może; ale nie należy też lekceważyć jej użyteczności kontrolującej, a im sprawniejsza, bogatsza aparatura logiczna, tym pełniejsza i bardziej wszechstronna jest ta kontrola. Historia zna błędy filozoficzne tkwiące w tożsamości dowodowej, ale są inne błędy, i to bardziej częstsze, tkwiące w aksjomatach. Błędy aksjomatycznych żadna logika nie wywróci, chyba że prowadzą do jakichś sprzeczności. Natomiast błędy dowodowe wchodzą w zakres kontroli logicznej [...]. Z logiką to jest trochę tak, jak z gramatyką w stosunku do języka. Poczucie językowe w większości sytuacji wystarcza. Dobry znawca danego języka wyczuwa nawet niemasz treść reguł gramatycznych, chociaż nie umie ich sformułować. Ale są wypadki, gdzie poczucia za wodzi i trzeba brać do pomocy wyraźne reguły gramatyki; a poza tym, im lepiej ktoś zna gramatykę, tym poprawniej *caeteris paribus* będzie mówił.

(Z okresu wojny)

#### *Mankamenty eksplikacji*

Wszelkie tw. wyjaśnienia terminologiczne są jeszcze stosunkowo łatwe, gdy odnoszą się do wyrażeń technicznych, satacznie wprowadzanych do języka przez uczonego świadomego swych celów. [...] Dużo gorzej przedstawia się sprawa, jeżeli chodzi o wyrażenia żywe. Powstały one nie wiadomo jak i kiedy, przechodzą z ust do ust, z kartki na kartkę, po drodze ulegają najrozmaitszym przemianom znaczeniowym – i w rezultacie powszechnie są używane, ale nigdy dokładnie nie wiadomo, jaki sens ludzie im nadają. [...] Bywa tak nie tylko z wyrażeniami języka potocznego; często dzieje się to samo i z terminami naukowymi. Dlatego to właśnie tworzy się [...] całe sztuczne języki, aby w ten sposób uniezależnić teorie naukowe od znaczeniowych chwytliwości wyrażeń ogólnie używanych. Inna sprawa, że przy takim postępowaniu okupuje się ścisłość narażeniem się na nowe niebezpieczeństwo – oderwanie, jak to się mówi, nauki od życia. Ale tak już jest na świecie, że dla człowieka uświadomionego nie ma dróg wolnych od niebezpieczeństw; chodzi tylko o to, żeby je znać i skutecznie przetrwać.

(Z okresu wojny)

### *Egzystencjalna kompletność*

Można się przepchać beznamiętnie przez życie, nawet w nie wierząc; świadomie przeżyje je tylko taki człowiek, który nie boi się uznać tego, w co rozsądnie wierzyć można i należy. I wszyscy bojowi czciciele czystego rozumu muszą przyznać, jeżeli mają odwagę spojrzeć szczerze na sytuację, że nawet walczyć z wiarą można tylko w imię jakiejś innej wiary. Czyste poznanie i nauka będzie zawsze tylko fragmentem – choć bardzo ważnym i może najważniejszą ludzkim fragmentem – życia umysłowego człowieka.

(1934)

### *Konstrukcja teistyczna*

Teizm i w ogóle spirytualizm jest jak subtelna konstrukcja gotycka. Całość jest zwarta, mocna, śmiała i szlachetnie wyniosła, lecz dźwięnie subtelna, filigranowa niejako, pozornie słaba w podporach i wiązaniach swich. Gdy się fragmentom przyglądamy, nie chce się wierzyć, że one w ogóle jakąś rolę konstrukcyjną spełniają – tak wątłe wyglądają, że zdają się być ornamentami ... A jednak wszystko tam potrzebne i wszystko się wzajemnie wspiera, i dzięki temu całość wyniosła stoi. Gdy jeden fragment wywrócić, konstrukcja się rysuje, w grzyby leci. A całość mocno stoi – przewidziana jest nawet pewna dozwolona amplituda wahnięć.

(Z okresu wojny)

### *Katolicyzm dynamiczny*

Myśl ludzka bez wiary objawionej schodzi często na masowce, wiara skrzydła jej daje i zarazem kierunek lotu wskazuje. Lecz po co skrzydła, na co drogowskazy, gdy nie ma śmiałości i energii do lotu?... – Wtedy i skrzydła wiotczą i drogowskazy tylko najbliższe się widzi – wtedy może się pozornie wydawać, że drogi wielkie tu wcale nie ma ... A droga jest, szeroka i długa – i drogowskazy wyraźne, tylko trzeba mieć śmiałość i energię, żeby iść; nie wolno stać, tym bardziej nie wolno się cofać, a szkoda też i wysiłku na niedoleżne dreptanie w miejscu.

(Z okresu wojny)

### *Dyrektywy etyczne*

Normy objawione nie stanowią zapełnionego zbiornika dyrektyw. [...] Żaden system, co najmniej tak bogaty, jak arytmetyka teoretyczna, nie może być logicznie uporządkowany w system zapełny, tzn. zawsze będą w nim istniały tezy logicznie nierozstrzygalne; innymi słowy, w każdym takim systemie istnieją także tezy sensowne, że najsubtelniejsze operacje logiczne, na granicy danego systemu przeprowadzone, nie doprowadzają ani do stwierdzenia ich prawdziwości, ani do stwierdzenia ich fałszywości. Jakkolwiek system norm życiowych, dla życia indywidualnego i społecznego, na pewno jest o wiele bogatszy od arytmetyki teoretycznej i dlatego żaden nie może być systemem zapełnionym. Wobec tego objawione normy moralne mogą mieć tylko charakter ramowy: poza ramy nie wolno wychodzić, ale pole ramami objęte trzeba jakąś treścią wypełnić – inaczej będzie ono puste.

(Z okresu wojny)

### *Realizm etyczny*

Kiedy patrzymy uważnie na nasze społeczeństwo polskie, w przeważnej swej części katolickie, to uderzają nas przede wszystkim te przejawy moralne i religijne, które [...] można by nazwać "moralnością zamkniętą" i "religią statyczną". I tak to strasznie razi w zestawieniu z wzniosłością ideologii katolickiej. I wtedy banalnym i denerwującym wydaje się optymizm wielu spośród nas, głoszących, że w Polsce jest dobrze, że katolicyzm żyje, a co najmniej w szybkim tempie się odradza. Chciałoby się raczej złowieszczo krakać, pesymizm wydaje się bardziej słuszny.

Tymczasem prawda jest prozaicka. [...] Szerokie masy niezdolne są ująć katolicyzmu w całej jego potężnej treści [...]. Ale tak już być musi. Jest za mało, ale byłoby dużo mniej, gdyby się odjęło to jądro katolicyzmu, jakie w tym wszystkim tkwi.

Kiedy się służy sprawom wielkim, sprawom nadludzkim, to jedynie rozumną maksymą działania powinna być chyba zasada: dyskontować wartości względne, nie odrzucać wartości, które nie są wartościami stuprocentowymi.

(1932)

### *Obiektywność transcendentna*

Bóg jest wszędzie – nie dlatego, że rozciągłością swoją obejmuje cały wszechświat materialny – lecz dlatego, że jest istotą nierozciągliwą, a zarazem w istocie i potęgze swojej jest nieskończony.

Bóg jest wieczny – nie dlatego, że jego istnienie niekończonym czasem się mierzy – lecz dlatego, że trwa On w sposób nie mierzący się czasem.

Używając analogii geometryczno-przestrzennych, można powiedzieć, że układ istnienia Boga jest zupełnie innym układem od układu czasowo-przestrzennego, w którym żyje człowiek i pozostają przedmioty go otaczające i doświadczane przez niego pozaawase. – A obydwa układy są konstrukcjami pojęciowymi różnymi, zbudowanymi przez nas dla opisanja różnych rzeczywistości.

(Z okresu wojny)

### *Pedagogika tresury*

Satuka to wielka kierować duszami, ale w kierunku wytwarzania odpowiednich wartości subiektywnych iść powinna.

W tym kierunku powinna iść praca wychowawcza, jeżeli ma być skuteczna: szczepienie odpowiednich wartości w duszę dziecka, to jej właściwe zadanie.

Metoda wytwarzania dobrych nawyków, jeżeli nie jest złączona z rozwijaniem odpowiednich wartości, jest budowaniem na piasku; dobry nawyk sam przez się nie kształci charakteru, jest tylko palatywem, pokrywającym pustkę wewnętrzną. Przyjdą nowe jakieś wartości przeciwne, silnie działające subiektywnie i najdłuższy nawyk zostanie od razu zburzony.

Trzeba kształcić charakter przez szczepienie wartości wielkich, które zawsze pozostaną wartościami. Dobre nawyki mogą być wynikiem i prostej tresury, a tresura nie jest charakterem.

(1932)

### *Demokracja regulowana*

Śruba organizacji społecznej nie może być ani do końca przykręcona, ani całkowicie odkręcona [...]. Przy zakręcaniu śruby pamiętać należy o fakcie empirycznym, że ugraniczanie wolności, choćby wznagało na krótki dystans wydajność zbiorową, hamuje jednak wysiłek twórczy skrępowanych jednostek. [...] Dla katolika przykręcanie śruby ma być regulowane jeszcze i tą prostą prawdą: życie ludzkie jest tym bardziej wartościowe wobec Boga, im bardziej jest funkcją sumienia jednostki: *omni et fac quod vis*. Zbytne przykręcanie śruby ogólnie obniża poziom moralny społeczeństwa, bo zmienia ludzi w istoty kieratowe. [...] Pełna wolność jest ideałem, który tylko w społeczeństwie aniołów mógłby być zrealizowany [...].

(1939)

### *Altruizm polimorficzny*

Miłość zmusza czasami (niech się jagnęco wnikliwi pacyfści nie gorszą) nawet do zabijania innych [...]. Po prostu, jeżeli ktoś, z kim mnie łączą mocniejsze więzy miłości, zagrożony jest przez kogoś innego, względem którego mam daleko mniejsze obowiązki, to będę w pewnych warunkach nawet zabijał w obronie spraw umiłowanych – właśnie w imię miłości. [...]

Kochać powinienem wszystkich ludzi, ale mocniej kocham tych, z którymi ściślej jestem związany. [...] Czuję w swej świadomości związki kulturalne ze wszystkimi narodami świata [...], ale najściślej związany jestem z własnym narodem, bo to jest mój rozszerzony dom [...]. Zburzenie tego domu ojczystego jest dla mnie barzoniem mojej rozszerzonej osobowości. [...]

(Z okresu wojny)

## 4. JERZY SIWECKI

Uwagę Siweckiego przyciągały przede wszystkim metodologia i etyka. Oto, co zdążył w tych sprawach powiedzieć.

### *Klasyfikacja teorii*

Mówiąc o umiejętnościach – mamy na ogół na myśli naukę i sztukę. Ale oba te wyrazy – „nauka” i „sztuka” – nie są jednoznaczne.

W szczególności przez "naukę" można – z jednej strony – rozumieć bądź (a) zbiór tez, dotyczących danego «wykroju» rzeczywistości, bądź (b) zbiór reguł metodycznego postępowania, prowadzącego do osiągnięcia takich tez. Z drugiej strony – słowo "nauka" bywa używane w sensie obiektywnym, psychologicznym, dyspozycyjnym lub procesualnym. W sensie obiektywnym – nauka to tyle, co "treść zanotowana w formie tez i reguł". W sensie psychologicznym – nauka to tyle, co "zespół wiadomości aktualnie uświadamianych lub latentnych". W sensie dyspozycyjnym – nauka to tyle, co zdolność do nabywania takich wiadomości. Wreszcie w sensie procesualnym – nauka to tyle, co praca dokonywana za pomocą różnych narzędzi, a zmierzająca do uzyskania wiedzy na określony temat.

Poprawna klasyfikacja umiejętności – w tym nauk – musi spełniać zwykle kryteria poprawności: musi więc być klasyfikacją homogeniczną, tj. dokonaną według jednej zasady (np. według przedmiotu badań, według stosowanej metody, według stopnia abstrakcji, według stawianego ideału) – a także musi być klasyfikacją kompletną (zupełną) i ekonomiczną. Ponadto musi jednak uwzględniać wskazaną wyżej wieloznaczność.

#### *Irracjonalizm pozytywny*

Słychać często hasła, aby naukę oczyścić z elementów irracjonalnych. Ci, co wysuwają takie hasła, zapominają nieraz, że są dwa irracjonalizmy: negatywny i pozytywny. Irracjonalnie postępuje, po pierwsze, ktoś, kto uznaje jakieś zdanie/nie pytając w ogóle o jego uzasadnienie: zupełnie bezkrytycznie. Tutaj wyraz "irracjonalizm" słusznie jest obciążony «przysensem» pejoratywnym. Jest jednak irracjonalizm pozbawiony tego «przysensu»: irracjonalizm tych, którzy uznają pewne zdania (o rzeczywistości) empirycznie nierozstrzygalne, ale nie bezkrytycznie, tylko "na mocy głębokiego uzasadnienia".

Tego «pozytywnego» irracjonalizmu z nauki prawdopodobnie usunąć się po prostu nie da.

#### *Postulat egoizmu*

Źródłem wielu nieporozumień jest mieszanie dwóch dyspozycji psychicznych: egoizmu z miłością własną.

Miłość własna jest dążeniem do własnego dobra. Jest ona albo nieświadomym popędem samozachowawczym, albo świadomym dążeniem do szczęścia. Jako taka nie jest niczym nagannym; jest zaś moralnie pozytywną, jeśli jest dążeniem «uporządkowanym» – w szczególności skierowanym ku dobrom wyższym (tj. poświęca dobra ziemskie – dla uczuciowych, a uczuciowe – dla duchowych).

Egoizm natomiast jest dążeniem wyłącznie do własnego dobra: wyłącznie – tj. bez względu na dobro cudze, a nawet z jego szkodą (kosztem krzywdy innych). Przybiera on różne formy: kierowania się wyłącznie zyskiem, przekonania o bezwzględności własności, postawy beznamiętnego estetycyzmu, modlitwy-prośby a nie modlitwy-dziękczynienia, całkowitej swobody seksualnej itd. W przeciwieństwie do miłości własnej – egoizm (jednostki, warstwy lub narodu – czyli nacjonalizm) jest czymś godnym potępienia. Podobnie naganny byłby altruizm, jeśli byłby dążeniem wyłącznie do cudzego dobra; dążeniem opierającym się na (błędny) mniemaniu, że dobro bliźniego – jako takie – jest wyższe od naszego własnego dobra.

Idealem jest tutaj przyjaźń – jako zharmonizowanie miłości własnej i miłości bliźniego.

Są tacy, którzy świadomie wyznają etykę egoizmu, uważając, że "podeptane prawa ogółu" dadzą się zrównoważyć "szczęściem kilku niezwykłych jednostek". A próbują

uzasadniać to tym, że wszyscy ludzie w istocie są egoistami. Jeśli się odróżni egoizm od miłości własnej, fałsz takiego poglądu jest oczywisty.

## 5. JAN LEMPICKI

Na podstawie tego, co zostało ze spuścizny filozoficzno-historycznej Lempickiego – a dokładniej porozrzuconych w tej spuściznie dygresji – można zrekonstruować jedynie niektóre jego poglądy z dziedziny metodologii humanistyki i z dziedziny antropologii.

### *Teoria humanistyczna*

Dobra teoria w zakresie humanistyki – to teoria *anonimowa, generalizująca i realistyczna*. Jeśli jest to np. historia, to jest historią bez nazwisk i bez chronologii ("nie człowiek działa w czasie, lecz czas jest w człowieku"); jest historią zajmującą się możliwościami (bo tylko one się powtarzają); ale jest też historią wolną z jednej strony od analizy «czystych» możliwości, a z drugiej – od materiałowej jednostronności.

Początkiem dobrej teorii jest dobra systematyzacja.

### *Natura humana*

Anachroniczny jest – powszechny w XIX wieku – pogląd, że istotę człowieka tworzy jego charakter; że ehod na kształt tego «rdzenia osobowości» w pewnym stopniu – ale tylko do pewnego momentu – wpływa środowisko zewnętrzne, i że cechy już ukształtowanego charakteru danej jednostki ujawniają się w jej czynach. Dzięki psychoanalizie wiemy, że środowisko może wywoływać określoną aktywność bez pośrednictwa zindywidualizowanego charakteru. Aktywność jednostki nie polega bowiem na «używaniu» oddanego w jej władanie charakteru (talentu itp.); który wszak nieraz «odmawia posłuszeństwa». Nie jest tak, że ktoś ma np. usposobienie poetyckie i – w pewnych okolicznościach – daje mu wyraz pisząc poematy.

Tym samym bywa, że istoty człowieka trzeba szukać – jak egzystencjalistów – bezpośrednio w podejmowanych przez niego działaniach. Tak bywa np. w wypadku aktywności artystycznej. "Jako źródło i materiał sztuki wszyscy są tacy sami. Cechy jakościowe zostają poza nawiasem procesu tworzenia. W sztuce nie wyraża się jednostka, dzięki swemu kształtowi, przez naturę uformowaną psychiką, lecz samo przeżycie prawdy, bezpośredni stosunek do rzeczy pozaindywidualnych."

### *Formowanie charakteru*

Poszczególne cechy (dyspozycje) charakteru nabywa pod wpływem oddziaływania rzeczy, które kolejno wchodząc w «pole widzenia» jednostki, wymuszają na niej reakcje («decyzje») przystosowawcze, umożliwiające zharmonizowanie nowej «cechy charakteru» z dotychczasowymi. "W ten sposób z konieczności historyczna definicja danego człowieka gotowa jest dopiero w chwili jego śmierci lub całkowitego wyschnięcia «pomysłowości», czy cofnięcia «laski»." Dlatego – być może – "dramat zawsze lepiej człowieka charakteryzuje niż portret".

Ludzie nie różnią się zatem «charakterami». Wszyscy jesteśmy niezróżnicowanymi, niezindywidualizowanymi «jądrami» aktywności, różniącymi się tylko umiejscowieniem czasoprzestrzennym. To nie określony charakter tłumaczy określone czyny, zachowania; to on sam wymaga wytłumaczenia. Warto zresztą szukać nie wytłumaczenia danego czynu, nie tego, co on wyraża – lecz starać się go wyjaśnić, znaleźć to, jakie ma znaczenie (doniosłość, sens). Bardzo różne czyny mogą bowiem wyrażać to samo. Sprawę można ująć ogólnie tak. "Każdy człowiek posiada właściwie wszystkie cechy. Różnice między ludźmi muszą już być skutkiem wyboru."

## 6. BOLESIAW MICIŃSKI

Sam Miciński w ten sposób streścił swoją "postawę filozoficzną":

"Umysł ludzki może wyłonić ograniczoną ilość odpowiedzi na problematykę, jaką mu nastręcza rzeczywistość. Istnieje ich – powiedzmy – cztery, pięć. Wszystkie równie fałszywe, Rozwijają się tak od początku świata, komplikują, upraszczają, w zależności od indywidualnych struktur psychicznych i ogólnej struktury epoki."

W szczegółach jego poglądy przedstawiają się następująco.

### *Kryterium regularności*

Jedynym – a w każdym razie głównym – sposobem uzasadnienia naszej wiary w rzeczywistość podlegającego nieustannym zmianom «świata zewnętrznego» jest regularność tych zmian: to, że są one periodyczne, i to, że odbywają się na podłożu względnie trwałych substancji; regularności takich nie zauważamy w zmiennym strumieniu naszych fantazji. Można nawet powiedzieć więcej – że jedynie te regularności są realne. W życiu człowieka takie regularności są wyznaczane przez normy etyczne. Jeśli tak, to "wszystko jest nic, wszystko pozór; jedna rzecz tylko jest realna: [...] codzienne [...] zasady życiowe".

Jeśli istnienie stałych prawidłowości – i trwałego podłoża – jest warunkiem «normalnego» biegu świata, to egzystencjalny kres tego świata można sobie wyobrazić jako «rozprzężenie się» periodyczności i substancjalności.

### *Sytuacja tragiczna*

Nasza sytuacja jest tragiczna, gdy zdecydowaliśmy się na określone postępowanie w przekonaniu, że uchroni to nas przed «złym losem», a tymczasem postępowanie to prowadzi właśnie do urzeczywistnienia się owego przeznaczenia. Taki fatalizm, który zakłada możliwość dokonania wolnego wyboru, trzeba odróżnić od determinizmu, który – przeciwnie – wyklucza wolność woli.

Nieograniczona wolność woli – czyli stała konieczność dokonywania wyborów – prowadzi do swego rodzaju «niewoli»: nie tylko możemy, ale i musimy zawsze coś wybrać. Aby nie stać się «niewolnikiem» takiej konieczności, trzeba się – przynajmniej częściowo – wyrzec wolności: np. tak jak się jej wyrzeka na rzecz Boga człowiek wiary.

Wolna wola jest *de facto* ograniczona w inny sposób: mianowicie – celem, do którego dany ciąg jej aktów zdąża. Ponieważ zaś w życiu psychicznym cel jest identyczny z przyczyną, akty woli są «zdeteminowane» przez także «wybrane» cele-przyczyny. "Ogromna większość ludzi staje się niewolnikami raz dokonanego wyboru." Tutaj, aby nie dać się tak «ograniczyć», trzeba – paradoksalnie – dokonać własnowolnego samoograniczenia się.

### *Dualizm psychiki*

Psychika jest czymś dwoistym i to – podwójnie. Pierwsza dwoistość – to dwoistość jej elementów racjonalnych i irracjonalnych. Druga dwoistość – to dwoistość świadomych i «podświadomych» faktów psychicznych.

Jeśli chodzi o dwoistość pierwszą, to charakterystyczny jest pod tym względem nasz stosunek do śmierci. Intelktualnie rzecz ujmując, nie sposób nie uznać śmierci za życiową konieczność. Co więcej. "Śmierć jest [...] konstytutywnym elementem życia i – daleka – formuje już jego przebieg." Ale emocjonalnie «burzmy się» przeciw tej konieczności. "Lekkomyślny stosunek do śmierci jest jednocześnie powierzchownym pojmowaniem życia."

Pierwszy dualizm przejawia się też w relacjach z innymi ludźmi. Niektórzy głoszą maksymę: zrozumieć – to wybaczyć. A zrozumieć jakiś czyn – to tyle, co – poznać jego motyw. Otóż "każdy czyn ma motyw, ale nie każdy zasługuje na pobłażanie". Wybaczenie nie jest rzeczą intelektu. "Jeśli wybaczać – to w imię miłości, a nie w imię zrozumienia motywów."

Jeśli chodzi o dwoistość świadomości i «podświadomości», to faktów składających się na tę ostatnią nie należy rozumieć jako jakiegoś odrębnego «państwa psychicznego»: są to po prostu "fakty przed progiem świadomości", przy czym tworzą one *continuum* z faktami, które ten próg przekroczyły.

#### *Instrument komunikacji*

Język jest narzędziem ekspresji. Należy jednak pamiętać, że z jednej strony jest to narzędzie zasadniczo niedoskonałe, a z drugiej – nie jest to tylko narzędzie. Chodzi o to więc, że z jednej strony "nie wszystko da się powiedzieć zrozumiale", z drugiej zaś sam język "wpływa istotnie" na wyrażane treści. Dlatego nie powinniśmy się poddać ani "tyranii «zrozumiałości»", ani ulec mitowi przeżyć – wolnych od «domieszek językowych». "Niepodobna sobie pomyśleć treści bez uprzytomnienia związanych z nią elementów formalnych." Wpływ języka na wyrażane treści jest istotny, ale nie upoważnia on z kolei do "romantycznej wiary w potęgę słowa".

«Narzędziowość» *sui generis* właściwa jest także logice. I ona także zarazem nie jest narzędziem doskonałym – i nie jest tylko narzędziem. Dlatego trzeba się z nią obchodzić ostrożnie. Logika jest "lancetem, precyzyjnym pilnikiem, piórem w rękę korektora, który bynajmniej nie ogranicza się do błędów zecerskich i arbitralnie przekreśla stronice pokryte niezbyt czytelnym piśmem autora – filozofa". Co gorsza – mówiąc żartobliwie – "znajomość logiki formalnej uniemożliwia tak proste operacje pojęciowe, jak zamówienie kielbasy z piwem".

#### 7. JAN GRALEWSKI

Zainteresowania Gralewskiego koncentrowały się głównie na estetyce. Ale jego poglądy estetyczne były ugruntowane metafizycznie – i miały wyraźne odniesienia do historiozofii i antropologii.

#### *Sfery realności*

Świat materialny ujęty jest w karby przestrzeni i czasu. Ale podobnie jak przestrzeń bez rzeczy jest niczym, tak czas bez dźwięków – jest pusty.

Świat materialny nie wyczerpuje ogółu bytów. Są jeszcze dusze, choć dusze bez materii byłyby niczym. Śny są także składnikami rzeczywistości. Co więcej, jest to istotny składnik: "ludzie, którzy potrafią marzyć, wiedzą więcej o prawdziwej rzeczywistości niż realisci".

Poza światem rzeczywistym jest jeszcze świat tęsknot. Wiara – jest właśnie postulowaniem tego świata. Nie wszystko można zbadać; nie we wszystkim można osiągnąć pewność. A tylko "gdyby istniała możliwość zbadania wszystkiego, gdyby istniała pewność, nie byłoby okazji do modlitwy".

Świat bowiem jest nieuporządkowanym ciągiem przypadków. Człowiek lęka się przypadkowości; szuka w świecie ładu, a kiedy nie znajduje – po prostu postuluje go: budując teorie naukowe i ideologie lub *last but not least* tworząc sztukę.

### *Bariera cywilizacyjna*

Sztukę można ujmować jako (1) zbiór przedmiotów artystycznych lub (2) działalność artystyczną, które wytworem są te przedmioty; z kolei te ostatnią można ujmować bądź jako (a) tworzenie przedmiotów pięknych, bądź (b) wyrażanie świadomości twórcy: dokładniej – jego przeżyć dokonujących się w postawie estetycznej (postawie «oglądania dla samego oglądania»), czyli, krótko mówiąc, indywidualnych przeżyć estetycznych twórcy. Przedmiotem ich jest opozycja między artystą a światem: ziemskim lub Boskim. Ponieważ cywilizacja przeorganizuje, «uczłowiecza», a tym samym «przesłania» ów świat, artyści – w poszukiwaniu jego bezpośredniego, «prawdziwego» oblicza – muszą «przebić się» przez tę «zasłonę». Ta cywilizacyjna zasłona dzisiaj jest tak szczelna, że spoza niej trudno w ogóle dostrzec świat natury. Zasłona ta jest szczelna zwłaszcza w mieście, w którym «są same tylko ludzkie sprawy dokoła». Twórcy zamiast osobiście przeżywać «żywiol» świata przyrodzonego, zatrzymują swoje zainteresowanie na «sztywnej formie» cywilizacyjnej zasłony, która ich od tego świata odgradza. Ten odwrót od rzeczywistości powoduje rozdziewek między współczesnym twórcą a jego odbiorcami. Rozpowszechnia się demokratyzm historyczny wobec sztuki. Odbiorcy szukają «prawdy» artystycznej u artystów minionych epok (stąd duża liczba – i popularność – wystaw historycznych i retrospektywnych). Jest to odruch zrozumiały, ma jednak niebezpieczne następstwo: relatywizm estetyczny i rozkład smaku artystycznego («wszystko jest piękne»).

Ujęcie sztuki, jako wyrazu indywidualnych przeżyć estetycznych, jest z pewnością za szerokie: nie każde wyrażanie przeżyć estetycznych rodzi sztukę. Ma ono jednak tę zaletę, że rzuca właściwe światło na problem naśladowania rzeczywistości w sztuce.

### *Typy deformacji*

Otóż sztuka nie naśladowuje rzeczywistości, lecz ją deformuje czyli – mówiąc neutralniej – transformuje. Dokładniej – czyni to sztuka stosowana: a w szczególności sztuka zdobnicza i sztuka «organizowania przestrzeni». Ta pierwsza przekształca artystycznie składniki naszego realnego otoczenia; ta druga – całe to otoczenie, umieszczając nas po prostu wewnątrz dzieła sztuki. Natomiast sztuka czysta transformuje ściśle biorąc nie samą rzeczywistość, ale jej wizję, obraz.

Głównym czynnikiem przeżycia estetycznego jest przeżycie sensualne, zmysłowe; stanowi ono podkład dla przeżyć ubocznych, «obwodowych»: irracjonalnych (uczucie i wiara) i intelektualnych (wiedza). W zależności od tego, który z tych czynników bierze górę – i w jakim stopniu – oraz w zależności od pewnych okoliczności psychofizycznych (jednostkowe właściwości zmysłów) i fizycznych (stosowane tworzywo i narzędzia), dochodzi do różnych typów deformacji.

Dzieła sztuki czysto sensualistycznej, pozbawionej czynników irracjonalnych i intelektualnych, mieszczą się między dwoma biegunami. Pierwszy z nich – to naturalizm; tutaj w skrajnym wypadku mamy do czynienia z «czystą empirycznością» – z zupełnie nieuporządkowaną wielością wrażeń. Drugi – to abstrakcjonizm (dekoracjonizm – także kolorystyczny); tutaj dochodzi do głosu «czysta aprioryczność» – geometryczne schematy czasowo-przestrzenne.

Z kolei irracjonalizm i intelektualizm – to dwa bieguny sztuki, wyrażającej przeżycia estetyczne zdominowane odpowiednio przez czynniki irracjonalne (w szczególności emocjonalne) lub intelektualne. W tym ostatnim wypadku nie chodzi przy tym ani o nasy-

cenie dzieła jakąś «tendencją» (por. «idea» w literaturze, czy «literatura» w plastyce), ani o «refleksyjne», przemyślane, niespontaniczne wykonanie. Chodzi natomiast o to, że dzieła sztuki intelektualistycznej wyrażają myśli twórcy: pojęcia (typy), nazwy «literackie» lub «plastyczne» przedmiotów rzeczywistych, będące wyrazem klasyfikowania rzeczywistości. Stosowne formy artystyczne nie reprezentują przedmiotów, lecz je desygnują; są – formami «symbolicznymi». Sztuka nie «tkwi» w nośnikach tych form, lecz w oznaczanej przez nie rzeczywistości. Nawet «poezja nie mieści się w słowach, lecz w świecie».

Pozycję centralną zajmuje tutaj tzw. sztuka prymitywna (tj. sztuka ludów pierwotnych, sztuka ludowa, sztuka dziecięca i sztuka malarzy «niedzielnych»). Prymitywizm tej sztuki polega nie tyle na jej nieudolności warsztatowej, pierwotności «genetycznej» lub «czystości» intencji (wersus sztuka zdegenerowana). Istota prymitywizmu tkwi w pierwiastkowości («surowości») psychicznego mechanizmu przerabiania «doświadczenia życiowego» prymitywisty na dzieła sztuki. Reakcja prymitywisty na rzeczywistość jest pełna, równomierna i niezróżnicowana. W jego przeżyciu estetycznym występują wszystkie czynniki (sensualne, irracjonalne i intelektualne), w jednakowym stopniu i niejako *ex hoc*. To właśnie sprawia, że dzieła prymitywistów z jednej strony najdobitniej ujawniają charakter narodowy w sztuce, z drugiej zaś – dostarczają stałej inspiracji dla artystów «dojrzałych».

Rozwój sztuki (*nb.* nie – postęp) przedstawia się jako stopniowe zarzkanie elementu irracjonalnego i elementu intelektualnego, które – usamodzielniając się – krystalizują się odpowiednio w światopoglądzie i w nauce. To, co swoiste dla artystów-prymitywistów – to to, że wyrażają oni w swoich utworach pełnię osobowości ludzkiej, a nie tylko «półświatek» artystyczny, scjentyistyczny czy ideologiczny.

#### *Ekspresja artystyczna*

Artyści – mimo że ich dzieła powstają na podłożu indywidualnych przeżyć estetycznych – chcąc nie chcąc wyrażają także współczesny sobie stan «ducha» swego narodu, czy wężiej – ich środowiska. Co więcej: «sztuka jest wtedy zła, gdy rozmija się ze swą epoką; gdy nie wyraża intuicji, która tą epoką rządzi». I tak np. sztuka XX-wiecznej Francji wyraża «niepokój» francuskich – i frankofilskich – kręgów kulturalnych, które zamiast «porachunkami ze światem» – pochłonięte są «porachunkami z samymi sobą». Anglicy nie przeżywają takich niepokojów – stąd sztuka angielska wyraża «trzeźwość». Z kolei w sztuce narodowo-socjalistycznych Niemiec i faszystowskich Włoch – zgodnie z narzuconą tym krajom doktryną – znajdują wyraz takie wartości, jak heroizm, poszanowanie rodziny i miłość do stron rodzinnych.

Duch narodowy przejawia się w dziełach zarówno sztuki czystej, jak i stosowanej. «Kto by chciał za pośrednictwem polskiej sztuki zdobniczej poznać duszę polską, poznać rytm polskiego życia, ten niech zwróci uwagę na rytm i barwę polskiego ornamentu.» Ten rytm polskiego życia – to pewny siebie, uroczysty, «umiarowy» krok, niespotykany u innych Słowian (w ogóle «słowiańskość» nie istnieje jako określona forma ducha). «Ogólny charakter polskich tkanin dawnych i nowych, ich, jeśli tak rzec można, melodia, ich pogoda – mają to podobieństwo, które, porównując twarze ludzi, nazywamy podobieństwem rodzinnym.» «Tradycja jest jedna, choć rwana.»

#### *Specyfika indywidualum*

Jednostka ludzka stanowi połączenie elementów praktycznych (zwykła aktywność życiowa i refleksja) oraz apraktycznych («artystyczność»). Zdrowie psychiczne zapewnia

jednostce równowaga obu sfer i ich odpowiednie »uporządkowanie«. Zaniedbanie jednej z nich – rodzi neurastenię. Jeśli w szczególności zanika artystyczność – jeśli więc sztukę usuwa się na margines życia (nietwórcze obcowanie ze sztuką »w wolnych chwilach«) – prowadzi to do »grafomanii wewnętrznej»: kłnomanii, sportomanii, erotomanii, narkomanii, somnomanii itd. Tymczasem życie nasze powinno mieć pewien styl; powinno być stylowe: »tylko to, co stylowe, jest żywe«. »Traktowanie życia jako sztuki [nie] jest tendencją do estetyzującego pozowania. To jest tendencja do czynienia wysiłku, ochota do zmagania się z trudnościami.«

Wszyscy jesteśmy jednak równorzędnymi członkami określonego społeczeństwa: »tej samej wędrowniej trupy komediantów«. Z tego punktu widzenia każde życie jest jednakowo warte: człowieka »stylowego« i życiowego grafomana; intelektualisty i prostaka. W ogóle »nie ma ludzi złych i ludzi dobrych – jest tylko człowiek«.

Poznać samego siebie – »wydobyć całą swą specyficzną jakość« – najłatwiej w podróży, kiedy się porzuca znajome miejsca i ludzi. Ale potem »trzeba wracać do domu i do Polski«, aby dzięki temu »wahadłu między domem a światem« sprawdzić, »czy się nie zgrubiło siebie«.

Szczególnym doświadczeniem jednostki jest cudza śmierć. W jej obliczu – myślimy, jak sami umrzemy. A życie »osiąga swą pełnię właśnie, kiedy ujawnia się jego znikomość«. Myśl o śmierci skłaniać nas powinna do życia takiego, aby jego każda chwila była dziełem wykończonym.

Myśl o śmierci jest jedną z myśli o przyszłości. Wobec przyszłości niektórzy zajmują postawę »agresywną«. Nie jest to stosunek właściwy. Przyszłość bowiem jest czymś, w czym »nie ma jeszcze nic«; jest »próżnią«; a wobec próżni przystoi raczej postawa bezinteresownej kontemplacji.

#### *Konflikt generacji*

Okupacja zaostrzyła spór międzypokoleniowy. Źródłem tego sporu jest różnica postaw wobec Polski. Postawa starszego pokolenia jest postawą wzruszeniową; dla przedstawicieli tego pokolenia Polska jest rzeczą wiary – stąd okupację (»niewolę«) mają za stan naturalny, i czują się w nim »swojsko«. Postawa młodszego pokolenia jest postawą trzeźwości: dla przedstawicieli tego pokolenia Polska jest oczywistym, nie budzącym wzruszeń składnikiem rzeczywistości – stąd okupacja dla nich to anomalia, którą trzeba »z zimną krwią« usunąć. Ojczyzna dla nich »jest czymś prostym i zwyczajnym jak chleb, który spożywamy po to, żeby żyć«; jest warunkiem codziennego działania, a nie przedmiotem odświeżonej deklamacji (przez duże »O«).

Trzeźwy osąd podpowiada tu, że naród – podobnie jak i jednostka – »upada nie wtedy, kiedy poniesie klęskę, ale dopiero, gdy tej klęski nie potrafi obrócić na własny użytek«. Groźna jest nie drugocząca nawet klęska, lecz długotrwałe niepowodzenie: to ono właśnie skłania do ucieczki w fikcję, do »odrealnienia« ojczyzny, do idei mesjanistycznych. »Być dobrym Polakiem, to nie znaczy nic innego, jak być naprawdę sobą. Jeśli się twierdzi inaczej, uznaje się, że Polska nie jest czymś żywym i rzeczywistym, lecz abstrakcyjną fikcją, nie nadającą się istotnie do niczego lepszego, niż mdłe deklamacje.« Rzeczywista Polska tkwi w nas; my jesteśmy »żywym składnikiem rzeczywistości narodowej«. Nie znaczy to bynajmniej, że na nas Polska się zaczyna. »Nie ma środowiska bez tradycji.«

W Polsce – mimo okresów, w których brakowało państwowości – żywa jest dotąd m.in. tradycja swoistej rycerskości chrześcijańskiej. Ta polska odmiana rycerskości różni

się zasadniczo od rycerskości niemieckich raubennitterów; od francuskich dworaków, dbających głównie o «gładkość» formy; i od angielskich «skomercjalizowanych» gentlemanów. Zasada się ona na afirmacji wartości «niepraktycznych»: dobra, prawdy, honoru i miłości.

## 8. MIECZYŚIAW MILBRANDT

### *Geneza filozofii*

Jedni uważają uprawianie filozofii za "konieczność wyrosłą z życia", inni – za "zabawę poza rzeczywistością". Pobudki do spełniania tej «życiowej konieczności» lub podejmowania gry w tę «przekraczającą rzeczywistość zabawę w» szuka się czasem w ciekawości. Tymczasem do zaspokojenia ciekawości, zainteresowania co do jakiejś rzeczy, wystarczy odpowiednio wyczerpujący opis tej rzeczy. Prawdziwym źródłem refleksji filozoficznej jest nie ciekawość – lecz zdziwienie; a jej przedmiotem – nie są rzeczy (tylko) interesujące – lecz niepojęte. Takie np. – jak śmierć.

### *Defekty estetyki*

Są dwa powody braku zadowolającej teorii estetycznej. Pierwszym powodem jest niezgoda między badaczami w sprawie samych podstaw estetyki: rozstrzygnąć co do tego, które z problemów są problemami estetycznymi – i w jakich stosunkach wzajemnych pozostają do siebie te problemy. Drugim – który występuje w całej filozofii – jest metodologiczna nieodpowiedzialność: uznawanie z «apodyktyczną pewnością» zdań, które "logik skazałby na wygnanie z granic nauk".

### *Eudajmonizm integralny*

Są tacy – np. stoicy – którzy uznają szczęście za najwyższe dobro, a zarazem nawołują do umiarkowania, do wyrzeczeń, a nawet – do ascezy. Mamy być umiarkowani w szczęściu, bo za zbyt duże szczęście zapłacimy rzekomo "czarnymi godzinami nieszczęścia". Mamy być gotowi do wyrzeczeń – a nawet ascezy – bo jest to rzekomo najlepsza droga do szczęścia.

Tymczasem chodzi nie o to, żeby ograniczać możliwe szczęście, lecz żeby nie ograniczać rzeczywistego: żeby przeżywać je bez "służalczej gotowości do niepowodzeń" i bez świadomości, że szczęście nas «ogarnęło».

## III. ZESTAWIENIE

Było kilka rzeczy, które wyraźnie łączyły wszystkich tych myślicieli.

Należeli w zasadzie do jednego pokolenia. Najstarsza – Szebekowa – miała w chwili wybuchu Powstania 45 lat; najmłodsza – Krzeszewska – 25 lat.

Wszyscy czuli się warszawiakami. Poza Warszawą urodziła się tylko Szebekowa (w Kurlandii), Miciński (na Bracławszczyźnie) i Milbrandt (w Łodzi); szczególny był wypadek Wasilewskiego, który urodził się w Warszawie, ale pochodził z Mohylowszczyzny; tam spędził dzieciństwo. Jednakże Szebekową, Micińskiego i Wasilewskiego wypędziła ze stron rodzinnych rewolucja rosyjska.

Wszyscy byli uczniami Tatarłdewicza. Z litery – i z ducha. Nic dziwnego, że mieli zarówno wspólne zainteresowania, jak i poglądy w wielu sprawach. I na ogół dzielili je z mistrzem.

Po pierwsze, łączył ich – paradoksalnie, mimo doświadczania zła wojny – optymizm. Salamucha zauważał: "Tak się czasami składa, że życie nas stawia zbyt często wobec fragmentów ciemnych – przed ich pesymistycznymi sugestiami bronimy się świadomością,

że są to tylko fragmenty wielkiej, nieznannej nam całości, a w tej części inaczej by może wyglądały". Wszyscy cenili humor. Miciński powiadał: "Humor strzeże od hysterii i sprowadza rzeczy tego świata do właściwych wymiarów". "Nasze życie jest cudowną przygodą" – twierdził Gralewski. Nie znaczy to wcale, że obce im było uczucie smutku. Ale – pisał Milbrandt – smutek nie jest po prostu przeciwieństwem optymizmu, nie jest pesymizmem, ani nawet nie jest brakiem optymizmu. Smutek – to "optymizm rozczarowany".

Po drugie, wszyscy byli zarazem realistami. Ale "liczyć się z faktami, to wcale nie to samo, co zgadzać się z nimi" – mówił Mosdorf. Hasło pełnej wolności jest kuszące, ale – nierealistyczne. Salamucha przypominał: "Pełna wolność jest ideałem, który tylko w społeczeństwie aniołów mógłby być zrealizowany". Powinniśmy być przygotowani na "zmaganie się z trudnościami" – twierdził Gralewski; z trudnościami rzeczywistymi, a nie urojonymi.

Po trzecie, właściwy im był aktywizm – mimo że niektórym nieobce były skłonności do postawy estetyzującej. "Nie po to się żyje, aby jeść, lecz po to je, aby żyć; żyje zaś po [to], aby tworzyć" – mówił Mosdorf. Salamucha wyznawał: "Serca mamy gorące, energii nam nie brak, przed trudnościami nigdy tchórczliwie się nie cofamy". Istoty człowieka należy szukać w jego czynach – głosił Lempicki. Miciński powiadał o sobie: "Jestem entuzjastą filozofii twórczości", "Życie jest naszym zadaniem, a nie umieranie" – twierdził Gralewski. A urzeczywistniając to zadanie pamiętajmy – pisał Milbrandt – że "każdy rok [życia] zmniejsza [...] zakres [naszych] możliwości".

Po czwarte, wszyscy opowiadali się za kreatywnizmem. Uważali, że trzeba tworzyć wartości, a nie tylko ich bronić. Że lepsza jest agresja – niż rezygnacja. Byli wrogami postawy niesprzeciwiania się złu – a zwłaszcza wrogami (jak to ujmował Mosdorf) "obłędu pacyfistycznego". "Brak dobra pokonać można jedynie tworzeniem dobra" – mówił Mosdorf. Salamucha przestrzegał: "Czy nie za dużo zwracamy uwagi na tępienie zła, czy nie za mało jednocześnie myślimy o krzewieniu dobra?". "Nie wystarczy nie czynić zła; trzeba szerzyć dobro" – podkreślał Siwecki.

Po piąte, z kreatywnizmem współgrał w ich postawie antymimetyzm i antykatarktyzm. Wszyscy przeczyli temu, że sztuka naśladuje rzeczywistość. Ale gdy jedni sądzili, że co prawda nie naśladuje, ale deformuje – inni odrzucali i jeden, i drugi pogląd. Miciński powiadał: "Sztuka nigdy rzeczywistości nie deformuje, nigdy nie zmniejsza; sztuka zawsze formuje, tworzy, kształtuje". I dodawał: "Wylew uczuć prawdziwych, nie nawierzchnich – bynajmniej ich nie uspokaja [...] i; oczyszczenie, wylew uczuć prowadzi do coraz większego ich rozpięcia".

Po szóste, byli oni – z wyjątkiem może Lempickiego – integralnymi konserwatystami: nawet ci, którzy zajmowali się estetyką i analizowali najnowszą sztukę. Miciński powiadał: "Martwią mnie ludzie, którzy wciąż bredzą o «nowych poglądach», «nowych perspektywach» – Sofokles i Bach są jeszcze tak mało znani, a ludzie chcą już nowości".

Po siódme, wspólny im był patriotyzm (który zresztą ostro odróżniali od nacjonalizmu), mimo że na pewno Milbrandt, a zdaje się że i Mosdorf, wywodzili się z rodzin pochodzenia niemieckiego. Salamucha zapowiadał: "Nie nienawidzę burzycieli mojego domu ojczystego, ale bronić tego domu ojczystego będę do ostatniego tchnienia, nie tylko defensywnie, lecz i ofensywnie". "Oddanie się sprawie narodowej polega nie tylko na gotowości oddania za nią życia w razie wojny, ale do ofiary ze swej pozycji socjalnej" – mówił Mosdorf. "Nie sposób zanadto kochać własny naród" – podkreślał Siwecki. Najpiękniej o tym pisał

Miciński: "Nie należy [...] przypuszczać, że jeśli naród polski powziął decyzję walki [w roku 1939], to powziął ją dlatego, że w ten sposób wychowany był przez tych, którzy stali u władzy. Sądzić tak – to obrażać naród polski przypuszczeniem, że mógłby się zachować inaczej [...]. Narodu o dziesięciowiekowej tradycji nie wychowuje się jak sztubaka i nie nastawia w ciągu dziesięciu lat. Na wojnę z Niemcami w roku 1939 naród polski zdecydował się jeszcze przed Bolesławem Chrobrym. [...] Ten sam ogień, który wyróżnia człowieka od świata zwierząt, zapłonął na stokach warszawskiej cytadeli po upadku styczniowego powstania. Rozpaliły go ascetyczne dłonie polskiego dyktatora Romualda Traugutta – prawdziwego polityka, który w szaleńczej akcji zbrojnej, wbrew trzeźwym wskazaniom owych polityków-kolaborantów, uratował polską niepodległość. Gdy w przeddzień oddania Warszawy palił się nasze sztandary w obramowaniu czerwonych murów Cytadeli – płonęły one w ogniu szubienicy, której drewniany szkielet wznosił się nad szeroko rozlaną Wisłą rozrzuconymi krzyżami bezimiennych świętych. Pochylał się nad tym płomieniem wąty cień polskiego dyktatora, który oparł zasady prawdziwej, trwałej polityki na ogniu wiary, nadziei i miłości." 143  
Słowa Micińskiego były dobrym świadectwem, że rację miał Gralewski: "Ojczyzna daje nam wzruszenia wspaniałe – wielkie myśli, przeżycia o wielkiej skali, poczucie wielkości".

## TWÓRCZOŚĆ LOGICZNA KS. JANA SALAMUCHY

### 1. WSTĘP

Przyjmijmy, że termin "logika stosowana" odnosi się do dowolnej logiki zinterpretowanej w ten sposób, że przyporządkowano jej pewną niepustą właściwą podklasę tych semi-modeli, które nadają się na modele tej logiki. Powiemy odpowiednio, że logika czysta to taka logika, której przyporządkowano rodzinę wszystkich jej modeli.<sup>1</sup>

Przy powyższych znaczeniach odpowiednich terminów, można powiedzieć, że ks. Salamucha uprawiał wyłącznie logikę stosowaną. W Polsce lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku (a szczególnie w kręgach zajmujących się filozofią katolicką) było to przedsięwzięcie niemal zupełnie nowe. Dlatego też ks. Salamucha poświęcił wiele uwagi pokazaniu jego zasadności i prawomocności. Temat ten poruszony jest w każdej prawie pracy ks. Salamuchy. Najdokładniej został on omówiony w artykule "O możliwościach ścisłego formalizowania dziedziny pojęć analogicznych" ([10]). Rozważania dotyczące semantyki wyrażeń analogicznych oparte są w nim na tezie o stosowalności matematyki współczesnej do metafizyki (i teologii). Teza ta uzasadniona jest w pierwszej części artykułu. Okazuje się, że wywód ten dotyczy także uzasadnienia tezy o możliwości stosowania logiki do wszelkich nauk realnych. Rozumowanie autora opiera się tu na założeniu wtórności dedukcyjnej logiki względem matematyki, a także na średniowiecznej klasyfikacji nauk. Klasyfikacja ta jest złożeniem dwóch podziałów. Pierwszy podział dokonany jest ze względu na trzy stopnie abstrakcji. Ks. Salamucha wyjaśnia termin "stopnie abstrakcji", odwołując się do pojęć kategoryalnych. Aby przybliżyć pojęcie odpowiadające terminowi "drugí stopień abstrakcji", pod który podpada średniowieczna matematyka, ks. Salamucha przytacza m.in. definicję liczby Pawła Wenety. Średniowieczna matematyka to "liczenie rzeczy" i "opisywanie stosunków przestrzennych w rzeczach". Drugi podział, składający się na średniowieczną klasyfikację, dokonany jest ze względu na rodzaj przedmiotu poznawanego. W ten sposób otrzymujemy zbiór nauk realnych, które zajmują się przedmiotami tzw. intencji pierwszej (są to nauki należące do wszystkich trzech stopni abstrakcji) oraz logikę – naukę traktującą o przedmiotach tzw. intencji drugiej<sup>2</sup>, formułowaną w metafizyku. Nauką o przedmiotach intencji drugiej jest także, jak wykazuje autor, współczesna matematyka, której częścią jest logika. Tak więc logika może być stosowana nie tylko do metafizyki (i teologii), lecz także do wszystkich nauk realnych – za zmienne w niej występujące wolno podstawiać wyrażenia należące do tych nauk (m.in. także terminy analogiczne).

Zdaniem ks. Salamuchy, logika jest narzędziem zabezpieczającym przed błędami semantycznymi (mętnością i wieloznacznością różnych terminów) oraz formalnymi

<sup>1</sup> Proponowane sformułowania są tu tyle ogólne, że dotyczą także logiki obejmującej metodologię i semiotykę.

<sup>2</sup> Według ks. Salamuchy, przedmiotami intencji drugiej są – w dalszej kolejności – wyrażenia jakiegoś języka. Przedmioty intencji pierwszej – to wszystkie to przedmioty, które nie są przedmiotami intencji drugiej.

(używanie nietautologicznych schematów wnioskowania). Jej stosowanie nie zakłada przy tym konieczności przyjęcia określonego stanowiska filozoficznego. W szczególności, nie ma takiej zależności między stosowaniem logiki a neopozytywizmem.

W pracach ks. Salamuchy logika klasyczna znajduje zastosowanie w analizie pewnych zagadnień z historii logiki oraz filozofii.

## 2. PROBLEMATYKA HISTORII LOGIKI

Stosowanie przez ks. Salamuchę logiki do problematyki historii logiki miało na celu:

1. wyznaczenie nowoczesnych interpretacji najważniejszych pojęć metalogicznych i metodologicznych;

2. porównanie pewnych interpretacji rozważanych tekstów logiki klasycznej ze współcześnie formułowanymi systemami formalnymi.

2.1. Najobszerniejszą pracą ks. Salamuchy dotyczącą problematyki historycznej jest jego rozprawa habilitacyjna *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu* (171). Posługując się nowoczesną interpretacją pojęć metalogicznych (takich jak: *wynikanie logiczne, racja i następstwo, prawda i fałsz*) oraz metodologicznych (np. *uzasadnianie, rozumowanie, aksjomat, definicja, przesłanka i wniosek*), autor przeprowadza wnikliwą analizę dzieł Arystotelesa, św. Tomasza z Akwinu oraz ich komentatorów.

Na podstawie tej analizy zostają sformułowane warunki, które – według Arystotelesa i Akwinaty – powinny być spełniane przez tezy wyjściowe dedukcji, jej wyniki oraz cały proces dedukcyjny. Zdanie będące przesłanką, powinno być: prawdziwe, pierwsze (tzn. nie będące konkluzją w żadnym sylogizmie), bezpośrednie (tzn. także, że nie istnieje termin średni w sylogizmie, którego konkluzją mogłoby być to zdanie), bardziej znane w stosunku do wyniku dedukcji, „popzedzające konkluzję” i będące „przyczyną konkluzji” (tzn. będące racją logiczną dla wyniku rozumowania).

Wskazanie warunków, które powinny być spełniane przez wyniki dedukcji, jest możliwe dopiero po sformułowaniu hipotezy eksplikacyjnej, która zdaniem ks. Salamuchy, ma zlikwidować pewne pozorne niezgodności i sprzeczności występujące w tekstach Arystotelesa. Zgodnie z ową hipotezą należy sądzić, że Arystoteles formułuje pewne prawa dotyczące nie rozumowania dedukcyjnego w ogóle, ale trzech różnych, niesprowadzalnych do siebie typów rozumowań dedukcyjnych:

- rozumowań matematycznych (wziętych głównie z geometrii);
- rozumowań według naturalnej hierarchii klas (przebiegających wedle trybów sylogistycznych, gdzie odpowiednie terminy są interpretowane jako klasy przedmiotów wyznaczane ze względu na tzw. cechy istotne tych przedmiotów);

wreszcie

- rozumowań przyrodniczych (w których przedmiotem są „rzeczy w swoim stawianiu się”).

Zdaniem ks. Salamuchy niezgodności biorą się stąd, że Arystoteles nie zaznacza często tego, w którym typie dane prawo obowiązuje.

Zgodnie z interpretacją ks. Salamuchy, zdania będące wynikami rozumowań matematycznych, które dają się przedstawić w formie sylogizmów oraz wyniki rozumowań według naturalnej hierarchii klas – muszą być istotne (tzn. także, że „racją, dla której orzeczenie

przysługuje podmiotowi, jest sama istota podmiotu<sup>3</sup>), apodyktyczne (tę cechę św. Tomasz uważa za równoważną istotności) i ogólne (tzn. takie, w których "orzeczenie przysługuje wszystkim indywidualom zawartym w danym gatunku czy rodzaju"). W rozumowaniach tego typu według Arystotelesa, termin średni ma być *definiensem* terminu większego, zaś według św. Tomasza – terminu mniejszego.<sup>4</sup> Z kolei niektóre wyniki rozumowań matematycznych oraz rozumowań według naturalnej hierarchii klas spełniają warunek równości zakresowej podmiotu i orzeczenia.

Co do samego rozumowania dedukcyjnego, okazuje się, że nie może ono stanowić cyklu (tzn. wniosek nie może być równokształtny z którąkolwiek z przesłanek) oraz musi być «łańcuchem» skończonym – w przesłankach nie można «zejść» poniżej pewnego gatunku, ponieważ "indywiduami jako indywiduami nauka się nie zajmuje" (s. 57).<sup>5</sup>

Dalsza analiza prowadzi ks. Salamuchę do wyróżnienia pierwotnych elementów dedukcji arystotelesowsko-tomistycznej. W jego interpretacji są nimi:

- definicje realne przedmiotów, o których w konkluzjach coś się twierdzi;
- definicje nominalne orzeczeń;
- aksjomaty – tezy, z których wyprowadza się konkluzje, a które same nie są uzasadniane dedukcyjnie.

Ks. Salamucha wyróżnia dwie grupy aksjomatów wchodzących w skład teorii arystotelesowsko-tomistycznej:

- aksjomaty dotyczące bytu jako bytu, prawdziwe w każdej dziedzinie rzeczywistości;
- aksjomaty dostosowane do definicji sformułowanych na terenie danej nauki.

Ani Arystoteles, ani św. Tomasz nie podają kompletnej listy aksjomatów. Obydwaj jednak twierdzą, że liczba aksjomatów w obrębie każdej teorii musi być skończona, a one same powinny być niezależne dedukcyjnie. Aksjomaty są uzasadniane metodą dialektyczną (w której korzysta się z argumentacji elenktycznej<sup>6</sup>, przez sprowadzenie do niedorzeczności – oraz systematycznej<sup>7</sup>) lub metodą indukcyjną (tzn. intuicyjną). Zastosowanie metody dialektycznej ks. Salamucha przedstawia na przykładzie Arystotelesowej argumentacji za uznaniem zasady niesprzeczności i zasady wyłączonego środka z *Metafizyki* (Księga Γ).<sup>8</sup>

Punktem wyjścia rozważań ks. Salamuchy jest pewien spleźniony podział rozumowań. W analizowanym tekście czytamy: "W przeprowadzonym podziale typów rozumowania trzymałem się klasyfikacji prof. Łukasiewicza [...] ([17], przypis 1, s. 45); wprowadziłem

<sup>3</sup> Chodzi tu raczej nie o "istotę podmiotu", lecz o "istotę przedmiotu oznaczonego przez nazwę będącą podmiotem w rozważanym zdaniu".

<sup>4</sup> Wierność taką mogą posiadać tylko te syllogizmy, które spełniają warunek równości zakresowej.

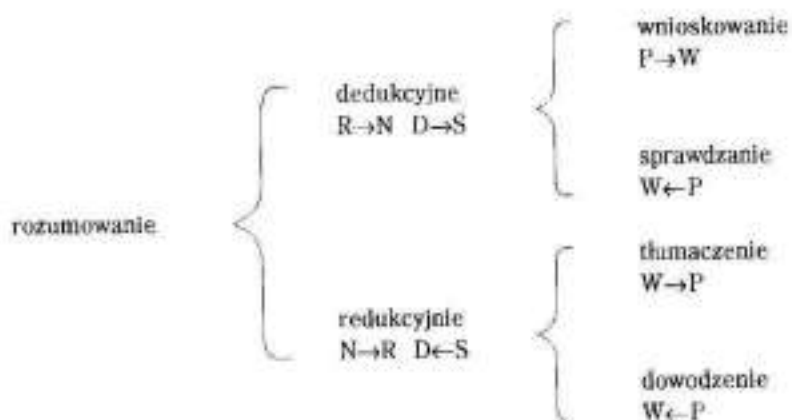
<sup>5</sup> Innymi słowy uzasadnianiu przesłanek nie może nastąpić regres *in infinitum*.

<sup>6</sup> Osoba A elenktycznie dowodzi tezę  $T$ , osobie B – zawsze i tylko wtedy, gdy – osoba A dowiedzie, że  $(A_1, A_2, \dots, A_n) \rightarrow T$ , gdzie  $(A_1, A_2, \dots, A_n)$  oraz  $T$  (taką, że  $T_1 = \neg T$ ) – są tezami przyjmowanymi przez osobę B.

<sup>7</sup> Argumentacja systematyczna za uznaniem tezy  $T$  polega na obaleniu trudności wysuwanych przeciwko tezie  $T$ .

<sup>8</sup> Zarówno Arystoteles, jak i św. Tomasz, uważa obydwie te zasady za aksjomaty biorące udział w niektórych tylko rozumowaniach. Okazuje się jednak że w *Metafizyce* Arystoteles zajmuje mieniczące stanowisko w sprawie statusu logicznego (i ontologicznego) zasady niesprzeczności. Logiczna zasada niesprzeczności jest tu uważana za konieczny składnik wszelkiego rozumowania dedukcyjnego.

tylko pewne zmiany terminologiczne".<sup>8</sup> Przy pomocy terminologii z [5] można schematycznie przedstawić tę klasyfikację następująco:



Skrót " $R \rightarrow N$ " oznacza kierunek wynikania logicznego. Wynikanie logiczne zachodzi zawsze między racją ("R") a następstwem ("N"). Wyrażenie " $D \rightarrow S$ " jest skrótem oznaczającym kierunek dobierania. "W rozumowaniu, pojętym zwłaszcza jako czynność myślowa, ma miejsce zawsze «dobieranie» do zdań (sądów) danych ["D"], jakiegoś zdania (sądu) szukanego ["S"]" ([5], s. 281). Skrótem " $P \rightarrow W$ " oznaczony jest kierunek inferencji zachodzącej zawsze między przesłanką ("P") a wnioskiem ("W"). Inferencja to uznawanie jednego zdania, będącego wnioskiem na podstawie innych zdań, pełniących rolę przesłanek.

Przedstawiona przez ks. Salamuchę klasyfikacja rozumowań nasyca jednak pewne trudności. Przy okazji przeprowadzania pierwszego podziału rozumowań (na dedukcyjne i redukcyjne), ks. Salamucha pisze: "W tej relacji [wynikania] wyróżnimy dwa wypadki:

- I. *A* jest pewne, *B* jest niepewne;
- II. *A* jest niepewne, *B* jest pewne.

[...] Nazwijmy rozumowanie oparte na pierwszej ewentualności dedukcją; rozumowanie oparte na drugiej ewentualności, nazwijmy redukcją" (por. [7] str. 3). Na podstawie wyjaśnień ks. Salamuchy, możemy powiedzieć, że zdanie *A* jest pewne zawsze i tylko wtedy, gdy jesteśmy przekonani o prawdziwości zdania *A* lub ją zakładamy, tzn. przypisujemy zdaniu *A* jakąś kwalifikację pragmatyczną. W skrócie możemy to zapisać tak:

$$A \text{ jest pewne} = \bigcup U(A),$$

gdzie " $U(A)$ " znaczy tyle, co "*A* jest uznane".

Uznawanie zdania łączy się jednak z procesem inferencji, a nie dobierania. To właśnie w wypadku inferencji mówi się o przyporządkowywaniu zdaniom kwalifikacji pragmatycznej. Gdy dane zdanie zostanie uznane, wówczas jest ono przesłanką lub wnioskiem:

$$U(A) = P(A) \vee W(A).$$

Wydaje się więc, że ks. Salamucha dokonując pierwszego podziału porównuje raczej kierunek wynikania z kierunkiem inferencji, a nie z kierunkiem dobierania. Wówczas jednak pierwszy podział (na dedukcję i redukcję) różni się w sposób istotny od pierwszego podziału

<sup>8</sup> Łukasiewicz przedstawił swój spiętrzony podział rozumowań w [3].

Łukasiewicza. Znika wtedy także różnica między zasadą pierwszego i zasadą drugiego podziału (na wnioskowanie i dowodzenie oraz na tłumaczenie i sprawdzanie).

2.2. Innym przykładem nowoczesnej interpretacji historii logiki, są analizy przeprowadzone w artykule "Logika zdań u Wilhelma Ockhama" ([8]). Część pierwsza tej pracy stanowi wykład rachunku zdań Ockhama. Zdaniem ks. Salamuchy Ockham przypisywał swoim spójnikom zdaniowym sens, jaki wiąże się ze spójnikami prawdziwościami klasycznego rachunku zdań. W dziele Ockhama w szczególności:

1. sformułowana jest wyraźnie definicja implikacji materialnej, odróżnionej od implikacji formalnej;
2. podane są konieczne i wystarczające warunki prawdziwości i fałszywości koniunkcji oraz alternatywy;
3. znaki negacji i równoważności są używane zgodnie z klasycznymi definicjami tych spójników prawdziwościami.

Ks. Salamucha przytacza następnie dwadzieścia siedem tautologii, które sformułował Ockham w swojej *Semie* oraz jedną formułę  $(E [(p \wedge q \rightarrow r) \wedge (s \rightarrow -q) \wedge (t \rightarrow -r)] \rightarrow (p \wedge t \rightarrow s))$ , która wbrew intencji Ockhama, nie jest tautologią. W drugiej części artykułu, ks. Salamucha omawia sylogistykę zdań kategorycznych Ockhama i sposób, w jaki wiąże ją on z przedstawioną wcześniej teorią zdań.

Na podstawie analiz ks. Salamuchy można powiedzieć, że Ockham z jednej strony zachowuje wierność wykładowi Arystotelesa – wyróżnia trzy, a nie cztery figury sylogistyczne – z drugiej zaś podąża już za logikami średniowiecznymi, traktując tryby sylogistyczne jako schematy wnioskowania.<sup>10</sup>

Ockham przedstawia sylogistykę zdań kategorycznych jako system aksjomatyczny, przyjmując w rozwinięciu zasady *dictum de omni et de nullo*<sup>11</sup> cztery niedowodliwe tryby figury pierwszej: *Barbara*, *Celarent*, *Darii* i *Ferio*. Tryby te są podstawą do uzasadniania pozostałych (Ockham wymienia wszystkie dwadzieścia cztery). Uzasadniając odpowiednie tryby, Ockham uznaje za ich konieczne przesłanki, tezy sformułowane przez siebie na gruncie teorii zdań. Fakt ten świadczy o tym, że Ockham dokładnie zdawał sobie sprawę z dedukcyjnej zależności sylogistyki od rachunku zdań.

2.3. W trzeciej pracy z dziedziny historii logiki, ks. Salamucha w mniejszym już stopniu korzysta z aparatury nowoczesnej logiki formalnej. Chodzi o artykuł "Pojawienie się zagadnień antynominalnych na gruncie logiki średniowiecznej" ([9]), w którym rozważana jest historia antynomii klamcy – od Eubulidesa do Ockhama. Punktem wyjścia jest przedstawienie owej antynomii we współczesnej ks. Salamusze wersji wziętej z rozprawy Alfreda Tarskiego *Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych*, a pochodzącej od Jana Łukasiewicza.

### 3. PROBLEMATYKA FILOZOFICZNA

Zastosowanie przez ks. Salamuchę logiki do problematyki filozoficznej obejmuje analizy niektórych pojęć filozoficznych oraz uzasadnienia niektórych tez filozoficznych.

<sup>10</sup> Ockham (a za nim ks. Salamucha) mówi o przesłankach i wniosku w danym trybie, nie zaś o poprzedniku i następniku.

<sup>11</sup> Zgodnie z tą zasadą powiesz, że cokolwiek można orzec o wszystkich rzeczach, można orzec o niektórych i o poszczególnych, oraz cokolwiek nie można orzec o żadnych, nie można orzec o niektórych i o poszczególnych.

### 3.1. Pojęcia filozoficzne

Zgodnie z postulatami Szkoły Lwowsko-Warszawskiej w ogóle, a także jej ośrodka krakowskiego, do którego należał ks. Salamucha, warunkiem koniecznym uprawiania naukowej filozofii jest operowanie jasnymi i wyraźnymi pojęciami. Dlatego też niezbędna jest analiza logiczna tych terminów, które wskutek funkcjonowania w odmiennych systemach filozoficznych) stały się mętne i wieloznaczne. Ks. Salamucha podejmuje m.in. taką analizę pojęć "termin analogiczny" i "pierwszy poruszyciel".

3.1.1. Analiza pojęcia "termin analogiczny" zawarta jest w pracy "O możliwościach ścisłego formalizowania dziedziny pojęć analogicznych". Na gruncie współczesnej metafizyki "termin analogiczny" ma być rozumiany jako "wyrażenie typikalnie wieloznaczne" (tzn. takie, które może być orzekane o przedmiotach różnego typu). Przywołując średnio-wieczne rozróżnienie terminów jednoznacznych, wieloznacznych i analogicznych, ks. Salamucha pokazuje negatywne konsekwencje prób sprowadzenia terminów analogicznych do terminów jednoznacznych (szkotyzm), a także do terminów wieloznacznych (agnostycyzm) na terenie teologii.

3.1.2. Z punktu widzenia współczesnej sformalizowanej filozofii Boga, najważniejsza jest próba zdefiniowania pojęcia "pierwszego poruszyciela" dokonana przez ks. Salamuchę w artykule "Dowód *ex motu* na istnienie Boga. Analiza logiczna argumentacji św. Tomasza z Akwinu" ([6]).

Zgodnie z proponowaną przez autora definicją, przedmiot  $x$  jest pierwszym poruszycielem zawsze i tylko wtedy, gdy:

$$- \dot{x} \wedge \wedge y [y \in CR \wedge (y - x) \rightarrow xRy],$$

gdzie: " $\dot{x}$ " znaczy tyle samo, co " $x$  jest w ruchu", " $xRy$ " - " $x$  porusza  $y$ ", zaś " $CR$ " jest skrótem dla wyrażenia "pole relacji poruszania".

Pierwszym poruszycielem jest więc pierwszy element pola relacji poruszania, nie będący w ruchu.<sup>12</sup>

Definicja ks. Salamuchy zapoczątkowała szereg innych sformułowań (por. [4]), opartych na na tej samej idei - idei elementu ekstremalnego pola rozważanej relacji.

### 3.2. Uzasadnianie twierdzeń filozoficznych

Jeżeli dane twierdzenie pewnego systemu filozoficznego nie jest ani aksjomatem, ani definicją, to powinno być ono uzasadnione przez odwołanie się do innych zdań. Teza o istnieniu Absolutu jest właśnie tego typu twierdzeniem na gruncie filozofii arystotelesowsko-tomistycznej. Uzasadnienie owej tezy znajdujemy w tzw. pięciu drogach św. Tomasza z Akwinu zawartych w *Summa theologiae* i *Summa contra Gentiles*. Proponowane przez Akwinata uzasadnienie w dowodzie *ex motu* z *Summa contra Gentiles* zostało rozważone przez ks. Salamuchę w artykule "Dowód *ex motu* na istnienie Boga. Analiza logiczna argumentacji św. Tomasza z Akwinu".

Ks. Salamucha postawił sobie za cel uzyskanie asertywnego dowodu następnika następującej implikacji:

$$T. \wedge x (\dot{x} \rightarrow \forall t (tRx) \wedge K(R) \wedge \forall y (y \in CR \wedge \wedge u [u \in CR \wedge (u - y) \rightarrow yRu]) \wedge \forall v [-\dot{v} \wedge \wedge u [u \in CR \wedge (u - v) \rightarrow vRu]],$$

którą zgodnie ze znaczeniami odpowiednich terminów, można przeczytać następująco:

<sup>12</sup> Jak zauważył s. J. Blochenski w [2], św. Tomasz nie dowodzi istnienia elementu będącego *primum movens* ale *primum movabile*, to znaczy tego, że:

$$\forall x (x - \exists t (t - (t - x) \wedge \wedge u [uRt \wedge (u - t)]). \text{ Prof. E. Niezronski w [4] wykazał jednak, że na gruncie rachunku ks. Salamuchy pojęcia elementu pierwszego i elementu minimalnego są równoważne.}$$

Jeżeli dla każdego  $x$  będącego w ruchu istnieje takie  $t$ , które porusza  $x$ -a (czynnik c1) i relacja poruszania jest relacją porządkującą liniowo (c2), i w jej polu istnieje element pierwszy (c3) to istnieje element pierwszy tej relacji, który nie jest w ruchu.

Teza T jest oczywiście prawdziwa; jeżeli w polu niepustej relacji przeciwwrotnej, przechodniej i spójnej istnieje element pierwszy, to istnieje element pierwszy, nie będący w ruchu. Ks. Salamucha przedstawia w swoim artykule dowód tezy T. Na tezie T można oprzeć następujący niezawodny schemat wnioskowania:

$$c1, c2, c3 \rightarrow \forall v \{ \neg \dot{v} \wedge \wedge u [u \in CR \wedge \neg (u = v) \rightarrow vRu] \}.$$

Rozumowanie zgodne z powyższym schematem będzie asertywne, gdy czynniki c1, c2 i c3 zostaną uznane z asercją.

Uznanie czynnika c1 oraz tez o przechodności i spójności relacji, zdaniem ks. Salamuchy nie wymaga odwoływania się do innych zdań. Inaczej rzecz się przedstawia w wypadku tezy o przeciwwrotności relacji poruszania. Nic dziwnego, że ks. Salamucha poddaje analizie aż trzy dowody tezy:

$$T1. \wedge x \{ \dot{x} \rightarrow \forall t [tRx \wedge \neg (t = x)] \},$$

która jest formalizacją słów "omne quod movetur ab alio movetur". Pierwszy i trzeci dowód zostają sformalizowane. Drugi, będąc argumentacją typu redukcyjnego, zdaniem ks. Salamuchy, nie nadaje się do formalizacji. W pierwszym dowodzie, wykorzystuje się pojęcie części właściwej, w trzecim zaś pojęcia aktu i potencji.<sup>13</sup>

Dowód czynnika c3, tzn. tezy o istnieniu elementu pierwszego w uporządkowanym polu relacji  $R$ , jest według ks. Salamuchy w tekstach Tomaszowych argumentem *per reductionem ad absurdum*. Uznanie zdania:

$$Tp. \wedge x \wedge y (xRy \rightarrow \dot{x} \wedge \dot{y})$$

prowadzi w konsekwencji do uznania następującej implikacji:

Jeżeli uporządkowany zbiór ciał poruszających się i poruszających jest zbiorem nieskończonym, to nieskończony i uporządkowany zbiór ciał porusza się w czasie skończonym.

Implikacja ta zaś jest w opinii ks. Salamuchy jawnie sprzeczna z myślą św. Tomasza. Odrzucenie jej, jak wykazuje ks. Salamucha, prowadzi do odrzucenia zdania Tp. Odrzucając Tp, a przyjmując czynnik c2 oraz

$$Tn. \wedge x (\sqrt{t} tRx \rightarrow \dot{x}),$$

musimy przyjąć czynnik c3, ponieważ prawdą jest, że:

$$c2 \wedge Tn \wedge \neg Tp \rightarrow c3.$$

Okazuje się ostatecznie, że ks. Salamusze nie udało się podać wystarczającego uzasadnienia poprzednika implikacji T – tj. podać jego dowodu asertywnego. Zawodzi tu zarówno uzasadnienie pośrednie, proponowane przez ks. Salamuchę, jak i doświadczenie. Na podstawie doświadczenia trudno jest zgodzić się z tym, że relacja poruszania przestrzennego jest porządkiem liniowym.<sup>14</sup> Do uzasadnienia przez odwoływanie się do innych zdań także można mieć wiele zastrzeżeń. Ks. Salamucha rozumie przesłankę o zakazie regresu

<sup>13</sup> Jak słusznie zauważył o. J.M. Bochenski w [2], ks. Salamucha rozumienie aktu i potencji jest zupełnie inne niż Tomaszowe. Za zmienną  $s$  w skrótach " $sA, y$ " (zn. " $s$  jest pod względem  $S$  w  $a$ cie względem  $y$ -a") i " $sP, y$ " (zn. " $s$  jest pod względem  $S$  w  $a$ potencji względem  $y$ -a") ks. Salamucha podstawia relacje poruszania. Zdaniem o. Bochenskiego, zmienne będące indeksami przy słych " $A$ " i " $P$ " powinny raczej przebiegać zbiór form.

<sup>14</sup> Jak słusznie zauważa E. Rivetti-Barbó (por. 14), twierdzenie o spójności relacji poruszania jest oczywiście fałszywe.

in infinitum różnie od powszechnie dzisiaj przyjmowanej koncepcji J. Bendieka z [1]. Dla Bendieka jasne jest to, że w przesłance tej chodzi nie o uznanie tezy o skończoności relacji poruszania, lecz o zakaz cofania się w bezpoczątkowość w szeregu poruszycieli, a więc (przy pewnej interpretacji) o istnienie elementu minimalnego relacji racji bytu. Ks. Salamucha interpretuje tę samą tezę jako tezę o istnieniu pierwszego elementu pola relacji poruszania. Przy założeniu jednak, że pole relacji poruszania jest zbiorem przeliczalnym (a tak najprawdopodobniej uważa ks. Salamucha), interpretacja ta jest równoważna tezie o skończoności tego zbioru. Naszkicowana wcześniej argumentacja *per reductionem ad absurdum* za uznaniem tezy o istnieniu elementu pierwszego także chybia celu – chociażby dlatego, że konsekwencja tezy  $T_p$  nie wydaje się z konieczności fałszywa.

Uzasadnianie przez odwoływanie się do oczywistości pewnych aksjomatów, z których wywodliwe są człony poprzednika tezy  $T$ , również jest nieprzekonywujące. Nie można uznać z asercją niektórych aksjomatów choćby dlatego, że występują w nich niejasne pojęcia (np. pojęcia *aktu* i *potencji*).

3.2.2. Interesującą – aczkolwiek dużo mniej zaawansowaną – próbę formalnej rekonstrukcji pewnych rozumowań filozoficznych znajdujemy w pracy *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*. Chodzi o formalizację argumentacji Arystotelesa przedstawionych w *Metafizyce* (Księga  $\Gamma$ ) za uznaniem zasady niesprzeczności (ZN) i zasady wyłączonego środka (ZS).

Ks. Salamucha konstruuje następujące definicje:

$$D1. V(p) = \neg p,$$

gdzie " $V(p)$ " znaczy tyle, co "Zdanie " $p$ " jest prawdziwe";

$$D2. F(p) = \neg \neg p,$$

gdzie " $F(p)$ " znaczy tyle, co "Zdanie " $p$ " jest fałszywe"<sup>18</sup>;

następnie zaś tak formalizuje argumentację Arystotelesa:

$$ZN. \neg (p \wedge \neg p),$$

bo:

$$V(p) \rightarrow F(\neg p), D1, D2 \vdash p \rightarrow \neg \neg p \vdash \neg (p \wedge \neg p)$$

$$\leftarrow ZS. p \vee \neg p,$$

bo:

$$\therefore V(p) \vee F(p), D1, D2 \rightarrow p \vee \neg p.$$

Na podstawie przedstawionej formalizacji, ks. Salamucha wskazuje na *petitio principii* w obu rozumowaniach Arystotelesa. Błędne koło w dowodzeniu polega tu na tym, że trzeba przyjąć tezę:

$$\leftarrow ZNN. p = \neg \neg p$$

w dowodach tez:

$$(A) V(p) \rightarrow F(\neg p)$$

↓

$$(B) V(p) \vee F(p),$$

które z kolei są niezbędne w dowodzeniu tez ZN i ZS. Tymczasem ZNN obowiązuje, jeśli obowiązuje ZN i ZS.

Oczywiste jest jednak to, że zarzut ks. Salamuchy nie jest uzasadniony. Opiera się on przecież na definicjach skonstruowanych przez ks. Salamuchę, a nie podanych *expressis*

<sup>18</sup> Ks. Salamucha nie używa gęsi-cudzysłiwów.

verbis przez Arystotelesa. Po drugie zaś ewentualny błąd łatwo można wyeliminować przez podanie konkretnej aksjomatyki, na gruncie której dowodzi się tezy ZN i ZS. Wystarczyłoby np. tezy (A) i (B) przyjąć za aksjomaty.

Należy zwrócić uwagę, że tekst wyrażony w języku naturalnym może mieć różne dopuszczalne interpretacje logiczne i trudno ustalić, która z nich wyznacza twój model zamierzony.

#### 4. ZAKOŃCZENIE

Trudno jest przecenić wartość prac ks. Salamuchy z dziedziny logiki stosowanej. Zasygnalizowane usterki nie pomniejszają wcale wielkości dokonań tego filozofa. Trzeba pamiętać, że ks. Salamucha był w tej dziedzinie prekursorem i jego analizy dały początek dalszym badaniom i nowym, lepszym rozwiązaniom. Wystarczy wspomnieć rozwijaną przez E. Nieznańskiego teorię rozumowań, badania nad teorią analogii prowadzone m.in. przez o. J.M. Bocheńskiego, rozważania nad problematyką technik formalizacyjnych oraz szereg współczesnych formalizacji pojęć i rozumowań z dziedziny filozofii Boga.<sup>26</sup>

##### Bibliografia

- [1] J. Bendiek, "Zur logischen Struktur der Gottesbeweise", *Franziskanische Studien* B. 38/1956, s. 1-38, 296-321
- [2] J.M. Bocheński, "J. Salamucha, "Dowód *ex motu* na istnienie Boga"" [rec.], *Bulletin Thomiste* a. 12/1935 t. 4 nr 8 s. 601-603
- [3] J. Łukasiewicz, "O nauce", [w:] *Poradnik dla samouków*, T. 1., Lwów 1915, s. XV-XXXIX
- [4] E. Nieznański, "Propozycja formalno-logicznej teorii pierwszych elementów relacji", *Miscellanea Logica* t. 1/1980 s. 25-72
- [5] E. Nieznański, "Ogólne uwagi o rodzajach rozumowań uzasadniających", *Miscellanea Logica* t. 2/1985 s. 279-313
- [6] J. Salamucha, "Dowód *ex motu* na istnienia Boga. Analiza logiczna argumentacji św. Tomasza z Akwinu", *Collectanea Theologica* r. 15/1934 t. 54 z. 1-2 s. 53-92.
- [7] J. Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu. Studium historyczno-krytyczne*, Warszawa 1930
- [8] J. Salamucha, "Logika zdań u Wilhelma Ockhama", *Przegląd Filozoficzny* r. 38/1935 z. 3 s. 208-239.
- [9] J. Salamucha, "Pojawienie się zagadnień antynomialnych na gruncie logiki średnio-wiecznej", *Przegląd Filozoficzny* r. 40/1937 z. 1 s. 68-89; z. 3 320-343.
- [10] J. Salamucha, "O możliwościach ścisłego formalizowania dziedziny pojęć analogicznych", [w:] *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej* (Studia Gnesnensia. XV), Poznań 1937, s. 122-153.

<sup>26</sup> Kompletną bibliografię dotyczącą formalizacji tomistycznej filozofii Boga można znaleźć w [4].

## **DODATEK**

## BIO-BIBLIOGRAFIE

### BIBLIOGRAFIA OGÓLNA

• D. Gromska, "Philosophes polonais morts entre 1938 et 1945", *Studia Philosophica* vol. 3/1939-1946 s. 31-97. • T. Manteuffel (red.), *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1961 *Iskry*. • W. Tatariewicz, "Wspomnienia o filozofach zmarłych [w latach] 1939-1945", *Przegląd Filozoficzny* t. 42/1939-1946 z. 3-4 s. 342-348. Toż jako "Wspomnienie z lat 1939-1945" w: *"Droga do filozofii" i inne rozprawy filozoficzne*, Warszawa 1971 PWN, s. 174-182. • W. Tatariewicz, "Wykłady i odczyty z filozofii", [w:] J. Wikarjak (red.), *Uniwersytet Ziemi Zachodnich i Tajne Kursy Uniwersyteckie 1939-1945*, Poznań 1972 Wydawnictwo UAM, s. 53-56.

#### **Gralewski, Jan Kazimierz Henryk**

Urodził się w 3 marca 1912 roku w Warszawie w rodzinie inteligenckiej pochodzenia ziemiańskiego – jako syn Stanisława Dionizego, herbu Sulima, i Heleny Marii z Eysmontów; zginął wraz z gen. Władysławem Sikorskim w katastrofie samolotowej pod Gibraltarem 4 lipca 1943 roku. Ojciec był dyrektorem lasów miejskich w magistracie warszawskim oraz prezesem IV Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu; matka – właścicielką dóbr Radziwonowicze koło Grodna. W 1920 roku stracił ojca i odtąd wakacje spędzał u swego stryja, znanego kaznodziei, ks. Jana Gralewskiego. W Warszawie po stryju otrzymał mieszkanie nr 2 przy ul. Kanonia 10, gdzie zamieszkał z siostrą i matką (w 1931 roku?). Miał jedną siostrę – Mysię-Marię (1910-1972), która wyszła za mąż za Stefana Karola Frycza. Był kuzynem (przez Marię i Fortunata Gralewskich?) Rafała Malczewskiego, syna Jacka. Sam tak pisał o swoim pochodzeniu: "Całe moje dzieciństwo stratowane jest przez cwałujące konie – te spod Grunwaldu czy Samosierry. I jest przecież ta pamiątkowa Matka Boska po przodku, który był towarzyszem pancernym i był pod Wiednem."

W maju 1930 roku ukończył Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. Jeszcze jako uczeń zbliżył się do Narodowej Demokracji i uczestniczył w kursach wakacyjnych Młodzieży Wszeczpolskiej. Po maturze został sekretarzem *Zorzy*, tygodnika narodowców dla wsi. Jesienią 1930 roku wstąpił na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował filozofię ścisłą (ze specjalizacją w estetyce) i historię sztuki – u Władysława Tatariewicza (historia filozofii, estetyka), Tadeusza Kotarbińskiego (teoria poznania i logika), Władysława Witwickiego (psychologia), Zygmunta Batowskiego i Michała Walickiego (historia sztuki). Jednocześnie pracował zarobkowo – m.in. jako przewodnik w Muzeum Narodowym i przy organizacji wystaw w IPS (np. Wystawy Malarstwa Warszawskiego 1800-1850, Wystawy Polskiej Sztuki Gotyckiej). Po rozłamie w 1933 roku pozostał w Stronnictwie Narodowym. Jesienią 1936 roku z powodu choroby przerwał pracę w Muzeum Narodowym i wyjechał na wieś. Ponieważ jednak otrzymał stypendium naukowe (październik 1936 – styczeń 1938) – mógł kontynuować studia. 15 marca 1938 roku uzyskał magisterium z filozofii na

podstawie pracy "Deformacja rzeczywistości w sztukach plastycznych", napisanej pod kierunkiem Tatarakiewicza i ocenionej przez niego jako bardzo dobra. Otrzymawszy stypendium rządu francuskiego, jesienią 1938 roku wyjechał do Paryża, gdzie przygotowywał pracę doktorską "Zasady krytyki artystycznej" u Lionela Venturiego. W czasie pobytu we Francji tłumaczył na zamówienie Książnicy-Atlasu jego historię krytyki artystycznej. Na kilka dni przed wybuchem wojny wrócił do Polski i zgłosił się jako ochotnik do wojska.

W czasie okupacji był uczestnikiem seminarium poświęconego szczęściu oraz słownikowi filozoficznemu (to drugie było przedłużeniem pierwszego). Stopniowo ograniczał swój udział w zebraniach seminariów na rzecz własnych wykładów z estetyki, które prowadził w tajnym Uniwersytecie Warszawskim; wśród jego seminarzystów był m.in. Krzysztof Baczyński (*Jaw Bugaj*). Do wykładów przygotowywał się często w Bibliotece Publicznej. W czasie okupacji pisał eseje estetyczne, które przedstawiał na tajnych zebraniach naukowych. 18 stycznia 1942 roku w kościele jezuitów św. Andrzeja Boboli na Mokotowie zawarł ślub z Alicją Iwańska. Mieszkał z nią w wynajmowanych pokojach przy ul. Szczygłej (w tzw. dziupli), przy al. Przyjaźni (w tzw. ruinie – od wiosny 1942 roku) i – na koniec – przy ul. Bandouina 4 (od października 1942 roku). Zachowała się – ukryta w skrytce w Warszawie – ich niezwykle korespondencja filozoficzno-literacka, po latach częściowo opublikowana jako *Wojenne odcinki*.

Zarabiał na życie początkowo (bezpośrednio po klęsce wrześniowej – aż do jesieni 1939 roku) korepetycjami na wsi pod Siedlcami (lekcjami angielskiego), a po powrocie do Warszawy handlem – najpierw blachą, a później sztuczną biżuterią.

Działalność konspiracyjną rozpoczął w środowisku ND, niebawem jednak przeszedł do ZWZ, a następnie do AK. Jako pierwszego konspiracyjnego szefa miał swego dawnego profesora – Walickiego. Po 24 października 1942 roku (od końca listopada lub początku grudnia) kilkakrotnie wyjeżdżał z misjami jako kurier i emisariusz KG AK (pseudonimy: *Pankracy*, *200-20*; w OVK – *Zagroda*) do Francji przez Niemcy – prawdopodobnie na fałszywym paszporcie francuskim. Wiosną 1943 roku odbył m.in. (nieudaną) wyprawę z Paryża do Wichy. Następnie przedostał się do Hiszpanii przez Pireneje (doliną Rollanda przez Pau); w Tavour (gdzie znalazł się na początku maja) – miał czekać na okręt do Afryki lub Anglii; uwięziony (8 maja) i osadzony w obozie koncentracyjnym w Mirandzie (w końcu maja) – wyciągnięty został (w połowie czerwca) prawdopodobnie przez Anglików. 23 czerwca udał się do Gibraltaru, skąd miał odplynąć do Anglii, gdzie miał się skontaktować z gen. Sikorskim. Gen. Sikorski, który właśnie zatrzymał się wówczas w Gibraltarze, zabrał go ze sobą do samolotu, którym wracał do Londynu z podróży na Wschód. Zaraz po starcie samolotu doszło do niewyjaśnionej dotąd katastrofy, w której zginął wraz z generałem. Po katastrofie wyłowiono z morza jego zapiski i niewysłane listy do żony.

Pochowany został na cmentarzu w Gibraltarze.

Znał się m.in. z Jarosławem Iwaszkiewiczem (którego na początku stycznia 1943 roku odwiedził w Stawisku), Czesławem Miłoszem, Henrykiem IIIem i Danutą Wicentowiczówną. Przyjaźnił się z Bronisławem Zielińskim i Wojciechem Wasiutyńskim.

Poza pracami naukowymi pisał też teksty o ambicjach literackich. Władał biegle francuskim; znał także bardzo dobrze angielski i niemiecki; po 1942 roku nauczył się hiszpańskiego.

Zofia Nałkowska w *Dziennikach czasu wojny*, pod datą 5 grudnia 1944 roku, tak odnotowała jego śmierć, o której dowiedziała się na spotkaniu z Iwaszkiewiczem w Leśnej

Podkowie: "Tam wiadomość o najdziwniejszej śmierci młodego i pięknego Gralewskiego, tajemniczego męża [Alicji Iwańskiej] – śmierci dawno minionej". Przedtem – pod datą 2 kwietnia 1942 roku – przytoczyła opinię, którą o "dość uroczym" Gralewskim wydał Tadeusz Breza: "Jest za gładki, za potoczysty, narzbyt sobie smakujący w swej własnej kulturze". Wojciech Wasiutyński we wspomnieniu z 1983 roku podkreślał jego "pogodny a zarazem ironiczny humor" – i uśmiech na twarzy "o typie wyraźnie śródziemnomorskim".

*Publikacje:*

"Gniezno", *Akademik Polski* r. 5/1931 nr 8 s. 45. • "Przyczyny kryzysu polskiej sztuki", *Akademik Polski* r. 5/1931 nr 9 s. 45. • "Kasprowicz – pedagog", *Przesto z mostu* r. 2/1936 nr 36 s. 1-2. • "Plastyka w Europie": "1935-6", *Niše* r. 1/1937/s. 194-207; "1936-1937", *Niše* r. 2/1938 z. 1 s. 52-61; "Wrzesień 1937 – luty 1938", *Arkady* r. 4/1938 nr 3 s. 143-144; "Sierpień – październik 1938", *Arkady* r. 4/1938 nr 11/s. 573-575. • "Wystawa szwedzka w IPS", *Arkady* r. 4/1938 nr 3 s. 133-139. • ["Plastyka w Polsce, 1938"], *Arkady* r. 4/1938 nr 4 s. 206-208. • "Kronika francuska", *Arkady* r. 1938 nr 6 s. 318. • "Sztuka tkacka w Polsce", *Arkady* r. 4/1938 nr 9 s. 443-457. • "Sztuka złotnicza", *Arkady* r. 5/1939 nr 4 s. 176-184. • "Historia krytyki artystycznej Lionella Venturiego" [roc.], *Niše* r. 2/1939 z. 2 s. 188-195. • "Sztuka organizowania przestrzeni", *Arkady* r. 5/1939 nr 7-8 s. 295-301. • "Współczesność sztuki współczesnej", *Życie Sztuki* r. 4/1939 [wrzesień] s. 87-99. • "Sztuka prymitywna i jej pozycja w rozwoju sztuki", *Przegląd Filozoficzny* r. 45/1949 z. 1-2 s. 174-203.

Od 1938 roku: korespondencje do pism warszawskich o wydarzeniach artystycznych we Francji [?].

Z Alicją Iwańską: *Wojenne odcinki (Warszawa 1940-1943)*, Londyn 1982 Oficyna Poetów i Malarzy (wyd. 2: Warszawa 1990 Oficyna Wydawnicza).

W maszynopisie pozostała m.in. "Cenzura Cenniniego. Rzecz o malarstwie" (10 stron).

Zaginęły: rękopis pracy magisterskiej (która miała się ukazać w kwartalniku *Niše*); materiały i tekst rozprawy doktorskiej, przygotowane we Francji i przesłane do Polski tuż przed wybuchem wojny; pełny tekst hasła "Estetyka" do *Słownika filozoficznego* pod red. W. Tatarakiewicza; odcinki pisane do M. Walickiego [według żony są może u pierwszej lub drugiej żony M. Walickiego – malarki, Leny C.?]; "O pojęciu sztuki prymitywnej", [przekazane W. Tatarakiewiczowi; z 38 stron – 7 jest u żony], "Życie jest sztuką" (12 stron), "Ani demokracja ani totalizm" (dwa opracowania), 14 krótkich esejów [wszystkie trzy ostatnie – przekazane W. Tatarakiewiczowi].

A. Iwańska, *Potycki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985*, Warszawa 1993 Gebethner i Ska.

• W. Tatarakiewicz, "Jan Gralewski", *Polski słownik biograficzny*, T. 8, Wrocław 1959-1960 Ossolineum, s. 540. • W. Wasiutyński, "Jan Gralewski zginął z Sikorskim w Gibraltarze", *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* (Londyn) r. 44/1983 nr 304 s. 2, nr 306 s. 2.

**Krzyszewska, Florentyna Danuta**

Urodziła się 16 grudnia 1919 roku w Warszawie jako córka Rocha (katolika) i jego pierwszej żony, Florentyny Józefy z domu Kliewer (protestantki, Niemki z pochodzenia); zginęła 4 września 1944 roku tamże, w pobliżu Banku Towarzystw Spółdzielczych przy ul. Zgodia, gdy podczas bombardowania lotniczego wraz z lekarzem, Tadeuszem *Edwardem* Rosenhauchemem (vel Sławomirem Graszewskim), przenosiła do szpitala raną łączniczkę, Janinę Sarnecką. Mieszkała (w latach 1937-1938 i podczas okupacji) przy ul. Wspólnej 75 m. 5.

Była uczennicą Gimnazjum SS. Niepokalanek. Po uzyskaniu w 1937 roku matury w Liceum SS. Nazaretanek – wstąpiła na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Studiowała u Władysława Tatarzkiewicza (historię filozofii), Władysława Witwickiego (psychologię) i Zygmunta Batowskiego (historię sztuki).

W Kampanii Wrześniowej uczestniczyła jako sanitariuszka; odznaczona została Krzyżem Walecznych m.in. za współudział w ratowaniu biblioteki Seminarium Filozoficznego. W jej mieszkaniu odbywały się często konspiracyjne seminaria Tatarzkiewicza. Przygotowywała rozdział "Estetyka" do *Słownika filozoficznego* pod jego redakcją. Rozpoczęła pracę magisterską o poglądach filozoficznych Aldousa Huxleya. Wiadziała biegle czterema językami. W Powstaniu Warszawskim była ponownie sanitariuszką w Szpitalu Maltańskim przy ul. Zgoda 11.

Pochowana została na Cmentarzu Powązkowskim (kwatery Q, rząd III).

H. Michalska et al., *Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski. 1939-1945*. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej, Warszawa 1988 PIW.

### **Lempicki, Jan**

Urodził się 7 listopada 1904 roku w Warszawie jako syn Juliana (1882-1941) i Haliny z Rzeszotarskich; zginął 11 sierpnia 1944 roku tamże, jako zastępca komendanta służby przeciwpożarowej w domu przy ul. Mianowskiego 15 – ranny przy gaszeniu pożaru i dobity przez *własowców*. (Ojciec jego był prawnikiem; pracował początkowo – od 1922 roku – jako sędzia w Kaliszu; później otworzył kancelarię notarialną w Sieradzu; uczestniczył w Kampanii Wrześniowej 1939 roku; został zamordowany przez Rosjan w Katyniu.) Mieszkał w Warszawie (od jesieni 1933 roku) przy ul. Nowogrodzkiej 43 m. 3.

Uczęszczał najpierw do Gimnazjum im. Adama Asnyka w Kaliszu, a następnie (1926-1928) do Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Sieradzu, gdzie uzyskał maturę. W latach 1928-1933 studiował polonistykę i filozofię w Uniwersytecie Jagiellońskim. 30 czerwca 1932 roku uzyskał magisterium z polonistyki na podstawie pracy "Krytyka romantyzmu w epoce pozytywizmu"; promotorem był Stefan Kołaczkowski. W 1933 roku ukończył roczne Studium Pedagogiczne przy UJ. Od 1934 roku do śmierci uczył w szkole powszechnej przy ul. Karowej w Warszawie. W latach 1935-1937 był słuchaczem Wydziału Konsularnego w Szkole Nauk Politycznych w Warszawie. W latach 1935-1938 był ponadto sekretarzem redakcji *Marchołta*. 16 maja 1938 roku otrzymał doktorat w UJ na podstawie pracy *Historiozofia Hipolita Taine'a*, napisanej pod kierunkiem Kołaczkowskiego i uznanej przez promotora za wybitną. Jesienią 1938 roku jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej wyjechał do Berlina, gdzie studiował filozofię m.in. u Martina Heideggera i Karla Jaspersa. W marcu 1939 roku wrócił do Polski.

We wrześniu nie został powołany do wojska z powodu krótkowzroczności. 7 września na wezwanie podpułkownika Romana Umławostowskiego opuścił – jak wielu innych mężczyzn – Warszawę; wrócił do stolicy w listopadzie.

W czasie okupacji uczestniczył w konspiracyjnych zebraniach naukowych; na jednym z nich – w 1942 roku – wygłosił odczyt "Założenia etyczne Madzi Brzeskiej", w którym przedstawił wyniki swoich badań nad poglądami etycznymi Bolesława Prusa, prowadzonych od 1939 roku. W latach 1940-1944 był członkiem Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej i Rady Głównej Opiekuńczej, gdzie zajmował się opieką nad dziećmi i młodzieżą.

Współorganizował grupę *Zryw*, zbliżoną do Partii Pracy, dla której opracował tekst *Sprawy kultury* (dwustroonnicowy maszynopis).

Zwłoki jego odnaleziono zwęglone w piwnicy domu, w którym został zamordowany. Prochy złożono po wojnie na Cmentarzu Powązkowskim (kwatery 287, rząd III).

*Publikacje:*

*Historiozofia Hipolita Taine'a*, Kraków-Warszawa 1938 Kasa im. Mianowskiego – WL. Anczyc.

• Artykuły o problemach kultury, *Zryw* 1943-1944.

Zaginęły: "Założenia etyczne Madzi Brzeskiej" oraz "Człowiek", "Egoizm i altruizm" (teksty do *Słownika filozoficznego*).

T. Grabowski, "J. Łempicki, *Historiografia Hipolita Taine'a*" [rec.], *Nowa Książka* 1939 s. 202. • J. Mosdorf, "J. Łempicki, *Historiografia Hipolita Taine'a*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 1939/s. 227-228. • R. Skreń, "Jan Łempicki", *Polski słownik biograficzny*. T. 18, Wrocław 1973 *Ossolineum*, s. 327-328. • B. Suchodolski, "J. Łempicki, *Historiografia Hipolita Taine'a*" [rec.], *Pamiętnik Literacki* 1938 s. 290-291. • S. Symoń, "Filozofia kultury Jana Łempickiego", *Studia Filozoficzne* r. 1976 nr 4 (125) s. 213-224.

**Miciński, Bolesław**

Urodził się 10 kwietnia 1911 roku w Mokrej koło Bałty na Braclawszczyźnie (Podole) w rodzinie ziemlańskiej jako syn Kazimierza i Marii z Andryczów; zmarł 30 kwietnia 1943 roku w Laffrey koło Grenoble (Francja). Jego «stryjeczno-stryjeczny» stryjem był Tadeusz Miciński.

W 1917 roku przeniósł się wraz z rodzicami do Odessy, w 1920 roku – do Warszawy, a potem do Bydgoszczy, gdzie był uczniem klasy wstępnej Państwowego Gimnazjum Klasycznego. W latach 1927-1929 uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Rejtana w Warszawie. W 1929 roku (według innych źródeł już ok. 1925 roku) zapadł na gruźlicę i przez rok przebywał w sanatorium w Zakopanem. 9 kwietnia 1931 roku zdał maturę. Mieszkał (w 1931 roku) przy ul. Drugiej Poprzecznej 3 w Aninie pod Warszawą. W Warszawie mieszkał (w 1934 roku) przy ul. 3-go Maja 5 m. 7 i (w 1936-1937 roku) przy ul. Dąbrowieckiej 11 m. 3a. W 1931 roku rozpoczął studia z historii sztuki. Ponownie immatrykulowany w 1933 roku kontynuował studia filozoficzne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował m.in. u Władysława Tatarkiewicza (historia filozofii, estetyka), Henryka Mościckiego (historia Polski), Władysława Witwickiego (psychologia), Tadeusza Kotarbińskiego (teoria poznania i logika), a także Adama Krokiewicza, Wiktora Wąsika, Henryka Elzenberga i Diny Szejnberg (późniejszej Janiny Kotarbińskiej). Był uczestnikiem III Polskiego Zjazdu Filozoficznego w Krakowie, w 1936 roku. W roku 1936-1937 był urlopowany. 27 kwietnia 1937 roku otrzymał magisterium z filozofii na podstawie pracy "Rzeczywistość i jej deformacja w sztuce" (lub "Deformacja rzeczywistości w sztuce" lub "Deformacja rzeczywistości w utworze literackim"), napisanej pod kierunkiem Tatarkiewicza. W 1938 roku był prezesem Koła Filozoficzno-Psychologicznego Studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1 września 1938 roku do 30 sierpnia 1939 roku był asystentem (bez pensji) przy Katedrze Filozofii Tatarkiewicza w Uniwersytecie Warszawskim. W jego proseminarium uczestniczyło 60 osób.

Od 1932 roku, przez dwa lata, prowadził dział krytyki literackiej i teatralnej czasopisma *Zet*. W latach 1935-1938 współpracował z tygodnikiem *Prosto z mostu*. 6 czerwca 1936 roku

ożenił się ze studentką romanistyki, Halną Krauze, z którą miał córkę Annę Ludwikę (ur. w grudniu 1939 roku w Paryżu). W 1937 roku otrzymał stypendium Funduszu Kultury Narodowej na przygotowanie rozprawy doktorskiej o Victorze Cousin. W październiku tego roku wyjechał z żoną do Grenoble (Francja), gdzie słuchał wykładów Jacquesa Chevaliera. W marcu 1938 roku przeniósł się do Paryża, a latem powrócił do Polski. Od września został nauczycielem propedeutyki filozofii w trzech gimnazjach warszawskich (gdzie miał łącznie 120 uczniów) i naczelnikiem działu literackiego Polskiego Radia.

W pierwszych dniach września 1939 roku wyjechał z rodziną do Wilna. Przed opuszczeniem mieszkania przy ul. Zielnej spalił wszystkie swoje rękopisy. Z Wilna – wraz z Leonem Kostockim – przeniósł się do Kowna i zatrzymał się u nauczycielki Gimnazjum Polskiego, Krystyny Szukszianki. Następnie udał się przez Sztokholm do Francji; w listopadzie osiadł w Paryżu. W styczniu 1940 roku przeniósł się do Montalguet (w centralnej Francji), potem do Colombier, a jesienią do Grenoble. Zimą 1940-1941 roku przebywał w sanatorium w St-Hilaire du Trouvet. Następnie przeniósł się do Bouquéron koło Grenoble.

Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Laffray koło Grenoble.

Przez ostatnie 12 lat był powiernikiem Stanisława Ignacego Witkiewicza; opowiadał się za jego koncepcją tzw. czystej formy. Przyjaźnił się z ks. Augustynem Jakubisiakiem, Jerzym Stempowskim, Jarosławem Iwaszkiewiczem i Karolem Szymanowskim. Znał się dobrze z Witoldem Małcużyńskim i Michałem Spisakiem.

#### Publikacje:

"Religia grecka w świetle mitów", *Echa Szkolne* r. 1/1928 nr 1 s. 2-5. • "Leonardo da Vinci. życie i twórczość", *Echa Szkolne* r. 1/1928 nr 1 s. 8-10. • "Z Cyklu biblijnego: Pleśń św. Szymona Słupnika. Chleb z Gietsemane", *Kwadruga* r. 4/1930 nr 6 s. 235-236. • "Krytyka a intelekt", *Gazeta Polska* r. 4/1932 nr 57 s. 3. • "Pleśń o gwiazdach i śmierci. Z *Psalterza Salomonowego*", *Gazeta Literacka* r. 3/1931-1932 nr 6 s. 84. • "Walka sztuki ze sztuką", *Zet* r. 1/1932 nr 1 s. 3. • "Z *Psalterza Salomonowego*", *Zet* r. 1/1932 nr 1 s. 5. • "Po prostu truteń", *Zet* r. 1/1932 nr 2 s. 5. • [Wiersze:] "Szedł słodki wiatr... Gdy na płomiennych skrzydłach... Gdyś kazał... Żmudna to była droga...", *Zet* r. 1/1932 nr 3 s. 3. • "Czy mania twórcza?", *Zet* r. 1/1932 nr 5 s. 4. • "Jutro Np" [rec. z: S.I. Witkiewicz, *Nikotyna alkohol... + appendix*], *Zet* r. 1/1932 nr 6 s. 6. • "Z *Psalterza Salomonowego*", *Zet* r. 1/1932 nr 7 s. 2. • "Strach *Afinogenowa*", *Zet* r. 1/1932 nr 7 s. 4. • "Hymn", *Zet* r. 1/1932 nr 12 s. 3. • "O Sztuce Czystej. Upadek Sztuki, Straszno jest wpaść w ręce Boga konsumującego. Rozmowa z dyr. Jaraczem. *Caarne Ghetto*", *Zet* r. 1/1932 nr 14 s. 5. • "Cud *mniemany* – cudem prawdziwym", *Zet* r. 1/1932 nr 15 s. 6. • "Na Nowinkarskiej bez zmian. Na marginesie powieści Z. Uniłowskiego", *Zet* r. 1/1932 nr 16 s. 3. • "Kapitan z *Koepenick*. Teatr dla dzieci", *Zet* r. 1/1932 nr 16 s. 5. • "O inscenizacji *Daniela*. Rozmowa z reż. Poredą. Uwagi o *Danielu*", *Zet* r. 1/1932 nr 18 s. 5. [skrót w: *Znak* r. 1933 nr 1 s. 5-6]. • "Sędziowie", *Zet* r. 1/1933 nr 19 s. 4. • "Na śmierć *Achilla*. *Dom*", *Zet* r. 1/1933 nr 20 s. 3. • "O kryteria estetyczne. Na marginesie broszury S.I. Witkiewicza", *Znak* r. 1/1933 nr 2 s. 5-6. • "Na marginesie *Majora Barbary*", *Zet* r. 1/1933 nr 22 s. 6. • "Autoportret" [rec. z: S.R. Dobrowolski, *Autoportret*], *Zet* r. 1/1933 nr 23 s. 3. • "Dorota Angerman", *Zet* r. 2/1933 nr 1 (25) s. 6. • "Agitka dla analfabectów. *Krzyknie Chiny w Ateneum*", *Zet* r. 2/1933 nr 3 (27), s. 6. • "Peiperyzacja – czy pauperyzacja intelektualna" [rec. z: *Antologia poezji społecznej*], *Zet* r. 2/1933 nr 13 (37) s. 3. • "U meły luźne uwagi. *Sprawa Dantona*", *Zet* r. 2/1933 nr 15 (39) s. 5. • "Przebudzenie wiosny – na marginesie przedstawienia w Teatrze Kameralnym", *Zet* r. 2/1933 nr 16 (40) s. 6. • *Chleb z Gietsemane (Poezje)*, Warszawa 1933 Biblioteka *Zet* [przedruk

niektórych wierszy w: *Tygodnik Powszechny* r. 8/1952 nr 7 s. 7]. • "Julian Apostata" [fragmenty dramatu], *Zet* r. 2/1934 nr 19 (43). • "Najgorsza sztuka sezonu – *Milcząca siła* M. Szczepkowskiej w teatrze *Reduta*", *Zet* r. 2/1934 nr 20 (44) s. 6. • "Na śmierć Achilla", *Gazeta Literacka* r. 5/1934 nr 4 s. 54. • "Tragedia estetyki artystów", *Miesięcznik Literatury i Sztuki* r. 1/1934 nr 1 s. 18-20 [skrót w: *Państwo Pracy* r. 4/1935 nr 9 s. 3]. • "Niektóre zagadnienia estetyki formalistycznej", *Miesięcznik Literatury i Sztuki* r. 1/1934 nr 3 s. 82-85. • "W sprawie stylu romantycznego", *Miesięcznik Literatury i Sztuki* r. 1/1934 nr 7 s. 205-207. • "Treść i forma", *Wiadomości Literackie* r. 11/1934 nr 16 s. 4. • "Rozmowa z Michałem Kondrackim. Przed premierą *Popielin*", *ABC Literacko-Artystyczne* r. 3/1934 nr 18 s. 1. • "Teatry warszawskie", *Gazeta Artystów* r. 1/1934 nr 1 s. 6. • "B. Russell, *Poglądy i widoki nauki współczesnej*" [rec.], *Gazeta Artystów* r. 1/1934 nr 3 s. 5-6. • "Na marginesie premiery w Teatrze Aktora", *Gazeta Artystów* r. 1/1934 nr 5 s. 2. • "Na marginesie *Ludzi genialnych*", *ABC Literacko-Artystyczne* r. 3/1934 nr 44 [?] s. 1. • [Wiersz:] "Wieczór...", *ABC Literacko-Artystyczne* r. 3/1934 nr 47 s. 4. • "V. Bash, *Essais d'esthétique, de philosophie et de la littérature*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 37/1934 z. 3. s. 316-318. • "Recenzja polemiczna" [z: S. Machniewicz, *Estetyka życia codziennego*], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 2 s. 2. • "K. Régamey, *Treść i forma w muzyce*" [rec.], *Muzyka* r. 12/1935 nr 1/2 s. 36. • "Klasyk czy romantyk" [rec. z: W. Sebyla, *Koncert egotyyczny*], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 22 s. 4. • "Nočna muzyka" [rec. z: P. Hertz, *Nočna muzyka*], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 22 s. 9. • "T.J. Demczyk, *Wichry republikańskie*; J. Szaludynger, *Kantyczki śnieżne*; J. Rogosz-Walewska, *Radość samotna*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 24 s. 2. • "S. Piętak, *Alfabet oczu*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 27 s. 7. • "M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Balet powojów*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 28 s. 2. • "Metafizyka czy metoda leczenia hysterii?", *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 36 s. 2; nr 37 s. 2; nr 39 s. 2. • "Bez przepustki do archierejskiego wagonu" [rec. z: *Antologia współczesnej poezji szkolnej*], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 44 s. 3. • "J. Pietrkiewicz, *Wiersz o dzieciństwie*; Cz. Janeczarski, *Akwariś*; K. Piekut, *Kropki deszczowe*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 52 s. 7. • "J. Pastuszka, *Filozofia współczesna. Tom 1*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* 38/1935 z. 1-2 s. 158-159. • "G. Simmel, *Zagadnienia filozofii dziejów*", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 6 s. 2. • "Liryk najprawdziwszy" [wspomnienie o B. Michalskim], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 7 s. 2. • "Światopelk Karpiński", *Polonia-Italia* r. 2/1936 nr 3 s. 24-25. • "Pochylmy się nad wierszami Galczyńskiego", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 13 s. 4. • "Poezje Światopelka Karpińskiego", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 14 s. 4. • "Recenzja pedagogiczna" [rec. z: T. Hollender, *Czas który minął*], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 15 s. 9. • "J. Kott, *Podwojony świat*; A. Gronowicz, *Tętno nieczytelny*; J. Korczakowa, *Krokusy*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 17 s. 7. • "U przyjaciół" [rec. z: *U przyjaciół*], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 18 s. 3. • "K. Hłakowiczówna, *Słownik litewski*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 25 s. 5. • "Materiały do essay'u", *Studio* r. 1/1936 nr 3/4 s. 11-17. • "S. Rogowski, *Panny leśne*; M. Freudman, *Koncert*; L. Szereżewska, *Niedokończony dom*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 28 s. 7. • "T. Łopalewski, *Kabala*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 29 s. 7. • "S. Piętak, *Ziemia odpływa na zachód*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 32 s. 7. • "T. Demczyk, *Sercem na przestrzał*; W. Brzeska, *U strądu*; T. Holu, *Dziewczyno płyniemy naprzód*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 34 s. 7. • "Notatki znad morza", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 35 s. 3. • "Trzy prace o psychoanalizie: Z. Freud, *Wizerunek własny*; J. de La Vaissière, *Teoria psychoanalizy Freuda*; K. Golonka, *Psychoanaliza Stecbla*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 41 s. 7. • "W przeddzień jubileuszu", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 46 s. 17. "Krakowski Zjazd Filozoficzny. Notatka Informacyjna",

*Studio* r. 1/1936 nr 8 s. 285-291. • "J.N. Szuman, *Harmonia czynu. Zarys nowej etyki*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 1 s. 105-106. • "Z. Freud, *Wstęp do psychoanalizy*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 2 s. 195-199. • [Głos w dyskusji nad odczytem M. Wallisa-Wallisza "O właściwych i niewłaściwych doznaniach estetycznych"], *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 4 s. 446-447. • "Lektura pocieszenia", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 8 s. 3. • "Wolność tragiczna" [rec. z K. Wierzyński, *Wolność tragiczna*], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 9 s. 4. • "S. Ciesielczuk, *Teatr natury*; K.A. Jaworski, *W polowie drogi*; S. Szawjces, *Na cmentarzu były dawony*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 14 s. 5. • "Pamięć" [wspomnienie o K. Szymonowskim], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 17 s. 3. • "Czy świat istnieje?", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 3 s. 5. • "J. Brzękowski, *Zaciśnięte dookoła ust*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 18 s. 4. • "*Morze w poezji polskiej*", Sz. Pigwa, *Freski*; E. Herbert, *Narodziny promienia*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 19 s. 4. • "Zamiast recenzji sarkatka *à la manière russe*", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 20 s. 4. • "W. Leniczewski, *Złe strony*, Z. Kasiński, *Bez drogowskazu*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 21 [22] s. 4. • "Zagadnienia psychoanalizy", *Polska Zbrojna w Kulturę* r. 1/1937 nr 7 s. 2. • "K. Alberti, *Usta Italii*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 23 s. 5. • "Geografia osobliwości", *Pion* r. 5/1937 nr 21 s. 2. • "Epopoja tragiczności", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 26 s. 1/2. • "Żarty i wyznania", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 28 s. 3. • "Księga Hioba", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 40 s. 2-3. • "Pozgoone" [wspomnienie o Z. Unilowskim], *Pion* r. 5/1937 nr 47 s. 2. • *Podróże do piekiel*. Warszawa 1937 *Prosto z mostu*. • "L. Varillas, *Histoire de Charles IX*"; A. Leissier, *Les Éloges des Hommes Savants*; A. Touron, *La vie de S. Thomas d'Aquin*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 5 s. 5. • "Myśli o kartezjanizmie", *Ateneum* r. 1/1938 nr 1 s. 147-148. • "Oświadczenie", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 20 s. 8. • "Widok na Grenoble", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 24 s. 4. • "Polscy malarze w Paryżu", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 29 s. 4. • "Dyliżans filozoficzny", *Ateneum* r. 1/1938 nr 4-5 s. 616-624. • "Poeci Polacchi contemporanei. Jarosław Iwaszkiewicz", *Polonia-Italia* r. 4/1938 nr 7-8 s. 11-12. • "O teoretycznych podstawach psychoanalizy", *Verbum* r. 5/1938 z. 4 s. 715-742. • "O deformacji rzeczywistości w sztuce", *Polityka* r. 10/1939 nr 1 s. 7. • "Notatki o *natchnieniu*", *Pion* r. 7/1939 nr 4 s. 3. • "J. Pastuszka, *Psychologia indywidualna*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 42/1939 z. 1 s. 108-110. • "O przygodzie i o morzu", *Pion* r. 7/1939 nr 14 s. 3. • "Międzyuczelniany Zjazd Kół Filozoficznych", *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 290. • "O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji", *Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie* (Londyn) r. 1/1940 nr 10 s. 3 [przedruk w: *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego, s. 81-93; *Tygodnik Powszechny* r. 3/1947 nr 30 s. 1-2]. • "Odpowiedź na list Francesca, obywatela rzymskiego", *Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie* (Londyn) r. 1/1940 nr 12 s. 1 [przedruk w: *Twórczość* r. 2/1946 nr 10 s. 122-128; *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego, s. 71-81]. • *Portret Kanta*, Grenoble 1941 [przedruk w: *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego, s. 33-71; *Znak* r. 1947 nr 6 s. 621-647; *Wiadomości* (Londyn) r. 2/1947 nr 31 s. 1 (fragm.)]. • "Myśli o wojnie. Na marginesie zapomnianego artykułu Freuda", *Orzeł Biały - Polska Walcząca na Ziemi Włoskiej* (Rzym) r. 6/1946 nr 17 (204) s. 9 [przedruk w: *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego, s. 93-98; *Tygodnik Powszechny* r. 3/1947 nr 51-52 s. 6]. • "Uwagi", *Nowa Polska* (Londyn) r. 6/1946 z. 9-10 s. 513-519. • "W Grecji", *Orzeł Biały - Polska Walcząca o Wolność* (Rzym) r. 7/1947 nr 16 (247) s. 6. • *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego. • "Fragmenty z notatnika",

*Tygodnik Powszechny* r. 11/1957 nr 19 s. 1. • "Korespondencja Bolesława Micińskiego [m.in. do W. Sebyły, J. Iwaszkiewicza, W. Grzybowskiego]", *Znak* r. 11/1959 nr 7-8 s. 978-1006. • "Bolesław Miciński. Z listów do Jarosława Iwaszkiewicza", *Współczesność* r. 13/1968 nr 9 s. 6-7. • "Listy Bolesława Micińskiego [do J. Stempowskiego]", *Tygodnik Powszechny* r. 22/1968 nr 23 s. 1, 3. • "Zwierzchnia przeciętnego czytelnika gazet", *Twórczość* r. 25/1969 nr 11 s. 57-69. • *Pisma. Eseje, artykuły, listy*. Kraków 1970. *Znak*. • *Diligence philosophique* [przeład z polskiego], Montricher 1991 *Edition Noir sur Blanc*.

Zaginęła: praca magisterska.

T. Burek, "Bolesław Miciński: zwyczajstwo nad rozpaczą", [w:] *Dalej aktualnie*, Warszawa 1973 s. 308-332. • L. Kostecki, "Bolesław Miciński", *Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie* (Londyn) r. 4/1943 nr 39 s. 4. • Z. Kubiak, "Bolesław Miciński, czyli między biologią a abstrakcją", *Tygodnik Powszechny* 1971 nr 1 s. 10. • B. Mamor, "Bolesław Miciński", *Polski Słownik Biograficzny*, T. 20, Wrocław 1976 *Ossolineum*, s. 688-689. • K. Régamey, "Bolesław Miciński. 1911-1943", [w:] B. Miciński, "Portret Kanta" i trzy eseje o wojnie, Rzym 1947 Wydawnictwo Instytutu Literackiego, s. 5-27.

### **Milbrandt, Mieczysław**

Urodził się 2 lutego 1915 roku w Łodzi jako syn Emila i Barbary z domu Gorak (znacznie starszej od męża, *prima voto* Kosińskie); zmarł 19 sierpnia 1944 roku w Warszawie, ranny poprzedniego dnia w nogę przy ul. Wiejskiej, podczas walk w rejonie Sejmu. Ojciec jego, tramwajarz (najpierw konduktor, potem – motorniczy), był ewangelikiem; matka była katoliczką i swoje wyznanie przekazała dzieciom. Miał starszą siostrę, Karolinę (ur. w 1912 roku), oraz dwoje starszych o kilkanaście lat braci przyrodnych. Był ciocięczym bratem Zofii Mrozowskiej. W Łodzi mieszkał z rodziną przy ul. Nowej. W Warszawie mieszkał kolejno przy ul. 6 Sierpnia 14 m. 32 (1936 rok), ul. Żurawiej 3 (u rodziny Mrozowskich), ul. Wspólnej 32 m. 20 (1937 rok), ul. Kruczej 42 (lata 1939-1943, z Ludwikiem Kasińskim) i w willi przy ul. Odyńca (1944 rok).

W czerwcu 1934 roku ukończył Gimnazjum Państwowe im. G. Narutowicza w Łodzi. Jeszcze w szkole średniej opanował bardzo dobrze łacinę i niemiecki; później samodzielnie nauczył się po grecku, angielsku i francusku. W latach 1934-1938 odbył studia filozoficzne w Uniwersytecie Warszawskim; w ciągu pierwszego roku akademickiego dojeżdżał na zajęcia z Łodzi. Studiował m.in. u Tadeusza Kotarbińskiego (logika), Władysława Tatarzkiewicza (historia filozofii, estetyka), Władysława Witwickiego (psychologia), Henryka Mościckiego (historia Polski). Tatarzkiewicz, promotor jego pracy magisterskiej "Struktura świata powieści i jego zestawienie ze światem realnym" ocenił ją jako dobrą. 28 stycznia 1938 roku otrzymał stopień magistra. W 1938 roku został asystentem przy Katedrze Filozofii Ścisłej Władysława Tatarzkiewicza w Uniwersytecie Warszawskim. Przedtem zarabiał dorywczo przy obliczaniu tabel totalizatora na Wyścigach (miał niezwykle umiejętności matematyczno-rachunkowe i doskonałą pamięć) oraz udzielając korepetycji.

W latach okupacji był najpierw asystentem, a potem docentem tajnego Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. W ramach tajnego Uniwersytetu Warszawskiego prowadził – w roku akademickim 1942-1943 – wykłady z historii filozofii (m.in. w mieszkaniu Andrzeja Grzegorzczaka), oraz – w roku akademickim 1943-1944 – seminarium z języka polskiego. Uczył propedeutyki filozofii w tajnych kompletach gimnazjalnych. Wygła-

szał też prelekcje na konspiracyjnych wieczorach literackich (na jednym z takich wieczorów, w mieszkaniu Alfreda Łaszowskiego, miał odczyt o Martinie Heideggerze). W swoim mieszkaniu udzielał schronienia Żydom.

Głęboko przeżył to, że jego ojciec zaraz na początku okupacji podpisał *volksliste*; pod wpływem tego zerwał z rodziną. W Powstaniu Warszawskim był przeznaczony do pracy dziennikarskiej, ale na własną prośbę przeszedł do szeregów walczących (według innych świadectw pracował w Delegaturze i został ranny, idąc na spotkanie przedstawicieli partii tworzących Delegaturę; według jeszcze innych świadectw był żołnierzem AL). Ranny w nogę (w nogi?) zmarł w szpitalu powstańczym z powodu upływu krwi (według innych świadectw – z powodu gangreny).

Pochowany na cmentarzyku przy ul. Mokotowskiej 48, po wojnie został przeniesiony do zbiorowego grobu powstańczego na Cmentarzu Wojskim (kwatery 42, rząd I; na nagrobku jest błędnie napisane nazwisko: "Milbrand").

Przyjaźnił się m.in. z Bolesławem Micińskim.

W filozofii był przeciwnikiem «straszego reizmu Kotarbińskiego», i zwalczał go – jak się wyraziła Alicja Iwańska – "zachwalając fenomenologię" i rozczytując w Heideggerze.

Zofia Nałkowska w *Dziennikach czasu wojny* zapisała pod datą 28 października 1944 roku: "Zarówno wytrzymałość moralna, jak zasób rzeczy do sprzedawania już się kończy. Towarzyszy temu myśl o mieście umarłym i o ludziach umarłych. Przybył do nich ten Milbrandt, ostatnio bardzo bliski, przychodzący do mej kabiny pod dachem, widziany na każdym koncercie u Woytowicza. Młody, nieśmiały, nieduży i mądry. Przywiózł już pod koniec rękopis filozoficznych *Esajów*. Były mniej dobre, niżbym pragnęła, ale cienkie, delikatne, jak on. Nie wiedział, że jest mi wiadomo, jak czarujący jest w miłości (od Ż., która ze swej strony nic nie wiedziała o L., który znów nie wiedział nic o niej – i nie im pomóc nie mogłam na te niepotrzebne udręczenia, związana ich zaufaniem). Był ranny w nogę, nie od razu zgodził się na amputację, zrobiono ją za późno – i umarł, taki młody, żywy, z ciemnymi, serdecznymi oczami."

Jadwiga Żylińska powiedziała o nim: "Robił wrażenie człowieka źle dającego sobie radę z ludźmi i z rzeczywistością. Dobrze się czuł w świecie pojęć – nie konkretów. Pewnego razu powiedział, że uchodzi za obiecującego młodego człowieka, a tacy już takimi pozostają na zawsze; miał jakby przeczucie rychłego końca. W Powstaniu używał pseudonimu *Podbięta* – jakby przyzywał śmierć."

*Publikacje:*

"*Nouvelle encyclopédie philosophique*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 2 s. 202-205.  
• "Potrojne życie", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 33 s. 4. • "M. Handelsman, *Historycy – portrety i profile*" [rec.], *Pion* r. 5/1937 nr 15 s. 15. • "Obrona myśli", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 3 s. 3. • "Niebezpieczeństwo teorii naukowych", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 5 s. 7. • "Sceptycyzm a konieczność światopoglądu (Na marginesie *Schiców sceptycznych* Russella)", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 11 s. 6. • "Religia a kultura", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 17 s. 4-5. • "Faszyzm a wolność", *Naród i Państwo* r. 2/1937 nr 29-30 s. 7. • "Filozofia metodycznego wątpienia (W trzechsetlecie *Rozprawy o metodzie* Kartezjusza)", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 21 s. 2. • "Co to jest czas?", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 24 s. 5. • "Czas, przestrzeń i cztery wymiary (Teoria względności Einsteina)", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) r. 1/1937 nr 27 s. 6. • "Ziemia i wszechświat", *Polska Zbrojna*

w *Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) t. 1/1937 nr 29 s. 6. • "Śmierć wszechświata", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) t. 1/1937 nr 34 s. 4. • "Człowiek – istota nieznaną", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) t. 2/1938 nr 2 s. 6. • "Sceptycyzm", *Polska Zbrojna w Kulturę* (dodatek niedzielny do *Polski Zbrojnej*) t. 2/1938 nr 6 s. 5 i 7. • "Kazimierz Twardowski", *Naród i Państwo* t. 3/1938 nr 7-8 s. 5. • "O powagę życia", *Naród i Państwo* t. 3/1938 nr 9-10 s. 3-4. • "O zaufanie do człowieka", *Naród i Państwo* t. 3/1938 nr 15-16 s. 4-6. • "Mody intelektualne", *Naród i Państwo* t. 3/1938 nr 29-30 s. 3-4. • "Wiedza o człowieku (Na marginesie książki Carrela *Człowiek istota nieznaną*)", *Naród i Państwo* t. 3/1938 nr 33-34 s. 8-9. • "Deuxieme Congrès International d'Esthétique et de Science de l'Art, Paris 1937" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* t. 41/1938 z. 2 s. 217-219. • "R. Ingarden, *O poznawaniu dzieła literackiego*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* t. 41/1938 z. 3 s. 314-325. • "Cuda współczesne", *Przegląd Filozoficzny* [?]. • K. Boldt, *Die Erkenntnisbeziehung* [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 416-417. • "W. Hellpach, *Schöpferische Unvernunft? Rolle und Grenze des Irrationalen in der Wissenschaft*" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 445-446. • "Trzy szkiecy (Arystoteles i Kaznodzieja Salomonowy. Potrójne życie [zmieniona wersja artykułu z *Prosto z mostu*]. Pierścień Polikratesa)", *Nauka i Sztuka*, t. 11-12/1945 nr 2-3 s. 5-15 i "Potrójne życie" i "Pierścień Polikratesa" przedrukowane we *Współczesności*, t. 1961 nr 22 (102) s. 8). • "Filozofia egzystencjalna Gabriela Marcela", *Przegląd Filozoficzny* t. 43/1947 z. 1-4 s. 137-147.

W latach okupacji związany był z piśmienną podziemią *Sztuka i Naród*. W tym ostatnim piśmie był być może autorem niesygnowanych tekstów: "Tragiczny problem" (*Naród* t. 3/1942 nr 12 s. 1-6), "Potrzeba iskry moralnej" (*Naród* t. 3/1942 s. 3-4), "Jakiego «zrywu» Polska potrzebuje" (*Naród* t. 4/1943 nr 4 s. 1-5) i "Wiara a rozum i sumienie" (*Naród* t. 4/1943 nr 4 s. 11-13).

Zagłębił: praca magisterska; materiały do rozprawy *Cnota a obowiązek*; rozdziały "Metafizyka", "Byt", "Substancja", "Czas" i inne (z dziedziny etyki) do wydawnictwa zbiorowego *Zagadnienia filozofii*; kilka mniejszych artykułów.

J. Krajewski, "Mieczysław Milbrandt", *Polski słownik biograficzny*. T. 21, Wrocław 1976 Ossolineum, s. 195-196. • W. Tatarakiewicz, "Mieczysław Milbrandt", *Przegląd Filozoficzny* t. 42/1939-1946 z. 3-4 s. 342-344 [przedrukowane w: A. Biernacki (red.), *Portrety uczonych polskich*, Kraków 1974 Wydawnictwo Literackie, s. 337-340; W. Tatarakiewicz, *Droga do filozofii*, Warszawa 1971, s. 178-190 (w wersji zmienionej); W. Tatarakiewicz, "Był człowiekiem wszechstronnych zdolności", *Współczesność* t. 6/1961 nr 22 (102) s. 8].

### **Mosdorf, Jan**

Urodził się 30 maja 1904 roku w Warszawie jako syn Bronisława Franciszka i Bronisławy Pelagii z Witowskich; zginął rozstrzelany w zbiorowej egzekucji 11 października 1943 w obozie niemieckim *Auschwitz*. Ojciec był inżynierem hydrotechnikiem; pracował w Wydziale Dróg Wodnych Ministerstwa Komunikacji. Kiedy małżeństwo się rozpadło, matka wyszła ponownie za mąż za Stanisława Franaszka. Ojczym był właścicielem fabryki tapet, a następnie papierosów i filmów fotograficznych. Wychowywał się z przyrodnimi braćmi, Jerzym i Kazimierzem Franaszkami, pod dużym wpływem babki macierzystej, Eleonory z Włodkowskich Witowskiej. Mieszkał najpierw z rodzicami przy ul. Chłodnej 769; potem (w 1923-1924 roku) przy ul. Czystej 16 m. 6, (w 1936 roku) przy ul. Marszałkowskiej 9 m. 10 i – do aresztowania – ul. Natolińskiej 3 m. 3.

W 1916 roku rozpoczął naukę w 3 klasie Szkoły hr. Maurycego Zamoyskiego, przekształconej później w Gimnazjum Męskie im. Jana Zamoyskiego, w którym kształcił się (z wyjątkiem roku 1920, w którym przeniósł się do Gimnazjum Państwowego im. Adama Mickiewicza) do matury, uzyskanej 14 czerwca 1922 roku. W czasie wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku był członkiem straży obywatelskiej. W 1921 roku wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1923 roku przeniósł się na Wydział Filozoficzny (późniejszy Humanistyczny), gdzie studiował filozofię ścisłą. Był słuchaczem m.in. Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Tatarkiewicza i Kazimierza Ajdukiewicza. W 1927 roku wytoczono mu proces (polityczny?), ale 14 grudnia tego roku Sąd Okręgowy wydał wyrok uniewinniający. 23 października 1928 roku uzyskał tytuł magistra na podstawie pracy "Poglądy etyczne Zygmunta Balickiego", napisanej pod kierunkiem Władysława Tatarkiewicza. W 1928 roku wznowił studia na Wydziale Prawa, ale przerwał je po roku. W latach 1932-1932 studiował w Paryżu w *École des Sciences Politiques* i na Sorbonie. W 1934 roku uzyskał w Uniwersytecie Warszawskim doktorat na podstawie rozprawy "Filozofia dziejów Augusta Comte'a"; promotorem był Tatarkiewicz. Uczestniczył (jako doktor) w III Polskim Zjeździe Filozoficznym w Krakowie, w 1936 roku.

Należał do Koła Filozoficznego Słuchaczy Uniwersytetu Warszawskiego. Był również członkiem Związku Akademickiego Młodzieży Wszepolskiej, tajnego Akademickiego Związku Młodzieży Polskiej *Zet* i ogniska Obozu Wielkiej Polski w Straży. W latach 1928-1932 piastował funkcję prezesa Rady Naczelnej Młodzieży Wszepolskiej, a w latach 1932-1933 – sekretarza Wydziału Wykonawczego Obozu Wielkiej Polski. W latach 1933-1934 był kierownikiem Ogólnokrajowej Sekcji Młodych w Stronnictwie Narodowym. 14 kwietnia 1934 roku podpisał deklarację programową Obozu Narodowo-Radykalnego i do czerwca kierował Wydziałem Wykonawczym ON-R; po rozłamie wewnątrz ON-R przyłączył się do grupy ABC. Swoje poglądy polityczne przedstawiał – niekiedy pod pseudonimami (np. *Lech Witowski*), niekiedy anonimowo – na łamach pism: *Głos Akademicki* (1926 rok), *Akademik Polski* (lata 1927-1932; w latach 1927-1931 – jako redaktor naczelny – także nie podpisane artykuły wstępne) i *Satęfeta* (od 1933 roku; od 15 maja do końca 1934 roku jako redaktor naczelny), *Gazeta Warszawska*, *Mysł Narodowa* (lata 1927-1933), *Prosto z mostu* (lata 1935-1939; był ponadto członkiem redakcji pisma) i ABC (1936).

Po zamachu na m.in. Bronisława Pierackiego, dokonany 15 czerwca 1934 roku przez terrorystę z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zagrożony aresztowaniem – ukrywał się w Warszawie, w okolicach Brześćcia nad Bugiem i na Wybrzeżu. 16 grudnia 1935 roku zgłosił się w Sądzie Okręgowym w Warszawie jako świadek na rozprawie przeciwko OUN.

Od połowy lat dwudziestych miał poczucie nieuchronności wojny z Niemcami, która "musi wybuchnąć natychmiast pod doświadczeniem jednego z dwóch wrogich sobie państw do równowagi gospodarczej i politycznej". Po wybuchu wojny wrócił do Stronnictwa Narodowego, gdzie był członkiem centralnego wydziału propagandy Zarządu Głównego i Organizacji Wojskowej (późniejszej Narodowej Organizacji Wojskowej). Współredagował ze Stanisławem Piaseckim podziemne pismo *Walka*, powołane 4 grudnia 1939 roku. W czerwcu 1940 roku został aresztowany przez Gestapo i osadzony na Pawlaku, gdzie zatrudniono go w więziennej bibliotece. 1 (według innych źródeł: 6 lub 7) stycznia 1941 roku przywieziony został do obozu *Auschwitz* (numer obozowy 8230), gdzie wraz z Bolesławem Świdorskim zorganizował wśród więźniów tajną organizację, na której czele stanął latem Roman Rybarski. Po śmierci tego ostatniego (5 marca 1942 roku) objął jej przewodnictwo. Udzielał pomocy

współwięziom – niezależnie od pochodzenia i orientacji politycznej. Zadenuncjowany – według niektórych źródeł przez Zenona Ławskiego – 21 (według innych źródeł 25) września 1943 roku został aresztowany i wraz z 74 innymi więźniami osadzony w specjalnym bunkrze (blok XI), a następnie rozstrzelany. Zwłoki zostały spalone w obozowym krematorium.

Na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie – w kwaterze rodzinnej Witowskich i Staniszewskich (kwatery Y, pod murem cmentarnym) – znajduje się jego grób symboliczny (xó, z błędną datą rozstrzelania: 19 października 1943 roku).

#### Publikacje:

"A włąc do walki", *Głos Akademicki* r. 1/1926 nr 1 s. 1. • "Korporacje", *Głos Akademicki* r. 1/1926 nr 4 (i 5) s. 2. • *Akademik i polityka*, Warszawa 1926 W. Maślankiewicz i F. Jabczyński (wyd. 2; 1929). • "Mowy Mussoliniego", *Akademik Polski* r. 1/1927 nr 2 s. 4-5. • "Do Sassa czy do lasa?", *Akademik Polski* r. 1/1927 nr 3-4 s. 5. • "Awentyn akademicki", *Akademik Polski* r. 1/1927 nr 7 s. 1. • "Opłaty akademickie", *Akademik Polski* r. 1/1927 nr 8 s. 3. • "Nil desperandum", *Akademik Polski* r. 2/1928 nr 3 s. 3. • "«Rewizjonizm»", *Akademik Polski* r. 2/1928 nr 4 s. 3. • "Zjednoczenie i niepodległość", *Akademik Polski* r. 2/1928 nr 8 s. 4. • "Wskazania na rok 1929", *Akademik Polski* r. 3/1929 nr 1-2 s. 3. • "Mocne zasady", *Akademik Polski* r. 3/1929 nr 4 s. 3. • "Czy jesteśmy demokratami", *Akademik Polski* r. 3/1929 nr 5 s. 5; nr 6 s. 5. • "Poza nawiasem życia akademickiego", *Akademik Polski* r. 3/1929 nr 7 s. 7. • "1930", *Akademik Polski* r. 4/1930 nr 1 s. 3. • "Bez złudzeń", *Akademik Polski* r. 4/1930 nr 4 s. 3. • "Nasz obowiązek", *Akademik Polski* r. 4/1930 nr 6 s. 3. • "Bóg i Ojczyzna", *Akademik Polski* r. 4/1930 nr 9 s. 4-5. • "A. Cresson, *Les courants de la pensée philosophique française*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 34/1931 z. 4, s. 266. • "Dwie rocznice", *Akademik Polski* r. 5/1931 nr 3 s. 4-5; nr 4 s. 4-5; nr 5 s. 4-5; nr 6 s. 4-5. • "Czy Comte był pozytywistą", *Przegląd Filozoficzny* r. 35/1932 z. 3-4 s. 408-427. • "Illeity", *Akademik Polski* r. 6/1932 nr 3 s. 3. • "Pamięć prawego Zetowca [Leona Rostkowskiego]", *Akademik Polski* r. 6/1932 nr 4 s. 2. • [Jako Andrzej Witowski:] "Czy obóz mechanizuje", *Akademik Polski* r. 6/1932 nr 8 s. 3. • "A. Viatte, *Les sources occultes du romantisme. Illuminisme – théosophie*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 36/1933 z. 1-2 s. 169. • "J. Delvolvé, *Réflexions sur la pensée comtienne*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 36/1933 z. 1/2 s. 169-171. • "Ruch Młodych", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 1 (7) s. 1. • "Point de reveries. Precz z żydowskimi marzeniami", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 3 (9) s. 1. • "Rępnicy i sowy", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 6 (12) s. 1. • "Wielka Polska", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 10 (16) s. 1. • "W imię Boże – naprzód", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 14 (20) s. 1. • "Potężna rwie fala", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 18 (24) s. 1. • "Jedność a partyjność. Ospałość i swary", *Szatfeta* r. 2/1934 nr 19 (25) s. 1. • [Jako Andrzej Witowski:] "Na zachodzie małe zmiany (R. Poolet, *La révolution est à droite*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 11 s. 2. • [Jako Andrzej Witowski:] "I. Zollshau, *Rasa aryjska a semicka*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 11 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:] "J.S. Bystron, *Megalomania narodowa*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 12 s. 4. • [Jako Andrzej Witowski:] "Dyskusja o konstytucji (K. Habryk, M. Piskowski, Z. Stahl, *Nowa konstytucja polska*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 15 s. 3. • [Jako Andrzej Witowski:] "Na manowcach socjologizmu (F. Znaniecki, *Łudzie teraźniejsi i cywilizacja przyszłości*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 22 s. 9. • [Jako Andrzej Witowski:] "G.D.H. Cole, *Istoty sens marxiizmu*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 25 s. 9. • [Jako Andrzej Witowski:] "Romantyzm kopca termitów (J. Stachniuk, *Heroiczna wspólnota narodu*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 29 s. 1. • [Jako Andrzej Witowski:] "M. Januszewski, *Polska w obliczu Europy*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 35 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:]

"Najważniejsze pytanie" [replika na krytykę A. Doboszyńskiego], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 36 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:] "Jak konają imperia", *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 37 s. 3. • [Jako Andrzej Witowski:] "Reformy czy angielski plaster (E. Kwiatkowski, *Kryzys współczesny i zagadnienie odbudowy życia gospodarczego*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 38 s. 2. • [Jako Andrzej Witowski:] "S. Didier, *Rola neofitów w dziejach Europy*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 45 s. 3. • [Jako Andrzej Witowski:] "Przerosty etatyzmu (T. Bernadzikiewicz, *Przerosty etatyzmu*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 53 s. 5. • [Jako Andrzej Witowski:] "B. Lelewel, *Przyczyny obecnego kryzysu i drogi wyjścia*" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1/1935 nr 53 s. 11. • [Jako Andrzej Witowski:] "Dwugłos z okopów kapitalizmu (S. Lauterbach, *Gospodarka planowa w Polsce*; Hipolit Gliwic, ?) [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 4 s. 3. • [Jako Andrzej Witowski:] "Od zakresu do treści (A. Jakubiński, *Od zakresu do treści*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 34 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:] "Literatura polityczna (S. Miłkowski, *Walka o nową Polskę*; W.L. Evert, *Jego dławiąca moc... kryzys*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 35 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:] "W poszukiwaniu duszy (D. Rops, *Świat bez duszy*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 36 s. 7. [Jako Andrzej Witowski:] "Challenge i Olimpiada", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 37 s. 5. • [Jako Andrzej Witowski:] "O masonerii (J. de Boistel, *Rotary – klub a masoneria*; J. Marques-Rivière, *Wolnomularstwo a szkoła*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 38 s. 4. • [Jako Andrzej Witowski:] "O ustroju wsi (T. Iubicński, *Przeszerót ustroju polskiej wsi*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 41 s. 7. • [Jako Andrzej Witowski:] "W okopach zeszłego stulecia (W. Rzymowski, *Prawo do życia a powinność pracy*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 42 s. 7. • "Polemika" [replika na krytykę J. Dąbrowskiego-Grabca], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 42 s. 8. • "Krakowskie boje filozofów", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 44 s. 5. • "Obozy ideowe na zjeździe krakowskim", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 45 s. 4. • "Twórczość i wytwórczość", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 46 nr 15. • [Jako Andrzej Witowski:] "Bertrand Russell plagiatorem?", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 47 s. 1. • [Jako Andrzej Witowski:] "Z literatury społeczno-politycznej (F. Engels, *Anti-Dühring*; A. Szczepański, *Rola wsi w przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego w Polsce*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 47 s. 4. • [Jako Andrzej Witowski:] "Kreml na czarno (J.O. Bergson, *Kreml na biało*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 49 s. 7. • "O magnatach, Żydach i chłopach", *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 52 s. 3. • [Jako Andrzej Witowski:] "Ważne... arcyważne (W. Baranowski, *Wielka tajemnica psychiki narodu polskiego*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 52 s. 5. • [Jako Andrzej Witowski:] "Ważne pozycje (B. Gawęcki, *Szkice filozoficzne*; J. Pastuszka, *Filozofia współczesna*. T. 2)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 2/1936 nr 53 s. 11. • "Wodzostwo", *Prosto z mostu* R. 3/1937 nr 1 s. 8. • [Jako Andrzej Witowski:] "Postrach etatystów (T. Bernadzikiewicz, *Przerosty etatyzmu*; T. Bernadzikiewicz, *Dekret o lasach państwowych z dn. 30 września 1936 r.*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 2 s. 7. • "Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w 1936 roku (K. Szajnocha, *Jadwiga i Jagiello*)", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 7 s. 1. • [Jako Andrzej Witowski:] "Rozważania polityczne (K. Doleżyk, *Rozważania polityczne*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 9 s. 2. • [Jako Andrzej Witowski:] "Wspomnienia polskiego szlachcica (B. Limanowski, *Pamiętniki (1835-1870)*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 11 s. 4. • [Jako Andrzej Witowski:] "«O czym się nie mówi» (T. Skrzypek)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 18 s. 4. • "Bardzo dziwna książka (W. Majdański, *Giganci*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 19 s. 4. • "Stacja odbiorcza (K. Pruszyński, *Podróż po Polsce*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 23 s. 3. • "Światła i cienie Rozdroża (M. Dąbrowska, *Rozdroże*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 24 s. 1. • "Zbędne tłumaczenia (F. Engels, *Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i pań-*

two; J. Doriot, *Francja nie będzie krajem niewolników*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 26 s. 5. • "Z literatury politycznej (K. Hrabak, *Ideologia "Przeglądu Wszechpolskiego"*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 32 s. 4. • "Z literatury politycznej (Z. Wojciechowski, *Myśli o polityce i ustroju narodowym*)", [rec.] *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 36 s. 7. • "Kultura i cywilizacja (*Kultura i cywilizacja*, praca zbiorowa)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 37 s. 7. • "Próba syntezy (Matuszewski, *Próba syntezy*)", [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 38 s. 7. • "Wielka i mała reforma etatyzmu (T. Bernadzikiewicz, *Mała reforma etatyzmu*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 39 s. 3. • "Oświadczenie", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 41 s. 8. • "Dyskusja o sprawach społecznych", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 43 s. 4. • "Judaica (S. Pawłowski, *O emigracji Żydów z Polski i o ich kolonizacji*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 49 s. 7. • *Wczoraj i jutro*, Cz. 1 i 2, Warszawa 1938 *Prosto z Mostu* [fragmety publikowane wcześniej w *Prosto z mostu*: r. 2/1936 ("U źródeł"): "Pokolenia Niepodległej Polski" – nr 34 s. 3, "Brzask renesansu katolickiego" – nr 35 s. 1, "Paradoksy nauk przyrodniczych" – nr 36 s. 3, "Nauka i twórczość" – nr 37 s. 3, "Natura i kultura" – nr 38 s. 2, "Tradycja i tradycjonalizm" – nr 39 s. 3, "Tradycja a duch narodu" – nr 40 s. 2; 3/1937: "Zmierzch epoki" – nr 27 s. 3, "Wartość średniowiecza" – nr 28 s. 3, "Zenit i upadek" – nr 29 s. 3, "Brzask kapitalizmu" – nr 30 s. 3 i 31 s. 3, "Kalwin i jego dzieło" – nr 32 s. 3, "Racjonalizm i naturalizm" – nr 33 s. 3, "Plutokracja i profetariat" – nr 34 s. 3, "Malthus i Marx" – nr 36 s. 3, "Marxizm i kapitalizm" – nr 37 s. 3]. • "Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w roku 1937 (J. Zdziechowski, *Mit złotej waluty*)", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 6 s. 4. • "W kraju czarnych koszul (S. Niebudka, *W kraju czarnych koszul*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 9 s. 9. • "Zagadnienie dwóch Hiszpanii (K. Pruszyński, *W czerwonej Hiszpanii*, J. Giertych, *Hiszpania bohaterka*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 13 s. 2. • "W walce z pawiem i papugą (J. Zdziechowski, *Mit złotej waluty*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 15 s. 3. • "Z publicystyki (K.J., *Społeczne zasady ewangelii*; L.M. Freytag, *Idea Polski jako wytyczna trzeciej epoki dziejów ludzkości; Sprawozdanie za rok 1937 Rady Polskich Interesantów Portu Gdańskiego*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 16 s. 2. • "Myśl o ariergardzie (K. Studentowicz, *Polityka gospodarcza państwa*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 18-19 s. 10. • "Za litewskim murem (T. Kätefbach, *Za litewskim murem*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 20 s. 3. • "Porachunki osobiste (D.L. George, *Wspomnienia wojenne*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 21 s. 5. • "Mit Frau Mathilde Ludendorff (replika na recenzję S. Picńkowskiego z *Wczoraj i jutro*)", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 23 s. 3. • "Bluzniersztwa Talmudu (J.B. Pranajtis, *Chrześcijanin w Talmudzie żydowskim*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 24 s. 3. • "Sprawa włościańska (E. Kostolowski, *Studia nad kwestią włościańską w latach 1846-64 ze szczególnym uwzględnieniem literatury politycznej*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 25 nr 2. • "W oczach Zachodu (H. de V. Heckelinger, *Izrael*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 26 s. 5. • "Sprzed lat osiemnastu (T. Teslar, *Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 26 s. 5. • "O arystokracji", *Prosto z mostu* r. 1938 nr 27 s. 8. • "Kosztowna makulatura (J. Bardoux, *Oskarżam Moskwę*; J. Doriot, *Pieniądze płyną z Moskwy*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 29 s. 2. • "Przemyt prowokacji żydowskich" (G. Lakhowsky, *Od Moskwy do Madrytu*) [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 32 s. 7. • Algebra Ferdynanda Zweiga (F. Zweig, *Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 35 s. 7. • "Niemiec o Włoszech (A. Zischka, *Italia dzisiejsza*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 36 s. 3. • "Z Kasprowego źle widać", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 37 s. 8. • "Bardzo dobra książka (P. Ponisz, *Sprawa żydowska w Polsce ze stanowiska narodowego i katolickiego*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr

38 s. 3. • "Historiozofia à la Piórko (replika na recenzję A. Bocheńskiego z *Wczoraj i jutro*)", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 40 s. 8. • "O komunizmie i Sowietach (S. Masłow, *Bolszewizm, Kolektyw rolni w Sowietach*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1938 nr 41 s. 2. • "Trójjęzyk o Niemczech (*Polityka gospodarcza III Rzeszy*; L. Caro, *Przewrót gospodarczy III Rzeszy*, A. Żabko-Potopowicz, *Rolnictwo w III Rzeszy*; S. Swianiewicz, *Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 1938 nr 42 s. 2. • "Trójjęzyk o Czechach (W. Studnicki, *Kwestia Czechosłowacji a racja stanu Polski*; H. Szeliński, *Stosunki ekonomiczno-agrarne Czechosłowacji*; W. Lencki, *Czechosłowacja jest przygotowana*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 46 s. 7. • "Trzy asy (W. Makowski, *My i wy*; B. Miedziński, *Wczoraj – dziś – jutro*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 47 s. 5. • "Książka dla etatystów (T. Bernadzikiewicz, *Udział państwa w spółkach handlowych*)" [rec.], *Prosto z mostu* 4/1938 nr 48 s. 8. • "Teoria humanizmu gospodarczego (J. Kuncewicz, *Republika globu*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 52 s. 7. • "Mroki rozjaśniają sję (K.M. Morawski i W. Moszczyński, *Co to jest masoneria*; R. Schneider, *Masoneria przed sądem*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 53 s. 1. • "Po burzy nad Pragę i Husztem (W. Wasiatyński, *Między III Rzeszą a III Rosją*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 54 s. 3. • "Wielki nauczyciel (o R. Dmowskim)", *Prosto z mostu* r. 4/1938 nr 55-56 s. 7. • "My wszyscy z niego (o Romanie Dmowskim)", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 3 s. 2. • "Tandem sapere auctus (S. Czupatowicz, *Naturalizm*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 5 s. 5. • "Ludowiec o kwestii żydowskiej (W. Zawilec, *Bez kompromisów i uprzedzeń*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 6 s. 6. • "Mesjanizm żydowski i emigracja", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 7 s. 3. • "Wojciechowski i jego wspomnienia (S. Wojciechowski, *Moje wspomnienia*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 9 s. 5. • "Dla pokrzepienia serc (M. Wańkiewicz, *Sztafeta*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 11 s. 7. • "O sprawie żydowskiej (E. Szereszewski, *Sens i bezsens w ocenie istoty żydostwa*; A. Zawadzki, *Polska przedrozbiórowa a Żydzi*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 17 s. 2. • "Dlaczego Bem", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 18 s. 5. • "Polski tożsamość", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 22 s. 7. • "Z literatury politycznej (L. Laskowski, *O żydach i neofitach w dawnej Polsce*; Z. Zbaraski – broszury polityczne; R. Gower, *Mniejszość węgierska w państwach sukcesyjnych*; W. Wodzinowski, *Swastyka na Hradczynie*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 22 s. 7. • "Nasze i ich interesy", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 23 s. 1-2. • "Z literatury politycznej (K. Wrzos, *Pułkownik Józef Beck*; J. Łukasiewicz, *Polska mocarstwem*)" [rec.], *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 23 s. 5. • "Pocta ładu (o K. Maurras)", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 27 s. 4. • "Maurras jako polityk", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 28 s. 2. • "Noc w Berchtesgaden", *Prosto z mostu* r. 5/1939 nr 37 s. 1. • "J. Łempicki, *Historiozofia Hipolita Taine'a*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 42/1939 z. 2 s. 227-228.

J. Garliński, *Oświęcim walczący*, Warszawa 1992 *Volume*. • J. Łużyk, "Książka Mosdorfa", *Naród i Państwo* r. 3/1937 nr 37-38 s. 11-13. • E. Muszański, "Jan Mosdorf", *Polski słownik biograficzny*. T. 23, Wrocław 1977 *Ossolineum*, s. 36-38. • J. Ptakowski, *Oświęcim bez cenzury i legend*, Nowy Jork 1985 Instytut Romana Dmowskiego.

### **Salamucha, Jan**

Urodził się w Warszawie, 10 czerwca 1903 roku, z ojca Andrzeja, najpierw w wyrobniku, a później gisera w jednej z odlewni wolskich, i Stanisławy z Marciniaków (jedyna siostra, Genowefa, wyszła w 1935 roku za mąż za robotnika, Leona Bojanowskiego); zginął 11 sierpnia 1944 roku podczas Powstania Warszawskiego. W Warszawie mieszkał najpierw

z rodzicami przy ul. Stawki 75 (do 1919 roku) i ul. Żytniej 27; potem w bursie przy Krakowskim Przedmieściu 52/54 (w latach 1919-1925 oraz 1929-1933), w konwiktzie przy ul. Traugutta 1 (w latach 1925-1927) i na plebanii przy ul. Namieśnikowskiej 10 (w roku 1933/1934). W Krakowie mieszkał przy ul. Bernardyńskiej 3 (1934-1939); w czasie krótkich wyjazdów do Warszawy zatrzymywał się przy ul. Dziekania 4 m. 5. Po powrocie z obozów i krótkiej rekonwalescencji w Krakowie – zamieszkał w Warszawie, przy ul. Mianowskiego 15.

W latach 1914-1919 uczęszczał do gimnazjum humanistycznego Stefana Chrupałowskiego w Warszawie. W 1919 wstąpił do warszawskiego Metropolitalnego Seminarium Duchownego. W 1920 roku uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej jako sanitariusz-ochotnik. W 1924 roku, po ukończeniu Seminarium, został przyjęty na Wydział Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiował w Sekcji Filozoficznej m.in. filozofię – u ks. Františka Jehličky, Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Tatarakiewicza i Wiktora Wąsika; logikę – u Stanisława Leśniewskiego i Jana Łukasiewicza; psychologię – u ks. Stanisława Kobyleckiego; teologię – u ks. Wincentego Kwiatkowskiego. W czasie studiów pracował w katolickich organizacjach akademickich – był członkiem warszawskiego *Inventus Christiana*. W 1925 roku został wyswięcony na księdza. W 1926 roku otrzymał tytuł *magister theologiae spectantem philosophiæ* na podstawie pracy "O kategorii  $\rho\omega\sigma\tau$  u Arystotelesa", napisanej pod kierunkiem Kobyleckiego. W 1927 roku zdał egzamin doktorski (jednym z egzaminatorów był Łukasiewicz) i uzyskał doktorat z filozofii chrześcijańskiej na podstawie pracy "Teoria wynikania modalnego [u] Arystotelesa. Studium krytyczne", której promotorem był także Kobylecki.

Następnie – w latach 1927-1929 – odbywał studia w Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, gdzie słuchał m.in. wykładów z kosmologii logika holenderskiego, o. prof. Pierre'a Hoenena. Na podstawie pracy "*De deductione apud Aristotelem et S. Thomam*" otrzymał tytuł *magister aggregatus Universitatis Gregorianae*. Wersja polska tej pracy – "Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu" – stanowiła podstawę jego habilitacji w Uniwersytecie Jagiellońskim, która odbyła się pod patronatem ks. Konstantego Michalskiego w 1933 roku.

Po powrocie z Włoch był kilka miesięcy wikariuszem w Wiazownej k. Otwoca. Następnie w latach 1929-1933 prowadził zajęcia z filozofii w warszawskim Seminarium Duchownym. Wykładał przy tym nie po łacinie, jak to było jeszcze na ogół w zwyczaju, lecz po polsku. Po zamknięciu przewodu habilitacyjnego Rada Wydziału Teologicznego UJ wystąpiła w 1933 roku o zatwierdzenie jego habilitacji oraz o mianowanie go na stanowisko zastępcy profesora i utworzenie dla niego specjalnej (drugiej) katedry filozofii chrześcijańskiej. Nastąpiło to – na skutek różnych intryg – dopiero w końcu 1936 roku. W międzyczasie, od jesieni 1933 roku piastował funkcję wikariusza parafii MB Loretańskiej na Pradze. Na początku roku akademickiego 1934-35 wznowił zajęcia w warszawskim Seminarium Duchownym, ale na prośbę Michalskiego podjął od grudnia wykłady zleczone w UJ. W 1938 roku otrzymał ostatecznie nominację na profesora nadzwyczajnego.

Będąc wykładowcą Seminarium Duchownego, pełnił funkcję sekretarza sekcji filozoficznej Związku Zakładów Filozoficznych uczelni duchownych. W roku 1935-36 wygłosił na zaproszenie Akcji Katolickiej cykl prelekcji na temat filozofii chrześcijańskiej. Od 1936 roku kierował Sekcją Zagadnień Filozoficzno-Religijnych Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej *Odrodzenie*. Brał udział w II (Warszawa, 1927 rok) i III (Kraków, 1936 rok) Polskim Zjeździe Filozoficznym. Przy okazji tego ostatniego, zorganizował –

wraz z Michalskim, o. Józefem M. Bocheńskim i Janem Franciszkiem Drewnowskim – dyskusję z udziałem 32 filozofów, w tym m.in. Łukasiewicza i Tatarzkiewicza, która dała początek Kołu Krakowskiemu, grupie filozoficznej, tworzącej coś w rodzaju katolickiej «filii» Szkoły Lwowsko-Warszawskiej. W roku 1938-39 wygłosił w Instytucie Katolickim kolejny cykl odczytów, które miały wejść do przygotowanej podczas wojny książki *O chrześcijański styl w filozofii*.

Jeden z jego słuchaczy, ks. Maksymilian Majewski, tak go scharakteryzował: "Reprezentował typ dysharmonika antropologicznego z przewagą elementów nordyckiego i mongoidalnego. Koszki, o dobrze rozwiniętych kościach policzkowych i wklęsłym nosie – miał twarz jakby z grubsza ociosaną", o trochę tatarskich rysach i głębokim, choć nieco przynaglonym spojrzeniu magnetyzujących oczu, przesłoniętych zazwyczaj okularami. Lubił nosić «cywilne» ubranie i – jaskrawe krawaty. Władł siedmioma językami obcymi: greką i łaciną – oraz angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim i rosyjskim.

Przyjaźnił się z Michalskim, o. Bocheńskim i Drewnowskim. Udzielił ślubu m.in. Henrykowi Hiżowi i Danucie z Wicentowiczów (w 1943 roku, w warszawskim kościele św. Krzyża; świadkiem był Kotarbiński).

Uprawiał tatarnictwo.

Wybuch II wojny światowej zastał go w Krakowie. Przed zajęciem miasta przez Niemców udał się do broniącej się Warszawy, gdzie został kapelanem-ochotnikiem załogi Fortu Bema. W ostatniej fazie walki kierował obroną Fortu. Ranny w głowę, odznaczony został Krzyżem Walecznych. Z niewoli jenieckiej wydostał się dzięki pomocy lekarza obozowego – i powrócił do Krakowa. 6 listopada 1939 roku – wraz ze 182 innymi wykładowcami UJ – został aresztowany przez Niemców i osadzony najpierw w obozie w Sachsenhausen, a potem – od końca 1940 roku – w Dachau (nr/obozowy 22337). Zwolniono go dopiero na początku 1941 roku, dzięki zabiegom Łukasiewicza i za pośrednictwem logika niemieckiego, Heinricha Scholza. Powrócił do Krakowa, ale wiosną 1941 roku udał się do Warszawy i objął stanowisko wikariusza w parafii św. Jakuba.

Od razu rzucił się w wir pracy duszpasterskiej, nauczycielskiej i naukowej oraz walki przeciwko najeźdźcom. W kościele św. Jakuba wygłaszał – cieszące się wielkim powodzeniem – kazania dla inteligencji. Dawał odczyty dla szerszej publiczności w ramach tajnych kursów Katolickiego Stowarzyszenia Akademickiego *Inventus Christiana*. Kierował również *Caritasem*. Prowadził zjęcia z logiki matematycznej i metafizyki w tajnym Seminarium Duchownym księży orionistów – i na Wydziale Humanistycznym podziemnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Brał udział w zebraniach seminarium Łukasiewicza i prof. Adama Krokiewicza, w seminarium Tatarzkiewicza i w przygotowywaniu pod jego kierownictwem *Słownika filozoficznego*. Podobno był członkiem władz Narodowych Sił Zbrojnych. Pisał kilkakrotnie do prawniczej *Walki*. Pośredniczył w rozmowach zalegniowych NSZ i AK, prowadzonych z inicjatywy gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego wiosną i jesienią 1943 roku. Pomagał prowadzonej przez Marię Marię-Karwacką komórce legalizacyjnej IV Obwodu (Ochota) AK, która zajmowała się sporządzaniem fałszywych dokumentów, legitymacji itp. dla Podziemnego Państwa.

Przed Powstaniem Kuria Warszawska zaproponowała mu wyjazd na plebanię do Skierznawic, ale tej propozycji nie przyjął. W Powstaniu był kapelanem wicedziekanatu Północ Okręgu Stołecznego AK – dziekanem jego IV Obwodu. Został zamordowany przez *własność*, kiedy po wycofaniu się powstańców pozostał z rannymi w kompleksie budynków

między ulicami Wawelską, Pługa, Mianowskiego i Uniwersytecką, nazwanym później *Redutą Wawelską*.

Zmasakrowane ciało zostało odnalezione w kilka miesięcy po stłumieniu Powstania i pochowane we wspólnym grobie duchownych na Cmentarzu Powązkowskim (kwatery 107, rząd VI).

*Publikacje:*

*Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu. Studium historyczno-krytyczne*, Warszawa 1930 Polskie Towarzystwo Teologiczne. • "E[mile] Peillaube (red.), *Wtajemniczenie w filozofię św. Tomasza*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 34/1931 z. 2-3 s. 199-200. • "Paul Siwek, *L'Âme et le corps d'après Spinoza*" [rec.], *Ateneum Kapłańskie* r. 17/1931 t. 28 z. 1 s. 103-105. • "Rola woli w naszym życiu psychofizycznym", *Głos Kapłański* r. 6/1932 nr 1 s. 7-15. • "Na marginesie książki Bergsona o moralności i religii", *Głos Kapłański* r. 6/1932 nr 11 s. 525-536. • "Kazimierz Kowalski, *Filozofia Augusta hr. Cieszkowskiego w świetle zasad św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 35/1932 z. 1-2 s. 152-154. • "Uwagi na temat kształcenia charakteru", *Miesięcznik Katechetyczny i Wychowawczy* r. 22/1933 z. 1 s. 6-28. • "Albrecht Becker, *Die Aristotelische Theorie der Möglichkeitschlüsse*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 36/1933 z. 3 s. 291-294. • "Dowód *ex motu* na istnienie Boga. Analiza logiczna argumentacji św. Tomasza z Akwinu", *Collectanea Theologica* r. 15/1934 t. 54 z. 1-2 s. 53-92. Wersja angielska (tłumaczenie T[adeusza] Gierymskiego i M[ariana] Heitzmanna): "The proof *ex motu* for the existence of God. Logical analysis of St. Thomas' arguments", *The New Scholasticism* vol. 32/1958 nr 3 s. 327-372. Streszczenie francuskie (dokonane przez Bolesława Sobocińskiego): "La preuve *ex motu* de l'existence de Dieu. Analyse logique de l'argumentation de St. Thomas d'Aquin", *Studia Philosophica* vol. 1/1935 s. 483-484. • "Nauczanie logiki w seminariach duchownych", [w:] *Pamiętnik Siódmego Zjazdu [Związku Zakładów Teologicznych w Polsce] w Wilnie*, Wilno 1934 Drukarnia Archidiecezjalna, s. 171-182. • "Joseph Iwanicki, *Lebniz et les démonstrations mathématiques de l'existence de Dieu*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 38/1935 z. 1-2 s. 156-158. • "Logika zdań u Wilhelma Ockhama", *Przegląd Filozoficzny* r. 38/1935 z. 3 s. 208-239. Wersja niemiecka (tłumaczona przez Johanna Bendleka): "Die Aussagenlogik bei Wilhelm Ockham", *Franziskanische Studien* J. 32/1950 II. 1-2 s. 97-134. Autoreferat francuski: "La logique des propositions chez Guillaume Ockham", *Studia Philosophica* vol. 2/1935 s. 475-476. • "W sprawie pewnej recenzji", *Przegląd Katolicki* r. 73/1935 nr 38 s. 626. • ["Głos w dyskusji nad referatami Władysława Goral i Józefa Pastuszki"], *Nasza myśl teologiczna. II. Pamiętnik Drugiego Zjazdu Naukowego [Polskiego Towarzystwa Teologicznego] w Warszawie*, Warszawa 1935 PTT, s. 340, 341. • "Zza kułb filozofii chrześcijańskiej", *Verbum* r. 3/1936 z. 4 s. 613-627. • "Współczesna neoscholastyka włoska", *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 1 s. 84-89. • ["Głosy w dyskusji nad referatami Tadeusza Kotarbińskiego i Jana Franciszka Drewnowskiego"], *Przegląd Filozoficzny* r. 39/1936 z. 4 s. 405, 414. • "Względność i bezwzględność etyki katolickiej", *Przegląd Powszechny* r. 53/1936 t. 209 nr 1 s. 36-51. • "Wiara", [w:] Zygmunt Łempicki (red.), *Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury*. T. 4, Lwów-Warszawa 1936 Książnica-Atlas, s. 1283-1294. • "Joseph Iwanicki, *Morin et les démonstrations mathématiques de l'existence de Dieu*" [rec.], *Kwartalnik Filozoficzny* t. 13/1936 z. 2 s. 171-172. • "Pojawienie się zagadnień antynomialnych na gruncie logiki średniowiecznej", *Przegląd Filozoficzny* r. 40/1937 z. 1 s. 68-89; z. 3 320-343. • "*Cardinale Tomaso de Vio Gaetano nel quarto centenario della sua morte*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny*, r. 40/1937 z. 4 s. 474-476. • [Przedmo-

wa do:] *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej* (Studia Gnesnensia. XV), Poznań 1937 Księgarnia św. Wojciecha, s. 5-6. • "Zestawienie scholastycznych narzędzi logicznych z narzędziami logistycznymi", [w:] *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej, ibidem*, s. 35-48. Autoreferat francuski: tamże, s. 167-169. • "O mechanizacji myślenia", [w:] *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej, ibidem*, s. 112-121. Autoreferat francuski: De la mécanisation de la pensée", tamże, s. 182-186. • "O możliwościach ścisłego formalizowania dziedziny pojęć analogicznych", [w:] *Myśl katolicka wobec logiki współczesnej, ibidem*, s. 122-153. Autoreferat francuski: "A propos de la formalisation des domaines des concepts analogiques", tamże, s. 186-193. • "[Innocenty] M. Bocheński, OP, *Z historii zdań modalnych*" [rec.], *Kwartalnik Filozoficzny* t. 15/1938 z. 2 s. 184-186. • "[Martin] Grabmann, *Die "Introductiones in logicum" des Wilhelm von Shyreswood*" [rec.], *Kwartalnik Filozoficzny* t. 15/z. 4/1938/s. 372-378. • "Francesco Olgiati, *Cartesio*" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 41/1938 z. 1 s. 105-106. • "Logika stara i nowa w wiekach średnich" [autoreferat], *Ruch Filozoficzny* t. 15/1938 z. 3 s. 156b. • "Zagadnienie przymusu w życiu społecznym", *Prąd* r. 26/1939 t. 37 nr 3 s. 172-182. • "W.R. Thompson, *Science and common sense. An Aristotelian excursion*" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 417-421. • "Oblicze miłości", *Walka* 1942 nr 49 [z 25.12]. Toż w: *Dziś i Jutro* r. 3/1947 nr 30(87) s. 3. • "Struktura katolickiego poglądu na świat", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 2(43) s. 1. • "Teologia i filozofia", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 3(44) s. 5. • "O naukową metafizykę", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 4(45) s. 3. • "Tomizm jako *philosophia parentis*", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 5(46) s. 3. • "Zagadnienia metodologiczne w filozofii scholastycznej", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 6(47) s. 3. • "Z historii jednego wyrazu (Istota)", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 7(48) s. 3-4. • "Czas, przestrzeń i wieczność", *Dziś i Jutro* r. 2/1946 nr 17(23), s. 3-4. • "Struktura świata materialnego", *Dziś i Jutro* r. 2/1946 nr 19(25), s. 2-3. • "Początek i koniec świata materialnego", *Dziś i Jutro* r. 2/1946 nr 20(26) s. 3-4. • "Istnienie Boga", *Dziś i Jutro* r. 2/1946 nr 25(31) s. 1-2. • "Zło i cierpienie", *Dziś i Jutro* r. 3/1947 nr 4(61) s. 2. • "O katolicką kulturę intelektualną", *Znak* r. 2/1947 nr 5 s. 481-499. • "Z dziejów nominalizmu średniowiecznego", [w:] Tadeusz Czeżowski (red.), *Charakteria. Rozprawy filozoficzne złożone w darze Władysławowi Tatarakiewiczowi*, Warszawa 1960 PWN, s. 207-238. • *Wiedza i wiara*, Lublin 1996 Wydawnictwo TN KUL.

W maszynopisach pozostały: *Kosmologia* (Kraków 1935), *Krytyka poznania* (Kraków 1935), *Logika* (Kraków 1935), *Teodycea* (Kraków 1936).

W rękopisach pozostały: "O historiozofii [Augusta] Cieszkowskiego", "Stanowisko teoriopoznawcze [Richarda von] Schuberta-Solderna", "Metoda filozofii spekulatywnej [Immanuela] Kanta" (praca napisana w 1924 roku pod kierunkiem Wincentego Kwiatkowskiego), "Przesady jako przeszkody w badaniach naukowych według Franc[iszka] Bacona", Warszawa (po 1924 roku), "*De inductione apud Aristotelem*", "*De discrimine iudiciorum analyticorum a syntheticorum apud Kantium*", "O kategorii początku u Arystotelesa" (1925), "Teoria wynikania modalnego [u] Arystotelesa. Studium krytyczne" (1927), "*De deductionem apud Aristotelem et S. Thomam*" (1929), "Uwagi na temat stosunku logiki tradycyjnej do logiki matematycznej" (1929).

Zaginęły prawdopodobnie: "Z ogólnych rozważań o metodzie", "Metoda dedukcyjna", "Metoda indukcyjna", "Metoda historyczna", "Co to jest prawda", "Drogi prowadzące do prawdy" [= "Kryteria prawdy?"]. "Realizm tomistyczny wobec teorii przyrodniczych", "Wiara w naukę", "Wiara w religii".

A. Birkenmajer, "Ks. Jan Salamucha, "Pojawienie się zagadnień antynomialnych na gruncie logiki średniowiecznej" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 40/1937 z. 1 s. 85-87. • J.M. Bo-

cheński, "J. Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Bulletin Thomiste* a. 9/1932 t. 3 nr 4 s. 401-405. • Tenże, "J. Salamucha, "Dowód *ex motu* na istnienie Boga" [rec.], *Bulletin Thomiste* a. 12/1935 t. 4 nr 8 s. 601-603. Toż [wraz z polskim tłumaczeniem J. Salamuchy] w: *Przegląd Katolicki* r. 73/1935 nr 38 s. 626. Wersja polska także w: *Miscellanea Logica* t. 1/1980 s. 195-198. • Tenże, *Między logiką a wiarą*, Montricher 1988 Les Editions Noir sur Blanc. • Tenże, *Wspomnienia*, Kraków 1993 *Philed*. • T. Czeżowski, "Jan Salamucha", [w:] B. Baczek et al., *Filozofia w Polsce. Słownik pisarzy*, Wrocław 1971 Ossolineum, s. 342. • J.F. Drewnowski, "Ks. Jan Salamucha, "Dowód *ex motu* na istnienie Boga" [rec.], *Przegląd Filozoficzny* r. 37/1934 z. 3 s. 310-311. • Tenże, "U progu nowoczesnej syntezy filozoficznej", *Znak* r. 10/1958 nr 11(53) s. 1288-1303. • S. Felczak, "Ks. dr Jan Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Przegląd Powszechny* r. 50/1933 t. 200 nr 598 z. 10 s. 122-123. • [?] Grabowski [= A. Krzesiński?], "J[an] Salamucha, "Dowód *ex motu* na istnienie Boga" [rec.], *Przegląd Katolicki* r. 73/1935 nr 36 s. 594. • D. Gromska, "Jan Salamucha", *Studia Philosophica* vol. 3/1939-1946 s. 54-57. • M. Heitzman, "Myśl katolicka wobec logiki współczesnej" [rec.], *Kwartalnik Filozoficzny* t. 14/1938 z. 4 s. 355-360. • J. Herbut, "O metodologicznym unowocześnianiu teistycznej metafizyki. Refleksje nad poczynaniami ks. Jana Salamuchy", *Zeszyty Naukowe KUL* r. 23/1980 nr 1(89) s. 21-32. Wersja angielska: "John Salamucha's efforts towards the methodological modernization of theistic metaphysics", *Communication & Cognition* vol. 15/1982 no 2 s. 133-146. • A. Jankowski, "Ks. dr Jan Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Ateneum Kapłańskie* r. 18/1932 t. 29 z. 1(171) s. 80-84. • L. Koj, "Uwagi o życiu ks. Jana Salamuchy", *Summarium* r. 18/38/1989 s. 149-159. • T. Kordyasz, "Zagadnienia filozoficzne", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 23(64) s. 2. • K. Kowalski, "Ks. Jan Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Collectanea Theologica* a. 12/1931 fasc. 2-3 s. 265-270. • J. Kracik, "Jan Salamucha", [w:] L. Grzebień (red.), *Słownik polskich teologów katolickich*, 1918-1981. T. 7, Warszawa 1983 ATK, s. 73-74. • W. Malej, "Ks. Jan Salamucha", *Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie* r. 35/1951 nr 5-6 s. 186-187. • K. Michalski, "Ks. Jan Salamucha (1903-1944)", *Tygodnik Powszechny* r. 2/1946 nr 2(43) s. 2. Toż w: A. Paluchowski (red.), *70 życiorysów*, Kraków 1975 Wydawnictwo Znak, s. 210-213. • Tenże: "Ks. Jan Salamucha", *Przegląd Filozoficzny* r. 42/1939-1946 z. 3-4 s. 337-341. Toż w: *Polonia Sacra* r. 3/1950 z. 3-4 394-400. • Tenże, "Ks. dr Jan Salamucha, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego (1903-1944)", *Ateneum Kapłańskie* r. 40/1948 t. 48 z. 1(261) s. 82-84. • E. Nieznański, "Formalizacja tomistycznych podstaw dowodu na istnienie Koniecznego Bytu Pierwszego", *Studia Philosophiae Christianae* r. 15/1979 nr 1 s. 177-180. • S. Plasecki, "Dysputa o logistyce", *Prosto z mostu* r. 3/1937 nr 56(164) s. 6. • Š. Pech, "Jan Salamucha", *Polski słownik biograficzny*. T. 34, Wrocław 1993 Ossolineum, s. 354-356. • K. Policki, "W sprawie formalizacji dowodu *ex motu* na istnienie Boga", *Roczniki Filozoficzne* t. 23/1975 z. 1 s. 17-30. Wersja niemiecka: "Zum Problem des Beweises *ex motu* der Existenz Gottes", *Communication & Cognition* vol. 15/1982 no 2 s. 185-199. • H. Scholz, "Die mathematische Logik und die Metaphysik", *Philosophisches Jahrbuch der Görres-Gesellschaft* B. 51/1938 H. 3 s. 257-291. • Tenże, "X. Jan Salamucha, "Pojawienie się zagadnień antynominalnych na gruncie logiki średniowiecznej" [rec.], *Deutsche Literaturzeitung* J. 59/1938 H. 21 s. 763-765. • P. Siwek, "Ks. dr Jan Salamucha, *Pojęcie dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu*" [rec.], *Przegląd Powszechny* r. 48/1931 t. 190(nr 2) s. 117-118. • B. Sobociński, "Jan Salamucha (1903-1944): a biographical note", *The New Scholasticism* vol. 37/1958 no 3 s. 327-333. •

[W.] T. Ślipko, "Jan Salamucha" (Carlo Giacon et al. (red.), *Enciclopedia filosofica*. Vol. 5, Firenze 1967 G.C. Sansoni Editore, s. 969. • Z. Wolak, *Neotowizm a Szkoła Łucousko-Warszawska*, Kraków 1993 Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych. • Tenże (red.), *Logika i metafizyka*, Tarnów-Kraków 1995 *Biblos* – Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych. • W. Zasada, "Śp. ks. Jan Salamucha", *Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie* r. 35/1951 nr 3 s. 99-100. • K. Zgorzelska, "Książdz Jan Salamucha", *Więź* r. 7/1965 nr 11 s. 70-76.

### **Siwecki, Jerzy Leon**

Urodził się 10 kwietnia 1908 roku w Warszawie (przy Krakowskim Przedmieściu 440) jako syn Stanisława i Leonii z domu Skiba; zginął w bitwie pod Kutnem, między 9 a 20 września 1939 roku. Ojciec był urzędnikiem Magistratu Warszawy. W Warszawie (od 1928 roku) mieszkał przy Krakowskim Przedmieściu 61 m. 7, a potem m. 10.

W 1916 roku rozpoczął naukę w klasie wstępnej Szkoły im. Emiliana Konopczyńskiego, w 1919 roku przekształconej w Państwowe Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. 16 czerwca 1925 roku otrzymał świadectwo dojrzałości. W 1925 roku wstąpił na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował m.in. u Władysława Tatarzkiewicza (historia filozofii) i Adama Krokiewicza (filologia klasyczna), Stefana Baleya (psychologia) i Bohdana Nawroczyńskiego (pedagogika), a także Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Witwickiego, Kazimierza Ajdukiewicza i Jana Łukasiewicza. W roku akademickim 1931-1932 odbywał służbę wojskową w Kompanii Podchorążych w Grodnie. Na podstawie pracy "Zagadnienia filozoficzne *Konsolacji* Boecjusza", napisanej pod kierunkiem Tatarzkiewicza, otrzymał 24 lutego 1931 roku magisterium z filozofii, a 14 marca 1933 roku – magisterium z filologii klasycznej. W 1931 roku uzyskał od Kuratorium Warszawskiego Okręgu Szkolnego zezwolenie na nauczanie logiki i psychologii. W roku 1932-1933 był słuchaczem Bogdana Nawroczyńskiego w Studium Pedagogicznym. W 1933 roku otrzymał stypendium Funduszu Kultury Narodowej na studia nad arystoteleizmem i wyjechał najpierw do Fryburga Szwajcarskiego, a potem do Paryża, gdzie wiosną 1934 roku nadano mu *diplôme d'études supérieures* za pracę "ΠΙΡΑΞΙΣ et ΠΟΙΗΣΙΣ dans l'Éthique d'Aristote", napisaną pod kierunkiem Léona Robina. Jesienią tego roku przeniósł się do Berlina, gdzie przygotowywał pracę doktorską o klasyfikacji umiejętności u Arystotelesa i scholastków. Od 1935 roku był nauczycielem łaciny, a potem także propedeutyki filozofii w Zakładzie Naukowym OO. Marianów na Bielkach w Warszawie. Uczestniczył (jako magister) w III Polskim Zjeździe Filozoficznym w Krakowie, w 1936 roku.

W latach 1927-1928 był prezesem Sodalitacji Mariańskiej Akademików, przez kilka lat zasiadał w Zarządzie SKMA *Odrodzenie*, a w latach 1930-1931 był prezesem Koła Klasyków Studentów UW.

### **Publikacje:**

"Zagadnienia filozoficzne *Konsolacji Boecjusza*", *Przegląd Filozoficzny* r. 34/1931 z. 2-3 s. 104-121; r. 35/1932 z. 1-2 s. 81-95. • "W obronie humanizmu", *Verbum* r. 1/1934 nr 3 s. 322-333. • "ΠΙΡΑΞΙΣ et ΠΟΙΗΣΙΣ dans l'Éthique Nicomachéenne", [w:] *Charisteria Gustavo Przychocki a discipulis oblata*, Varoviae 1934 Gebethner i Wolff, s. 175-189. • *Istota egoizmu i jego przejawy*, Lublin 1934 Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. • "Rozumowanie praktyczne i prawda praktyczna u Arystotelesa", *Przegląd Filozoficzny* 3. 38/1935 z. 3 s. 196-207. • "Ekipy społeczne (Equipés sociales)", *Verbum* r. 2/1935 nr 2 s. 393-412. • [Głos w dyskusji nad referatem H. Jakubaniśa "Narodziny pojęcia nauki. Fakty i perspektywy",] *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 195. • "I. Dąbbska, *Irracjonalizm a poznawanie naukowe*" [rec.], *Nauka Polska*

t. 24/1939 s. 415-416. • "J. Langdon-Davies, *Man and his universe*" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 471-472. "J. Ramsay Macdonald, "Science and the community"; M. Schœ, "Can we be socially intelligent?" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 456-458. • "C.J. Ducasse, "Are the humanities worth their keep?" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 458-459. • F.v. Gott-Ottifienfeld, "Vom Ringen nach Wirtschaftswissenschaft" [rec.], *Nauka Polska* t. 24/1939 s. 459-461. • "W sprawie klasyfikacji nauk u Platona i u Arystotelesa", [w:] Tadeusz Czczowski (red.), *Charakteria. Rozprawy filozoficzne złożone w darze Władysławowi Tatar-kiewiczowi*, Warszawa 1960 PWN, s. 239-250.

Pisywał ponadto do następujących pism: *Pod znakiem Maryi*, *Pro Christo*, *Prąd* i *Verbum*.

### **Szebekowa, Alicja z Tyszkiewiczów**

Urodziła się 2 stycznia 1899 roku w Połędze (Kurlandia) – w dobrach hr. Józefa Tyszkiewicza – jako czwarte dziecko Feliksa herbu Leliwa i Antoniny z Łąckich; zmarła w szpitalu powstańczym 2 października 1944 roku trafiona kulą «gołęblarza» na barykadzie przy ul. Piusa (według innych relacji w pobliżu barykady na ul. Mokotowskiej, kiedy szła do syna, przebywającego w szpitalu powstańczym). W Warszawie mieszkała przy pl. Małachowskiego 4, a następnie (1938 rok) przy ul. Suchej 7.

W 1927 roku rozpoczęła studia filozoficzne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. Była słuchaczką m.in. Tadeusza Kotarbińskiego (filozofia) i Władysława Tatar-kiewicza (historia filozofii). Przygotowywała pracę magisterską o poglądach etycznych Stefana Żeromskiego.

Poślubiła – w Połędze – Witolda Szebekę. Miała z nim syna Feliksa i córkę Krystynę (po mężu: Fantin). Oddawała się szeroko zakrojonej działalności charytatywnej.

Po wybuchu wojny czynna była w Stołecznym Komitecie Samoobrony Społecznej. Od początku 1942 roku pełniła funkcję komendantki Obwodu AK Śródmieście i dowódcy oddziału wartowniczego. Podczas okupacji brała udział w tajnych seminariach Tatar-kiewicza, które odbywały się (m.in.) w jej mieszkaniu. Opracowywała rozdziały metodologiczne do *Słownika filozoficznego* pod red. Tatar-kiewicza. W Powstaniu była komendantką (pseudonim: *Teresa Strzala* i *Teresa*) plutonu wartowniczego Wojskowej Służby Kobiet przy 100 kompanii sztabowej AK Włodzimierza *Bartkiewicza-Zawadzkiego* (oddziału osłonowego komendanta Obwodu Śródmieście). Syn *Alfred* 13-letni harcerz, został ciężko ranny w pierwszych dniach Powstania. Została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i pośmiertnie awansowana do stopnia porucznika.

Pochowana jest na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie (kwatery 159, rząd V).

H. Michalska *et al.*, *Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski. 1939-1945*. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej, Warszawa 1988 PIW.

### **Wasilewski, Michał**

Urodził się 20 sierpnia 1906 roku w Warszawie jako syn Władysława Iwana i Marii Cecylii z Abramowiczów; zginął 17 września 1939 roku w Krzywej Łące koło Czortkowa (Podole). Był krewnym (żony [?]) Władysława Tatar-kiewicza. W Warszawie mieszkał (1929 rok) przy ul. Karowej 5 m. 15, (1925 rok) przy ul. Okólnik 9 m. 3 i (1933 rok) przy Krakowskim Przedmieściu 6 m. 7.

Dzieciństwo spędził w Wicprzynie koło Czerykowa (Mohylowszczyzna), w majątku rodziców. W 1918 roku ojciec był dwukrotnie aresztowany przez bolszewików; zagrożona dalszymi represjami – rodzina wyjechała do Polski, gdzie w 1921 roku przyjęła obywatelstwo polskie.

W 1921 roku rozpoczął naukę w Gimnazjum Humanistycznym św. Stanisława Kostki w Warszawie, gdzie uzyskał maturę 29 czerwca 1925 roku.

W 1925 roku wstąpił najpierw na Wydział Elektrotechniczny Politechniki Warszawskiej, ale wycofał papiery i przeniósł się na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował polonistkę i filozofię m.in. u Tatariewiczza (historia filozofii, estetyka), Kazimierza Ajdukiewicza (logika), Stanisława Szobera (gramatyka), Józefa Ujejskiego (literatura polska), Zygmunta Łempickiego (literatura niemiecka) i Andrzeja Tretliaka (literatura angielska). W 1931-1932 roku odbył służbę wojskową w Baonie Podchorążych w Zegrzu. 12 czerwca 1934 roku został magistrem filozofii na podstawie pracy "Marcin Paszkowski"; promotorem był Ujejski. Przygotowywał pracę doktorską "Teoria widzenia rzeczy w Bogu u Malebranche'a" pod kierunkiem Tatariewiczza. W latach 1935-1936 odbył podróż naukową do uniwersytetów w Paryżu, Cambridge i Kolonii. W czasie pobytu Bolesława Micińskiego we Francji Tatariewiczz zatrudnił go na stanowisku asystenta przy Katedrze Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

*Publikacje:*

"Kartezjusz i Malebranche", *Przegląd Filozoficzny* t. 40/1937 z. 2 s. 172-185. • "Dowody istnienia Boga u Malebranche'a", [w:] Tadeusz Czeżowski (red.), *Charakteria. Rozprawy filozoficzne złożone w darze Władysławowi Tatariewiczowi*, Warszawa 1960 PWN, s. 293-304.

## FILOZOFIA POLSKA W LATACH 1939-1944

### 1. PODZIEMNE ZAJĘCIA UNIWERSYTECKIE Z FILOZOFII W WARSZAWIE

*Źródła dotyczące nauczania w okupowanej Warszawie (szeroko rozumianej) filozofii na poziomie uniwersyteckim są bardzo skąpe. Stanowią je wyłącznie fragmentaryczne wspomnienia niektórych uczestników tych zajęć. Ponieważ – z oczywistych względów – zajęcia te nigdy nie były dostatecznie sformalizowane, trudno jest nieraz ustalić granice między wykładami, ćwiczeniami i seminariami, prowadzonymi przez daną osobę, a nawet między zajęciami profesorów i ich młodszych współpracowników.*

*Dane poniższe nie są więc ani kompletne, ani w pełni wiarygodne; poważniejsze wątpliwości i luki zostały zaznaczone znakami zapytania.*

••• PROF. BOLESŁAW GAWECKI

Wykłady z filozofii

••• DR EUGENIUSZ GEBLEWICZ

Wykłady z psychologii

••• MGR JAN GRALEWSKI

Wykłady z estetyki

*Uczestnicy:* Barbara Drapczyńska-Baczyńska, Alicja Iwańska, Krzysztof Baczyński, Maria Rzepecka

••• PROF. SERGIUSZ HESSEN

Seminarium z historii filozofii

••• DR HENRYK HIŻ

(1) Wykłady i ćwiczenia z teorii poznania i logiki (dla polonistów), przygotowujące do egzaminu u Tadeusza Kotarbińskiego (od maja 1940 do 1944 roku)

*Miejsce:* ul. Kopernika (mieszkanie Cierniaków), ul. Kredytowa (mieszkanie Hiżów)

*Tematyka:* Tadeusz Kotarbiński, *Elementy*

*Uczestnicy: I komplet:* Hanna Cierniakówna, Jadwiga (*Isia*) Cierniakówna, Wanda Leopold, Stanisław Marczak; *następne komplety:* Helena [Natalia] Adamiakówna, Barbara Białostocka, Hanna Csaky [?], Barbara Drapczyńska-Baczyńska, Ewa Grochowska, Andrzej Grzegorzczak, Jerzy Miller, Jerzy Pelc, Tadeusz Skubiszewski, Henryk Stonert, Klemens Szanławski, Leśława Tazbirówna, Elżbieta [?] Zielińska

(2) Wykłady i ćwiczenia z logiki matematycznej (dla Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego), przygotowujące do egzaminu u Jana Łukasiewicza (od zimy 1940 do 1944 roku)

(3) Proseminarium z logiki

*Miejsce:* al. 3 Maja (mieszkanie Krystyny Niemcówny-Zawanowskiej)

*Uczestnicy:* Zygmunt Dąbrowski, Barbara Drapczyńska-Baczyńska, Barbara Dzierża, Irena Gliwkówna-Wojnar, Teodora Kamińska-Dąbrowska, Jerzy Kubin, Krystyna Niemcówna-Zawanowska, Halina Spłonek-Pelc, Andrzej Więckowski.

(4) Seminarium z logiki matematycznej (tzw. *Warszawski Klub Logistyczny*)  
*Tematyka*: rachunek zdań, systemy Leśniewskiego, teoria mnogości  
*Uczestnicy*: Helena [Natalia] Adamiakówna, Jadwiga Cierniakówna, Andrzej Grzegorzczak, Henryk Stonert, Halina Walterówna

\*\*\* MGR ALICJA IWĄSKA

Wykłady z historii etyki (1941 rok)

*Uczestnicy*: Krzysztof Baczyński, Hanna Csaky, Barbara Drapczyńska-Baczyńska, Ewa Pohoska, Tadeusz Sołtan

\*\*\* PROF. TADEUSZ KOTARBIŃSKI

(1) Wykłady i ćwiczenia z logiki (do 1944 roku)

(2) Seminarium logiczne (prowadzone przez całą wojnę przy współpracy dra Henryka Hiża)

*Miejsce*: ul. Kredytowa (mieszkanie Henryka Hiża), ul. Czackiego

*Uczestnicy*: Helena [Natalia] Adamiakówna, Jan Białostocki [?], Mieczysław Choynowski, Marcin Czerwiński [?], Juliusz Garewicz, Eugeniusz Geblewicz, Andrzej Grzegorzczak, Alicja Iwańska, Józef [?] Kopeć, Jerzy Miller, Andrzej Mostowski, Jerzy Pełc, Halina Powiadowska-Kowalewska [?], Alina Rostowska [?], Henryk Stonert, Jan Strzelecki, Klemens Szaniawski, Dina Szejnbarg (zł. Janina Kamińska-Kotarbińska), Joanna [?] Tomasiakówna[-Beck], Danuta Wicentowiczówna-Hiżowa, Stefan [Janusz] Ziemiński

(3) Seminarium z filozofii kultury (do 1944 roku)

*Miejsce*: ul. Brzozowa (mieszkanie Kotarbińskich)

*Tematyka* (m.in.): Henri Bergson, *Les deux sources de la morale et de la religion*; Adolf Hitler, *Mein Kampf*; Johan Huyzinga; Władysław [?] Jabłonowski; Wacław [?] Nałkowski; Jan Michał [?] Rozwadowski, *Mądrość życia*; Georges Sorel; Charles [?] Sorel; Florian Znaniecki; *utopte społeczne; parapsychologia* (z udziałem członków Warszawskiego Towarzystwa Metempsychicznego)

\*\*\* PROF. ADAM KROKIEWICZ I JAN ŁUKASIEWICZ

Seminarium tzw. *U starców* (od 1940 do 1944 roku)

*Miejsce*: ul. Brzozowa 12 (mieszkanie prof. A. Krokiewicza)

*Tematyka*: systemy Leśniewskiego

*Uczestnicy*: Henryk Hiż, Jan Salamucha, Bolesław Sobociński, Jerzy Słupceki

\*\*\* DR JAN MOSDORF

Zajęcia [z filozofii]

*Uczestnicy*: Zbigniew Więckowski

\*\*\* DOC. MARIA OSSOWSKA

Seminarium z etyki

*Uczestnicy*: «Płomieniarze», Marcin Czerwiński, Krystyna Dąbrowska, Henryk Hiż, Alicja Iwańska, Karol Lipiński, Jan Strzelecki, Danuta Wicentowiczówna-Hiżowa

\*\*\* DOC. STANISŁAW OSSOWSKI

Seminarium socjologiczne

*Uczestnicy*: Hanna Csaky, Ewa Pohoska

\*\*\* KS. DR MAKSYMILIAN RODE

Wykłady z filozofii [?] i socjologii

••• PROF. BOGDAN SUCHODOLSKI (WODZICKI)

Seminarium z filozofii i historii kultury (od 1942 do 1944 roku)

*Miejsce:* ul. Żelazna 63/Grzybowska 50 (mieszkanie Gliwków)

*Tematyka* (m.in.): Stanisław Brzozowski, Jacques Maritain, egzystencjalizm (na podstawie książki Paula Ludwiga Landsberga, *Essai sur l'expérience de la mort*)

*Uczestnicy:* Marcin Czerwiński, Zygmunt Dąbrowski, Barbara Drapczyńska-Baczyńska, Barbara Dzierża, Stanisław Frybes, Irena Gliwkówna-Wojnar, Juliusz W. Gomułicki, Henryk Hiż, Teodora Kamińska-Dąbrowska, Jerzy Kubin, Karol Lipiński, Krystyna Niemcówna-Zawanowska, Halina Spionek-Pelc, Jan Sirzelecki, Karol X [przyjaciel J.W. Gomułckiego], Stefan [Janusz] Ziemiński

••• DOC. DINA SZTEJNBARG (JANINA KAMIŃSKA-KOTARBINSKA)

Wykłady i ćwiczenia z logiki (do 1943 roku)

••• PROF. WIADYSŁAW TATARKIEWICZ

(1) Wykłady z historii filozofii i estetyki (prowadzone przy współpracy mgra Mieczysława Milbrandta)

*Uczestnicy:* Marcin Czerwiński, Jan Gralewski, Małgorzata Dembowska [?], Andrzej Grzegorzczak, Alicja Iwańska, Stefan Morawski, Jerzy Pelc, Klemens Szaniawski

(2) *Privatissimum* [= seminarium poniedziałkowe?]

*Miejsce:* ul. Prezydencka (mieszkanie Tatarkiewiczów), ul. Sucha (mieszkanie Szebeków), ul. Piłsa (mieszkanie Szebeków), ul. Krucza (mieszkanie Kaspińskich), ul. Wspólna (mieszkanie Krzeszewskich), ul. Chłodna (mieszkanie Wicentowiczów), ul. Czackiego (mieszkanie Wicentowiczów), ul. Karonia 10 m. 2 (mieszkanie Gralewskich), ul. Piłtrowa 62 (mieszkanie Garwiczów), ul. Służewska (mieszkanie Rzepeckich), ul. Małajkowskiego 3 (mieszkanie Szrednickich)

*Tematyka* (m.in.): *historia filozofii polskiej, szczęście* (m.in.: "Katastrofy dziejowe a poczucie nieszczęścia" (październik 1939), "Uczucia przewidywane i rzeczywiste (25 stycznia 1942)), Henri Bergson, *Koło Wiedeńskie*, Soren Kierkegaard, Martin Heidegger, Władysław Dawid, Stanisław Czajutowicz (*Naturalizm*), *zagadnienia filozofii (słownik)* (od jesieni 1942 roku) (*I. Dyscypliny filozoficzne:* metafizyka – M. Milbrandt, metodologia – A. Iwańska, A. Szebekowa; *II. Metafizyka:* byt – M. Milbrandt, celowość – A. Nowicki, czas – M. Milbrandt, człowiek – J. Łempicki, intuicja – D. Wicentowiczówna-Hiżowa, kategorie – A. Nowicki, prawda – ks. J. Salamucha, przyczyna, przyroda – A. Nowicki, substancja – M. Milbrandt); *III. Teoria poznania;* *IV. Etyka* – M. Milbrandt, cel – A. Nowicki, egoizm i altruizm – J. Łempicki; *V. Estetyka* – J. Gralewski, F.D. Krzeszewska; *VI. Historyczne typy filozofii*)

*Uczestnicy:* Ludwik Barcz, Mieczysław Chojnowski, Bronisław Dembowski [?], Janina Dłuska-Miloszowa, Stanisław Dygat, Stanisław Frybes [?], Jan Garwicz, Jan Gralewski, Zofia Greulich, Alicja Iwańska, Franciszek Januszewski [?], Jan Jezłorański [?], Alicja Kadlerówna, Ludwik Kaspiński, ks. Aleksander Kisiel SJ, Jan Kott, Tadeusz Kroński [?], Irena Krzemicka-Krońska [?], Florentyna Danuta Krzeszewska, Jan Łempicki, Hanna Michalska, Romana Michalska, Mieczysław Milbrandt, Czesław Miłosz, Stefan Morawski [?], [?] Morysińska [Morycińska?], Jan Mosdorf, Eugenia Mrozowska, Zofia Neumann-Gizewska, [?] Niewiadomski, Andrzej Nowicki, Aleksandra Ołędzka-Frybesowa, Jerzy Pelc, ks. Jan Popiel SJ, ks. Jan Salamucha, Krystyna Swinarska [?], Klemens Szaniawski, Alicja z Tyszkiewiczów Szebekowa, Krystyna Szner, Danuta Wicentowiczówna-Hiżowa, Stefan [Janusz] Ziemiński [?], Jadwiga Żylińska

## 2. PODZIEMNE MAGISTERIA, DOKTORATY I HABILITACJE Z FILOZOFII

Helena Bączalska-Rasłowa – magisterium u J. Łukasiewicza i B. Sobocińskiego (1944)

Henryk Hiż – doktorat [?] u T. Kotarbińskiego [1944?]

Alicja Iwańska – magisterium u T. Kotarbińskiego ("Filozofia J.M. Guyau", 1940)

Andrzej Nowicki – magisterium u W. Tatarakiewicza ("O Heraklicie", 1943)

Stefan Świeżawski – habilitacja ("*Commensuration animas ad hoc corpus* u św. Tomasza", 1944)

## 3. FILOZOFOWIE – UCZESTNICY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Helena [Natalia] Adamiakówna, Helena Bączalska-Rasłowa [?], Maria Bromke-Grodecka, Jadwiga [Isia] Cierniakówna, Marcin Czerwiński, Andrzej Bolesław Dobrowolski, Renata [?] [Nath] Dorożyńska, Juliusz Garewicz (zginął 2.10.1944 przy próbie ucieczki po kapitulacji Powstania), Andrzej Grzegorzczak, Henryk Hiż, Alicja Iwańska, Janusz Krajewski, Florentyna Danuta Krzeszewska, Mieczysław Milbrandt, Jerzy Miller [?], Stefan Morawski, Andrzej Nowicki, Janusz Ostrowski, Jerzy Pelc, Alina Rostowska [?], ks. Jan Salamucha, Jerzy Słupecki [?], Jan Szrednicki, Jan Strzelecki, Klemens Szaniawski, Jan Szewczyk, Alicja Tyszkiewicz-Szebekowa, Halina Walterówna, Zbigniew Więckowski, Danuta Wicentowiczówna-Hiżowa, Jerzy Antoni Wojciechowski (student podziemnej Politechniki Warszawskiej), Kazimierz Wojciechowski, Ryszard Wójdak, Andrzej Zbrożyna, Stefan [Janusz] Ziemiński, Krystyna Zwolińska

## 4. FILOZOFOWIE – UCZESTNICY AKCJI «BURZA» POZA POWSTANIEM WARSZAWSKIM

Bronisław Dembowski (w 72 pp AK Ziemi Radomskiej, zmobilizowany od 15 sierpnia do 4 listopada 1944 roku), Tadeusz Pszczółowski (Akcja *Ostra Brama*), Barbara Skarga (Akcja *Ostra Brama*)



Władysław Tatarkiewicz

Władysław Tatarkiewicz



*Jan Gralewski*

Jan Gralewski



*Florentyna Krzeszewska*

Florentyna Danuta Krzeszewska



*Jan Lempicki*

Jan Lempicki



*Bolesław Micinski*

Bolesław Micinski



*Mieczysław Milbrandt*

Mieczysław Milbrandt



*J. Mosdorf*

Jan Mosdorf



*Ks. Jan Salamucha*

Ks. Jan Salamucha



*J. Siwecki*

Jerzy Siwecki



*Alicja Szebekowa*

Alicja Szebekowa



*Michał Wasilewski*

Michał Wasilewski



Władysław Tatarkiewicz  
ze swoimi asystentami:  
Bolesławem Micińskim  
i Mieczysławem Mildrandtem



Danuta Krzeszewska  
i Mieczysław Milbrandt  
na ulicach Warszawy



Fragment Czortkowa – miasta,  
w którego okolicach zginął  
Młeczysław Wasilewski

H. Michał



Groby żołnierzy poległych  
w bitwie pod Bzurą – na cmentarzu  
w Trojankowie koło Sochaczewa  
(jesień 1939 roku)



Jan Gralewski i Alicja Iwańska  
w kawiarni *U aktorek* w Warszawie (1942)



Widok na Laffrey koło Grenoble



Widok na Gibraltar od strony portu i lotniska,  
z którego 4 lipca 1943 roku wystartował  
samolot gen. Władysława Sikorskiego



Grób rodzinny Romana Gralewskiego  
na Powązkach



Grób symboliczny  
Jana Mosdorfia na Powązkach



Jan Szewczyk  
(zdjęcie z lat wojny)



Zbiórka żołnierzy 227 plutonu zgrupowania  
*Żyrafy II*  
na ulicy Krasieńskiego



Grób zbiorowy powstańców warszawskich  
na Cmentarzu Wojskim – miejsce  
spoczynku Mieczysława Milbrandta



Masakra powstańców na Ochocie



Tablica pamiątkowa na budynku  
Reduty Wawelskiej w Warszawie,  
gdzie zamordowani zostali  
Jan Łempicki i ks. Jan Salamucha



Grób Jana Łempickiego  
na Powązkach



Grób zbiorowy duchownych warszawskich  
na Powązkach – miejsce spoczynku  
ks. Jana Salamuchy



Grób Danuty Krzeszewskiej  
na Powązkach



Grób Alicji Szabekowej  
na Powązkach

## ERRATA (ważniejsze błędy)

Strona	Wiersz od góry	Wiersz od dołu	Jest	Powinno być
3	13		69	65
	14		77	69
	15		81	77
	16		87	81
		6	<i>PRÓBA OCENY</i> <i>DODATEK</i>	<i>PRÓBA OCENY</i> <i>DODATEK</i>
5	13		zufać	zaufać
7	5		z sobą	ze sobą
	9		doświadczymy	doświadczamy
	13		myśli, tu	myśli tu
8	5		prawdzie pozostaje	prawdzie, pozostaje
9		5	<i>silebat</i>	<i>silebant</i>
11	3		2/3	2-3
		4	roku – pierwodruk	roku] – pierwodruk
17	21		zginąc	zginąć
18	16		dziejnej naród	dziejnej, naród
	22		potrzebuję	potrzebuje
21	5		pod obudzeniu	po obudzeniu
	19		Dlatego, że	Dlatego że
25	6		A.J.	A.I.
		8	<i>l'idôlatrie</i>	<i>l'idolâtrie</i>
29		14	mówi wydaje	mówi, wydaje
36		15	faktur y.	faktury.
37	18		Panem ja	Panem, ja
		19	<i>legitime</i>	<i>légitime</i>
38	13		2 lipca	3 lipca
		9	rozmów	rozmówcy
39	5		godz.	godz. ...
	14		500.	500,
	16		25.I.1947	25.I.1947
		19	Gibraltarze i	Gibraltarze, i
43		20	koncepcję	koncepcje
		14	gosodarcze	gospodarcze
		9	abstackją	abstrakcją
		2	<i>nonbelligerance</i>	<i>nonbelligérance</i>
44	7		<i>de Maistre'a</i>	<i>de Maistre'a</i>
	23		z siebie, mówi	z siebie; mówi
45	3			[wyrównane do prawego brzegu]
46		7	żegnamy	Żegnamy
47	1		notywów	motywów
	9		myśli jak	myśli, jak
		18	ręką	ręką
		17	humory	humoru
		8	wy jak	wy, jak
48	16		Rzeczma	Rzecz ma
	17		Sknstruowanie	Skonstruowanie
50		16	chodnietrawione	chodnie trawione

		9	życie	życia
51		16	łączą	łączą
52		21	apokaliptycznej wjechali	apokaliptycznej, wjechali
53	15		kierunku jak	kierunku, jak
		13	to co	to, co
		5	rodzin nie-	rodzin, nie-
54	22		biegu odsłaniając	biegu, odsłaniając
		22	rzeka unosząc	rzeka, unosząc
60	11		rozstawił, dwa	rozstawił dwa
62	8		zbrodni	zbrodni,
63		6	formu	forum
66		21	z sobą	ze sobą
69		17	<i>prac z głównie / lingwistyki</i>	<i>prac głównie lingwistyki</i>
72	10		chłopców biorących	chłopców, biorących
75	6		szaraganiu	szarganiu
		15	daleka jak	daleka, jak
		11	kontkat	kontakt
77	4		254-258.	254-258
78		6	Bratowski	Bratkowski
79	7		Bratowskiego	Bratkowskiego
		8	Bratowski	Bratkowski
81	4		15-24.	15-24
		13	uczeni znawcy	uczeni, znawcy
		15	ćwierci	ćwierci
83	19		chęć	chęć
85		16	Wittostwa	Witostwa
87	4		<i>października w</i>	<i>października 1921 roku w</i>
88		10	kanonie	kanonie
90		6	wpowodowałby	spowodowałby
95	4		<i>Ruslan</i>	<i>Rusław</i>
		5	<i>Studiował w</i>	<i>Studiował u</i>
		9	-1938)	-1938),
96		13	NON SILEANT!	NON SILEBANT!
97	15		<i>varrückt</i>	<i>vorrückt</i>
100		21	udziała	udział
102	3		niemiecka	niemiecka
104	3		okazji	okazji
		10	sformułowaanie	sformułowanie
		14	stawicielami	stawicielem
		10	Skoruki	Skorupki
108	1		podpołudniem	popłudniem
		2	bliskiem	bliskim
		12	ddziałem	oddziałem
		19	łączników	łączyków
109	7		minąłem	minąłem
		24	przyłączenie	przyłączenia
		21	pobliskime	pobliskim
		1	głód	głód
111	15		watpić	wątpić
112	5		oglądaliśmy	oglądaliśmy
		8	z sobą	ze sobą
113		12	książąt	ksiąząt
115		16	wkraczające	wkraczające
116		7	która	którą
135	6		malarstwa przygotowanej	malarstwa, przygotowanej
	12			[wyrównane do prawego brzegu]

137		13	taka odcina	taka nie odcina
138		3-1	Sicherheit Polizeisind wegen behangener / der Verordnung	Sicherheitspolizei sind wegen begangener / der Vorordnung
139		23	się z wtedy	się wtedy
140		10	wartościami, i których	wartościami, których
147	16		antyku jak i	antyku, jak i
148		22	filzoficzną	filozoficzną
150		18	odpowiedzialność na swój	odpowiedzialność za swój
		6	literackich jak	literackich, jak
151	5		filozofią,	filozofią;
		6	1935 r.;	1935;
154		18	jedno;	jedno:
		8	myśliciele) <sup>1</sup> .	myśliciele <sup>1</sup> ).
155		12-2		[w przypisach 1,2,4-9 skreślona kropka przez „[przyp.”]
		5	zdrobniata	zdrobniała
156		7		[nad wierszem – kreska pozioma]
164		6	ując	ująć
166	18		zdanie nie pytając	zdanie, nie pytając
167		16	że choć na	że na
		16	jednostka	jednostkowa
		17	psychiką	psychika
170		11	zmysłów	zmysłów
		4	przestrzenne	-przestrzenne
174		14	nawierzchnich	nawierzchnich,
175		3	oparł	oparł
179		9	słowy w / nastąpić	słowy – / nastąpić
		8		[wyrównane do prawego brzegu]
		6	obalanie	obalaniu
180		10	= $U(A)$	= $U(A)$
182	6		filozoficznych, stały się	filozoficznych stały się
		13	Akwinu zawar-	Akwinu, zawar-
		4	J. Bocheński	J.M. Bocheński
183	3		(c3) to	(c3), to
184		16, 14, 10, 8- 6		[przesunięte wiersze w lewo na wysokość wiersza 17]
185	5		tzw.model	tzw. model
	10		ks.Salamucha	ks. Salamucha
		5	z.3 320-343.	z. 3 s. 320-343.
190- 191	1		Leśnej Podkowie	Podkowie Leśnej
191	12		11, s	11 s.
192	16		1944	1910
193	12		r. 1939	r. 41/1939 z. 2
194		17	appendix ]	appendix]
195	16		codziennego”]	codziennego]
		19	3. 38/1935	r. 38/1935
196		3	52	-52
197		10	realny”	realnym”
198	16		rozczytując w	rozczytując się w
199		25	pismem podziemnym	pismami podziemnymi

200	3		w którym	kiedy
201		17	z. 1/2	z. 1-2
		1	s. 7•, •	s. 7. •
202	5		<i>Europy</i> ”, [rec.]	<i>Europy</i> ” [rec.]
		10	<i>Jagiello</i> ),	<i>Jagiello)</i> ”,
203	6		(I Matuszewski	(I. Matuszewski
		10	<i>Jutro</i>	<i>jutro</i>
		20	3. 4/1938	r. 4/1938
		9	s. 5.	s. 5.
204	20		Mesjanizm	„Mesjanizm
		10	s. 227-2278.	s. 227-228,
206	20		kierowa	kierował
		22	nr. obozowy	nr obozowy
207	20		proof <i>ex motu</i> for the existence of God. Logical analysis of St. Thomas’ arguments	Proof <i>ex motu</i> for the Existence of God. Logical Analysis of St. Thomas’ Arguments
		2	z. 3 320-343.	z. 3 s. 320-343/
209	10		11(53).	11(53)
		14	D. Gromska	• D. Gromska
	18-19		efforts towards the methodological modernization of theistic metaphysics	Efforts Towards the Methodological Modernization of Theistic Metaphysics
		22	r. 18-38/1989	r. 18/1989
		15	<i>Sacra</i> , r. 3 / z. 3-4 394-400.	<i>Sacra</i> r. 3 / z. 3-4 s. 394- 400.
		12	nr 1 s,	nr 1 s.
		1	biographical note / vol 37/1958) no 3	Biographical Note / vol. 37/1958 no 3
210	1		„Jan Salamucha”, Carlo	„Jan Salamucha”, [w:] Carlo
		6	r 7/1965	r. 7/1965
		18	1931-1932	1931-32
		12	1927-1928	1927-28
		11	1930-1031	1930-31
		9	<i>Konsolacji Boecjusza</i>	<i>Konsolacji Boecjusza</i>
		4	Arytotelesa / 3. 38/1935	Arytotelesa / r. 38/1935
211	1		<i>his universe</i>	<i>His Universe</i>
		2	community	Community
		3	socially intelligent	Socially Intelligent
		4	humanities worth their keep	Humanities worth their Keep
		12	Syn Alfred	Syn Feliks
215	3		Żelazna 63/Grzybowska 50	Żelazna 63 / Grzybowska 50
		18	[ = seminarium	[=seminarium
216		pod 4		[wstawione: Jan Kalicki – magisterium u T. Kotarbińskiego (1945)]’ f
		6	Zwolińska.	Zwolińska
5 strona ilustra- cji			Mieczysław Wasilewski	Michał Wasilewski